

# **30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci**

# **30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci**

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

BRYGADA ŚMIERCI

Margaret Weis i Don Perrin BRYGADA ŚMIERCI przekład Dorota Żywno  
Zysk i S-ka Wydawnictwo

DRAGONLANCE® SAGA THE DOOM BRIGADE

Copyright © 1996 TSR, Inc. All rights reserved. TSR, Inc. is a subsidiary of Wizards of the Coast, Inc. DRAGONLANCE and the TSR logo are registered trademarks of TSR, Inc. All DRAGONLANCE characters and the distinctive likenesses thereof are trademarks of TSR, Inc. First published in Poland by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań 1999 Polish language rights with Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących czy zmarłych, jest zupełnie przypadkowe. This material is protected under the copyright laws of the United States of America. Any reproduction or unauthorized use of the material or artwork contained herein is prohibited without the express written permission of TSR, Inc.

WIZARDS OF THE COAST, BELGIUM P.B. 34  
2300 Turnhout Belgium +32-14-44-30-44 U.S. CANADA,

ASIA, PACIFIC\* LATIN AMERICA Wizards of the Coast, Inc. • P.O. Box 707 Renton, WA  
98057-0707

& Visit our website at <http://www.tsr.com> Wydanie I SBN 83-  
7150-642-2 4 000347163 ZyskiS.ka

Wydawnictwo s.c. 10,61-774 Poznań tel. 853-27-67, 853-27-51, tel./fax 852-63-26 Dział  
handlowy tel. 864-14-03, 864-14-04, Druk: Drukarnia GS, Kraków tel. (012) 260-15-01

Dedykowane z dumą Kanadyjskiemu Korpusowi Lądowych Wojsk Inżynierii Elektrycznej i  
Mechanicznej

1

Rozdział 1 — Do broni!

Kang był na nogach, szukając po omacku zbroi w ciemnej chacie, jeszcze zanim w pełni się  
odkrył i uświadomił sobie, co się dzieje.

— Cholerni elfowie! Przeklęte szpiczastouchy. Na Otchłań, daliby się choć trochę przespać!

Znalazł napierśnik, chwilę się z nim mocował, aż wreszcie zdołał zarzucić jeden pasek na  
pokryte łuskami ramię. Drugi stale mu się wymykał. Klnąc siarczyście, zostawił go w spokoju.  
Przyciskając pancerz do piersi jedną ręką, poszukał drzwi i po- tknął się o krzesło.

Trąbka fałszywie grała na alarm. Z zewnątrz znów dobiegło wołanie, na które odpowiedziały  
ochryple, niepokorne okrzyki. Kang kopnął krzesło, aż poleciały drzazgi, i znów spróbował trafić do  
drzwi.

— Parszywi elfowie — znów mruknął, ale miał wrażenie, że coś tu nie gra.

Trzeźwa część jego jaźni, ta, która zeszłego wieczoru nie piła krasnoludzkiego spirytusu — srogi,  
surowy nadzorca, który pa- trzył nieprzychylnie, jak reszta jego osoby się dobrze bawi — znów nie  
dawał mu spokoju. Coś w związku z krasnoludami. Nie elfami.

Kang otworzył drzwi swojej chaty. W twarz buchnęło mu gorące, duszne powietrze. Świtało,  
choć słońce jeszcze nie dotarło do chatek i szalasów schowanych pod sosnami. Kang zmrużył  
oczy, potrząsnął zamroczoną głową i wyciągnął rękę w stronę pierwszego smokowca, którego

zauważył.

— Co tu się, do licha, dzieje? — ryknął. — Czy to Złoty Generał? 7

Żołnierz gapił się na niego w takim osłupieniu, że zapomniał zaszalutować.

— Złoty Generał? Proszę wybaczyć, panie pułkowniku, ale ze Złotym Generałem nie walczyliśmy już od dwudziestu pięciu lat! To ci przekłęci krasnoludowie. Napadli na nas. Przypuszczam, że chodzi im o owce.

Kang zamyślił się nad tymi niezwykłymi wieściami, nie zauważając, że pancerz zsunął mu się z piersi. Krasnoludowie. Owce. Najazd. Ta część jego jaźni, która wiedziała, co się dzieje, była poważnie rozdrażniona. Gdyby tak jeszcze...

— Dzień dobry, panie pułkowniku! — usłyszał czyjś niemiłosiernie wesoły głos. W twarz chlusnęła mu lodowata woda.

Smokowiec ryknął i wyszedł za próg. Trząsł się tak, że aż dzwoniły łuski, był już jednak stosunkowo trzeźwy i świadomy tego, co się dzieje wokół.

— Pozwoli pan, pułkowniku, że pomogę — rozległ się ten sam pogodny głos.

Slith, zastępca Kanga, schwycił napierśnik i przelożył pasek przez ramię dowódcy, zapinając go mocno pod jego lewym skrzydłem. — Znów krasnoludowie? — spytał Kang.

Mijający ich smokowcy nakładali zbroje i chwyтали za broń, udając się na wyznaczone stanowiska obrony warownego grodu. Obok przebiegła becząca z panicznego strachu owca, która odziliła się od stada. — Tak jest, panie pułkowniku. Nacierają z północy. Kang pobiegł do muru, który napawał go niezmierną dumą. Wzniesli go z kamienia, który wydobyto czarami ze stoku Celebundu, żołnierze Kanga, dawna Pierwsza Brygada Saperów Smoczej Armii. Mur okalał osadę i nie pozwalał złodziejom wejść do środka, a owcom się wydostać. Przynajmniej tak to miało funkcjonować.

Jakimś sposobem owce jednak wciąż znikaly, a Kang często czuł w nocy smakowitą woń baraniej pieczeni, która zalatywała od wioski krasnoludów podgórskich na drugim końcu doliny. 8

Ze zgrzytem pazurów wspiał się po kamiennych stopniach i zajął stanowisko na murze. Kang widział krasnoludów biegnących po otwartej przestrzeni w stronę północnej ściany grodu, lecz w szarym świetle poranka trudno było ich zliczyć. Pierwsi biegacze nieśli drabiny i sznury, przygotowani do wspinaczki. Smokowcy stali na murach z mieczami i maczugami w rękach i czekali na krasnoludów, żeby im nabić parę guzów.

— Znacie moje rozkazy! — krzyknął Kang, wyciągając miecz. — Bić wyłącznie płazem! Pamiętajcie, żeby używać nieszkodliwej magii, tylko tyle, żeby zasiać wśród nich strach. Smokowcy wokół niego odpowiedzieli chórem:

— Tak jest! — jednak komendant odniósł wrażenie, że nie słyszy w ich głosie entuzjazmu. Krasnoludowie tymczasem dotarli do podnóża muru, zarzucili na blanki kotwice i przystawili drabiny. Kang wychylił się z zamiarem odepchnięcia jednej z nich, kiedy jego uwagę zwrócił zgiełk, który wybuchł gdzieś daleko po prawej stronie.

Podejrzewając, że frontalny atak był jedynie wybiegiem, a pierwsza fala nieprzyjaciół już się wdarła przez mury, Kang przekazał dowodzenie Slithowi i popędził w tym kierunku. Na miejscu zastał Glotha, dowódcę jednego z plutonów, który krzyczał donośnie i gniewnie. Jakiś smokowiec mierzył z kuszy do krasnoludów.

— W imię Królowej Ciemności, co wy sobie wyobrażacie, żołnierzu? — darł się Gloth. — Natychmiast odłóżcie tę kuszę! Znacie rozkazy.

— Znam, ale mi się nie podobają! — warknął rozzłoszczony smokowiec, nie wypuszczając broni z ręki.

Kang mógłby wpaść, narobić szumu i opanować sytuację. Powstrzymał się jednak, żeby zobaczyć, jak poradzi sobie do- wódca kompanii. — Nie podobają mi się, panie sierżancie! — powtórzył Gloth. Z północy doleciały krzyki, wrzaski i ryki. Uzbrojeni w kije smokowcy spychali obwieszane krasnoludami drabiny z murów. Gloth spojrzął wściekle na zbuntowanego żołnierza i Kang cze- kał z napięciem, kiedy dowódca kompanii straci cierpliwość 9

i przejdzie do rękoczynów. Tak właśnie Gloth postąpiłby za dawnych czasów. Sierżant najwyraźniej jednak złagodził metody.

— Posłuchaj, Rorc, wiesz, że nie wolno nam używać kusz, i znasz powody. Czy mam ci jeszcze raz wszystko powtarzać? — Podniósł rękę i wskazał jednego z napastników. — Weźmy na przykład tego krasnoluda. Jasne, że jest brzydki jak siedem nieszczęść z tą owłosioną twarzą, pękatym brzuchem i krótkimi, krępyimi nóżkami. Ale przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że jest to właśnie on — może jako jedyny — wie, jak się pędzi spirytus. Zastrzelisz go i w porządku, wyślesz jeszcze jednego przekłętogo krasnoluda do Reorxa, ale co się stanie, kiedy następnym razem na nich napadniemy? Zastaniemy na drzwiach gorzelni tabliczkę z napisem: „Nieczynne z powodu śmierci właściciela”. I co wtedy z nami będzie? Rorc patrzył wilkiem, ale nic nie odpowiedział. — To ja ci powiem, co będzie — dokończył z powagą Gloth. — Będzie nam się chciało pić. Bądź więc grzeczny i weź maczu- gę zamiast kuszy, a ja nie powiem pułkownikowi o twojej nie- subordynacji.

Rorc się zawahał, ale wreszcie rzucił broń na ziemię. Podniósł pałkę i wychylił się za mur, gotów odeprzeć atak. Gloth wziął kuszę i odszedł. Kang czym prędzej wrócił na swoje stanowisko dowodzenia.

Szkoda, że będzie musiał udawać, że niczego nie widział. Chciałby móc udzielić Glothowi zasłużonej pochwały za to, że tak zręcznie opanował potencjalnie niebezpieczną sytuację.

Kang w gruncie rzeczy nie miał żalu do żołnierza. Piekielnie trudno im było znosić te denerwujące napady, kiedy za dawnych czasów po prostu najechaliby krasnoludów, wycięli ich w pień i zrównali z ziemią ich małą osadę.

Dawne czasy jednak minęły, co bezustannie starał się uzmy- słowić swoim podwładnym.

Po powrocie na pozycję dowodzenia rzucił okiem na pole walki. Krasnoludowie, którzy nieśli drabiny, już je przystawili do murów i rozpoczęli wspinaczkę. Obrońcy zdołali odepchnąć 10 cztery, ale po dwóch pozostałych wspinało się kilkunastu rabu- siów wymachujących pięściami i pałkami.

Smokowcom trudno było trafić krasnoludów. Wysokie na mniej więcej cztery i pół stopy istoty przemykały między nogami siedmiostopowych jaszczurów, którzy z reguły świstali maczu- gami i klingami mieczy tuż nad ich głowami.

Kang dostrzegł sześciu rabusiów, którzy robili uniki, kluczyli i podskakiwali, wymykając się sprytnie usiłującym ich złapać smokowcom. Zeskoczyli z muru i zniknęli w osadzie. Kang zaklął.

— Psiakrew! Slith, bierz pierwszy batalion i goń ich. Zostało nam tylko dziesięć” owiec. Nie mogę pozwolić, żebyśmy którąś stracili. Biegnij! — Pierwszy batalion za mną! — Slith przekrzykiwał zgiełk. Smokowcy odepchnęli pozostałe dwie drabiny, jednak kras- noludowie nie zaprzestali ataku, miotając kamienie i pecyny błota. Żołnierz obok Kanga osunął się na kolana, a potem padł na twarz. Kang odwrócił go i stwierdził, że smokowiec nadal oddycha, ale na czole rośnie mu duży guz. Obok leżała rozbita na pół cegła. Kang zostawił nieprzytomnego żołnierza i zstąpił z murów. Poszedł po pluton rezerwy.

Przez wszystkie te lata smokowcy zachowywali wojskowe stopnie i organizację, chociaż właściwie nie musieli tego robić. Dawno odeszli z armii. Mimo to wojskowa dyscyplina świetnie się sprawdzała w sytuacjach wyjątkowych, takich jak ta. Każdy wiedział, co robić i kogo słuchać.

Pluton rezerwowy dbał o zaopatrzenie reszty brygady (liczącej obecnie jedynie dwustu smokowców), dostarczając prowiantu, ubrań, zbroi, broni i narzędzi. Podczas napadu spełniał rolę jednostki wspierającej. Rog, komendant rezerwy, zsalutował zbliżającemu się Kangowi. — Gotowi na rozkaz! — oznajmił.

— Doskonale! Idziemy! — odparł dowódca i dał przykład, chowając miecz do pochwy.

Czterdziestu smokowców, z których każdy uzbrojony był w maczugę i tarczę, wrzasnęło i puściło się biegiem w stronę 11

wrót. Strażnicy przy bramie zauważyli nadciągający oddział i otworzyli szeroko drewniane wierzaje.

Krasnoludowie za wrotami dostrzegli okazję i przypuścili atak na otwarte wrota. Kang i jego jednostka rezerwowa wypadli zza bramy i rzucili się do ataku na nacierających krasnoludów. W ruch poszły pałki i pięści.

Bitwa była krótka. Kilka krasnoludów padło z głowami rozbitymi maczugą albo pięścią. Trzasnęła błyskawica, paru bożaków posłużyło się czarami. Pamiętając o rozkazie dowódcy, dopilnowali, aby jedynym jej skutkiem było osmalenie kilku bród i podpalenie gaci jednemu rabusiowi. Gdy pięciu krasnoludów padło albo zaczęło się kopcić, reszta przeszła do odwrotu, wycofując swoje siły do rzadkiego lasu okalającego osadę. Od czasu do czasu zaświszczał, albo niekiedy pacnął, jakiś pocisk.

Kang właśnie się odwracał, żeby ocenić sytuację, kiedy trafiło go w pysk zepsute jajko. Skorupka pękła, śmierzące żółtko pociekło mu do ust i spłynęło po brodzie. Od tego obrzydliwego zapachu i jeszcze gorszego smaku żołądek podjechał mu do gardła. Kang zakrztusił się i zwymiotował. Chyba już wolałby dostać strzałę w brzuch.

Ocierając cuchnący pocisk z twarzy, dał swoim żołnierzom rozkaz do odwrotu. Usłyszał, jak jego komendę, wydaną w mowie smokowców, powtórzył w swoim języku dowódca rabusiów. Krasnoludowie rozpierzchli się, zostawiając rannych na poboju. Rano przyjdą po nich żony.

Smokowcy na murach wydali zwycięski okrzyk — kolejny raz odparli napaść krasnoludów. Kang ponuro potrząsnął głową. Mimo wszystko szczęście złodziei przedarło się do środka. Już sobie wyobrażał, jakich szkód narobią, zanim nie zostaną ujęci. Rozkazał swoim żołnierzom wrócić i zamknąć wrota. Slith czekał na niego. — No i co? — spytał Kang. — Złapaliście ich?

Slith zsalutował. — Panie pułkowniku, dwóm daliśmy łupnia, ale przynajmniej czterech uciekło. Brakuje czterech owiec.

Kang w bezsilnej złości zarył gwałtownie pazurzystą stopą w ziemi, wzbijając obłok kurzu. — Niech to szlag! I nikt niczego 12

nie widział? Czyżby owce dostały skrzydeł i odfrunęły z krasnoludami na grzbietach? Slith mógł tylko wzruszyć ramionami.

— Przykro mi, panie pułkowniku. Panowało spore zamieszanie...

— Tak, tak, wiem. — Kang wciągnął powietrze przez zęby i starał się uspokoić. — Daj mi jakąś szmatę, żeby zetrzeć to świństwo. Zajmij się rannymi, a potem każ żołnierzom zebrać się na dziedzińcu za godzinę. Chcę przemówić do nich przed nastaniem upału.

Slith położył dłoń na łuskowatym ramieniu Kanga w uspokajającym geście.

— Chłopcom jest teraz bardzo ciężko, panie pułkowniku. Nadal jednak może pan na nas liczyć. Na każdego z nas.

Kang bez słowa kiwnął głową i Slith wyszedł wykonać rozkazy. On i jego żołnierze wyciągnęli nieprzytomnych krasnoludów za bramę, gdzie ich zostawili. Do jutra nie będzie po nich śladu. Albo się ockną i powłoką do domu, albo na drugi dzień zabiorą ich rodziny.

— Całkiem wariacki sposób prowadzenia wojny, gdyby mnie ktoś pytał — zwierzył się jeden smokowiec drugiemu, kiedy wywlekali za bramę brzuchatego, czarnobrodego krasnoluda.

Tak, pomyślał Kang. Całkiem wariacki sposób prowadzenia wojny. Rozdział 2

Kang miał swoje powody, żeby w tak wariacki sposób prowadzić wojnę. Nie raz wyjaśniał je swoim podwładnym. Po prostu znów trzeba było im o nich przypomnieć.

Zstępujący z murów smokowcy z wolna wchodzili na dziedziniec, ustawiając się w równe szeregi. Wkrótce wszyscy żołnierze w służbie Kanga stanęli w czterech rzędach. Na komendę Slitha wyprężyli się na baczność. 13

Poranne słońce, ogniste oko, które tego ranka paliło jak oczy Kanga, zajrzało na podwórze. W czerwonym świetle rozbłysły łuski smokowców. Były rozmaite i wskazywały na rodzaj smoka, którego ohydny potomstwem był każdy z nich. Mosiężne łuski baazów połyskiwały w słońcu. Slith, jeden z sivaaków, skrzył się srebrzyście. Kiedy Kang wyszedł z ciemnej chaty na słoneczny dziedziniec, jego łuski odbijały refleksy jak polerowany spiż. Był bozakiem, jednym z nielicznych w oddziale, i o ile mu było wiadomo, jednym z niewielu, jacy zostali na świecie.

„Jaszczuro-ludzie”, taką nazwą ludzie pogardliwie ochrzczili smokowców. Na dźwięk tej obelgi Kangowi nieodmiennie jeżyły się łuski. Jego żołnierze nie bardziej przypominali jaszczurki niż istoty ludzkie...no cóż... na przykład małpy. Dużo bliżej spokrewnieni byli ze swymi rodzicami, smokami.

Najniższy smokowiec ma sześć stóp wzrostu, sam Kang — siedem. Chodzą w pozycji wyprostowanej na dwóch muskularnych nogach i nie muszą nosić butów ani trzewików na pazurzastych stopach. Szponiaste dłonie zgrabnie się posługują wojennymi narzędziami. Wszyscy smokowcy, z wyjątkiem auraków (którzy źle znoszą towarzystwo swoich pobratymców i z tego powodu zazwyczaj pędzą samotniczy tryb życia), są uskrzydleni. Skrzydła pozwalają im szybować na krótką odległość albo unosić się w powietrzu. Sivaki potrafią naprawdę latać. Oczy smokowców jarzą się czerwono, a ich długie paszcze pełne są ostrych kłów.

Smokowcy są inteligentni, dużo bardziej niż gobliny. Stanowiło to pewien problem podczas wojny, ponieważ wielu okazało się znacznie bystrzejszych od ludzi, którzy nimi dowodzili. Bozaki, jak Kang, mają wrodzony talent do magii, podobny do tego, jaki posiadali ich nieszczęśliwi rodzice. Wprawdzie smokowców stworzono tylko w jednym celu — aby zniszczyć każdego, kto im stanie na przeszkodzie — jednak im dłużej żyli na świecie, tym silniejsza była ich potrzeba przynależenia do tego świata.

Kang przez chwilę patrzył na swoich żołnierzy z dumą, która ostatnio coraz częściej bywała zabarwiona smutkiem. Kiedyś smokowcy stali przed swoim dowódcą w sześciu rzędach. Teraz 14 było ich tylko cztery. Ilekroć wygłaszał to przemówienie, słuchających było coraz mniej.

Rzucił wzrokiem na Glotha, który stał z tyłu z plutonem rezerwy. Był tam także żołnierz, który złamał rozkazy i chwycił za kuszę. Kang podniósł głos.

— Żołnierze, walczyliście dzisiaj dzielnie! Po raz kolejny zmusiliśmy nieprzyjaciela do ucieczki, sami nie ponosząc znaczących strat. — Nie wspominał o skradzionych owcach. — Nie uszło jednak mojej uwadze, że niektórzy z was są niezadowoleni ze sposobu, w jaki sprawuję tu władzę. Nie jesteście już w wojnie. Wszyscy się jednak zgodziliśmy, że jedyną nadzieją na przeżycie jest zachowanie dyscypliny. Wybraliście mnie na swojego dowódcę i jest to obowiązek, który traktuję bardzo poważnie. Pod moimi rozkazami trzymamy się tu już dwudziesty piąty rok. Nie jest nam łatwo, ale z drugiej strony nigdy nie mieliśmy łatwego życia. Niemniej jednak wybudowaliśmy to. — Kang wskazał stojące w obrębie warowni zgrabne rzędy chat z sosnowych bali. — Nasz gród jest pierwszą na świecie osadą, jaką wzniosło nasze plemię. „Pierwszą” — usłyszał w głowie jakiś głos.

— „I ostatnią”.

— Chcę wam przypomnieć — ciągnął dalej cicho — dlaczego opuściliśmy armię. Dlaczego przybyliśmy tutaj.

Żołnierze stali bez ruchu, ani łuska nie zazgrzytała, ani ogień w kolczugi nie zadzwoniło.

— My, saperzy Pierwszej Smoczkiej Armii, możemy być dumni z naszej służby podczas Wojny Lancy. Sam lord Ariakus udzielił nam pochwały za zasługi. Pozostaliśmy wierni Królowej Ciemności nawet w tych okropnych czasach w Nerace, kiedy nasi dowódcy zapomnieli o szczytnych misjach i obrócili się jeden przeciwko drugiemu.

Kang umilkł na chwilę, odgrzebując raz jeszcze wspomnienia przeszłości.

— Sięgnijcie pamięcią wstecz, żołnierze, i wyciągnijcie z tego naukę. Ślepy traf sprawił, że naszym wojskom udało się pojmać tak zwanego Złotego Generała, elfią kobietę, która do- 15

wodziła wojskami rzekomych Sił Dobra. I co zrobili z nią nasi dowódcy? Zamiast poderżnąć jej od razu gardło, co byłoby najrozsądniejszym wyjściem, wystawili ją na pokaz ku uciesze Królowej Ciemności. Nawet kender mógłby przewidzieć, że grupa jej przyjaciół pod wodzą półelfiego bękartą zjawi się, żeby ją ocalić. W trakcie walki o Koronę Mocy lord Ariakus dał się zadźgać. Jakiś gość z zielonym klejnotem w piersi nadział się na skałę i świątynia rozpadła się w gruzy, a wraz z nią plany Królowej Mroku.

Wszyscy pamiętacie tę chwilę — rzekł Kang i głos mu stwardniał. — Ludzie, którzy byli naszymi dowódcami, rozkazali nam walczyć do śmierci, a tymczasem sami uciekli! Tego dnia poległo wielu naszych współplemieńców. My postanowiliśmy nie usłuchać rozkazu. Część z nas przewidziała ten straszny koniec. Uznaliśmy, że ci ludzie przez swą chciwość i głupotę stracili prawo, aby nami dowodzić. Odmaszerowaliśmy, zostawiając wojnę tym, którzy ją tak spartaczyli. Wybraliście mnie na dowódcę i pod moimi rozkazami udaliśmy się na południe, aby poszukać kryjówki, miejsca, gdzie moglibyśmy żyć.

„Zło obraca się przeciwko sobie samemu”, jak powiadają przekłęci rycerze solamnijscy. Nie dotyczy to jednak Pierwszej Brygady Saperów. — Kang mówił z rosnącą dumą. — Przez lata walczyliśmy jako zgrany zespół. Byliśmy zdyscyplinowanymi żołnierzami, nawykłymi do słuchania rozkazów. Mieliśmy też nowe ambicje, która zrodziły się w dymie i płomieniach bitwy. Mieliśmy już dosyć zabijania, dość mordowania i bezsensownego niszczenia. Nabraliśmy chęci, by budować, osiąść gdzieś, zostawić coś po sobie na tym świecie. Coś wiecznego i trwałego.

Pamiętacie te czasy. Ścigali nas rycerze. Ciągnęliśmy w kierunku gór Kharolis, odwiecznej przystani wyrzutków i banitów. Wreszcie dotarliśmy do nich i znaleźliśmy się na ziemiach królestwa Thorbardinu. Rycerze solamnijscy nie mieli zamiaru ginąć za coś, co teraz uważali za cudzą sprawę. Zostawili nas na pastwę krasnoludów i wrócili świętować swoje wspaniałe zwycięstwo.

Mogłoby się to dla nas źle skończyć, ale było nas stosunkowo niewielu. Nie stanowiliśmy zagrożenia dla mocno ufortyfikowa- 16

nego podziemnego królestwa Thorbardinu, więc krasnoludowie nie widzieli powodu, żeby narażać życie w pościgu za nami.

Rozbiliśmy obóz w dolinie wtulonej między szczyty Celebund i Dashinak. Naszym pierwszym zadaniem było zbudowanie muru obronnego. Obóz zmienił się w warownię. Warownia stała się osadą. Kang westchnął głęboko.

— Mamy tylko jeden problem. My, smokowcy, nie jesteśmy rolnikami. Nie rośnie nic, co zasadzimy. Żadne posiane nasiono nie wydaje owoców.

Nie kończył; wszyscy o tym wiedzieli. Daremne wysiłki wyhodowania czegokolwiek na jałowej ziemi były okrutną metaforą ich własnego żywota. Zrodziła ich magia. Nie istniały samice



smokowców. Ich pokolenie będzie pierwszym i ostatnim, którego łuski ogrzeje słońce Krynnu.

— Dawno temu pomarlibyśmy z głodu — przyznał Kang — gdyby nie krasnoludowie podgórcy.

Wioska krasnoludów leżała naprzeciwległym zboczem doliny, na stoku Celebundu. Zimą, kiedy zwierzyny było mało i smokowcom groziła śmierć głodowa, zrobili to, co było konieczne dla przetrwania. Złupili spichrze sąsiadów.

— Pamiętacie pierwsze najazdy — rzekł ponuro Kang. — Po obu stronach lała się krew. Krasnoludowie ucierpieli bardziej. Dzięki naszemu doświadczeniu i rozmiarom pokonywaliśmy nawet najlepszych ich wojowników. Niemniej jednak to my byliśmy w gorszym położeniu. Kiedy ginie jeden z naszych, nasze siły kurczą się nieodwołalnie. Zabitego nikt nie zastąpi — już nigdy.

Przed Wojną Lancy kapłani Takhisis opracowali tajemną metodę wynaturzania jaj dobrych smoków, dzięki której zmieniali nienarodzone smoczątko w gromadę potwornych istot. Przy pomocy rozmaitych zaklęć i czarów kapłan zła Wyrlish, czarnoksiężnik Dracart i prastary czerwony smok Harkiel Naginacz stworzyli rasę wojowników, których pilnie potrzebowały wojska Takhisis — smokowców.

Zrodzone ze smoków istoty okazały się tak silne, inteligentne i przebiegłe, że wzbudziły strach w swych stwórcach. Lord Aria-

kus uznał, że dowódcy tylko wtedy zdołają poskromić smokowców, jeśli będą mogli kontrolować ich stan liczebny. On i inni smoczy władcy zakazali stwarzania samic. Ich gatunek nie mógł się rozmnożyć. Elitarne oddziały szturmowe smoczycy mieli ograniczoną liczebność. Przepuszczalnie po zakończeniu walk, kiedy Królowa Ciemności odniosłaby zwycięstwo, nie potrzebowałyby już smokowców. Do tego czasu większość i tak by poległa.

— Patrzyłem, jak nasi współplemieńcy giną w potyczce z krasnoludami — rzekł Kang — i wiedziałem, że z czasem nasz gatunek wymrze. Przestaniemy istnieć. Oczywiście mogliśmy wyciąć w pień krasnoludów, ale co potem? Kto będzie uprawiał pszenicę? Kto będzie hodował owce? Kto będzie — Kang się oblizał — pędził ten boski trunek nazywany krasnoludzkim spirytusem? Umarlibyśmy z głodu! Co gorsza, umarlibyśmy z pragnienia!

Wspólnie z innymi dowódcami plutonów wymyśliliśmy sensowne rozwiązanie. Podczas następnego napadu rozkazałem zostawić broń. Wiecie, co się stało. Ukradliśmy tyle samo bochenków chleba, porwaliśmy tyle samo kurcząt — i co najważniejsze — zabraliśmy taką samą ilość krasnoludzkiego spirytusu, co przy pierwszym najeździe, ale ponieśliśmy zdecydowanie mniejsze straty.

Wdarliśmy się i uciekliśmy, używając w walce pięści, ogonów i odrobiny magii. Po żadnej ze stron nikt nie zginął. Było trochę sińców i złamanych kości, ale rany się zagoiły. Kiedy miesiąc później krasnoludowie napadli na nas, z przyjemnością stwierdziłem, że nie byli uzbrojeni. W ten sposób narodziła się tradycja. Między dwoma grodami został zawarty milczący pakt.

Wiem, że was to złości — przyznał Kang. — Wiem, że z największą przyjemnością urwalibyście głowę jakiemuś krasnoludowi i wepchnęli mu ją do gardła. Sam mam na to ochotę. Nie możemy jednak dać im tej satysfakcji. Czy tojasne? W takim razie, rozejść się. — Niech żyje pułkownik! — krzyknął Slith. Żołnierze ochoczo wznieśli okrzyk na jego cześć. Szanowali 18

i podziwiali swojego wodza. Kang włożył wiele starań, żeby zdobyć ich szacunek, ale teraz się zastanawiał, czy rzeczywiście na niego zasłużył. Nie ulegało wątpliwości, że wygłosił dobre przemówienie, ale gdyby spojrzeć na fakty, jakie zwycięstwo smokowcy naprawdę odnieśli? Żyli za murem, bezustannie walcząc o przetrwanie, i po co to wszystko?

Żyli tylko po to, żeby każdego wieczora upić się i bez końca snuć te same, przeklęte wojenne opowieści. „Po co my się w ogóle staramy?” — pomyślał posępnie Kang. Samotnie powlókł się do

chaty, żeby odcierpieć kaca. Godzinę później do jego drzwi zastukał Slith.

Kwaterna Kanga znajdowała się w głównym budynku administracyjnym pośrodku osady. Slith mieszkał po drugiej stronie tego samego domu. Zbrojownia i szopa na narzędzia były na zapleczu.

Mieszkanie Kanga składało się z dużej sali zebrania i niewielkiej sypialni z boku. Nie było luksusowe, niemniej wygodne. Na gołym stole stała lampka oliwna wykonana przez krasnoludów. Kang siedział na krześle twarzą do drzwi. Kufel krasnoludzkiego piwa już czekał na Slitha. Drugi nalał dla siebie.

— Wygłosił pan dziś dobre przemówienie — rzekł Sivak po wejściu.

Kang kiwnął głową. Nie miał ochoty rozmawiać. Na szczęście wiedział, że Slith wprost przeciwnie.

— Ma pan całkowitą rację. Dzięki temu żyje nam się całkiem dobrze. Krasnoludowie napadają na nas, zabierają kilka owiec i całą broń, jaka im wpadnie w ręce, a potem my idziemy do nich i robimy to samo, kradniemy spirytus i piwo, narzędzia i chleb. Ilekroć urządzają napad, dajemy im łupnia i przeganiamy ich, a ja przychodzę tutaj na piwo. Niech pan mówi, co chce, panie pułkowniku, ale czerpię z tego pewną otuchę. Wiem, czego się spodziewać po życiu. Kang posępnie wzruszył ramionami.

— Chyba masz rację. Mimo to stale wydaje mi się, że od życia należałoby oczekiwać czegoś więcej.

— Jest pan żołnierzem ze smoczego rodu — rzekł Slith, ze zrozumieniem kiwając głową. — Tęskni pan za wojną. Marzy

się panu dowodzenie wojskami w walce na śmierć i życie, bitewna chwała. Kang wypił łyk piwa i rozważył jego słowa.

— Nie, chyba nie. Mam wrażenie, że niczego nie osiągnąłem. Nikt z nas nie wie, jak długo pożyje, ale nie będziemy żyć wiecznie. Co zostanie, kiedy odejdziemy? Nic. Jesteśmy ostatni- mi z naszej rasy. Slith wybuchnął śmiechem.

— Jest pan największym ponurakiem, jakiego spotkałem, pułkowniku! Czy to ważne, co się stanie po naszej śmierci? My nie zauważymy różnicy!

— Wznoszę toast za to! — powiedział posępnie smokowiec i napił się piwa.

Slith odczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy humor mu się nie poprawi, ale Kang wciąż był pogrążony w smutku. Wpatrywał się w głąb kufła i obserwował muchy brzęczące wokół szmaty, którą wytarł zgniłe jajko.

— Do zobaczenia przy kolacji, panie pułkowniku — powiedział Slith i zostawił dowódcę sam na sam z czarnymi myślami.

Kang zdjął zbroję i cały rynsztunek. Z przyzwyczajenia wy- czyścił i takjuż czysty miecz, schował broń do pochwy i powiesił pas na haku przy drzwiach.

Położył się na łóżku, żeby przespać upał, tak niezwykły w środku lata w górach. Nie zasnął, ale leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w sufit. Slith trafił w samo sedno.

— Czy to ważne, co się stanie, kiedy umrzemy? — spytał Kang bzyjące muchy. — Czy to rzeczywiście ważne? Rozdział 3

Czterech krasnoludów biegło wąską ścieżką, która wiodła zygzakiem przez suchą jak pieprz trawę. Chociaż wciąż było wcześniej rano, słońce prażyło ich żelazne hełmy niczym ogień

20 kuźni Reorxa. Trzech nosiło skórzane zbroje i ciężkie buty i pociło się niemiłosiernie. Czwarty miał na sobie przepasaną paskiem bluzę, spodnie i miękkie sukienne kapcie, pogardliwie zwane przez krasnoludów „kenderskimi trzewikami”, ponieważ rzekomo pozwalały chodzić cicho tak jak kenderzy. Jemu było stosunkowo chłodno i całkiem wygodnie.

Krasnoludowie nieźle się spisali podczas porannego napadu. Jeden niósł na karku jagniątko, trzymając je za nogi. Dwóch dźwigało wspólnie wielką skrzynię. Czwarty niczego nie niósł, co również wyjaśniało, dlaczego miło mu się spacerowało.

Jeden z krasnoludów, którzy taszczyli ciężką, grzechoczącą skrzynię, zwrócił w końcu uwagę na tę rażącą niesprawiedliwość.

— Hej, Sekjuist, za kogo ty nas masz? Za swoje juczne konie? — narzekał, sapiąc i zipiąc z gorąca i wysiłku. — Chodź tu i pomóż nam.

— Ależ, Świdrze, wiesz przecież, że mam chore plecy — zachnął się krasnolud, posyłając mu srogie spojrzenie.

— Wiem, że bez trudu włączysz przez okna — odparł Świder. — Potrafisz też całkiem żwawo się ruszać, jeśli musisz, tak jak wtedy, kiedy gonił nas ten smokowiec z maczugą. Jeszcze nie widziałem, żebyś utykał albo chodził zgarbiony. — To dlatego, że dbam o siebie. — W to nie wątpię — mruknął inny krasnolud.

Każda osoba obeznana z Ansalonem na pierwszy rzut oka poznałaby, że byli to krasnoludowie ze wzgórz, a nie ich kuzyni, krasnoludowie górscy. W każdym razie troje spośród nich. Mieli brązowe włosy, ogorzałą cerę i rumiane policzki — skutkiem chowania się od dzieciństwa na zdrowym piwie orzechowym.

Wygląd czwartego krasnoluda, nazywanego Seląuist (jego matka, nieco romantyczna natura, nadała mu imię elfiego boha- tera popularnej opowieści bardów; nikt nie wiedział dokładnie dlaczego) mógłby budzić pewne wątpliwości. Krasnolud zdawał się nie pasować do żadnej konkretnej kategorii. Odziany był podobnie jak towarzysze, może trochę mniej schludnie.

Na palcu nosił mocno nadwyreżony pierścienek z metalu, który, jego zdaniem, był ze srebra. Krasnolud ten — młody i dość 21

szcuple w porównaniu z tęgimi kompanami — twierdził również, że pierścień jest magiczny. Nikt nie widział niczego, co by o tym świadczyło, aczkolwiek wszyscy przyznawali, że Seląuist świetnie umiał robić przynajmniej jedną sztuczkę: sprawiał, że rzeczy należące do innych osób znikwały.

— Zważ ponadto, Moździerz, mój przyjacielu — dodał — że ja również coś niosę — skarb nieocenionej wartości. Gdybym nie miał wolnych rąk, jak mógłbym go obronić w razie napadu? — Czyżby? A co takiego? Seląuist z dumą pokazał amulet, który nosił na szyi.

— Wielkie rzeczy — powiedział Tłuczek, brat Moździerza. — Grosz na łańcuszku. Pewnie nie wart nawet grosza. Założę się, że jest ze złota głupców, jak ten szmelc, który krasnoludowie źlebowi usiłowali nam wcisnąć w Pax Tharkas. — Wcale nie! — odparł obrażony Seląuist.

Na wszelki wypadek, kiedy inni nie patrzyli, zwolnił kroku na tyle, żeby dobrze obejrzeć swoje znalezisko.

Amulet był z metalu, lecz nie był monetą, w każdym razie nie przypominał żadnej monety, jaką Seląuist widział, a oglądał ich w życiu niemało. Miał kształt pentagramu, w każdym wierzchołku widniał smoczy łeb. Pięciogłowy smok wskazywał, że była to relikwia Królowej Ciemności, sporo warta dla handlarzy pamiątek z czasów Wojny Lancy. Seląuist znalazł ją podczas przetrząsania zawartości kuferka smokowca.

— Prawdę mówiąc, byłby wart dużo więcej, gdyby okazał się magiczny! — mruknął pod nosem. W tym momencie zaświtała mu dość nieprzyjemna myśl. Czym prędzej zerwał amulet z szyi i schował go do sakiewki przy pasku.

— Tylko tego brakuje, żeby Królowa Ciemności przeklęła mnie za kradzież jej klejnotów — mruknął. Przyspieszył kroku i pognął za kolegami. — Oddam go na dokładkę kupcowi.

Czterej krasnoludowie przeszli na drugą stronę niskiej grani i nareszcie mogli zwolnić kroku. Było mało prawdopodobne, aby smokowcy ścigali ich w tym upale, ale wcześniej nie chcieli ryzykować. Widzieli już dym z kominów w osadzie. Słyszeli radosne okrzyki, jakimi mieszkańcy grodu witali wracających wojowników. 22

Większość rabusiów już wróciła, posiniaczona i pokaleczona, ale w doskonałym humorze. Cała ludność Celebundinu zebrała się, żeby uczcić powrót bohaterów.

Czterej krasnoludowie, którzy zostali z tyłu, spóźnili się na uroczystość, ale nie dbali o to. I tak by ich nie zaproszono. Prawdę mówiąc, nie brakowało w osadzie takich, którzy ucieszyliby się, gdyby ta czwórka nie wróciła.

Selquist i kompani celowo unikali tłumu, idąc do jego chaty, która stała na skraju wsi. Otworzył trzy zamki w drzwiach — z natury był podejrzliwy — i przestąpił próg. Jego trzech pomocnicy wgramolili się do środka i upuścili skrzynię na podłogę. Selquist zamknął drzwi i skrzesał ogień, żeby zapalić lampkę oliwną.

Świder postawił jagnię na ziemi i wlepił w nie głodny wzrok. Beczący żałośnie baranek zsiusiał się na podłogę.

— Och, dzięki! Wielkie dzięki! — Selquist obejrzał się ze wściekłością. — Tylko nam tego w domu brakowało, ostrej woni jagnięcych siuszków. Po coś, na miłość Reorxa, wnosił tego zwierzaka do domu? Wyprowadź go natychmiast, zamknij w szopie, potem przynieś coś do wytarcia tej kałuży. Wy dwaj, otwórzcie skrzynię, niech no zobaczymy, co tam mamy. — Stalowe monety — rozmarzył się Tłuczek. — Klejnoty — powiedział jego brat, majstrując przy zamku. Kłódka otworzyła się z trzaskiem.

— Łopaty — stwierdził Selquist, zajrzawszy do środka. — Poza tym łomy i piła. No, co wy — dodał, widząc rozczarowane miny braci. — Nie spodziewaliście się chyba znaleźć nieprzeliczonych skarbów w szopie smokowca? Gdyby te łuskowate łajdaki miały pieniądze, nie siedziałyby w opuszczonej dolinie. Jasne, że nie. Trwoniłyby je w Sanction.

— A skoro już o tym mowa, co oni tu robią? — spytał Tłuczek. Był w złym humorze.

— Ja wiem — oznajmił Moździerz z bardzo poważną miną. — Przyszli tu umrzeć.

— Brednie! — Selquist rozejrzał się, żeby się upewnić, że są sami. Zniżył głos. — Powiem wam, dlaczego tu są. Królowa Ciemności przysłała ich z misją. 23

— Naprawdę? — wystraszył się Tłuczek.

— Oczywiście. — Selquist wyprostował plecy, drapiąc się w zadumie po rzadkiej brodzie, którą jego własna matka porównała kiedyś do kępy pleśni na głazie. — Jaki mógłby istnieć inny powód? — Kopalnia — upierał się Moździerz.

Pozostali jednak wyśmiali go i zaczęli wyciągać narzędzia ze skrzyni. Kształtem i stylem nie przypominały wyrobów smokowców, co oznaczało, że pierwotnie skradziono je z osady krasnoludów. Selquist i jego przyjaciele po prostu ukradli je złodziejom i nie było niczego dziwnego w tej procedurze. Po dwudziestu kilku latach najazdów większość rzeczy należących do krasnoludów i smokowców zmieniła właścicieli więcej razy niż prezydent na kenderskim weselu.

— Nieźle — powiedział Tłuczek do brata. — Możemy je sprzedać za dziesięć sztuk stali. Pochodzą z Thorbardinu i są dobrej jakości.

W Celebundinie wytwarzano bardzo niewiele. Osada mogła się pochwalić kuźnią i niezgorszym kowalem, który jednak produkował narzędzia służące do budowania, nie kopania w ziemi czy walki. Większość oręża została kupiona, zdobyta drogą wymiany albo ukradziona bogatszym, wiodącym bezpieczniejszy żywot i znieawidzonym kuzynom, krasnoludom z potężnej, podziemnej fortecy Thorbardin.

— Możemy je sprzedać tanowi albo podróżnym idącym na północ. Co o tym sądzicie? — spytał Selquist. Moździerz zastanowił się poważnie.

— Kto kupi łopaty, kilofy i piłę na trakcie do Solące? Wę- drowna grupa goblinów robotników drogowych? Nie, będzie- my musieli zanieść je tanowi.

Moździerz zawsze miał smykałkę do interesów. Selquist się zgodził. Tłuczek wniósł sprzeciw.

— Ktoś na pewno je pozna i powie, że należą do niego. Wtedy tan każe nam je oddać.

Na dźwięk strasznego słowa „oddać” ścierpła im skóra. Bra- cia obejrżeli się na Selquista, którego uważali za mózg drużyny. — Mam! — po namyśle powiedział krasnolud. — Weź- 24

mierny tego zasikanego baranka i podarujemy go córeczce tana. Wyjdziemy na bohaterów! Wtedy w razie czyjegóż sprzeciwu tan będzie zmuszony ująć się za nami.

Moździerz i Tłuczek rozważyli projekt i uznali, że jest wykonalny. Świder, który właśnie wrócił, zmrużył oczy i spoj- rzał na nich nieprzychylnie. — Co zamierzaliście zrobić z jagnięciem? Selquist wyjawiał mu plan, dodając skromnie: — To był mój pomysł. Świder burknął coś pod nosem. — Co powiedziałeś? Brzmiało jak „jagnięce kotlety”.

— Bo powiedziałem „jagnięce kotlety”! Oddajesz naszą ko- lację tej smarkuli tana!

— Powinieneś mniej myśleć o żołądku — upomniał go moralizatorskim tonem Selquist — a więcej o Sprawie. Liczy się każdy grosz, jaki zdołamy zgromadzić na naszą małą wyprawę.

Zgasił światło i majestatycznie opuścił chatę w towarzystwie Moździerza i Tłuczka. Świder podreptał za nimi z barankiem na rękach. Dobrze znał tę Sprawę. Selquist służył wyłącznie Sprawie Selquista. Rozdział 4

Dwór Tanów wznosił się pośrodku Celebundinu i w rzeczy- wistości wcale nie zasługiwał na tak chwalebne miano. Główne ulice grodu rozchodziły się promieniście od gmachu zebrania niczym szprychy koła. Łączyły je aleje w kształcie pierścieni, pomiędzy którymi stały domy krasnoludów. Gród nie miał mu- rów obronnych, ale każdy gmach wzniesiono z kamienia i zbu- dowano jak małą warownię.

Krasnoludowie z Celebundinu nie lubili siedzieć za murami. Fortyfikacje przypominały im o kuzynach z Thorbardinu. Przywo- dziły na myśl straszne dni po Kataklizmie, kiedy krasnoludowie 25 górscy zatrzasnęli wrota Thorbardinu przed nosami swoich po- bratymców ze wzgórz, skazując ich na śmierć głodową w puszczy. Tego dnia Dwór Tanów — w istocie fortyfikacja mniej więcej rozmiarów czterech domów — pękał w szwach. Wolne były tylko miejsca stojące. Selquist i jego przyjaciele z jagnięciem wcisnęli się przez drzwi od tyłu i przepychali się do przodu .

— Przepraszam, proszę mi wybaczyć, nie deptać mi po nogach! — Selquist szturchał i popychał osoby zagradzające mu drogę. Na jego widok krasnoludowie robili kwaśne miny, jakby przez pomyłkę wypili duży łyk niedowarzonego piwa.

— Kto to? Co tam się dzieje? — spytał grzecznie tan. Był to łagodny krasnolud, piekarz z zawodu, który spoglądał w przyszłość z nadzieją, przez co stale sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego. — To Chyży Selquist! — rzucił ktoś szyderczo.

Na twarzy tana pojawił się bolesny wyraz. Kiedyś pokładał w Selquście wielkie nadzieje, jednak przysły one sto lat temu.

— Cokolwiek chcesz nam sprzedać — rzekł — nie jesteśmy zainteresowani. Sami całkiem dobrze sobie dziś poradziliśmy.

Pokazał leżącą przed nim stertę: sześć worków mąki, worek chleba, pług z jarzmem dla wołu i czternaście antałów po gorzałce. Z boku, przy wyjściu stały dwie dorosłe owce, bo- jaźliwie przyglądając się tłumowi.

— Moje gratulacje. — Odwróciwszy się, Selquist złapał Tłuczka, który ugrzązł w ścisiku i

wyciągnął go stamtąd. — Skoro widzę tu tyle dobra, przypuszczam, że nie zaciekawia cię ten mały podarunek, który przyniosłem. Słyszałem, że to Dzień Daru Życia twojej kochanej córeczki, Paczuszka — dodał w przy-  
pływie natchnienia.

Pozostali krasnoludowie stanęli jak rażeni piorunem, każdy myślał w panice, że przegapił Dzień Daru Życia córki tana i zastanawiał się, jak może zatuszować to zaniedbanie. Seląuist wypchnął naprzód Tłuczka, który podał baranka.

Tan zamrugał. Stojące za nim puciołowate dziecko, które wychowało się na pieczywie tatusia i samo sprawiało wrażenie ożywionej, puszystej bułeczki, wybiegło naprzód z wyciągnię-  
tymi rączkami. 26

— Bee-bee. Ja chcę!

— Ależ, skarbuniu — zwrócił jej uwagę ojciec, patrząc na Seląuista z niejaką podejrzliwością, zrodzoną z długiej z nim znajomości — dziś nie jest twój Dzień Daru Życia. Był dwa miesiące temu. Krasnoludowie otaczający Seląuista odetchnęli z ulgą. Paczuszek popatrzyła ze złością i tupnęła nóżką. — Dzisiaj jest mój Dzień. Chcę bee-bee!

Jej twarz się wykrzywiła. Dwie łzy — wyciśnięte z wielkim wysiłkiem — spłynęły po puciołowatych policzkach. Dziewczyn-  
ka rzuciła się na podłogę i krasnoludowie stojący w pobliżu cofnęli się o kilka kroków. Fanaberie Paczuszka znano i szano-  
wano na mile wokół.

— Nie rób zawodu temu słodkiemu dziecku — powiedział serdecznie Seląuist. Nachyliwszy się, pogłaskał dziewczynkę po głowie i zachęcił ją szeptem. — Więcej łez, mała. Więcej łez.

Stojąca u boku tana żona — potężna kobieta z imponującymi bokobrodami — nasrożyła owe bokobrody, z wyrzutem patrząc na męża. Krasnolud wcisnął głowę w ramiona. — Dziękujemy ci. Przyjmujemy to jagnię.

Tan wziął baranka i przekazał go córce, która zamknęła zwierzątko w uścisku, który omal je nie zadusił.

Przyglądający się temu Tłuczek obliznął wargi i z zalem pomyślał o miętowej galarecie.

Po wykonaniu zadania Seląuist uklonił się tanowi, następnie zaczął się przepychać przez tłum w stronę ogromnej beczki z piwem orzechowym, która zajmowała poczesne miejsce w rogu sali. Zanim jednakże do niej dotarł, ktoś chwycił go za kołnierz koszuli i wpraw-  
nie zań pociągnął. Niespodziewanie Seląuist znalazł się oko w oko ze szpakowatym, srogim generałem osady.

— Wbrew twoim przekonaniom, panie Seląuist — krasno-  
lud był czerwony ze złości — nie urządzamy najazdów na obóz smokowców dla uciechy twojej i twoich złodziejskich kompa-  
nów! To my ponosimy ryzyko, i na Reorxa, mam już powyżej uszu patrzenia, jak twój chudy zadek znika w szczelinie muru, kiedy moi dzielni chłopcy dostają takie lanie, że gubią rozum. 27

— Niewielka strata — mruknął Seląuist. — Coś ty powiedział? — Generał przyciągnął go bliżej.

— Powiedziałem: „dbasz o nich jak tata”, Moorpacanie. — Krasnolud usiłował wywinąć mu się z rąk.

— Moortan! — zagrzmiał wódz. — Nazywam się Moortan! — Potrząsnął Seląuistem. — Cokolwiek ukradłeś, masz przy-  
nieść tanowi do podziału między najbardziej potrzebujących.

— Świetnie, Moorpacanie — odparł grzecznie Seląuist. — To ty idź do tej kochanej, słodkiej dziewczuszki i powiedz, że zabierasz jej maleńką owieczkę.

Generał zbladł. Smokowcy z długimi na sześć stóp zatrutymi mieczami o ząbkowanych jak piły krawędziach byli niczym w porównaniu z Pączuszką.

— Zapamiętaj moje słowa, daergardzki szczeniaku — wark-  
nął Moortan, podkreślając słowa dodatkowym szarpnięciem za kołnierz, które na chwilę odebrało Seląuistowi mowę. — Nie chcę cię więcej widzieć na wyprawach. Jeśli nie posłuchasz, zgłoszę oficjalny wniosek o wykluczenie cię z

naszej społeczności!

Była to straszna groźba. Wykluczony krasnolud nigdy nie może wrócić do domu i klanu. Staje się wygnańcem, wędrowcem po obcych krainach. Banita może zostać przyjęty przez jakiś klan w innym zakątku Ansalonu, ale nie otrzyma tam prawa głosu i praktycznie będzie uchodził za osobę żyjącą z ich jałmużny.

Moortan upuścił Selauista na podłogę. Obróciwszy się na pięcie, oddalił się długim krokiem.

Selauist uśmiechnął się do sąsiadów, którzy z surowymi minami przychylnie przyglądali się scenie. Wyprostował się i wygładził nadwerżoną koszulę.

— Piękną mamy pogodę — stwierdził. — Trochę gorąco i mogłoby nieco popadać, ale poza tym idealne warunki do przebywania na świeżym powietrzu.

Krasnoludowie spojrzeli na niego wilkiem i odwrócili się plecami. Usłyszał, jak powtarzają słowo „Daergar”, ale to była stara historia i dawno przestała go interesować. Co innego groźba wygnania. To coś nowego. Powszechnie było wiadomo, że Moortan robił tylko dużo szumu. Do wykluczenia Selauista z klanu 28

niezbędne było jednomyślne głosowanie wszystkich głów rodzin, co było mało prawdopodobnym wydarzeniem, chociaż niewielu spośród nich przyjaźniło się z Selquistem lub nawet podałyby mu łyk wody, gdyby konał z pragnienia na pustyni.

Nadaremnie rozglądał się za towarzyszami. Z chwilą nadejścia generała wszyscy trzej wtopili się w tłum, zostawiając szefa na pastwę losu.

Nalał sobie duży kufel orzechowego piwa z olbrzymiej beczki i siadł, żeby zapomnieć o Moorpacanie i delektować się trunkiem. Spotkanie ciągnęło się jeszcze godzinę, podczas której krasnoludowie mówili o tym, jak należy podzielić łup i bronić osady przed nieuniknionym odwetem smokowców.

Przekonani, że uwagę generała w pełni zajmują sprawy urzędowe, trzej kompani wyłonili się z największego ścisku i dołączyli do Selauista.

— Czy ja dobrze usłyszałem? — spytał skonsternowany Moźdierz. — Moortan zagroził, że każe cię wygnać?

— Phi! — Selquist lekceważąco machnął ręką. — Może próbować, ale nigdy nie zbierze głosów. Moja matka na pewno ujmie się za mną. Trzej krasnoludowie spojrzeli na niego markotnie. — Jasne, że się ujmie! — zaprotestował Sekjuist.

— Skoro mowa o twojej matce, on cię nazwał Daergarem — rzekł cicho Świder. — Tobie to nie przeszkadza?

— Nie — odparł Selauist beztrąsko. — Dlaczego miałoby? To prawda. W każdym razie połowiczna prawda. Jestem w polowie Daergarem. I jestem dumny ze swojego pochodzenia. Spytajcie kogo chcecie. Powiedzą wam, że Daergarzy wzbudzają największy strach wśród krasnoludów i na całym Ansalonie uchodzą za potężnych wojowników.

Daergarzy — albo czarni krasnoludowie — uchodzili również za morderców i złodziei, ale o tym towarzysze Selauista rozsądnie nie wspomnieli.

Nikt nie wiedział wiele o jego ojcu, wliczając w to jego matkę. Wychyliwszy sporo spirytusu podczas święta Kuźni, po pijanemu samotnie oddaliła się do kniei tanecznym krokiem. 29

Wróciła kilka dni później z mętną opowieścią o tym, jakoby balowała z leśnymi duchami. Rezultatem poszukiwań, jakie jej ojciec zarządził w okolicy, było odnalezienie odcisków butów, znacznie większych i cięższych od tych, jakie zwykle zostawiają leśne duszki, oraz noża i kołczanu ze strzałami daergardzkiego pochodzenia. Kiedy kilka miesięcy później krasnoludzka panna powiła chłopczyka, zauważono, że on również jest daergardzkiego pochodzenia. Ponieważ dziecko było w

połowie Neidarem, klan go przyjął, ale wyraził się jasno, że nie musi być z tego zadowolony.

Wyrażał się jasno na ten temat przez następne sto lat życia Selquista. A teraz Moortan oświadczył, że każe go wygnać. A co tam. I tak nie zamierzał spędzić reszty życia w tej zabitej dechami dziurze.

Czterej krasnoludowie zbliżyli się do siebie w zgiełku. Selquist wydawał polecenia.

— Tłuczek, tan cię lubi, poza tym jesteś czwartym kuzynem w drugim pokoleniu ze strony brata jego dziadka. Pójdiesz jutro do jego piekarni i sprzedasz mu te narzędzia.

Tłuczek pokiwał głową. Z nich czterech tylko do niego tan miał odrobinę zaufania. — Nie zgadzaj się na żadne wymiany — ostrzegł Selquist. — Potrzebujemy stali, nie czerstwego chleba. I nie chcemy... Przerwał im koniec zebrania. Wojownicy podeszli do beczki z piwem orzechowym, napełnili kufle, po czym wzmocnili trunk krasnoludzkim spirytusem. Resztę dnia spędzą na przechwalaniu się swymi wyczynami podczas napadu. Cztery kobiety wyruszyły po swoich mężów, których zostawiono w osadzie smokowców. Dwóch dobrze uzbrojonych wojowników towarzyszyło im dla ochrony, bardziej przed spotykanymi czasem w okolicy dzikimi zwierzętami niż smokowcami. Odwróciwszy się, Selquist zobaczył za sobą tana.

— Cóż cię dziś skłoniło do takiej hojności? — rzekł, gładząc się po brodzie, wiecznie przyprószonej mąką. — Ufam, że to oznacza, iż zamierzasz wykuć nowy młot, jak mówi porzekadło — dodał z nadzieją, lecz bez wielkiego przekonania. 30

Selquist uśmiechnął się.

— Wypełniam jedynie mój obowiązek wobec społeczności, dostojny tanie, jak każdy inny użyteczny członek tego klanu.

— Chciałbym w to wierzyć. — Tan wydał pobożne westchnienie. — W końcu jesteś w połowie Neidarem. Nie potrafię jednak zapomnieć, że w twoich żyłach płynie również daergardzka krew. Uśmiech Selquista stał się szerszy.

— Mnie samemu nigdy nie pozwolono o tym zapomnieć — odparł uprzejmie. — Pozwól mi dziś na ten gest, tanie, a może któregoś dnia zrewanżujesz mi się. Mam szczerą nadzieję, że baranek ucieszył twoją córeczkę. — Mnie na pewno ucieszyłby — mruknął Świder. — Pieczony. Selquist nadepnął przyjacielowi na nogę, żeby go uciszyć.

— Czy mogę zaproponować, abyśmy się razem napili, dostojny tanie?

Dla towarzystwa wypił z nim kufel piwa orzechowego, lecz kiedy tylko pozwoliła mu na to grzeczność, porzucił starego piernika, i dając znak kolegom, opuścił dwór. \*

Krasnoludowie z Celebundinu należeli do klanu Neidarów. Po bratobójczej wojnie, wywołanej odmową Hylarów udzielenia po Katakliźmie pomocy kuzynom, Neidarom na wieki zakazano wstępu do świętych sal Thorbardinu. Ich krzesło w Radzie Tánów podziemnego królestwa stoi teraz puste.

To były dawne dzieje. Różne grupy, które usiłowały zaprowadzić pokój wśród mieszkańców Ansalonu, podsuwały myśl, że gdyby krasnoludów górskich odpowiednio poprosić, łaskawie pozwoliliby swym kuzynom powrócić. Krasnoludowie ze wzgórz zawsze odpowiadali, że woleliby dać się przywiązać do maszyny gnomów bez zatyczek w uszach, niż wrócić na klęczkach do ojczyzny przodków. Nie pozwalała na to zraniona duma żadnej ze stron, i przypuszczalnie nigdy nie pozwoli.

Daergarowie zaś odłączyli się od głównych klanów Throbar-dinu po nieudanej próbie odebrania władzy Hylarom. Dusze Daergarów, którzy zeszli do jeszcze niższych tuneli w krętych grotach 31

Thorbardinu, stały się mroczne jak ich otoczenie. Rządzi nimi zawsze najsilniejszy wojownik klanu, który udowadnia swą władzę, utrzymując się przy życiu. Daergarzy są znakomitymi złodziejami i mają sławę najzwinniejszych i najbardziej nieuczciwych ze wszystkich krasnoludów. Selquist odziedziczył obie te cechy.



Od wczesnych lat wykazywał talent do tego, co kenderzy nazywają „pożyczaniem”. W przeciwieństwie jednak do kenderów, dobrze wiedział, skąd się brały jego łupy i co z nimi należy zrobić.

Seląuist i Świder pożegnali się z braćmi Tłuczkiem i Moździerzem i poszli do własnego domu. Mieszkali razem, będąc młodymi kawalerami, którzy jeszcze się nie pożenili. Świder zakochiwał się mniej więcej raz na tydzień, jednak na dźwięk słowa „małżeństwo” dostawał wysypki. Seląuist nie miał czasu na zadawanie się z przedstawicielkami płci przeciwnej. Musiał układać plany i liczyć zyski. Tej nocy miał pracować nad jednym ze swoich najlepszych pomysłów.

Kiedy dotarł do domu, otworzył trzy zamki, wszedł do środka, zapalił lampę i zabrał się do roboty. Oznaczało to, że siedział rozparty w najlepszym fotelu, a Świder przy biurku spisywał jego polecenia.

— Będziemy potrzebowali prowiantu na dość długo, żeby dotrzeć do siedziby klanu Daergarów. Potem jedzenie możemy podkraść — dyktował Seląuist.

Świder zapisywał jego słowa w małej, oprawnej książeczce. Matka Świdra, która była jednym z pisarzy tana, nauczyła syna czytać i pisać. Umiejętności te bardzo się przydawały Seląuistowi. Potrafił czytać, jeśli był do tego zmuszony, ale po co miał się fatygować, jeśli ktoś inny mógł to za niego zrobić? Pisać nigdy się nie nauczył. Miał lepsze zajęcie dla rąk, na przykład otwieranie zamków wytrychem albo grzebanie po cudzych kieszeniach.

— Wyruszamy od jutrzejszego wieczoru za tydzień — ciągnął Seląuist. Lubił mieć swoje plany na piśmie. Nie w tym rzecz, żeby kiedykolwiek o nich zapomniał, ale miło było siedzieć przy ogniu w zimowe wieczory i słuchać, jak Świder czyta opowieść o ich wspólnych przygodach. — Będzie wtedy spokojnie — nie 32

zaplanowano żadnego napadu — a dwa księżyce w pełni ułatwią nam wędrówkę. Przejdziemy przez Celebund i przed świtem znajdziemy się w połowie drogi do Południowych Wrót. Następnego dnia dokończymy podróż i wejdziemy do Thorbardinu. Świder wszystko zapisał. Seląuist ziewnął, przeciągnął się i wstał. — Czas do łóżka. Dokończymy jutro.

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Po ponownym przeczytaniu notatek Świder stwierdził, że plan ma poważną wadę.

— Jak my się dostaniemy do Thorbardinu? Sądziłem, że Hylarowie nie wpuszczą nas do środka. Selquist poklepał przyjaciela po plecach. — Zostaw to mnie. Mam na to sposób.

— Nie martwisz się, że możesz zostać wygnany? — spytał Świder po chwili wahania. — Ja nie potrafiłbym sobie wyobrazić niczego okropniejszego.

Rzeczywiście myśl o tym przyprawiała Selquista o lekkie drżenie i niemiłe łomotanie serca. Nie mógł się jednak zdradzić przed przyjacielem, że go strach obleciał.

— Wręcz przeciwnie — odparł beztrąsko. — Ucieszyłbym się. Nie sądzisz chyba, że zamierzam do końca życia siedzieć w tej starej, sennej wiosce? Wyświadczą mi tym nawet przysługę. Pójdę w świat i zostanę bohaterem, jak ten inny krasnolud, którego wykluczono z klanu. Jak mu było na imię?

— Flint Fireforge — rzekł Świder, nie mogąc wyjść z podziwu. — Pomógłbyś ocalić świat jak Flint w czasie Wojny Lancy?

— Może nie ocalę świata — przyznał Selquist — ale przynajmniej uratuję trochę kosztowności. Idź już spać. Dużo się dziś napracowaliśmy.

Świder posłusznie wykonał polecenie. Zatrzymał się jednak w drodze do sypialni i wciągnął woń w nozdrza. — Pachnie pieczonym jagnięciem — rzekł ze smutkiem. — Daj już sobie spokój — poradził Selquist.

Po drodze do łóżka włożył rękę do kieszeni i wymacał medalion, o którym zdążył już zapomnieć. Wydobył amulet i popatrzył na niego z pewną dozą obawy. 33

Nikt mu przedtem nie groził oficjalnym wypędzeniem. Może Królowa Ciemności...

— Och, nie bądź głupi! — skarcił sam siebie i wrzucił go z powrotem do kieszeni. Musiał być warty przynajmniej pięć sztuk stali. Rozdział 5

Osiem dni po tym, jak krasnoludowie napadli na gród smokowców, Kang wszedł do sali zebrań w siedzibie sztabu. W środku już czekało sześciu oficerów jego brygady.

Byli to dowódcy batalionów, a także komendant saperów, główny oficer zaopatrzenia i Slith, jego zastępca. Siedzieli pośrodku izby wokół stołu, ogromnego drewnianego mebla, pięknie wykonanego i wypolerowanego, który ukradli dawno temu krasnoludom. Trzeba było niezłych umiejętności i siły, żeby przenieść go przez dolinę, ale smokowcy dopięli swego. Byli wtedy młodzi.

Teraz samo patrzenie na masywny stół przyprawiało Kanga o ból pleców.

— Dzień dobry, panowie. Dziękuję wam za przybycie. Jak wiecie, stoimy u progu kryzysu. Kończą nam się zapasy krasnoludzkiego spirytusu. Według obliczeń kwatermistrza, starczy nam tylko na jutrzejsze racje. Czas złożyć wizytę krasnoludom. Rozmawiałem z komendantem saperów i wydaje się, że dzisiejszej nocy będą idealne warunki do najazdu na Celebundin. Szczegółowo przedstawi wam sam szef saperów. Głos zabrał Fulkh.

— Panie pułkowniku, tej nocy spodziewamy się pełni dwóch księżyców. Łatwiej nam będzie się orientować w terenie. Takiej okazji nie mieliśmy od trzech lat.

— Wtedy ukradliśmy im wóz zaprzężony w woły i załadowaliśmy go taką ilością piwa i wódki, że mało brakowało, żebyśmy nie wrócili do domu — przypomniał sobie Slith. — Ogra-

34  
biliśmy ich do cna! Pamiętacie urządzone potem przyjęcie? Na Królową Ciemności, to dopiero była zabawa!

Wśród smokowców zapanował zgiełk. Kang zastukał knykciami w blat stołu, przypominając im o obowiązkach. Umilkli i skupili na nim całą uwagę.

— Mamy robotę — upomniał ich surowo. — Jeśli będziemy przez cały dzień wspominać, zasiedzimy się do wieczora i nie zdążymy z napadem. Czy ktoś ma zastrzeżenia co do dzisiejszej wyprawy?

Nikt się nie sprzeciwiał. Wszyscy radośnie się uśmiechnęli na myśl o najbliższej nocy.

— W takim razie zgoda. Przejdźmy do szczegółów. Pierwszy batalion brał udział w dwóch ostatnich napadach...

— Tak jest, panie pułkowniku! Jesteśmy w tym najlepsi! — rzucił Gloth, szturchając w bok sposepniałego dowódcę drugiego batalionu.

— Jak już mówiłem... — Kang uciszył obu smokowców srogim spojrzeniem — sędzę, że podczas tego wypadu powinien przejąć dowodzenie drugi batalion. Pierwszy zostanie w rezerwie, żeby przyjść z pomocą, gdyby coś poszło źle.

Teraz z kolei Gloth zrobił ponurą minę. Drapnął pazurami drewno, za co został ostro skarcony przez Slitha.

— Patrz, jakie zrobiłeś rysy! Jak tak dalej pójdzie, nic nie zostanie z tego stołu! — Przepraszam, panie podpułkowniku — mruknął Gloth.

— Tym razem zabierzemy własny wóz — dokończył Kang. — Schowamy go za zaroślami na południe od Celebundinu. Yethik, czy twoi chłopcy z drużyny zaopatrzeniowej mogą być gotowi do wyruszenia przed zmierzchem?

Smokowiec kiwnął głową. Jako główny kwatermistrz odpowiadał za cały sprzęt i magazynowanie żywności. Zajmował się także wozami i wołami, które do nich zaprzęgał.

— W takim razie wszystko jasne. Bądźcie gotowi za osiem godzin. Drugi batalion wyruszy godzinę po zachodzie słońca, pierwszy pół godziny po nim. Na murach tymczasem stanie batalion rezerwy. To wszystko. 35

Oficerowie wstali, zaszalutowali i wymaszerowali z izby, spiesząc do innych obowiązków.

Pierwszy batalion zajmował się wszystkimi sprawami porządkowymi, od remontowania budynków do zamykania ulic. Drugi był odpowiedzialny za cały żywy inwentarz, łącznie z kurami i owcami. Smokowcy z pewnością nie byli stworzeni do pasania trzody, ale żołnierze Kanga całkiem nieźle sobie z tym radzili. Do obowiązków batalionu zaopatrzeniowego należała uprawa roli, przygnębiające zadanie, którego nikt nie lubił. Niemniej jednak ziarno było potrzebne do wykarmienia zwierząt, a chleb niezbędny do uzupełnienia ich skąpej mięsnej diety. Wszyscy jednak uważali, że dużo łatwiej ukraść żywność, niż ją wyprodukować.

Reszta smokowców tworzyła pluton sztabowy. Zaliczali się do niego Kang i Slith, wszyscy specjaliści, jak Fulkh, Yethik i jego zaopatrzeniowcy oraz sekcja baazów wyszkolonych w kartografii.

Kang wracał do swojej kwatery. Tego dnia był w dobrym humorze. Zawsze lubił tę porę, tuż przed napadem. Przypominały mu się wtedy dawne czasy — kiedy być żołnierzem coś znaczyło, kiedy mógł czuć się dumny z dowodzenia wojskiem.

Niewątpliwą dumą napawało go wszystko, czego on i jego smokowcy dokonali w osadzie, ale to nie było to samo. Umiejętność wykarmienia podwładnych przez kolejny dzień nie dostarczała takich emocji jak brawurowe szarżowanie na drużynę elfów i ścinanie szpiczastouchych głów z chudych, wątych karków. Gdyby nie krasnoludowie, smokowcy nie mieliby w ogóle rozrywki.

Prawdę mówiąc, Kang musiał niechętnie przyznać, że gdyby nie oni, smokowcy nie przeżyliby tak długo. Nie tylko dostarczali niezbędnej żywności, ale przyczyniali się do rozładowania wrodzonej agresji jego ziomków. Mocny trunek, znany pod nazwą krasnoludzkiego spirytusu, który podobno wytwarzano z jakiegoś sfermentowanego grzyba, rozjaśniał — przynajmniej chwilowo — smutek

i pustkę ich codziennego życia. Gdyby nie krasnoludowie, smokowcy rozdarliby się nawzajem na strzępy dawno temu. 36

Kang pałał nieomal braterskim uczuciem dla swych wąsatych przeciwników.

Otworzywszy kufer w nogach łóżka, wyjął bojowy rynsztunek, sprawdził wszystkie klamry i paski. Potem wyciągnął miecz z pochwy i obejrzał klingę. Nigdy nie pozwolił, żeby splamiła ją rdza, ale lata temu ostrze trochę się wyszczerbiło.

Każda szczerba symbolizowała głowę nieprzyjaciela. Kang uśmiechnął się, z przyjemnością i dumą wspominając każdy świetny pojedynek. Przesunął palcem po klindze, potem wyjął ze skrzynki w kufrze osełkę i zabrał się do jej ostrzenia.

Smokowcy zawsze udawali się na rozbój pełni nadziei, ale i przygotowani na najgorsze. Walczyli ćwiczebnymi, drewnianymi mieczami, ale nosili stalowe. Gdyby kiedyś napad przebiegł źle, musieliby walczyć w trakcie ucieczki.

Kang schował osełkę i założył pas. Przypiął pochwę i wsunął do niej miecz. Kiedy już przygotował broń, wydobyl ze skrzyni filcowy worek i ostrożnie wysypał jego zawartość na podłogę. Znajdowała się w nim świeca, słoiczek szarego proszku i święty symbol Królowej Ciemności. Tylko, że świętego symbolu nie było.

Kang podrapał się po głowie. Wywrócił worek na drugą stronę. Medalion zniknął. Podniósł sakwę do nosa i powąchał ją. Skrzywił nos.

Krasnolud. Jakiś krasnolud włamał się do jego skrzyni i skradł święty medalion!

Kang warknął. Mógł się tego domyślić. Przyjazne uczucia wobec krasnoludów przysły. Niech diabli wezmą tych kosmatych, małych drani! Jedyłą pociechą była myśl o tym, co Takhisis zrobi temu nędzemu złodziejowi, który ośmielił się tknąć jej relikwię.

Krążył po izbie, dając upust złości i kopiąc przez chwilę sprzęty. Potrzebował świętego symbolu. Jak miał zbliżyć się bez niego do Królowej? Miotając się ze wściekłości, dotarł do stojaka, na którym trzymał zbroję. Zatrzymał się.

Na napierśniku wisiał medalion z symbolem Królowej, pięciogłowym smokiem. Nie była to relikwia, lecz jego odznaka dowódcy. Nie pobłogosławili jej kapłani ciemności, można było 37

jednak powiedzieć, że została inaczej poświęcona. Nie raz spryskała ją krew wrogów Jej Wysokości.

Kang oderwał godło od napierśnika, chwilę je polerował, a następnie położył na zaimprovizowanym ołtarzu. Zapalił świecę i zmówił modlitwę do Królowej, aby przyciągnąć jej uwagę. Potem wrzucił do ognia szczyptę szarego proszku. Buchnął płomień. Strzeliły niebieskie iskry, których blask raził oczy Kanga. Nadal się modlił. Unosząc medalion w dłoniach, wyobraził sobie, że skrzydła Wielobarwnego Smoka niosą go do krainy mroku...

Łomotanie do drzwi i głośne wołanie Slitha wyrwały go z tego hipnotycznego stanu.

— Co tam? Już pora? — odkrzyknął. Świeca skróciła się o dobre dwa cale.

Slith mówił przez drzwi. Wiedział, że lepiej nie wchodzić, kiedy komendant składa wizytę ich Królowej.

— Melduję, że pułk gotowy jest do przeglądu. Nie musi się pan śpieszyć!

Kang mruknął z zadowoleniem. Przez ostatnie osiem dni panowała ogłupiająca nuda, ta sama rutyna każdego dnia. Załatać pęknięcia w murze, przypilnować owiec, zadbać o nieliczne, wątłe rośliny w ogródku, które i tak przypuszczalnie były chwastami. Przeprowadzić ćwiczenia, utrzymać dyscyplinę, rozstrzygnąć spory o racje krasnoludzkiego spirytusu. A potem wieczorem porządnie się upić.

Tego dnia jednak Kang czuł, że żyje. Starannie zgasił świecę i przez chwilę z rozmysłem

przyglądał się nowemu świętemu symbolowi. Najwyraźniej spodobał się Takhisis, sądząc po uczuciu euforii, jakie go przepelniało. Zadowolony, znów przyczepił medalion do napierśnika zbroi. Z przyzwyczajenia chciał już schować worek z proszkiem z powrotem do skrzyni. Stał jednak, zmarszczył czoło i poszukał lepszej skrytki. Rozwiązaniem okazała się luźna deska w podłodze.

Podważywszy ją, wygrzebał dziurę w ziemi i wrzucił mieszek do środka. Ponownie nakrył jamę deską, wstał i roztarł sobie kolana, zeszywniałe od długiego siedzenia w kucki. Przejrzał 38 w myślach magiczne zaklęcia. Były wszystkie, o które prosił, gotowe do użytku.

— W porządku, idziemy na przegląd wojsk! — zawołał Kang, otwierając drzwi.

Slith wyszczerzył zęby w uśmiechu, zasalutował i wykrzyknął entuzjastycznie: — Tak jest!

Kang nie był jedynym smokowcem, który lubił wyprawy rabunkowe.

Po wyjściu z gmachu sztabu dwaj oficerowie zobaczyli, że cały pułk stał w równych szeregach, oczekując na inspekcję.

Trzej dowódcy batalionów stanęli na baczność i taką samą komendę wydali swoim żołnierzom. Batalion sztabowy ułokował się na prawo od szeregu, co wskazywało na starszeństwo. Oni również wyprężyli się służbiście.

— Dwustu żołnierzy gotowych do przeglądu. Nieobecni tylko wartownicy i trzech inwalidów — zameldował Slith.

Kang pokiwał głową. Ci sami trzej inwalidzi przebywali w prowizorycznym szpitalu już od ponad roku. Zostali ranni, gdy z niedokończonego dachu spadła belka. Wszyscy odnieśli obrażenia kręgosłupa. Zajmowali się kaletnictwem, naprawiali rozdarłe rzemienie zbroi i wytwarzali nowe pasy, pochwy do mieczy i temu podobne rzeczy. Praca dostarczała im zajęcia, sprawiała, że czuli się potrzebni, zapełniała im czas. Kang często ich odwiedzał, żeby dodać im otuchy, mimo to niepełnosprawni smokowcy często popadali w przygnębienie i depresję.

W dawnych czasach zostaliby zabici, zepchnięci z urwiska albo wrzuceni do rzeki, gdzie ich ciała nie mogłyby nikomu wyrządzić krzywdy. Smokowcy mają błogosławioną — lub przeklętą, zależnie od punktu widzenia — zdolność siania zniszczeń wśród nieprzyjaciół nawet po śmierci. Kiedy umrze Kang, jego kości wybuchną i zabiją wszystkich w pobliżu. Trupy baazów zmieniały się w kamień, w którym grzął każdy oręż, jakim ich zaatakowano, w ten sposób rozbijając wroga. Sivak z chwilą śmierci zmieniał kształt, przybierając postać osoby, która go zabiła, sugerując, że to zabójca jest ofiarą. Niejedna nieprzyjacielska

armia na widok pobjowiska zaścielonego ciałami, które mylnie uznali za swoich poległych towarzyszy, uciekła z pola walki.

Kiedy trzej okaleczeni smokowcy dowiedzieli się, jak poważne są ich obrażenia, spodziewali się, że zostaną zabici. Kang nie wydał takiego rozkazu. Darował im życie. Widząc, jak siedzą na drewnianych stołkach i tęsknym wzrokiem spoglądają na plac defilad, po którym już nigdy nie będą maszerować, zawsze się zastanawiał, czy aby na pewno wyświadczył im przysługę. — Panie pułkowniku... — Slith delikatnie trącił Kanga. Komendant ocknął się z ponurej zadumy. Dziś był dzień walki. Odzyskał dobry humor.

Szli wzdłuż szeregów, lustrując wszystkich żołnierzy. Każdy stał na baczność, każdy miał taki sam rynsztunek i miecz jak Kang. Żołnierze drugiego batalionu nosili dodatkowo na plecach krótkie stalowe pręty, których używano przy podnoszeniu części kładek, co wskazywało, że są budowniczymi mostów.

Pręty te były obecnie bezużyteczne, ale zawsze je noszono, ponieważ były zaszczytnym godłem i przypominały o lepszych, świetniejszych czasach. Ich widok zawsze poprawiał Kangowi humor. To był pierwszy pułk, którym dowodził pod rozkazami lorda Ariakusa, wiele lat temu. Przypominał

sobie, jak przerzucili most przez rwącą rzekę, atakowani przez elfów i srebrne smoki. Był wspaniały. Tak się złożyło, że nigdy nie skorzystano z tego mostu. Cała armia się wycofała, zamiast przejść po nim. Mimo to Kang był dumny z tego, co wybudował wraz ze swymi żołnierzami.

Zatrzymał się przed dowódcą drugiego batalionu, jednym z bozaków.

— Gotów do dzisiejszej akcji, irlih'k? — spytał Kang. Jego głos niósł się po całym dziedzińcu.

— Tak jest! — zasalutował bozak.

Kang nadał mu tytuł irlih'ka, mistrza mostów, który sam nosił, kiedy był dowódcą tego batalionu.

Oczywiście teraz miał tylko znaczenie honorowe. Wątpliwe, aby w najbliższej przyszłości mieli budować mosty dla wojska. Kangjednak nalegał na doskonalenie umiejętności, które niegdyś zdobyły im uznanie. Co kilka miesięcy dzielił batalion na druży-

ny i kazał przerzucać mosty nad suchym jarem, który biegł w pobliżu osady. Drużyna, która pierwsza ukończyła most zdol- ny unieść ciężar całego pułku, dostawała dodatkową porcję kras- noludzkiego spirytusu.

Kang i Slith zakończyli inspekcję przy batalionie rezerwo- wym, następnie ponownie przemaszerowali przed pułkiem. Kang spojrział na żołnierzy.

— Wyglądacie równie świetnie jak tego dnia, gdy objąłem nad wami dowodzenie! Doskonale się spisaliście. Dzisiejsza wyprawa powinna się zakończyć powodzeniem. Jeśli szczęście nam dopisze, zanim położymy się spać, wzniesiemy toast na cześć krasnoludów! Wypijemy za ich zdrowie ich własną krwią!

Cały pułk wydał radosny okrzyk. Oczywiście nie będą napraw- dę pić krwi, w końcu to nie dawne czasy. Krasnoludzki spirytus znaczył jednak tyle samo, a był dużo smaczniejszy. — Brygada, rozejść się! Zastępcy, przygotować się do bitwy! Oficerowie zasalutowali. Kang odpowiedział im salutem. Ogarnęło ich podniecenie. Do zmroku została jeszcze godzina. Yethik zasalutował.

— Panie pułkowniku, moi chłopcy są gotowi ruszyć przo- dem z wozami i zaprzęgiem wołów. Wyśle pan z nami eskortę?

— Niech Gloth przydzielili wam oddział wojska — odparł Kang. — Nie wychodźcie z ukrycia. Jeśli krasnoludowie was zauważą, domyśla się, że szykujemy napad. Chociaż raz chciał- bym ich zaskoczyć zniemacka. Yethik pobiegł poszukać Glotha i rozkazać taborowi ruszać.

— Wiesz, Slith, sądzę, że to będzie udana wyprawa — oznajmił Kang swemu zastępcy. — Mam przeczucie, że tej nocy Królowa Ciemności szczególnie się nami interesuje. Sivak zaśmiał się i zatarł ręce. — Tak, nasi chłopcy od dawna nie byli tacy podnieceni.

— Dlatego właśnie chcę, żebyś szedł na przedzie z irlih'kiem i drugim batalionem — rzekł Kang. — Nie życzę sobie, żeby ktoś się rozpędził i uciął przeciwnikowi głowę, kiedy wystarczy nabić mu guza. Mamy dobry układ z krasnoludami. Nie chciałbym tego zepsuć. 41

— Niech się pan nie martwi. Jeśli trzeba będzie trzasnąć z biczem, ja to zrobię!

Slith wywiesił długi język, a potem wciągnął go z mlaśnie- ciem. Sivak nie tylko doskonale potrafił utrzymywać dyscyplinę, ale też robił to z wielką przyjemnością.

— Odczekasz godzinę po zmierzchu — dokończył Kang — a potem wyruszysz z drugim batalionem. Ja przyprowadzę pierwszy batalion i zajmę pozycję przy wozach. Gdybyście mieli trudności, każ irlih'kowi rzucić czar „światło”. Natychmiast przybiegniemy.

Slith zasalutował i poszedł poszukać jakiegoś nieszczęsnego żołnierza, na którego mógłby krzyknąć, póki nie nadejdzie pora wymarszu. Rozdział 6

Dwa księżycy właśnie weszły nad szczytem Celebundu, kiedy objuczeni plecakami Tłuczek i Moździerz zapukali do drzwi Sel- quista. Natychmiast potem weszli, nie czekając na odpowiedź. Gdyby zaczekali, Selauist wiedziałaby, że to nie żaden z jego dwóch ziomków i schowałaby wszystkie

kompromitujące materiały.

Tego wieczora były nimi mapa na stole i następne dwa plecaki, wypchane prowiantem i przyszykowane do podróży. — Ktoś was widział? — spytał Selquist.

— Jeśli nawet, to mają to w nosie — odparł urażonym tonem Tłuczek. — Wszyscy są z jakiegoś powodu poirytowani. Moor- tan biega, jakby mu ktoś brodę podpalił. Spytałem, co się dzieje, ale on tylko spojrzął na mnie wściekle i kazał spływać.

— Najazd smokowców — powiedział ze znajomością rzeczy Selquist, wyglądając przez okno. — Pełnia dwóch księżyców to doskonała pora na napad, i doskonała pora, żebyśmy się stąd wymknęli po cichu. To się nazywa odwrócenie uwagi. Moortan będzie tak zajęty grzmoceniem smokowców, że nie zauważy naszej nieobecności. Stwierdzenie to nie zostało przyjęte radosnymi okrzykami 42

i aplauzem, jakich się Selquist spodziewał. Wręcz przeciwnie, jego towarzysze sprawiali wrażenie mocno zaniepokojonych.

— Grzmocenie smokowców? A co powstrzyma smokow- ców od grzmocenia nas? — spytał Świder.

— Im zależy na piwie i gorzałce — odparł Selquist. — My nie zabierzemy piwa ani spirytusu, więc nie będą się nami interesować.

— Nie zabierzemy? — Moździerz czule przytulił wiszący na jego pasku bukłak z piwem.

— Nie zabierzemy — odparł surowo Selquist. — To niebez- pieczna misja i musimy podczas niej trzeźwo myśleć. Przynaj- mniej na tyle, na ile niektórych z nas stać — dodał, wywracając oczami i wskazując kciukiem na Świdra, który powszechnie się cieszył opinią mądrego jak serce kapusty.

Wiadomość, że będzie to wyprawa o suchym pysku, wstrząs-nęła Moździerzem, który utrzymywał, że dostanie zatwardzenia, jeśli raz dziennie nie napije się orzechowego piwa.

— Posłuchaj, będziemy w głuszy tylko dwie noce — tłuma- czył Selquist, próbując poprawić mu humor. — Potem już znaj- dziemy się w Thorbardinie, a wiem z całą pewnością, że mają tam mnóstwo piwa. Popatrzmy teraz na mapę. Wskazał trasę.

— Celebundin jest tutaj, gdzie narysowałem kółko. Dzisiej- szej nocy miniemy go i prześpimy się w dolinie. Jutro za dnia przejdziemy przez szczyty Bletheron i Prenechial. Jutrzejszej nocy rozbijemy obóz po drugiej stronie Prenechialu i następnego dnia wdrapiemy się na grzbiet Helefundis. — Kiedy wejdziemy do Thorbardinu? — spytał Moździerz. — Jak wejdziemy do Thorbardinu? — zacieka- wił się jego brat.

— Tutaj. — Selquist dotknął palcem mapy. — Tutaj jest otwór powietrzny starego szybu kopalnianego. Jest ukryty, ale ja wiem, gdzie się znajduje. Zejdziemy nim na dół. Potem czeka nas tylko łatwy spacer przez kopalnię i wyskoczymy z tunelu prosto do Thorbardinu.

— Mamy opuścić się w głąb starego szybu? — zaniepokoił się Świder. — Pod ziemię? 43

— Z reguły tam prowadzą szyby kopalniane.

— Nigdy nie byłem pod ziemią — odparł Świder, wytrzesz- czając ze strachu oczy. — Założę się, że tam jest ciemno — dodał cichym, żalonym głosem.

— Spodoba ci się — powiedział Selquist, klepiąc go po plecach. — Wrócisz do korzeni. Do tego właśnie krasnoludowie są stworzeni: do prusikowania po stromych urwiskach, pełzania na czworakach po wąziutkiej półeczce nad bezdenną przepaścią i czepiania się jak mucha wysokiej na siedemdziesiąt stóp ściany nad ostrymi skałami, gdy w zasięgu oka nie ma oparcia dla ręki ani stopy. Na Reorxa! — zawołał, wzdychając głęboko. — Już się nie mogę doczekać!

— Ja mogę — mruknął Świder. Rzucił podejrzliwym okiem na Selquista. — Co to jest prusikowanie?

Selquist nie miał pojęcia, ale słyszał kiedyś, jak ich generał użył tego słowa. Zaryzykował domysł.

— Ee, prusik... to taki ogromny jaskiniowy ptak. O czter- dziestostopowej rozpiętości skrzydeł.

— Ej, chyba nie — rzekł poważnie Moździerz. — Prusiko- wanie to metoda wspinaczki wysokogórskiej przy pomocy spe- cjalnych pętli z lin...

— Co ty nie powiesz? — warknął na niego Selquist. — Skoro już mowa o linach, mam cały sprzęt, jaki nam będzie potrzebny. Wziąłem dość liny, żebyśmy się przywiązali jeden do drugiego. Droga przez Prenechial jest trochę niebezpieczna. Nie chcemy, żeby ktoś zginął. Świder mocno się wystraszył.

— Najpierw prusiki o czterdziesiętostopowej rozpiętości skrzy- deł, teraz groźne przełęczce. To mi się nie podoba.

— W ścianach szybu wentylacyjnego jest mnóstwo dużych głazów i występów — uspokoił go Selquist. — Zejdiesz nim bez trudu. Jeśli nie ma już więcej pytań... — A prusiki? — spytał Świder.

— Co, prusiki? — spytał Selquist, wzdychając. Zaczynał tracić cierpliwość. — Skoro te ptaszyska są takie wielkie, to co jedzą? 44

— Skąd, na miłość Reorxa, mam wiedzieć, co jedzą prusiki? — krzyknął Selquist. — Co to za różnica?

— Może być bardzo duża, jeśli jedzą krasnoludów — za- uważył Świder.

— Nie jedzą krasnoludów, w porządku? Prusiki są jarosza- mi. Bierzmy się wreszcie do roboty!

Przewrócił oczami i wcisnął mapę za pasek. Reszta krasno- ludów zarzuciła plecaki na ramiona. Moździerz pociągnął długi łyk z bukłaka, potem zakorkował go, i obrzuciwszy smętnym spojrzeniem, zostawił na kuchennym stole.

— Słuchaj, skąd wiesz o ukrytej sztolni? — spytał Tłuczek Sekjuista, kiedy już wychodzili z domu. Krasnolud wzruszył ramionami. — Pamiętasz, jak zeszłego lata nie było mnie przez tydzień? Świder pokiwał głową. — Powiedziałeś, że polowałeś na króliki.

— Nie polowałem na króliki, tylko na ten odpowietrznik. Kupiłem informację od hylarskiego górnika i wierz mi, nie kosztowało mnie to tanio. Znalazłem otwór wentylacyjny, opu- ściłem się w głąb szybu, przeczołgałem się przez tunel w kopalni i... — Selquist strzelił palcami — proszę bardzo! Znalazłem się w samiotkim środku Thorbardinu. Pozostali krasnoludowie spojrzeli na Selquista z podziwem. — Nie pisałeś o tym ani słowa! — zauważył Tłuczek. — Nawet nam — wtrącił Moździerz.

— Takie sprawy należy trzymać w tajemnicy — odparł Selquist z ujmującą skromnością. — Inaczej całe miasto pobie- głoby do tego szybu. Dość marnowania czasu. Idziemy.

Przed wyjściem upewnił się, czy drzwi są zamknięte na wszystkie trzy zamki. Większość krasnoiudzkich siedzib nie miała w drzwiach nawet jednego zamka (chyba, że krasnolud żył w mieście zamieszkanym przez kenderów). Selquist był żywym dowodem starego porzekadła krasnoludów, że trzeba złodzieja, żeby podejrzewać złodzieja.

We trzech szybko pobiegli główną drogą na wschód. Ulice świeciły pustkami, w oknach nie paliły się światła. Kobiety 45

i dzieci siedziały bezpiecznie pozamykane w domach, mężczyź- ni zebrali się pośrodku osady, żeby bronić grodu przed smokow- cami. Zgodnie z przewidywaniami Selquista, noc nadawała się idealnie do tego, żeby wymknąć się z miasta bez narażania na denerwujące pytania, dokąd idą i po co. Przy końcu ulicy Selquist zatrzymał kolegów.

— Stójcie. Pójdę zobaczyć, czy nie wystawiono warty. — Sunął ostrożnie naprzód, nie wychodząc z cienia. Minął ostatni dom przy ulicy i skręcił przy ogrodzeniu. Chwilę później wrócił.



— Tak, niech to wszyscy diabli. Na drugim końcu płotu siedzi dwóch wartowników. Jednym jest Gilbert, więc nie się czym przejmować. Przy nim Świder jest geniuszem. — Och, dzięki. — Świder zarumienił się z zadowolenia. Selquist coś odburknął.

— Moglibyśmy spróbować innej drogi, ale i tak straciliśmy sporo czasu. — Smokowcy z pewnością zaraz ruszą do natarcia. Zaryzykujemy. Schylcie się i nie róbcie hałasu.

Trzej krasnoludowie poszli za Selquistem w lewo. Mocno pochyleni, skradali się przez niewielki sad naprzeciwko ostatniego domu. Cienie rzucane przez sękaty gałęzie jabłoni maskowały wszystkich czterech. Wychodzili już z sadu po drugiej stronie, kiedy wtem usłyszeli czyjś głos i stanęli jak wryci.

— Hej, wy tam — zawołał nerwowo Gilbert. Zsunął się z płotu. Jedną ręką wyciągał toporek zza pasa. — Widzę was. Kto... kto idzie?

— A żeby go dunder świsnął! — zaklął Selquist. Wstał, pomachał ręką od niechcenia. — Ach, to ty, Gilbercie? — Tak, to ja — odparł podejrzliwie wartownik. — Kto idzie? — Selquist, ty głuptasie. Znasz Świdra, Moździerza i Tłuczka. — Jasne. Cześć, chłopaki. — Pomachał im ręką.

— Cześć, Gilbercie — wszyscy czterej odpowiedzieli uroczyście, machając mu ręką. — Co tam robicie? — Idziemy na piknik. — Po ciemku? — zdziwił się Gilbert. — Najlepsza pora — rzekł Selquist. — Nie ma much. 46

Krasnolud się zamyślił. — Tak, ale nadciągają smokowcy.

— Zabraliśmy dość jedzenia dla wszystkich. Wiesz, musimy już iść. Pa, pa, Gilbercie.

— Pa, pa, Gilbercie. — Pozostali pomachali wartownikowi na pożegnanie i pobiegli truchcikiem za przywódcą.

— Bawcie się dobrze — powiedział krasnolud i znów usiadł na płocie. Rozdział 7

Smokowcy gnali przez dolinę. Cały pluton biegł w szyku lekkim truchtem, żeby się nie zmęczyć przed przybyciem do osady krasnoludów. Kiedy w polu widzenia pokazał się szpaler drzew przy grodzie, drugi batalion pod dowództwem irlih'ka wysunął się naprzód. Slith, jako zastępca komendanta, otrzymał polecenie, aby towarzyszyć drugiemu batalionowi. Przebiegły, chytry i sprytny sivak potrafił wybrnąć z każdej opresji. Gdyby drugi batalion wpadł w tarapaty, Slith by go z nich wyciągnął.

Smokowcy sunęli powoli i bezgłośnie przez otwartą przestrzeń, która dzieliła ich od drzew na wschodnim skraju miasta. Nagle Slith padł na ziemię. — Kłąć się! — rozkazał ochryłym szeptem, dając znak ręką.

Rozproszeni za nim żołnierze natychmiast przykucnęli, zwinęli ciasno skrzydła i znieruchomieli jak głazy. Nikt się nie ruszył. Nikt nawet nie pisnął. Slith ostrożnie uniósł głowę. Z początku sądził, że się przesłyszał, ale potem znów usłyszał ten sam głos, który na początku zwrócił uwagę smokowca. — Ach, to ty, Gilbercie? — Tak, to ja — odparł drugi krasnolud. — Kto idzie? — Selquist, ty głuptasie. Znasz Świdra, Moździerza i Tłuczka.

Krasnoludowie ciągnęli rozmowę. Slith podczołgał się na brzuchu. Zauważywszy irlih'ka, wykonał gest dłonią, wzywając do siebie dowódcę batalionu. 47

Pełznąąc na brzuchu, posuwając się naprzód dzięki wbijaniu pazurów w ziemię i odpychaniu potężnymi tylnymi nogami i ogonem, irlih'k podczołgał się do sivaka. — Idziemy na piknik — mówił jeden z krasnoludów.

— To cholernie dziwne — szepnął Slith. — Jak sądzisz, co ci głupi krasnoludowie robią tu tak późno? Irlih'k potrząsnął głową.

— Wydaje mi się, że opuszczają miasto. Wszyscy mają plecaki. Myślisz, że nas zauważyli?

— Nie wiem — odparł zaniepokojony Slith. — Nie sądzę. Podnieśliby już alarm. Smokowcy

skulili się, czekali w pełnej napięcia ciszy.

Czterej krasnoludowie nawet nie rzucili okiem w kierunku smokowców. Pomachawszy strażnikowi na płocie, zniknęli w mroku.

— Wiesz co — stwierdził Slith. — Podejrzewam, że ci podstępni mali łajdacy mogą urządzić napad na nas! — Jak to? — irlih'k zmrużył oczy. — We czterech?

— Jasne. Krasnoludowie widzą dwa księżyce nie gorzej od nas. A jeśli myślą sobie, że my pomyśleliśmy, że to dobra pora na napad? Myśląc, że nas tam nie będzie, bo będziemy tutaj, krasnoludowie wykręcają nam numer i postanawiają pójść tam, ponieważ wiedzą, że nas nie ma. — Nic z tego nie rozumiem — stwierdził irlih'k.

— Nieistotne. Wezmę czterech chłopców i pójdę za nimi. Ty wracaj do roboty.

Irlh'k poczołgał się z powrotem do batalionu. Czterej smokowcy zerwali się na nogi i podbiegli do Slitha.

— Chodźcie ze mną — szepnął smokowiec do swojego oddziału. — Pierwszy, który choćby piśnie, poczuje mój nóż między żebrami. Zrozumiano?

Czterej żołnierze pokiwali głowami. Nie słyszeli prowadzonej szeptem rozmowy swoich dowódców i nie widzieli krasnoludów, nie mieli więc pojęcia, co się dzieje. Nauczono ich wszakże bezwzględności posłuszeństwa, a ponieważ znali Slitha od dawna, wiedzieli, że nie robi niczego bez powodu. 48

Sivak i jego żołnierze przemykali się chyłkiem w ciemności w tę samą stronę co krasnoludowie, na północ.

Za nimi rozległ się krzyk krasnoluda. Slith stanął i obejrzał się; smokowcy zostali zauważeni. Usłyszał bicie dzwonów w grodzie i rozkazy wydawane w językach krasnoludów i smokowców.

— Powodzenia, komendancie — rzekł cicho i ruszył ponownie w drogę.

Śledząc uciekinierów, Slith zastanawiał się, co knują. Teraz już było jasne, że nie idą do osady smokowców.

— Dlaczego tych czterech wybrało właśnie tę noc, żeby czmyhnąć z miasta? Boją się? Tchórze? — Slith potrząsnął głową. — Nie, krasnoludowie są hałaśliwi i paskudni, włochaci i kłótlivi. Ale jedno trzeba im przyznać, nigdy nie uciekają przed walką. Prawdę powiedziawszy — zamyślił się — przyjemnie jest mieć takich wrogów. Nie są tacy jak ludzie, którzy uważają, że cały sens bitwy tkwi w tym, żeby zabić nieprzyjaciela albo samemu polec. Dzięki Królowej Ciemności, krasnoludowie nie przypominają też elfów, którzy zanim zaborą się do zabijania, zawsze muszą o tym mówić, marnując czas na pertraktacje i wysyłanie posłów w tę i z powrotem tak długo, że z nudów można poderżnąć sobie gardło.

Krasnoludowie wiedzą, że nic tak nie rozgrzewa krwi i nie porusza starego serca jak dobra walka. Z rozbitą głową i zakrwawionym nosem krasnolud może położyć się wieczorem do łóżka z poczuciem dobrze wykonanej roboty. Zatem ci czterej nie uciekają przed bitwą.

„Wiem!” — powiedział w duchu Slith. — „Oni nie uciekają przed nami! Oni chcą uciec innym krasnoludom! A to dopiero. Ciekawe, dlaczego?”

Nie tylko całkiem dobrze widział uciekinierów w świetle księżycy, ale też czuł ich zapach. On i jego smokowcy wciąż szli ich śladem. Krasnoludowie dalej podążali na północ. Słyszeli odgłosy bitwy nie gorzej od smokowców, a jednak nie odwracali się, jakby w ogóle ich nie obchodziła. Smokowcy wciąż podążali za nimi w pewnej odległości. Szli tak przez noc, smokowcy cicho i ostrożnie, krasnoludowie wyciągając mocno nogi. Za ich plecami coraz głośniejszy był zgiełk bitwy. 49

Kang czołgał się przez leśne poszycie. Przestrzeń między rzadkimi drzewami porastały gęsto krzewy i pnącza. Za nim podążało siedemdziesięciu smokowców z drugiego batalionu. Dwa księżyce, srebrny i czerwony, które przypominały oczy nie do pary, przejęły obowiązki jednookiego słońca, jak gdyby na nocnej warcie potrzeba było dwojga oczu. Oba te księżyce, czerwona Lunitari i srebrny Solinari były poświęcone bogom magii. Lunitari była neutralną boginią i nie brała niczyjej strony podczas wojen na Krynnie. Solinari był oddany sprawie Paladine'a, swojego ojca, którego czcili przekłeci rycerze solamnijscy.

Kang cieszył się, że jak na ironię, jasna poświata tych dwóch księżyców padała na drogę jego wrogów. Księżyc, który Kang znał i tylko on widział, czarny Nuitari, w ogóle nie dawał światła. Syn Królowej Ciemności udzielał magicznym mocom Kanga niewidzialnego błogosławieństwa. Kang wezwał gestem Glotha, który czał się w zaroślach z tyłu.

— Zaczekamy na tej polanie przed nami. Znajdź Yethika i przyprowadź go do mnie. Powinien już czatować w ukryciu razem z wozem.

Na południe od osady rósł mały laszek. Yethik miał rozkaz ulokować tam wóz i poczekać, aż smokowcy rozpoczną natarcie. Po zajęciu gorzelni miał wjechać do grodu, żeby załadować na wóz beczki z krasnoludzkim spirytusem.

— Tak jest, panie pułkowniku. — burknął Gloth urażonym tonem. Wciąż był zły, że zmuszono go do czekania w odwodzie.

Kang wypełził na trawę i patrzył na przebiegających obok żołnierzy, rzekę ciemnych, skrzydlatych sylwetek w poświacie księżycy. Każdy zajął pozycję obronną po drugiej stronie polany. Od równiny dzieliło ją tylko wąskie pasmo drzew. Mniej niż tysiąc stóp dalej, na otwartej przestrzeni, rozciągał się Celebun-din, osada krasnoludów.

Smokowcy byli karni i zachowywali się cicho. Nie prowadzili niepotrzebnych rozmów — Slith już tego dopilnował. Zbroje owinęli tkaninami i wygłuszili. Gloth wrócił z Yethikiem. 50

— Nie mieliśmy żadnych problemów z wjechaniem do lasu, panie pułkowniku. Na warcie stało dwóch krasnoludów — chyba się wreszcie domyślili, że te krzaki są świetną kryjówką. Dla towarzystwa zabrali jednak ze sobą garniec orzechowego piwa. Zanim dojechaliśmy, obaj chrapali tak głośno, że słyszeć ich było z daleka. Związaliśmy ich, zanim się zbudzili!

Kang parsknął śmiechem. Podejrzewał, że krasnoludowie wystawią tej nocy straż, w końcu znali fazy księżyców nie gorzej od smokowców. Przyjemnie było ich przechytrzyć. To dobra wróżba dla wypadu.

Czekał z niepokojem, aż drugi batalion ruszy do natarcia. Wydawało mu się, że się spóźniają, i zaczynał się już martwić, kiedy wszyscy trzej zobaczyli, że z prawej strony coś się poruszyło. — Już idą! — zawołał podniecony Gloth.

Smokowcy, których zbroje lśniły czerwono w świetle Lunitari, biegli przez równinę. Nagle szpaler żołnierzy z drugiego batalionu zatrzymał się i padł na wyschniętą trawę. Gloth syknął przez zęby.

— Na naszą Królową, co im do łbów strzeliło, żeby stawać na otwartej przestrzeni? Kang pokręcił głową. — Nie mam zielonego pojęcia. Patrz! Kilku znów biegnie. Grupa pięciu smokowców zerwała się na nogi i pognąła na północ, oddalając się od grodu. Wydawało mu się, że na jej czele widział Slitha. Po chwili znikli mu z oczu. Nie mógł wyjść ze zdumienia. Gloth syczał jak gotujący się czajnik.

— Panie pułkowniku, proszę mi pozwolić pójść za nimi! Drugi batalion już spaprał zadanie! Mogłbym...

Przerwał mu jakiś szelest. Obejrząwszy się, Kang zauważył, że drugi batalion znów ruszył.

Podeszli na pięćset stóp do osady, zanim z najbliższej wieży strażniczej dobiegł ostrzegawczy krzyk.

— Tempo! Tempo! Tempo! — poganiał żołnierzy Kang, chociaż znajdowali się zbyt daleko, żeby mogli go usłyszeć.

Irlih'k, dowódca drugiego batalionu, wydał okrzyk bojowy i cały oddział powtórzył go jak echo. Ruszyli do ataku. 51

Niestety, krasnoludowie czekali na nich. Teraz Kang już wiedział, dlaczego jego żołnierze się zatrzymali. Z osady wybiegło pięćdziesięciu krasnoludów, próbując zatrzymać nieprzyjaciół przed dotarciem do celu. Gloth podskakiwał z podniecenia. Yethik wskazał na niego palcem.

— Pułkowniku Kang, niech pan wyśle do ataku pierwszy batalion. Gloth zaraz pęknie, jeśli pan tego nie zrobi, a drugiemu najwyraźniej przydałaby się pomoc.

Drugi batalion zderzył się z krasnoludami z pełnym impetem. Dały się słyszeć łomoty i brzęki, krzyki, wrzaski i przekleństwa w dwóch językach. Krasnoludowie ponosili ciężkie straty, ale smokowcy utknęli w miejscu, przynajmniej chwilowo.

Gloth drżał jak strzała wbita w pień drzewa. Kang zastanowił się nad radą Yethika. Trzeba było koniecznie pokonać krasnoludów, zanim zdołają zorganizować skuteczną obronę. — Dobrze, idźcie — powiedział. Gloth machnął ogonem z radości. — Wstawać, chłopcy! Wkraczamy do akcji! Ruszamy! Pierwszy batalion wyłonił się z leśnego poszycia. Rozrodzani żołnierze pognali naprzód, wznosząc bojowe okrzyki.

Nawet z oddali Kang spostrzegł, że krasnoludowie byli zaskoczeni. Niejeden zatrzymał się i rozglądał, próbując stwierdzić, skąd nadciąga nowe zagrożenie. Żołnierze irlih'ka wykorzystali chwilę nieuwagi krasnoludów i rzucili się do natarcia. Ich siły jednak były osłabione. Mniej niż czterdziestu smokowców z drugiego batalionu ruszyło do ataku. Reszta albo walczyła, albo leżała na ziemi, wykluczona z gry.

— Na pewno nie chce pan, żebyśmy się przyłączyli do nich? — spytał Yethik, nie ukrywając chęci rzucenia się w wir walki.

— Nie, tę potyczkę możemy przeczekać. Jeśli wpadną w tarapaty, wtedy zrobię, co do mnie należy. Nie zaszkodzi, jeśli od czasu do czasu będą zdani na własne siły. To wyrabia charakter. Yethik sprawiał wrażenie zaskoczonego i spojrzał na Kanga, 52

żeby się upewnić, czy dowódca nie postradał zmysłów. Kang się uśmiechnął. Yethik, zdając sobie sprawę, że to żart, również się uśmiechnął.

Nie na długo. Nocne niebo nad Celebundinem niespodziewanie rozjaśnił niezwykle, magiczny blask. Kang rozpoznał czar „światło”.

— Psiakrew! — tylko tyle powiedział. Natychmiast zerwał się i popędził do grodu krasnoludów, wrywając pazurami kępy suchej trawy na spalonym słońcem polu.

Kiedy dotarł do osady, zastał ulice opustoszałe. Zwolnił kroku, złapał oddech i zachodził w głowę, gdzie się podziało jego wojsko. Z pobliskiego drzewa zeskoczył jakiś ciemny kształt, rozpostarł skrzydła i wylądował obok niego. — Gloth wysłał mnie, żebym pana znalazł. — Co tu się dzieje? — spytał Kang. — Gdzie są wszyscy?

— Krasnoludowie zamknęli się magazynie gorzelnii, panie pułkowniku. Drugi batalion ich otoczył. Pierwszy batalion broni drogi do środka osady, gdzie zbiera się duża grupa krasnoludów.

— Dlaczego się zatrzymaliście? Niech drugi batalion weźmie ten cholerny magazyn szturmem!

— Jest pewien problem, panie pułkowniku — mówił przepaszającym tonem baaz. — Krasnoludowie zamknęli wrota do szopy i grożą, że prędzej wyleją spirytus, niż go nam oddadzą.

— Na serce Królowej Ciemności! — zaklął wstrząśnięty Kang. — Mówią poważnie?

— Musimy założyć, że tak. — Smokowiec miał zaniepokojoną minę i nie było w tym niczego

dziwnego.

Kang pobiegł, żeby ocenić sytuację. Kiedy przybył na miejsce, smokowcy syczeli, wyli i uderzali mieczami o napierśniki. W obliczu groźby rozbicia beczek ze spirytusem gotowi byli zapomnieć o zakazie rozlewu krwi.

— Co to ma znaczyć? — zagrzemiał gniewnie Kang. — Jesteście żołnierzami, nie bandą tępych goblinów! Schować miecze!

— Ależ, panie pułkowniku! — W czerwonych oczach nadbiegającego Glotha płonął ogień. — Panie pułkowniku, oni grożą, że wyleją spirytus! 53

—? Właśnie! — dobiegł gruby głos z okna składu. — Zbliżcie się tylko, a wybijemy szpunty! Złożyliśmy przysięgę. Jestem Vellmer gorzelnik i póki mam zarost na podbródku, nie oddam wam mojego najlepszego trunku, wy jaszczurcze bękarty!

— Myślę, że blefujesz! — odkrzyknął Kang w języku krasnoludów. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat nauczył się niezłe nim władać. — Naprzód. Smokowcy ruszyli do ataku. — Tak? To jest blef?

Na dachu pojawił się krasnolud toczący beczkę. W blasku srebrnej poświaty Solinari wznosił siekiere i spuścił ją, miażdżąc klepki. Struga płynu chlusnęła z gulgotem na ziemię. Smokowcy jęknęli i stanęli jak wryci. Przeszedł po nich szmer westchnienia, jakby wiatr przeleciał.

— Musi pan temu zapobiec, panie pułkowniku! — krzyknął z udręką Gloth. — Tak zrobię — odparł Kang. — Odsuńcie się. Unosząc ręce, nakreślił w powietrzu przepisowe koła i linie i wymamrotał tajemne słowa. Gloth niecierpliwie czekał, aż stanie się coś widowiskowego — może przyleci czerwony smok i porwie krasnoludów. Nic się nie stało. Nie było ani smoka, ani niczego innego.

— Panie pułkowniku, pańskie zaklęcie musiało nie wypalić — rzekł rozczarowanym, lecz pełnym szacunku tonem. — Zaczekaj — poradził Kang.

Nagle z szopy dobiegły odgłosy rozpaczliwej szamotaniny. Chwilę później drzwi otworzyły się na oścież. Wypadli stamtąd krasnoludowie, biegnąc co sił w nogach. Sapali i krztusili się, nosy i usta zakrywali chusteczkami. Kilku stanęło, zgięło się w pół i zaczęło wymiotować.

— Puśćcie ich — rozkazał Kang. — Oni nie są ważni. Wiecie, co robić.

Smokowcy już byli w drodze. Nie zwracając uwagi na miotanych rozpaczliwymi torsjami krasnoludów, wpadli do szopy, żeby zakorkować beczki i wynieść łupy. Jednak pierwszy smokowiec, który wbiegł do środka, wybiegł prawie równie szybko co krasnoludowie. — Faj! Co za straszny smród! — Gloth parsknął i kichał. — Poczekaj minutę — rzekł jego dowódca.

Odór już zaczynał się ulatniać z magazynu. Kang kaszlnął i zrobił kilka kroków, żeby stanąć od zawietrznej. — Jak się nazywa to zaklęcie? — Gloth był pod wrażeniem.

— Śmierdząca chmura — odparł Kang, dobitnie wymawiając słowa.

Wprawdzie był zręcznym szermierzem i lubił zorganizowany, brutalny nieład bezpardonowej walki, jednak odczuwał głęboką satysfakcję z posługiwania się czarami. Kiedyś sądził, że lubi magię za to, że dawała mu poczucie władzy. Ostatnio jednak zmienił zdanie. Jako dowódca decydował o życiu i śmierci wszystkich swoich żołnierzy, z magią czy bez niej. Magia pozwalała mu tworzyć — nawet jeśli jego dziełem był tylko obrzydliwy smród. A tworzenie dawało mu teraz nieporównanie większą satysfakcję niż niszczenie.

— Co mi to przypomina? — mruknął Gloth, marszcząc czoło w zamyśleniu. — Wiem, że już czułem kiedyś taki zapach. Krowie łajno wymieszane z rzygami i kwaśnymi jabłkami... Chwileczkę! Już mam na końcu języka...

— Pamiętacie tego stukniętego minotaura, pod którego komendą służyliśmy pod koniec Wojny

Lancy? — spytał Kang, odchylając się do tyłu i na chwilę podpierając ogromnym ogonem. — Tego, który robił, co mógł, żeby nas wszystkich pozabi- jać? Tego, który na szczęście dla nas tak źle skończył? Tego, który spił się mocnym jabłecznikiem... — Właśnie! — krzyknął Gloth.

Smokowcy znów podeszli do opuszczonego magazynu. Kang poszedł z nimi, wstrzymując oddech przy wchodzeniu do środka. Fetor już się ulatniał, jednak przypuszczał, że przed upływem kilku dni w budynku nie sposób będzie dłużej wysiedzieć.

Smokowcy pracowali szybko, ponieważ nikt nie miał ochoty zostawać w pobliżu dłużej, niż to było konieczne. Zniszczono tylko jedną z wielkich beczek, tą, którą krasnoludowie wciągnęli 55 na dach. Reszta była cała, bezpieczna i wciąż zaszpuntowana. Smokowcy wzięli ciężkie drewniane antałki na plecy i pobiegli na skraj osady, gdzie czekał wóz Yethika.

— Nadchodzą! — zawołał dowódca pierwszego batalionu, który bronił drogi. Kang wybiegł z magazynu. — Słyszeliście! Brać, co się da, i w nogi! — krzyknął. Lawina rozjuszonych krasnoludów zderzyła się z pierwszym szeregiem żołnierzy i przeszła po nim. Wprawdzie smokowcy byli wyżsi i ważyli więcej niż przeciwnicy, ci jednak znajdowali się bliżej ziemi i dzięki swemu nisko położonemu środkowi ciężkości oraz krępej budowie ciała podcięli smokowcom nogi z siłą gładów toczących się z górskiego stoku. Grzmocili nieprzy- jaciół pięściami i pałkami, miotłami i styliskami siekier. W do- datku z bocznych ulic nadciągało ich coraz więcej. Smokowcy cofali się najszybciej, jak mogli, zabierając, co mogli.

Kiedy tylko Kang zobaczył, że żołnierze z drugiego batalionu zniknęli bezpiecznie wśród drzew, rozkazał pierwszemu batalio- nowi gnać co sił w nogach. — Pilnujcie spirytusu! — zawołał.

Chwytając rannych i zrzucając ich sobie na plecy albo ciągnąc za nogi, pobiegli do wozów. Kilku krasnoludów — wśród nich rozjuszony gorzelnik Vellmer — miało najwyraźniej ochotę ruszyć w pościg, ale stary, siwy, wyprostowany weteran przejął dowodzenie i zatrzymał ich na skraju lasu. Kang poznał, że był to generał krasnoludów.

Niewątpliwie zdając sobie sprawę, że kolejni smokowcy czekają w zasadzce wśród drzew, generał uznał, że dość już ponieśli strat. Najeźdźcy zostali przegnani. Nie zamierzał kusić losu. Na jego rozkaz dwóch krasnoludów chwyciło klnącego mistrza pod pachy i odciągnęło do tyłu, chociaż wierzgał nogami i przysięgał, że dopilnuje, żeby wszyscy smokowcy smażyli się w kuchni Reorxa.

Wybiegając z miasta, Kang zasalutował generałowi. Krasno- lud zrewanżował mu się nieprzyzwoitym gestem i tak zakończył się kolejny najazd. 56

Po dotarciu do wozu Kang objął dowodzenie. — Świetna robota, chłopcy! Zawieźmy teraz łupy do domu. Obserwując odjeżdżający wóz, zdał sobie sprawę, że kogoś brakuje. Skinął na irlih'ka.

— Gdzie jest, do licha, Slith? Nie widziałem go przez całą bitwę. Irlih'k wzruszył ramionami.

— W drodze do osady spostrzegliśmy grupę czterech kras- noludów, którzy ją opuszczali. Sądziliśmy, że nas zauważyli.

— Aha, to dlatego z początku rozkazałeś oddziałowi się zatrzymać. Zastanawiałem się, co się dzieje.

— Właśnie to, panie pułkowniku. Krasnoludowie poszli jed- nak dalej. Slith myślał, że coś knują, może szykują niespodzie- wany napad na naszą osadę. Wziął drużynę i poszedł za nimi.

— Tylko czterech? — Kang potrząsnął głową. To nie było logiczne. Potem przypomniał sobie wypadek z kufrem i skradzio- nym świętym symbolem. Przed oczami nagle stanęli mu krasnolu- dowie, którzy przetrząsali wszystkie rzeczy smokowców jak banda wstrętnych, małych kenderów. Dreszcz obrzydzenia przebiegł mu po plecach od ogona aż do pyska. Cieszył się, że Slith przejął inicjatywę i ruszył w pościg za tymi nikczemnymi złodziejami.

Krasnoludowie zaprzędali się złu. Cóż za smutny obrót spra- wy. Najwyraźniej nikomu już nie

można ufać w dzisiejszych czasach, pomyślał Kang, biegnąc obok wozu i zastanawiając się, do czego ten świat zmierza. Rozdział 9

Slith i jego żołnierze tropili krasnoludów do późnej nocy. Właściwie nie było potrzeby ich śledzić. Nie zamierzali napaść na gród smokowców. Do tego czasu jednak sivaka ogarnęła ogromna ciekawość.

Poza tym, nie zwykł przepuszczać żadnej okazji, a miał niejasne wrażenie, że tym razem będzie można skorzystać. Za- 57

zwyczaj krasnoludowie nie wkładają tyle wysiłku w przedsię- wzięcie, jeśli nie spodziewają się czegoś na tym zyskać.

Pierwsze promienie słońca oblały czerwienią szczyty gór. Kras- noludowie dotarli do przełęczy. Ich przywódca, chuderlawy mło- dzieniec z rzadką brodą, zarządził postój. Wędrowcy, jak gdyby nigdy nic, wyciągnęli jedzenie z plecaków i zasiedli do śniadania. Slith i jego drużyna zaszyli się w krzakach i obserwowali.

Sivak podsłuchiwał krasnoludów, ale nie mając talentu do języków, nie rozumiał połowy tego, o czym była mowa. To, co udało mu się wychwycić, umocniło go tylko w chęci dowiedzenia się, dokąd szli. Usłyszał kilkakrotnie słowo, które w języku krasnoludów oznaczało „łupy”.

Gdyby śledzeni byli ludźmi, owinęliby się teraz kocami i po- szli spać. Krasnoludowie mieli jednak więcej sił i wytrzymałości i Slith wcale się nie zdziwił, widząc, jak otrzepują okruchy z bród i szykują do dalszej drogi. Wyjęli z plecaków liny, opasali się nimi, a potem przywiązali jeden do drugiego. Kiedy skończyli, ruszyli przez wąską przełęcz. Po chwili zniknęli mu z oczu. Slith dał znak ręką. Podczołgał się kapral Vruss. — Słucham, panie podpułkowniku.

— Wróćcie z resztą oddziału i zameldujecie o wszystkim pułkownikowi Kangowi. Powiedźcie mu, że nie będzie mnie kilka dni — rozkazał Slith.

— Nie możemy pana zostawić samego! — zaprotestował Vruss.

— Za kogo mnie bierzecie? — zachnął się Slith. — Za jakąś wiotką elfią panienkę? Potrafię dać sobie radę. Szybciej i ciszej będę śledził krasnoludów w pojedynkę. Idźcie już i zameldujcie się u pułkownika.

Vruss pokiwał głową i wycofał się z krzaków. Dał znak pozostałym, żeby poszli za nim. Po chwili znikli z oczu, wracając na południe.

Dzięki pazurom na dłoniach i stopach Slithowi łatwo było przejść przez przełęcz pod Celebundem. Jeśli perć okazywała się zbyt groźna, przelatywał nad trudnymi odcinkami drogi. Najwięk- 58

szy kłopot sprawiało mu trzymanie się z tyłu za krasnoludami i nie wyprzedzanie ich. Jego zwierzyna była łatwa do tropienia.

Chodzenie ukradkiem nie jest najmocniejszą stroną krasno- ludów i kiedy próbują zachować ciszę, robią więcej hałasu niż pułk rycerzy solamijskich na paradzie. Ci nie mieli zielonego pojęcia, że są śledzeni, i tupali, krzyczeli, klęli i pobrzękiwali przez całą drogę w dół stoku.

Po zejściu w dolinę między Celebundem i Bletheronem Slith cofnął się znów ze świtu w noc. Wysokie zbocza zasłaniały słońce, a w samej kotlinie cień i chłód panowały do późnego poranka. Wkrótce miało się to jednak zmienić. Kiedy słońce wyrzało zza skał i zalało dolinę, Slith schował się w rozpadlinie. Krasnoludo- wie — niecały tysiąc jardów przed nim — przeciągnęli się, stanęli i rzucili okiem wokół, rozkoszując się ciepłem słońca.

Slith znów usłyszał strzępy rozmowy i dokładał wszelkich starań, żeby zgadnąć, o czym mówiono. Żałował, że nie ma z nim Kanga. Jego dowódca miał nieprzeciętny talent do obcych języków.

Rozpoznał słowo, które w mowie krasnoludów znaczyło „słońce”, zrozumiał „krasnolud górski” i wydawało mu się, że usłyszał „nienawiść”, ale na tym koniec.

Potem wiatr zmienił kierunek i Slith niczego już więcej nie dosłyszał. O czymkolwiek toczyła się rozmowa, temat nie sprawał wrażenia ważnego. Nie było więcej mowy o łupach. Po krótkim odpoczynku i ugaszeniu pragnienia krasnoludowie zarzucili plecaki na plecy i ponownie ruszyli na północ.

Było już dobrze po południu, kiedy zaczęli przechodzić między górami Bletheron i Prenechial. Slith znów się zatrzymał, żeby puścić ich przodem. Odczuwał już dotkliwy głód. Nie zabrał prowiantu, nie przypuszczając, że zostanie w terenie tak długo. Ze skały tryskało źródło. Kiedy tylko krasnoludowie znikli z pola widzenia, nachylił się i pił długo, mając nadzieję, że woda w żołądku zabije głód.

Przez chwilę szukał wzrokiem ryb, ale żadnej nie zobaczył. Nie mógł czekać przez cały poranek, aż jakaś się pojawi.

Pół godziny później, starając się nie myśleć o jedzeniu, szedł drugą przełęczą. Ścieżkę, która prowadziła wzdłuż stoku Prene-

chiala, wykuto w górskim zboczu. Po lewej stronie znajdowała się olbrzymia ściana z litego granitu, po prawej przepaść głęboka na pięćdziesiąt stóp lub więcej. Perć była tak wąska, że mogła iść nią tylko jedna osoba. Slith musiał stąpać ostrożnie, żeby nie stracić jakiegoś kamienia i nie zdradzić swej obecności.

Tylko raz zobaczył krasnoludów. Byli daleko przed nim, wciąż powiązani liną.

Zanim się Slith obejrzał, zapadła noc. Patrząc pod nogi, nie zwracał uwagi na położenie słońca. Kiedy znikło za szczytem góry, dolina pogrążyła się w głębokim mroku. Do przejścia zostało mu tylko kilka tysięcy stóp, przynajmniej tak sądził po łące, którą widział po drugiej stronie przełęczy. W ciemności jednak musiał zwolnić kroku, żeby się nie poślizgnąć. Rozważał myśl o wzbiciu się w powietrze, ale po ciemku mógł przelecieć nad krasnoludami, a oni z całą pewnością posłyszeliby łopot skrzydeł.

Wreszcie stanął stopami na chłodnej trawie, nie twardej skale. Miał już zamiar wydać westchnienie ulgi, gdy wyszedł zza głazu i zamiast wypuścić powietrze z płuc, wciągnął je przez zęby.

Jakieś dziesięć jardów od niego płonęło ognisko. Czterech krasnoludów rozkładało obóz, piekło króliki, które udało im się złowić w sidła, i rozścielało sobie posłania. Gdyby któryś spojrział w jego kierunku, zauważyłby go niechybnie. Żaden jednak nie rzucił okiem w jego stronę. Powoli, ostrożnie Slith cofnął się w mrok.



# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Krasnoludowie prowadzili ożywioną rozmowę, z której siwak rozumiał mniej więcej co dwudzieste słowo. — Poślizgnął się...spadł. — Grzbiet Helefundis...wiatr. Niebezpieczeństwo. Znów rozmowa, potem: — „Szyb kopalni” i „Thorbardin”, i „jutro”. Łupy. Thorbardin. Więc taki mieli plan.

Slith przyczał się w ciemności. Wąchanie pieczonego króli-ka, patrzanie, jak krasnoludowie jedzą, jak oblizują ciekący sok i delektują się każdym kąskiem, było najgorszą torturą, jaką smokowiec wycierpiał w swoim życiu. 60

Dwie godziny później krasnoludowie położyli się spać. Wkrótce echo ich chrapania odbijało się od zbocza góry.

Slith zastanowił się, co robić. Jedzenia potrzebował teraz, odpoczynku będzie potrzebował później. Znajdował się sam na terytorium wroga i pomimo zawadiackiego tonu, jakim rozmawiał z Vrussem, doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Nie ze strony tych krasnoludów, ale patroli, które czasami wychodziły z Thorbardinu. W górach żyli też ogrowie. Wprawdzie podczas ostatniej wojny walczyli po tej samej stronie co smokowcy, nie darzyli ich jednak sympatią. Ogrowie nie darzyli sympatią nikogo, z wyjątkiem być może innych ogrów.

Przynajmniej teraz Slith znał odpowiedź na swoje pytania. Jego ciekawość została zaspokojona. A co do zysków, to chociaż wracał z wyprawy z pustymi rękami, zdobyte informacje mogą się później okazać cenne.

Kiedy zaczął sobie wyobrażać, jak chuderlawy krasnolud o kłaczastej brodzie piecze się na wolnym ogniu, zawrócił i ruszył w stronę domu. Rozdział 10

Czterej krasnoludowie wstali i wyruszyli w drogę przed świtem. Trudną, niebezpieczną część podróży mieli już za sobą. Dotarli do uczęszczanej ścieżki, zapewne wydeptanej przez myśliwych z Thorbardinu, która wiodła na dół.

Droga była łatwa, nie musieli się nawet związywać liną. Moździerz, który dotychczas zawzięcie i denerwująco twierdził, jakoby miał przedziwne wrażenie, że są śledzeni, tego ranka oznajmił, że odczucie minęło. Gdyby nie potworny upał, z powodu którego wydawało im się, że znajdują się w rozpalonym piecu, a nie kanionie, ta część podróży nawet podobałaby się krasnoludom.

Wreszcie Selquist, który szedł pierwszy, wspinał się na duży, płaski głaz. Gestem wezwał pozostałych. Krasnoludowie wgramolili się za nim na skałę.

— O co chodzi? — spytał Świder.

— Oto legendarne wrota Thorbardinu — rzekł Selquist, wskazując ręką. — Dokładniej rzecz biorąc, Południowa Brama. — Gdzie? — zaciekawiał się Tłuczek. — Tam. Tuż przed twoim nosem. — Nie widzę niczego oprócz góry — narzekał Świder. — Tam są wrota. Zaufajcie mi. — Jak wyglądają?

— Jak wrota — uciał Selquist. — No, to już je widzieliście. Idziemy. — Zaczął schodzić ze skały. Pozostali wciąż stali na głazie i wyteżali wzrok.

— Wielka Południowa Brama jest w rzeczywistości częścią ściany góry — wyjaśnił roztropnie Moździerz. — To gigantyczny kamienny korek, który poruszają koła obracane wodą. Kiedy tkwi na swoim miejscu, jest nie do odróżnienia od górskiego zbocza.

— Bardzo chciałbym to zobaczyć! — powiedział z zapalem Świder. — Ja też! — powtórzył jak echo Tłuczek.

— Nic z tego — oznajmił Selquist. — Przykro mi, ale to nam nie po drodze. Chodźcie za mną.

Zeskoczywszy ze skały, zszedł ze ścieżki i wyruszył w zupełnie nowym kierunku. Trzej krasnoludowie podreptali za nim, teraz ze zdecydowaniem większym entuzjazmem.

Żaden z nich nie widział przedtem Thorbardinu. Twierdza ta była częścią legend i nauk, zazwyczaj podawanych z gorzkim sosem. Teraz stała się rzeczywistością i żadna legenda nie przygotowała ich na coś tak wspaniałego i widowiskowego jak widok bramy, która zajmowała całe górskie zbocze.

— W środku są wybudowane całe miasta, większe od Palant-has — ciągnął swój wykład Moździerz. — No i jeszcze Życio-drzewo Hylarów. Olbrzymi stalaktyt, wysoki na dwadzieścia osiem pięt, w którym mieści się centralne miasto Thorbardinu. Do Życiodrzewa można dotrzeć łodzią holowaną na linach...

— Och, dałbyś już spokój — warknął poirytowany Selquist, zastanawiając się, po co zabrał takiego mądralę. — To tylko 62

dziura w ziemi. Thorbardin nigdy nie był i nie będzie niczym więcej. Zamknij dziób i chodź wreszcie.

— Spotkałem kiedyś krasnoluda z Thorbardinu — rzekł Świder z cichą dumą. — Naprawdę? Jacy oni są? — spytał Moździerz.

— Ten uważał, że ma brodę dłuższą niż wszyscy inni — odparł Świder. — Stale nazywał mnie „leśnym ludkiem” i twierdził, że nie rozumie, co do niego mówię, chociaż mówiłem po krasnoludzku nie gorzej od niego. — Niż on — poprawił Moździerz.

— Mówiłem przecież, że to był on. Nie spotkałem nigdy kobiety.

— Nie w tym rzecz, prawidłowe gramatycznie wyrażenie brzmi: „nie gorzej niż on”. — Jaki on? — Świder był kompletnie zdezorientowany. — Nieważne! — krzyknął Selquist.

Pozostali trzej umilkli. Szli przez jakiś czas i wkrótce zabrnęli w ślepą uliczkę. Drogę zagroziła im ściana skał obrosnięta krzakami, których długie, cienkie gałęzie najeżone były cierniami o bardzo nieprzyjemnym wyglądzie.

— To tutaj — oznajmił Selquist, sprawiając wrażenie niezmiernie zadowolonego z siebie. — Co tutaj? — spytał Świder.

— Kolejna brama? — Tłuczek wlepił w ścianę wybałuszone oczy, jak gdyby oczekiwał, że lada moment skała się rozstąpi.

— Szyb wentylacyjny — powiedział Selquist. — Jest tam. Za tymi krzakami.

Krasnoludowie spojrzeli na cierniste zarośla i entuzjazm, jakim pałali do przedsięwzięcia, natychmiast prysnął. — Dlaczego on musi być tam? — narzekał Świder. — A gdzie indziej miałby być? — spytał Selquist.

— W jakimś dostępniejszym miejscu. Te kolce wyglądają na ostre.

— Bo są ostre. I całe szczęście. Jak myślicie, dlaczego tak długo szyb pozostawał ukryty? Gdyby krasnoludowie z Thorbar-

63  
dinu wiedzieli o jego istnieniu, zasypaliby go jak wszystkie pozostałe — tłumaczył Selquist.

— Może go nie zasypali, bo sądzili, że nikt nie będzie tak głupi, żeby włożyć głowę naprzód w cierniste krzewy — mruknął pod nosem Moździerz do brata.

Selquist uchwycił uchem komentarz, ale udawał, że go nie słyszy. Teraz już definitywnie podjął decyzję. Następnym razem Moździerz zostaje w domu.

Tłuczek wyjął siekiere, przygotował się do boju. Selquist go zatrzymał.

— Wykluczone. Żadnego rąbania. Musimy zostawić wszystko tak, jak było poprzednio, inaczej Hylarowie się zorientują, że tu byliśmy.

— No to jak, do jasnej cholery, mamy tamtędy przejść? — warknął Tłuczek.

— Mnie się udało — rzekł chłodno Selquist. — Musicie tylko trochę uważać i nie przejmować się kilkoma zadrapaniami.

Selquist nałożył parę grubych rękawic, mocno przydepnął najniższą gałąź ciernistego krzewu, prawą ręką podniósł drugą i wszedł do środka. Podrapał sobie kolcami twarz, ale przezornie stłumił syk bólu, żeby nie odbierać ducha swojej drużynie. Zrobił kolejny krok naprzód, tratując konary i rozsuwając splecione bady- le dłońmi w rękawicach. Kilka stóp dalej już widział wywietrznik. — Za mną — rozkazał.

— Naprawdę zaczynam mieć dość słuchania tych słów — poskarżył się bratu Tłuczek.

— Widzicie. To nic trudnego. — Selquist odwrócił się do przyjaciół, którzy głośno krzyczeli i klęli.

Teraz zrozumiał, dlaczego. Selquist o wyliniaty włosach i rzadkim zaroście przebył gęszcz stosunkowo łatwo. Jego kompani mieli długie, gęste brody i bujne, kędzierzawe czupryny, które zaczepiały się o wielkie ciernie i mocno w nie wplątały. Wyglądało na to, że utkną tam na zawsze, jeśli nikt nie przyjdzie im z pomocą.

— Czy wy nie umiecie niczego zrobić jak należy? — spytał z irytacją Selquist. 64

Trzy pary oczu spojrzały na niego wściekle z twarzy ociekających krwią. Zazgrzytały zęby i z trzech ust padły niezbyt uprzejme słowa o jego matce.

Westchnawszy pobłażliwie, Selquist wyciągnął nóż i zagłębił się ponownie w kolczastych zaroślach. — Podobno mieliśmy ich nie ciąć—przypomniał mu Tłuczek.

— Nie będę — rzekł chłodno Selquist i zaczął mu strzyc brodę.

— Nie! Nie rób tego! — zaprotestował gwałtownie Tłuczek. Broda krasnoluda jest przedmiotem jego dumy, jego radością. Wolałby raczej dać sobie obciąć inne ważne części ciała.

— Jak chcesz! Zostań tu. Czekaj, aż przyjdą prusiki, żeby cię zjeść.

Tłuczek spokorniał i pozwolił towarzyszowi się uwolnić. Kiedy w końcu wydostał się z krzaków i zobaczył pasma swoich brązowych włosów zwisające żałośnie z cierni, musiał zasłonić oczy i ukryć łzy.

Selquist wziął w obroty następnych dwóch i wreszcie ostrzyżeni, podrapani, zziązani, spoceni i rozdrażnieni krasnoludowie stanęli przy szybie wentylacyjnym. — Chodźcie, chłopaki — machnął ręką. — Za mną... Tłuczek złapał Selquista za ramię i obrócił go szarpnięciem.

— Jeśli jeszcze raz powiesz „za mną”, będą to twoje ostatnie słowa. Urażony krasnolud strącił jego dłoń z ramienia.

— Ja pójdę pierwszy — rzekł chłodno. — Wy możecie iść albo nie, jak chcecie. Chciałbym jednak zauważyć, że na dole jest więcej zimnego piwa niż tu na górze.

— On ma rację — przyznał Moździerz. Od szarpania się z kolczastym krzewem strasznie zaschło mu w gardle.

Selquist wszedł do otworu powietrznego. Pozostali poszli w jego ślady. Przewód wentylacyjny był w gruncie rzeczy studnią wykutą w zboczu góry. Nie tylko dostarczał światła i powietrza robotnikom na dole, ale także spełniał rolę szybu ratunkowego na wypadek, gdyby w kopalni doszło do tąpnięcia. W gładkich ścianach szybu znajdowały się stopnie i haki do przywiązywania lin. 65

Selquist umocował koniec swojego sznura do haka i krasnoludowie weszli do otworu. Zaczęli opuszczać się w głąb szybu, bacznie wypatrując prusików. Temperatura pod ziemią była znacznie niższa niż na jej spieczonym słońcem powierzchni.

Uszli jakieś dwieście stóp, kiedy szyb się skończył. Według Selquista poniżej był tunel. Reszta krasnoludów musiała uwierzyć mu na słowo. Z początku szyb wpuszczał trochę światła, które jednak tak głęboko nie docierało. Krasnoludów otaczała ciemność. Widzieli w niej tylko siebie

nawzajem, a właściwie lekką, czerwoną poświatę, jaką promieniowały ich ciepłe ciała.

— Nie czuję podłoża! — zawołał Świder. Siedział na wąskiej półce, zwieszając nogi. — Lina nie sięgnie dalej — zameldował Tłuczek. — Nieważne — odparł Selquist. — Będziemy skakać. — Jak daleko? — spytał zaniepokojony Moździerz. — Niedaleko.

Selquist z drżeniem serca przypomniał sobie, jak pierwszy raz pokonał tę drogę. Po dotarciu do tego miejsca zmuszony był skoczyć, poniekąd na wiarę, w ciemną otchłań. Zabrał ze sobą latarnię, ale jej światło nie sięgało daleko. Z mapy wynikało, że przewód wentylacyjny kończy się nad tunelem. Selquist mógł tylko mieć nadzieję, że kartograf był rzetelnym rzemieślnikiem i że podłoga korytarza nie zawaliła się w czasie któregoś z małych trzęsień ziemi, od których czasami grzechotały talerze w Thorbardinie.

Selquist nie należał do tych, którzy pozwoliliby, żeby tak błahe uczucie jak strach stało między nim a zyskiem, ale przez kilka przykrych chwil kulił się na końcu kanału wentylacyjnego i zbierał się na odwagę, żeby skoczyć w przepaść. Oczywiście zrobił to i stwierdził, że od podłogi tunelu dzieliło go tylko jakieś sześć stóp. Teraz bez obawy wisiał na ostatnim występie i wypuściwszy go z rąk, wylądował lekko na ziemi. Tłuczek został w szybie, spoglądając z góry na swego wodza.

— Zaczekaj! Zapalę latarnię, żebyś widział, gdzie skaczesz — powiedział Selquist, obawiając się, że kolega wyląduje prosto na nim. Zdjął plecak i poszukał po omacku latarni i krzesiwa. Trzyśmięć kilka iskier i latarnia już się paliła. Pozostali krasnoludowie wypadli z szybu. Kiedy już się pozbierali i otrzepali z kurzu, powiedli wokół zaciekawionym wzrokiem. Wszystkim znacznie poprawiły się humory. Serca Neidarów wzbierały rozkosznym uczuciem powrotu do ojczyzny, chociaż prędzej daliby się usmażyć na wolnym ogniu, niż by się do tego przyznali. — Dokąd teraz? — spytał Świder.

Selquist miał już powiedzieć — „Za mną” — lecz ugryzł się w język i rzekł: — Proszę tędy, panowie.

Tunel miał sześć stóp średnicy i żelazne szyny w podłodze. Na ścianach, niegdyś gładkich, gdzieniegdzie widniały spękania, lecz tak wielki był talent krasnoludzkich rzemieślników, którzy zbudowali te tunele, że wyrobiska wytrzymały nawet straszliwe trzęsienia ziemi podczas Katakliizmu. — Do czego to służy? — zaciekawił się Tłuczek. Balansując ramionami, usiłował spacerować po jednej z szyn, bez większego zresztą powodzenia. Krasnoludowie nie słyną ze zręczności. Wprawiony w dobry nastrój Selquist machnął ręką.

— Ja oczywiście wiem, ale może Moździerz miałby ochotę o tym opowiedzieć — rzekł wielkodusznie.

Moździerz wyjaśnił towarzyszom, że po tych szynach pchano wózki wyladowane złotem, srebrem i rudą żelaza. Jeden z takich wagoników, zardzewiały i popsuty, stał na bocznicy.

— Dlaczego się zatrzymaliście? — spytał Selquist, kiedy po odwróceniu się stwierdził, że został sam. Jego towarzysze otaczali wózek. — Może zostało w nim trochę złota — powiedział Świder.

Selquist miał już zamiar poskarżyć się na postój, kiedy uświadomił sobie, że zawsze chciał zajrzeć do takiego wagonika. Wrócił więc biegiem, niosąc latarnię.

Boki wózka były wysokie na krasnoluda i zardzewiałe. Wnętrze nie było widoczne. Tłuczek zaproponował, żeby wejść do środka z latarnią i rozejrzeć się dokładniej. — Żarty sobie stroisz? — zachnął się Moździerz. — Kras-

67  
noludowie z Thorbardinu dawno by go wyczyścili. Właściwie, nie mam pojęcia, dlaczego zostawili ten wagonik. Mnie się wydaje całkiem dobry.

— Zaczekajcie! — zawołał Świder, nachylając się i przyglądając uważnie ścianie wózka. — Tu jest coś napisane.

Krasnolud starł kilkusetletni kurz rękawem koszuli. Pozostali sfłoczyli się za nim, żeby popatrzeć. — Co tu jest napisane? — No, co tu jest napisane?

Świder czytał powoli, wahając się. — „Tu leży...tchórz. Niech... jego nos” — nie, to musi być „los” — „Niech jego los posłuży innym za przestrożę”. Napis pochodzi w przybliżeniu z okresu wojny o Bramę Krasnoludów. — Nie podoba mi się to — stwierdził Tłuczek.

Palila ich jednak ciekawość. Stając na palcach, wysunęli nosy nad krawędź wagonika. Świder natychmiast wydał przeraźliwy wrzask, którego echo rozniosło się po tunelach. Selquist szturchnął go mocno w żebra.

— Zamknij się, idioto! Jesteśmy blisko zamieszkałych okolic! Na miłość boską, krzyknęłaś jak człowiek na widok pająka. To tylko nieboszczyk. — Zaskoczył mnie, to wszystko — usprawiedliwił się Świder. Ogarnięci makabryczną fascynacją, jeszcze raz zajrzeli do wagonika. W środku leżał trup krasnoludzkiego mężczyzny w żelaznym hełmie i zardzewiałej kolczudze. Głowę miał gładko odciętą od tułowia.

Z powagą odeszli od wózka i jego ponurego pasażera, przepaszając szeptem za zakłócenie mu spoczynku i dodatkowo wznosząc żarliwą modlitwę, aby nie odwzajemniał im się i nie zakłócał ich spokoju. — Witajcie w Thorbardinie — rzekł ponuro Moździerz. Ruszyli dalej przed siebie. 68

## Rozdział 11

Po następnych dwóch godzinach wędrówki, urozmaicanej od czasu do czasu potykaniem się o żelazne szyny w podłodze, czterej krasnoludowie dotarli do końca tunelu. Selquist poświecił wokół latarnią. Znajdowali się w ogromnej jaskini. Światło nie docierało do pogrążonego w mroku sklepienia. Jego refleksy było jednak widać na torach, a te kończyły się litą skalną ścianą. Selquist poczuł na sobie oczy trzech krasnoludów.

— To nie jest tak, jak wam się wydaje — odpowiedział pośpiesznie. — Ślepa uliczka? — warknął Tłuczek.

— Tak. To znaczy, nie. Tę ścianę — Selquist postukał w mur — wzniesiono na torach później. Muszę przyznać, że kiedy pierwszy raz natknąłem się na nią, doznałem wielkiego rozczarowania. Wszakże swym niepospolitym rozumem doszedłem do tego, iż...

— Oczywiście! — wtrącił Moździerz. — Wiem, gdzie jesteśmy! To musi być ten sam tunel, którym Neidarowie pod wodzą swego tana daremnie usiłowali się wdrzeć do Thorbardinu, kiedy po Kataklizmie Hylarowie nie chcieli ich wpuścić do środka.

— Skąd o tym wiesz? — zaciekawiał się Tłuczek, uciszając Selquista, który chciał coś powiedzieć. — Tu jest mnóstwo tuneli i szybów.

— Tak, ale według legendy ten ze swoim klanem przebyli grzbiet Helefundis. Ten sam, który niedawno sami przeszliśmy. No i ten martwy wojownik i napis w dawnym języku. To miejsce o wielkim historycznym znaczeniu — dodał Moździerz, z czcią i powagą zdejmując żelazny hełm z głowy. — Setki krasnoludów walczyły tu i ginęły.

— Wspaniała opowieść — uciął Selquist. — Wzniesiemy tu pomnik. Jak już mówiłem, swym niepospolitym rozumem doszedłem do tego, że musi się tu znajdować...

— To by wyjaśniało, dlaczego Rada Tanów kazała zamurować tunel — zauważył Tłuczek. — Okolica przypominała im o ponurym okresie historii Thorbardinu. Chcieli, żeby zniknęła. Co z oczu, to z serca, jak powiadają. 69

Selquist spróbował jeszcze raz.

— Jestem pewny, że o tym właśnie myślała Rada Thanów, i dziękuję, że podzieliłeś się z nami tą informacją. Więc, jak już mówiłem, początkowo sądziłem, że jestem tu uwięziony, dopóki nie doszedłem do wniosku — dość błyskotliwego — że...

— Więc — powiedział Świder, powoli zastanawiając się nad wszystkim — jeśli wejście do Thorbardinu zostało zamurowane, jak się tam dostaniemy?

— Usiłuję wam powiedzieć! — krzyknął Selquist, zapominając o własnym nakazie zachowania ciszy. Tłuczek przypomniał mu o nim. Selquist zakipiał bezgłośnie złością. W czasie, gdy Selquist się pienił, odezwał się Moździerz. —\*? Wiecie co, krasnoludowie musieli tu gdzieś mieć kuźnię. Jak inaczej naprawialiby szyny?

— Masz rację! — zawołał z entuzjazmem Tłuczek. — Skoro była kuźnia, musiały być przewody odprowadzające ciepło. Co oznacza, że rury te prowadziłyby... prosto na zewnątrz. — Jego entuzjazm zgasł. — Nie chcemy wracać na zewnątrz.

— Niekoniecznie! — Moździerz podchwycił wątek myśli brata i rozwinął go. — Odprowadzanie ciepła na zewnątrz byłoby marnotrawstwem. Gdyby jednak skierować rury do Thorbardinu, możnaby wykorzystać ciepło z kuźni do... Selquist, dlaczego walisz głową w mur?

— Nieważne — rzekł z goryczą krasnolud. Naprawdę musiał zebrać nową drużynę. — Skończcie wreszcie to gadanie i chodźcie ze mną.

Skręcił w prawo i odszedł długim krokiem. Wznosząc latarnię, oświetlił jedną z największych kuźni, jakie krasnoludowie widzieli. Na potężnych łańcuchach nad gigantycznymi paleniskami wisiały olbrzymie kotły. Podziemny strumień napełniał wybudowaną przez krasnoludów sadzawkę, w której kiedyś studzono roztopione żelazo.

Na podłodze leżało trochę popsutych narzędzi, ale skrzętni krasnoludowie, zanim zamurowali tę część podziemi, zabrali wszystko, co nadawało się do użytku. 70

Przybysze rozglądali się w pełnym podziwieniu, wyobrażając sobie setki krasnoludów, którzy w pocie czoła pracowali w blasku huczącego ognia pieców. Słyszeli dźwięczny stuk młotów kujących żelazo, syk gorącej rudy wkładanej do wody i pary, która unosiła się jak widmo nad wzburzoną wodą.

Tłuczek podszedł do popsutych obcęgow, podniósł je i czule pogładził. Selquist był w połowie Daergarem, a w połowie Neidarem. Tłuczka podejrzewano o to, że jest przynajmniej pół-Hylarem, czyli krasnoludem górskim. Kowalstwo go fascynowało. Kiedyś terminował u kowala w miasteczku, ale zniknięcie kilku stalowych monet ze skarbonki rzemieślnika doprowadziło do przykrych wymian zdań i wreszcie zwolnienia Tłuczka. Jego ambicją było zgromadzić dość pieniędzy, żeby otworzyć własną kuźnię.

Selquist podniósł latarnię. Jej światło padło na resztki systemu ogromnych żelaznych rur, którymi odprowadzano ciepło z kuźni do zamieszkałych części Thorbardinu. Żelazo dawno skorodowało i po szczytach pieców walały się kawałki zardzewiałych rur.

Selquist wdrapał się na jedno z ogromnych kamiennych palenisk i postawił latarnię. Stamtąd sięgnął po wiszący łańcuch i wspiał się po nim na wysokość dziury w ścianie. Otwór miał średnicę mniej więcej jego wzrostu. Ze zręcznością pająka (którego, zdaniem wrogów, przypominał) chuderlawy krasnolud przeskoczył z łańcucha do niego i zniknął.

Trzej krasnoludowie czekający na dole byli zaskoczeni, ale zanim zdolali cokolwiek powiedzieć, Selquist znów się pojawił, uśmiechając się szeroko i machając do nich ręką. — Chodźcie!

Jego towarzysze, którzy wazyli znacznie więcej i nie mieli budowy sprzyjającej beztróskiemu przeskakiwaniu z łańcuchów do dziur, wymienili spojrzenia pełne powątpiewania. Świder pokręcił głową. — Pomogę wam! — powiedział Selquist. — Co z latarnią? — spytał Moździerz. — Zgaś ją i zostaw. Będzie nam potrzebna w drodze powrotnej. Krasnoludowie wgramolili się na palenisko i wspięli po łań-

71  
cuchu. Tłuczek szedł pierwszy. Selquist wyciągnął rękę. Krasnolud rozhuśtał się i przysunął do

otworu. Selquist złapał przyjaciela i pomógł mu bezpiecznie zejść z łańcucha. Pozostali dwaj dotarli na miejsce tylko z niewielkimi przygodami — na przykład Świder zderzył się ze ścianą, zamiast wskoczyć do otworu — ale wreszcie wszyscy czterej siedzieli w dziurze, cali i zdrowi. Selquist ruszył w drogę pierwszy.

Tunel zwężał się znacznie, zmuszając krasnoludów do chodzenia na czworakach. Korytarz biegł poziomo dwadzieścia stóp, potem skręcał w prawo i ciągnął się kolejne dwadzieścia stóp. Wtedy dostrzegli światło na końcu rury za żelazną kratą.

Po dotarciu na miejsce Selquist polecił przyjaciołom zachować ciszę i wyjrzał na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy w tunelach na dole kogoś nie ma.

Było pusto. Selquist szybko wyjął kilka śrub z przegrody — był dość przewidujący, żeby poluzować je podczas poprzedniej wyprawy — i otworzył kratę. — Pośpieszcie się! — szepnął. — I bądźcie cicho! Selquist trzymał kratę, a trzech krasnoludowie wyskakiwali. Spadli na podłogę oświetlonego pochodniami korytarza. W odróżnieniu od opuszczonych sztolni, którymi wędrowali, ten korytarz sprawiał wrażenie uczęszczanego. Był czysty, jasno oświetlony, a gdzieś z wielkiej odległości dobiegały bardzo ciche głosy. Krasnoludowie podnieśli głowy i spojrzeli na Selquista, który wciąż siedział w rurze. — Ktoś tu mieszka? — zdziwił się wystraszony Tłuczek.

— Oczywiście — odparł Selquist. — Trudno byłoby tu kraść, gdyby nie było kogo okradać! Teraz zamknijcie się i bierzcie to.

Selquist podał im z góry kilka zawiniętych w płótno przedmiotów, które zostawił w rurze podczas ostatniej wizyty.

— Co to takiego? Narzędzia włamywacza? — spytał brata Tłuczek. — Nie — odparł odbierający je Moździerz. — To miotły.

— Miotły! — Wszyscy trzech spojrzeli ze wściekłością na Selquista. 72

— Wyjaśnię wam za chwilę.

Spuściwszy kratę, Selquist przecisnął się na zewnątrz i zeskończył na podłogę. Z triumfalnym uśmiechem odwrócił się do kompanów.

— Panowie — rzekł. — Jak już raz dziś powiedział nasz przyjaciel Moździerz: witajcie w Thorbardinie.

Pozostali trzech krasnoludowie nie podzielali jego radości. Ze zgrozą wlepiali oczy w niego i siebie nawzajem. Od stóp do głów wysmarowani byli tłustą, czarną sadzą.

Moździerz daremnie usiłował ją zetrzeć, lecz zdołał jedynie rozsmarować ją po całej twarzy.

— Nie możemy łązić po Thorbardinie w takim stanie! — wybełkotał. — Jeszcze sobie pomyślą, że jesteśmy... krasnoludami żlebowymi albo kimś podobnym i jak nic zamkną nas w więzieniu!

— Bredzisz — powiedział Selquist. — I nie wycieraj tego. To idealne przebranie. Sam z powodzeniem go użyłem podczas ostatniej wizyty w Thorbardinie. Każdy ma wziąć miotłę. Gdyby ktoś pytał, jesteśmy kominiarzami!

Trzej usmoleni krasnoludowie wybałuszili oczy. Wciąż wlepiali wzrok w Selquista, ale teraz z podziwem. Dlatego właśnie był ich przywódcą.

Zarzucili miotły na ramiona i powędrowali przed siebie. Wychodząc zza zakrętu, znaleźli się na galerii, z której roztaczał się widok na Thorbardin. Stanęli w osłupieniu. Widok był przepiękny.

Cała ludność Thorbardinu mieszka wewnątrz gór Kharolis. Znajduje się tam siedem wielkich miast, trzy podziemne folwarki, dwa obszary rządowe, fortece przy północnej i południowej bramie i Miasto Zmarłych. Krasnoludowie widzieli z balkonu tylko niewielką część ogromnych podziemi, ale już to, co zobaczyli, zaparło im dech w piersiach.

Ich ojczysty Celebundin, który napawał ich słuszną dumą, mógłby wpaść do gigantycznej groty i

ledwo zostawiłby niewielką plamę na dnie. Daleko na horyzoncie widać było osławione Życiodrzewo 73

Hylarów, olbrzymi stalaktyt, który stanowił samodzielne, mocno ufortyfikowane miasto. W jego licznych kamiennych wieżyczkach i wieżach ze schodami i kładkami mieściło się wszystko, od ważnych rządowych biur i prywatnych rezydencji do ogrodów i sklepów.

Gdyby wróg zdołał się wdrzeć przez kamienne wrota w górze, krasnoludowie mogli się wycofać do Życiodrzewa i tam wytrzymać oblężenie przez — jak niektórzy oceniali — sto lat. Do tego czasu większość oblegających armii zniechęciłaby się.

Trzej krasnoludowie podeszli do poręczy balkonu i spojrzeli w dół.

Świder został z tyłu, przywierając mocno plecami do litej skały. Dostawał zawrotów głowy nawet wchodząc na drzewo. Kiedy pozostali wychyliłi się przez barierkę, żeby rzucić okiem na dół, Świder zacisnął powieki i przytrzymał się ściany.

— Tam biegnie Siódma Droga — objaśniał Selquist. — Jesteśmy tuż na północ od Zachodniej Sali Strażników, która przechodzi w Dolinę Tanów. Pójdziemy na północ tym gościńcem, potem omiemy Zachodni Labirynt. Następnie udamy się prosto na terytorium Theiwarów. Kiedy już się tam znajdziemy, będziemy mogli odetchnąć. Na te słowa nawet Świder otworzył oczy.

— Theiwarów! — powtórzył Moździerz. — Nic nie wspominałeś o Theiwarach! — To źli krasnoludowie — powiedział Tłuczek. — My też jesteśmy złymi krasnoludami — zauważył Selquist. — To nie to samo — mruknął Tłuczek.

— To wampiry — rzekł Świder cichym głosem. — Piją krew i wiszą pod sufitem groty głową w dół, a jeśli padnie na nich słońce, rozplývają się w kłębach zielonego dymu.

— Gdzieś ty usłyszał te brednie? — Selquist groźnie spojrział na niego. — Powiedziała mi o tym niania — odparł Świder. — Moździerz, wyjaśnij — polecił Selquist.

Moździerz wyjaśnił, że Theiwarowie z powodu długotrwałego przebywania pod ziemią rzeczywiście nabrali awersji do 74

światła słonecznego, co nie czyniło jednak z nich wampirów. Wprawdzie obiegowa opinia głosiła, że noszą się z mrocznymi i zwyrodniałymi zamiarami zdominowania wszystkich innych ras krasnoludów, przez co zostali przez nich odrzuceni, nie pożerali jednak niemowląt, jak powszechnie utrzymywano.

To prawda, że byli jedyną rasą krasnoludów, która w ogóle interesowała się uprawianiem magii, ale chociaż świadczyło to o braku zdrowego rozsądku, nie musiało od razu oznaczać, że są źli.

W czasie, gdy Moździerz wygłaszał ten uczony wykład, Selquist zaprowadził drużynę do wykutych w skale schodów, które biegły zygzakiem po urwisku.

— Nie zejdem! — jęknął Świder, czepiając się ściany. Najwyższe drzewo w lasach ich doliny widziane z tej skały wyglądałoby jak gałązka.

— Kto to widział, żeby osoba, która chce zejść wysoko, bała się wysokości? — spytał Selquist.

— Osobiście bliższe mi są piwnice — odparł rozdygotany Świder.

— Zamknij oczy i trzymaj mnie za rękę. Sprowadzimy cię na dół. Siódma Droga jest tam.

Krasnoludowie podchodzą trzeźwo do kwestii nadawania imion (wyjątkiem była matka Selquista), a trakt nazwano Siódmą Drogą dlatego, że był siódmą drogą odchodzącą od Północnej Bramy, gdzie się zaczynała Pierwsza Droga.

Powoli, prowadząc Świdra boleśnie ściskającego ich ręce, krasnoludowie zeszli na dół. Rozdział 12

Szli na północ Siódmą Drogą. Nikt ich nie zatrzymywał ani nawet nie zwracał na nich większej uwagi. Większość mijanych Hylarów zdawała się nie zauważać ich obecności, chociaż kilka matron



podkasało spódnice i przeszło na drugą stronę ulicy, żeby się nie otrzeć o brudnych kominiarzy. Raz orszak weselny za- 75

trzymał się na dość długo, żeby panna młoda mogła uścisnąć rękę Selquistowi, ponieważ wiadomo, że podanie ręki kominiarzowi przynosi szczęście.

Przyjaciele właśnie odciągnęli Świdra, który wlepił oczy w pannę młodą, gdy po wyjściu zza zakrętu wpadli na czterech wyjątkowo wysokich krasnoludów w bogato zdobionych na- pierśnikach i z ogromnymi toporami bojowymi u pasów.

Świder natychmiast pomyślał, że ich złapano. Jęknął żałośnie i już zaczął padać na kolana, chcąc zdać się na miłosierdzie sądu.

— Co ten idiota robi? — zasyczał Selquist. — Moździerz, podnieś go! Tłuczek, dawaj go tutaj!

Moździerz podparł kolegę od tyłu, a Tłuczek ciągnął go z przodu. Selquist zagonił kompanów do najbliższej bramy.

Obok przejechał ozdobiony herbem drewniany wózek za- prężony w dwóch mizernych krasnoludów. Po obu stronach wózka szło dwóch następnych, wyraźnie okrąglejszych od swoich towarzyszy i dużo lepiej od nich ubranych. Wytworni kras- noludowie, noszący masywne, złote łańcuchy na szyjach, gładzili się po jedwabistych brodach i prowadzili rozmowę głośnym, ożywionym tonem.

Uzbrojeni strażnicy obrzucili czterech kominiarzy podejrzli- wym wzrokiem i zagrzechotali toporami, ale ich nie zatrzymali.

— To drobiazg. Z pewnością poborcy podatkowi — szepnął pośpiesznie Selquist. — Nie szukają nas.

Wóz, obładowany po brzegi pękatymi workami, przejechał obok.

— Założę się, że pełno w nim złota i stali! — powiedział z żalem Tłuczek. Selquist wietrzył badawczo, ruszając nosem.

— Sądzę, że to złoto. Niewielka domieszka stali, może kilka sztabek srebra. To prawda, że nie chcieli nawet na nas spojrzeć. Był to jednak przykład bogactwa, jakie znajdziemy. Tam, dokąd idziemy, majątek czeka na nas wszystkich. Trzymaj się mnie, Świder, a któregoś dnia i ty będziesz miał na szyi złoty łańcuch.

— Albo stryczek — mruknął ponuro Tłuczek do brata. Wi- dok toporów nadszarpnął jego nerwy. 76

Krasnoludowie podgórscy poszli dalej, przekonani, że Selquist wie, dokąd ich prowadzi, (przynajmniej tak się łudzili). Nie widząc słońca, stracili wszelkie poczucie czasu i przestrzeni podczas wędrówki po wnętrzu góry. Po burczeniu w brzuchu Moździerz domyślił się, że dawno minęła pora obiadu.

— Gdzie to piwo, które obiecywałeś? — poskarżył się Sel- quistowi. — I jedzenie?

— Już niedługo. Nie zatrzymujcie się. Musimy dotrzeć na miejsce przed nocą.

— Tu zawsze jest noc — stwierdził Świder, ale nikt go nie słuchał.

Na końcu Siódmej Drogi stał budynek. Tu znowu natknęli się na drewniany wózek. Jego zawartość przenoszono na większy wóz, zaprzężony w jakieś zwierzę, które z wyglądu przypomina- ło olbrzymiego borsuka. Dobrze ubrani krasnoludowie stali w pew- nej odległości od robotników i nadal rozmawiali beztrosko, cho- ciałż żaden nie odrywał oczu od worków z pieniędzmi. — Obejdźcie go dookoła — polecił Selquist.

Czterej krasnoludowie ominęli wejście do ciągu tuneli, które Selquist nazywał Zachodnim Labiryntem. Znaleźli Drugą Drogę, która według ich przewodnika była jedną z dwóch tras wiodą- cych od północnej bramy do theiwerskiego miasta Themadlin. Jak można było przypuszczać,

podróżnych spotykało się tam niewielu.

Wkroczyli do części Thorbardinu, która bardzo się różniła od tych, przez które niedawno wędrowali. Korytarz był kiepsko oświetlony, zaśmiecony, i śmierdzący. Pod ich stopami ziały wielkie rozpadliny. Najwyraźniej spowodowały je trzęsienia ziemi, jednak nie zasypano ich i być może zostawiono po to, żeby utrudnić drogę każdemu, kto chciałby zagrozić Theiwarom. Nad tymi przepaściami wisiały drewniane mosty, które w razie ataku łatwo było rozebrać.

Świder trząsał się i dygotał, kiedy przechodził po tych kładkach. Upłynęło wiele godzin, zanim kompani stanęli wreszcie na skraju miasta. Theiwarowie zamieszkiwali kilka poziomów, ryjąc tunele

77  
głęboko pod korzeniami góry. Ten obszar — najniższe piętro dla Hylarów — był najwyższym poziomem theiwarских siedzib.

Theiwarowie nie wznosili murów; przy wejściu na ich terytorium nie stały budki strażników ani koszary. Stali jednak wartownicy. Drogę zagradzało czterech krasnoludów z toporami w garściach.

Ich ubrania najwyraźniej miały niegdyś innych właścicieli; spodnie i bluzy były niedopasowane i wyswiechtane. Włosy mieli rozczochrane i pozlepiane, brody tłuste i upstrzone resztkami posiłków. Jeden z krasnoludów był jednooki. Powiekę zasłaniającą pusty oczodół zaszyto, a spod niej ciekła żółta ropa, która spływała krasnoludowi po podbródku i krzepła na brodzie. Topory za to Theiwarowie mieli pierwszorzędne. Ich ostre brzeszczoty lśniły w blasku licznych pochodni.

Świder, Tłuczek i Moździerz zbili się w kupkę i żalowali, że tu przyszli.

— Dobry wieczór panom — Selquist przywitał nonszalancko Theiwarów i poszedł dalej.

— Ani kroku dalej — powiedział starszy wartownik, ten jednooki. — Co was, paniczów, sprowadza do Themadlinu? Przyszliście się szlajać?

— Spokojnie, kuzynie. Nie jesteśmy Hylarami. — Sekjuist podszedł bliżej.

Starł trochę sadzy z twarzy, żeby strażnik mógł mu się dobrze przyjrzeć. Nawet strudzeni po podróży i usmoleni, on i jego towarzysze wciąż różnili się wyraźnie od Theiwarów, którzy wyglądali i cuchnęli tak, jakby ostatnią kąpiel brali za czasów wojny pod Bramą Krasnoludów.

— Jesteśmy Daewarami, przyszliśmy się uczyć od Chronixa. Ja u niego terminuję. Nazywam się Sekjuist.

Czterej uzbrojeni Theiwarowie prowadzili dyskusję przyciszonymi głosami. Po zakończeniu rozmowy jednooki krasnolud podszedł bliżej i przysunął twarz do twarzy Selquista.

— Racja, jesteś Daewarem, albo nigdy przedtem nie wachałem Daewara. A wachałem. Nie cierpię zapachu Daewarów. — Pomacał swój topór. 78

— Nie jesteśmy Daewarami! — zaprotestował Świder, chociaż Selquist usiłował ostrzec przyjaciela wystraszoną spojrzeniem i kręceniem głową. — Jesteśmy Neidarami.

— Ach, tak? — Theiwar przyczłapał do Świdra i wykręcił głowę, żeby przyjrzeć mu się zdrowym okiem. — Wielka szkoda. Bo o ile nie cierpię Daewarów jak cholera, mam dla nich spory szacunek. — Złowrogie oko przysunęło się bliżej. Tak samo brzeszczot topora. — Ale nie mam za grosz szacunku dla neidar-skiego ścierwa. Prędzej roztrzaskałbym Neidarowi łeb, niż popatrzył mu prosto w twarz.

Świder wcisnął się między kompanów, którzy usiłowali wdrapać się na ścianę za sobą.

Selquist z westchnieniem wyszedł naprzód. Klepnął wartownika po plecach.

— Na Reorxa, chłopie, co ty, na żartach się nie znasz? Świder to niezły dowcipniś. Neidar! Ha, ha! A to dopiero! Spójrz tylko na tych umorusanych obwiesiów. Wyglądają na Neidarów?

— Najbardziej przypominają krasnoludów źlebowych — stwierdził Theiwar.

— Skądby się wzięli Neidarowie w Thorbardinie? Jak by się do niego dostali? Chyba, że ci się

wydaje, że Hylarowie otworzyli nam Wielkie Wrota. — Selquist wybuchnął śmiechem na myśl o tym. Jego towarzysze, lekko ponaglieni, również się roześmiali — trochę bojaźliwie, ale zawsze.

— A może przeczołgaliśmy się przez szczelinę w skale! — parsknął jeszcze głośniejszym śmiechem. Kompani umilkli i popatrzyli na niego wściekłym wzrokiem. Theiwar podrapał się po głowie ostrzem topora. — Chyba masz rację.

Jednooki Theiwar przestał się interesować trzema krasnoludami, co sprawiło im ogromną ulgę, i skupił ponownie uwagę na Sekjuście. — Ty już tutaj byłeś, prawda? Selquist pokiwał głową.

— Jak już mówiłem, terminuję u Chronixa. Uczę się od niego subtelnej sztuki akwizycji. On poświadczy za mnie i moich 79

towarzyszy. Gdybyś więc teraz zechciał skierować mnie do jego siedziby...

— Nigdzie nie pójdziesz, daewarski kuzynie. — Nacisk, jaki Theiwar położył na to słowo, bynajmniej nie świadczył o rodzinnym sentymencie. — Zaczekasz tutaj. Chronix może przyjść po was, jeśli zechce. Nie wpuszczę czterech Daewarów samopas do Themadlinu. Tam zaczekacie.

Wskazał obskurnie wyglądającą chałupę, którą początkowo przybysze wzięli za śmietnik, a która okazała się miejscową karczmą. Selquist i jego przyjaciele weszli do środka, ślizgając się na rozlanym piwie i potłuczonych naczyniach. Theiwarowski wartownik posłał gońca do Chronixa, a potem sam wszedł do karczmy, żeby nie spuszczać przybyszów z jedyne go oka.

Czterej krasnoludowie, świadomi tego, że wszyscy im się przyglądają, siedli przy jedynym stojącym stole, jaki udało im się znaleźć, i usiłowali zachowywać się nonszalancko. W kominku tlił się ogień, który dawał więcej dymu niż ciepła. Kilka olbrzymich beczek z umocowanymi w nich kurkami najwyraźniej podpierało ścianę na tyłach.

Do stołu przyczłapała brudna karczmarka. Miała czarne włosy, brązowe oczy i najdłuższe, najbardziej kędzierzawe bokobrody, jakie kiedykolwiek widzieli. Świder z miejsca się zakochał. — Co podać? — warknęła. — Piwo — z miejsca powiedział Selquist. — Cztery kufle. Koledzy spojrzeli na niego ze zgrozą.

— Obiecałem ci piwo — rzekł do Moździerza szlachetnym tonem — i dostaniesz piwo. Musisz dbać o regularne wypróżnienia.

Moździerz jęknął i zamknął oczy. Już sobie wyobrażał, jak wypróżnia się zbyt regularnie jak na jego gust.

Piwo okazało się zaskakująco znośne, co przyznał nawet Moździerz, który był jego znawcą. Ciemny i pienisty trunek miał dymny posmak, który świadczył o tym, że dębowe beczki leżały w chłodnych, głębokich piwnicach. Po wyłowieniu małych, czarnych, uskrzydłych obiektów, które pływały po powierzchni, krasnoludowie bardzo zasmakowali w tym napoju. Czekali prawie pół godziny. Wreszcie goniec wrócił z drugim 80

mężczyzną, który biegł truchcikiem u jego boku. Theiwar był niski, nawet jak na krasnoluda. Sięgał Selquistowi zaledwie do ramienia. Zipał z wysiłku, zmuszony biec, gdy inni szli spacerkiem. Podszedł do stołu, przyglądał się długo i uważnie Selquistowi, powąchał go, a potem skinął głową.

— Tak, to on. Tamtych trzech nigdy nie widziałem, ale wezmę za nich odpowiedzialność.

— Dobra. Zbierajcie się stąd — warknął dowódca strażników. Na pożegnanie zmierzył ich nieprzychylnym spojrzeniem zdrowego oka i wrócił na posterunek. Chronix przyglądał się każdemu z nich w milczeniu. Jego przenikliwe spojrzenie wprawiło krasnoludów w niepokój. Wreszcie Selquist odezwał się. — Zgodnie z twoim życzeniem, przyprowadziłem kolegów. Chronix odsłonił szczerbate zęby w szerokim uśmiechu.

— Doskonale — zatarł brudne, pulchne ręce. — Bardzo się przydadzą do tej roboty. Rozdział 13  
To była dobra impreza. Cholernie dobra impreza. Kang nie przypominał sobie lepszej, ale w tej

chwili nie pamiętał nawet, jak się nazywa. Z napadu na osadę krasnoludów przywieźli pięć antałów piwa i trzy beczki spirytusu. Przez następne dni i nocę — Kang nie miał całkowitej jasności, ile ich minęło — pił do nieprzytomności.

Wchodząc chwiejnym krokiem do swojej kwatery, zobaczył przed sobą sześć łóżek. Jakiś głos w zamroczonym alkoholem umyśle podpowiadał mu, że miał tylko jedno łóżko. Pozostałych pięciu w rzeczywistości nie było. On jednak nie miał pojęcia, które łóżko jest prawdziwe. Wybrał jedno, podszedł i rzucił się na nie. Nie trafił, padł pyskiem na ziemię. Nieważne. Spał, zanim jeszcze zderzył się z podłogą. Z odurzenia wyrwał go głośny huk. Śniła mu się potyczka 81

z rycerzami solamnijskimi i maszyna gnomów, która wybuchła pośrodku pola bitwy, siejąc zniszczenia zarówno wśród wrogów, jak i przyjaciół.

Znajdując po omacku koc, Kang naciągnął go na głowę, żeby zasłonić się przed spadającymi odłamkami, i usiłował znów usnąć.

Donośny huk rozległ się ponownie. Kang zrzucił koc, nadstawił ucha. Coś mu ten łoskot przypominał. Wiedział, że powinien go poznać. To było... To było... Pukanie do drzwi. Kang jęknął. — Idź precz!

Pukanie się jednak powtórzyło. To znaczyło, że pukał wartownik, a fakt, że zapukał dwukrotnie, oznaczał, że było to coś ważnego — bardzo ważnego. Ostatnią sprawą, jaką Kang się zajmował przed rozpoczęciem solidnego pijaństwa, było wystawienie wart i przydzielenie krótkich i długich patroli. We wrogim otoczeniu smokowcy nie mogli sobie pozwolić na zaniedbywanie środków ostrożności. Część zdobyczy zachowano dla żołnierzy na służbie, którzy będą mieli okazję świętować po powrocie. Widocznie meldował się teraz któryś z tych patroli. Kang znów jęknął i uniósł głowę. — Śpię. Czego chcesz?

Pukanie rozległo się po raz trzeci. To była bardzo ważna sprawa.

Wiedział, że lepiej nie próbować wstawać. Przeturlał się na plecy i zwrócił twarzą do drzwi. — Wejść! — zawołał.

Drzwi się otworzyły, wpuszczając snop jaskrawego słońca. Kang mrużył oczy w blasku. Na progu stał baaz imieniem Clodoth. Zasalutował. — Panie pułkowniku, nie chciałem pana budzić, ale...

— Powiedz tylko, co masz do powiedzenia, i daj mi święty spokój! — warknął Kang.

Zanim baaz zdążył odpowiedzieć, przez drzwi przepchnął się bozak. Nazywał się Stemhmp i był dowódcą kompanii rozpoznawczej. 82

Zaskoczony Kang gwałtownie podniósł się do pozycji siedzącej. Natychmiast pożałował nierozważnego ruchu. Podłoga falowała i podskakiwała zupełnie jak żółądek Kanga.

— Przykro mi, że przeszkadzam, ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki — zameldował Stemhmp. — Mój patrol wrócił trzy dni wcześniej. Doniósł o smoku, który przelatywał nad Równinami Pyłu. Pomyślałem, że chciałby się pan o tym natychmiast dowiedzieć.

Kang usiłował zmobilizować swój zamroczony alkoholem umysł. Słowo „smok” pomogło w tych zmaganiach i po stosunkowo krótkim czasie stał już na nogach, tak trzeźwy, na ile było to możliwe. Trzeźwiejszy niż chciał.

— Czy smok leciał na północ, w tym kierunku? Jakiego był rodzaju? Stemhmp potrząsnął głową.

— Smok leciał nad Równiną w kierunku zachodnim. Dowódca patrolu nie potrafił rozpoznać jego rodzaju. Widział tylko sylwetkę na tle słońca. Sądząc po rozmiarach, był to czerwony smok. Zameldował również, że nie wyczuł normalnego „smoczego strachu”, jaki odczuwaliśmy, ilekroć zbliżały się do nas przekłete gadziny Paladine’a.

Umysł Kanga pracował już normalnie, ale smokowiec miał wrażenie, że mózg nie mieści mu się

w czasie, w której pulso- wał dotkliwy ból.

— Jeden ze smoków naszej Królowej? Latał w biały dzień? Coś się szykuje — mruknął. — Każ oficerowi dyżurnemu na popołudnie zwołać zebranie sztabu — dodał. — Kazałbym ci podwoić strażę na murach, ale wątpię, żebyś znalazł kogoś na tyle trzeźwego, żeby się tam wdrapał. Dobra robota, Stemhmp. Pozwól mi teraz się przespać.

Smokowiec zasalutował i bardzo, bardzo delikatnie zamknął drzwi za sobą. \*

Dwa dni później resztki krasnoludzkiego spirytusu wyparowały z ciała Kanga dzięki długiemu i zmu-  
dnemu marszowi przez 83

góry na Równiny Pyłu. Znalazł głaz w chłodnym cieniu olbrzy-  
miej sosny i siadł na nim, żeby się  
rozejrzeć.

Między kamieniami i drzewami za nim czaił się pluton smokow-  
ców w pełnym rynsztunku. Cały  
pułk w osadzie postawiono w stan gotowości bojowej. Nie mieli pojęcia, co sprowadziło ich  
kuzynów i sprzymierzeńców do świata, który utracili i w którym rządziły teraz smoki Paladine'a, ale  
domyślali się, że przyczyną może być wojna.

Ostatni raz Kang widział czerwonego smoka w Nerace, pod koniec Wojny Lancy. To było prawie  
dwadzieścia lat temu.

Czekał cierpliwie, wpatrując się zmrużonymi oczami w fale gorąca, które unosiły się znad  
pustyni w dole. Z początku widział tylko sępa, który zataczał kręgi na bezchmurnym niebie. Potem,  
gdy jego oczy przyzwyczały się do ostrego słońca, dostrzegł coś na niebie nad Równiną Pyłu. Nie  
wiedział co to, ale zdał sobie sprawę, że było ogromne. Dwie kropki szybko i miarowo zmie-  
rzały w jego kierunku.

Sęp przestał krążyć i ze skrzekiem zadowolenia wylądował wśród skał. — Już czas — szepnął  
Kang.

Wstał, odwrócił się i sprawdził, czy nie widać błysku zbroi, lśnienia łusek, czegokolwiek, co  
mogłoby zdradzić fakt, że mię-  
dzy skałami chowa się cały oddział smokowców. Nie zobaczył  
niczego i uśmiechnął się. Jego żołnierze byli dobrzy. Cholernie dobrzy. Wielka szkoda, że wszyscy  
mogą zginąć w przeciągu następných dziesięciu minut.

Odwróciwszy się, zszedł ze skały i zsunął się po zboczu wzgórza. Minał sępa, który rozszarpywał  
padłego jelenia, i wy-  
szedł na rozpalony piasek Równiny Pyłu. Czekał.

Dwie kropki szybko się zbliżały, były już dość blisko, żeby Kang mógł im się dobrze przyjrzeć.

Dwa czerwone smoki, a na ich grzbietach dwaj jeźdźcy. Lecieli z zachodu na wschód, gdy  
raptownie zbczyli z kursu. Smoki spostrzegły Kanga.

Zataczały coraz niżej kręgi na niebie, rozpościerając skrzydła i lecąc na wstępujących prądach  
ciepłego powietrza, które biły znad pustyni. Ich czerwone łuski błyszczały w słońcu. Masywne, 84

olbrzymie, długie na ponad czterdzieści osiem stóp od zębatach paszczy do przypominających  
biczę ogonów, czerwone smoki nie miały wdzięku większości swych pobratymców. Pomimo to, jak  
wszystkie inne smoki, były piękne w okropny, przerażający sposób.

I jak wszystkie smoki, nawet te, które czciły Królową Ciem-  
ności, czerwone jaszczury  
nienawidziły zmutowanego potom-  
stwa, które wylęgło się z jaj ich kuzynów. Nie ośmieliłyby się do  
tego przyznać, podobnie jak smoki czarne, białe i wszystkich innych barw, które służyły Pani Wielu  
Kolorów i Żadnego. Oficjalnie czerwone smoki i smokowcy byli sprzymierzeńcami. Kang jednak  
wiedział, że nigdy jeszcze błyszczące oko czerwo-  
nego jaszczura nie spojrzało na niego bez  
nienawiści zrodzonej z głęboko zakorzonego strachu. To, co się przydarzyło jedne-  
mu lęgowi  
smoczych jaj, może się przytrafić innemu.

Dwa smoki wylądowały pięćdziesiąt stóp przed Kangiem. Był to samiec i samica,

przypuszczalnie para, która przyglądała mu się z szyderstwem i pogardą. Jeźdźcy mieli na sobie pełne zbroje typu, z jakim Kang się wcześniej nie zetknął, pancerze z czarnego metalu z czerwonymi obramowaniami, przyozdobione symbolami śmierci.

Jeden z jeźdźców pozostał w siodle. Drugi zszedł ze smoka i ruszył w stronę Kanga. Miał na głowie hełm, u boku miecz. Kang nie widział jego twarzy. — Nie podchodź bliżej — ostrzegł.

Smoczy jeździec zatrzymał się i zdjął hełm. Ognistorude jak słońce, splecione w długie warkocz włosy spłynęły na czarną zbroję. Jak na człowieka, kobieta mogła być atrakcyjna. Kang nie potrafił tego stwierdzić. Niektórzy smokowcy, nie mając własnych samic, pożądali ludzkich istot płci żeńskiej. Kang nie zaliczał się do nich. Stał w milczeniu, czekając, aż przybysz pierwszy się odezwie.

— Powiedz mi — rzekła kobieta czystym głosem, który niósł się echem wśród skał — dlaczego spotykam smokowca półtora dnia marszu od Thorbardinu, dwadzieścia pięć lat po tym, jak wasz gatunek został praktycznie wybity? Kang w myślach przejrzał swoje zaklęcia i poukladał je. Kiedy 85 otrzymał je w darze od swojej Królowej, wydawały mu się potężne. Teraz, w obliczu magicznej mocy czerwonych smoków, jego czary były mizerne, mniej warte niż piasek na jego stopach.

— Jesteśmy tutaj, ponieważ przetrwaliśmy — odparł Kang. — Teraz ty mi powiedz, dlaczego spotykam dwóch jeźdźców na czerwonych smokach, którzy w razie zaskoczenia na otwartej przestrzeni przez złote smoki Paladine'a niewątpliwie zginęliby? Kobieta nie odrywała od niego oczu.

— Jestem szponowa Huzzud, Rycerz Lili. Tak samo mój towarzysz. Jesteśmy zwiadowcami Piątej Armii, na czele której stoi lord Ariakan, władca Ansalonu.

Kang bił skrzydłami, chłodząc się w ten sposób. Stojąc w prażącym słońcu, musiał zwalczać senność. — Ariakan? — powtórzył. — Jakiś krewny Ariakusa, dawno zmarłego poprzedniego władcy Ansalonu? Kobieta zmarszczyła brwi, słysząc jego sarkastyczne słowa.

— Lord Ariakan jest jego synem — powiedziała chłodno. — Nie ostrz sobie na nim języka, jeśli nie chcesz, żebym ci go ucięła. Masz się wyrażać z szacunkiem o moim panu.

— Dopiero, kiedy na to sobie zasłuży, jeśli w ogóle — odwarknął smokowiec. — Jestem Kang, komendant Pułku Saperów Pierwszej Smoczej Armii. Nazwałaś siebie Rycerzem Lili. Czy to ktoś podobny do solamijskiego Rycerza Róży?

Spodziewał się usłyszeć w odpowiedzi plugawe przekleństwo i gwałtowne zaprzeczenie. Ku jego zdumieniu kobieta uroczyście i poważnie pokiwała głową.

— Jesteśmy sobie równi rangą i godnością, chociaż wyznajemy odmienne zasady.

Widząc, że Kang otworzył paszczę i szyderczo pokazał język, uśmiechnęła się lekko.

— Czasy się zmieniły, smokowcu. Słudzy Królowej Ciemności wyciągnęli naukę ze swych błędów. Muszę przyznać, że nie była to łatwa lekcja. My, rycerze Takhisis, jesteśmy oddani duszą i ciałem naszej Królowej, naszym żołnierskim obowiązkom oraz... — przerwała dla zwiększenia efektu — honorowi i sobie nawzajem. Mamy nakaz poświęcić wszystko dla wielkiej 86

Sprawy naszej Królowej. Nie tylko nasze życie, którym może dysponować według własnego uznania, ale nasze ambicje, nasze pragnienia, nasze prywatne dążenia. Wszystko jest podporządkowane jej wielkiej chwale. Naszym obowiązkiem jest służyć jej ze wszystkich sił.

Kang był pod wrażeniem. Po raz pierwszy słyszał, żeby sługa Królowej Ciemności mówił w taki sposób. Zazwyczaj jej chwała zajmowała drugie miejsce po chciwości, żądzy, ambicji i chęci wywyższenia się. Jeśli prawdą było to, co mówiła ta kobieta — a wiadomo, że słowa nic nie kosztują — Ariakan mógł być wodzem godnym szacunku Kanga.

— Mniemam więc, smokowcu, że jesteś ostatnim niedobitkiem tego pułku saperów. To cud, że

przeżyłeś w pojedynkę, tak blisko krainy krasnoludów.

— Niezupełnie w pojedynkę, pani rycerzu — rzekł Kang z uśmiechem.

Na jego znak między skałami zrobił się ruch. Smokowcy wstali. Zaskoczona wojowniczką zrobiła dwa kroki do tyłu. Za jej plecami czerwone smoki uniosły skrzydła, biły ogonami i rozgrzebywały pazurami piasek.

— To drugi pluton pierwszego batalionu. Mam pod swoimi rozkazami ponad dwustu smokowców — oznajmił z dumą Kang. — Żyjemy w warownym grodzie w górach. Jeśli lord Ariakan szuka żołnierzy, z przyjemnością porozmawiałbym z którymś z jego wyższych oficerów. • ?

Kobieta zawahała się chwilę, patrząc na smokowców rozsianych po stoku.

— Armia znajduje się o trzy dni marszu za nami. Zamierzamy rozbić obóz na tych właśnie wzgórzach. Gdyby pan mi powiedział, gdzie leży wasza osada, wysłałabym posłańca... — To nie będzie konieczne — rzekł Kang. — Będę czekał.

Wojowniczką nie była zadowolona, ale najwyraźniej rozumiała, dlaczego Kang nie chciał ujawnić położenia swojej kwatery głównej, nawet tym, którzy oficjalnie byli jego sojusznikami. Nieraz już sprzymierzeńcy omal go nie zabili. Chłodno skinęła głową, sprężystym ruchem odwróciła się na 87

pięcie i odeszła. Po chwili rozmowy ze swoim skrzydłowym dosiadła smoka i szarpnęła za wodze. Czerwona smoczyca posłała Kangowi złowrogie spojrzenie i odbiła się od ziemi potężnymi tylnymi łapami, wygrzebując wielkie dziury w piachu. Rozpostarłszy olbrzymie czerwone skrzydła, wzbijała się w powietrze. Dając upust typowej dla czerwonych smoków złości, przed odlotem zionęła ogniem w kierunku Kanga.

Smokowiec się nie obraził. Wojowniczką surowo skarciła smoczyce. Uniosła rękę i oddała honory Kangowi. Jej skrzydłowy wzbijał się w powietrze i dołączył do niej. Smoki odleciały nad pustynię, malejąc w oddali, aż całkiem znikły z oczu.

— Królowa Ciemności znów zaczęła działać. Może być dobrze — mruknął pod nosem Kang. Rozleniwiona od słońca krew pulsowała w nim z podniecenia. — Może być dobrze! Naprawdę może być dobrze. Rozdział 14

Krasnoludowie podgórscy nie widzieli smoków i zupełnie nie wiedzieli o tym, że cała armia tych, których reszta świata nazywała rycerzami ciemności, maszerowała przez Równiny Pyłu. Krasnoludowie z Celebundinu wysyłali patrole, ale zwiadowcom nigdy się nie chciało przeczesywać tych pustkowi. Nikt tam nie mieszkał, z wyjątkiem barbarzyńskich plemion ludzi, których nazywano Mieszkańcami Równin, a ci stronili od obcych i rzadko zadawali się z pozostałymi rasami, co zdaniem krasnoludów było doskonałym rozwiązaniem. Wszyscy wiedzieli, że barbarzyńcy są pomyleni. Musieli być, skoro dobrowolnie żyli na pustyni.

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Krasnoludowie ze wzgórz nie lubili pustyni. Nie podobał im się upał, ostre słońce i rozległe, otwarte przestrzenie, na których nie było się gdzie schować. Stworzeni do rycia i kopania pod ziemią, do życia w chłodnych podziemnych jaskiniach i gęstych puszczech, nie potrafili sobie wyobrazić, że jakakolwiek zdrowa na umyśle istota chciałaby postawić stopę na palącym piachu. 88

Selquist i jego kompani mogliby w drodze powrotnej z Thor- bardinu dostrzec smoki i armię rycerzy, postanowili jednak pójść zachodnią drogą wokół góry. Obładowani łupami, wybierali jak najłatwiejsze szlaki. Doszli do Celebundinu, nie zauważywszy niczego groźnego. Raz tylko z oddali spostrzegli ogra. Czym prędzej więc oddalili się jeszcze bardziej i dotarli do skraju osady bez szwanku, nie licząc obtartych stóp i barków obolałych od dźwignia ciężkich plecaków.

i Zaczekali w lesie do zmierzchu, aby niepostrzeżenie zakraść się do krasnoludzkiego grodu. Woleliby, żeby tan nie dowiedział się o ich prywatnej wyprawie rabunkowej. Kazałby im zrobić z łupem coś potwornego — na przykład podzielić się nim. Ko- rzystając z tej samej drogi przez sad, którą uciekli, przemknęli po cichu obok śpiącego wartownika i niepostrzeżenie doszli do domu Selquista.

Gospodarz otworzył trzy zamki, z ulgą stwierdzając, że nikt nieuczciwy nie majstrował przy nich podczas jego nieobecności, i wpuścił czterech krasnoludów do środka.

Kiedy już cali i zdrowi znaleźli się w domu, z daleka od Theiwarów, Neidarów, trupów w wagonikach i poborców podat- kowych, odetchnęli z głęboką ulgą. Nawet Selquist oznajmił, że miło jest wrócić do domu. Następnie wysypał zawartość swojego worka na wielki, stojący pośrodku izby stół.

— Niewiarygodne! — powiedział. — Zupełnie niewiary- godne. Pozostali trzej musieli mu przyznać rację.

Na łup składały się z dwa srebrne kufle, para kościanych lichtarzy zdobionych półszlachetnymi kamieniami, pół tuzina pierścieni, których wartość bynajmniej nie była oczywista na pierwszy rzut oka, ale które mogły okazać się kosztowne — oraz coś, co Tłuczkiowi podobało się najbardziej — srebrny grzebień ozdobiony amuletem w kształcie czaszki. Oczodoły czaszki świe- ciły się na czerwono w ciemności. Tłuczek był przekonany, że to magiczny przedmiot.

— Jasne, że magiczny — potwierdził Selquist. — Dostanie- my za niego ładną sumkę w znanym mi sklepie dla magów 89

w Palanthas. Jego właścicielką jest pewna kobieta imieniem Jenna, która zupełnie nie dba o to, w jaki sposób sprzedający wszedł w posiadanie danego towaru. Zostaw to w spokoju. Odłóż na miejsce. Mógłbyś jeszcze wypowiedzieć niewłaściwe słowo i zamieniłbyś się w człowieka albo coś gorszego. Może w elfa. Tłuczek czym prędzej upuścił czaszkę na stół. Nadal jednak wbijał w nią zafascynowany wzrok. — Nie mogę zrozumieć, co sprawia, że te oczy świecą! Świder wyjął ze swojego plecaka ogromną, wystrzępioną, brudną książkę oprawioną w skórę i rzucił ją z hukiem na stół. — Nie mam pojęcia, po co kazaliście mi to targać. Jest ciężka i dziwnie pachnie. — Pleśń — stwierdził Moździerz, oglądając książkę. Selquist podniósł wolumin i pogładził czule postrzępioną okładkę.

— Jest cenniejsza od wszystkich leżących na stole rzeczy razem wziętych. Cenniejsza od wszystkiego, co się znajduje w magazynie tana. W mojej długiej i nie pozbawionej chwaleb- nych momentów karierze jest to najbardziej wartościowy przed- miot, który skrad.. hm, tego... zdobyłem.

— Jest magiczna? — Tłuczek przyjrzał się księdze z więk- szym zainteresowaniem, chociaż był



rozczarowany tym, że nie świeciła.

— Akurat, magiczna — powiedział pogardliwie Świder. — Chyba, że jakimś cudem nagle nauczyłem się odczytywać język magii, czego, chwała Reorxowi, nie potrafię. Napisano ją w naszym języku, chociaż niektóre słowa mają dziwną pisownię. Wydaje mi się, że to dziennikjakiejś wyprawy Daewarow sprzed około trzydziestu lat. Może mieć pewną wartość historyczną. Zdziwiony Moździerz popatrzył na Selquista. — Od kiedy to interesujesz się historią?

— Odkąd zrozumiałem, że można na tym nieźle zarobić — odparł krasnolud, puszcżając do kolegi oko. — Już wam to mówiłem i powtórzę raz jeszcze: nie macie wyobraźni. Ani za grosz. Gdyby nie ja, wszyscy trzej kopalibyście ziemniaki w ogrodzie wielkiego tana. 90

Krasnoludowie rzucili okiem na starą księgę i spróbowali wyobrazić sobie, że jest coś warta. Bezskutecznie.

— Gdzie ją znalazłeś? — spytał Moździerz w nadziei, że wpadnie mu do głowy jakiś pomysł. Selquist nachylił się i powiedział cicho:

— W kufrze pod łóżkiem starego Chronixa. W zamkniętym kufrze. Musi więc być cenna.

Odsunął się i pozwolił, aby pozostali popatrzyli na niego oczami pełnymi podziwu i zdumienia.

— Ukradłeś...ukradłeś tę książkę...Chronixowi? — Tylko Moździerz zdołał wykrztusić z siebie choć słowo. Świder i Tłuczek zaniemówili. — Oczywiście — rzekł skromnie Selquist. — Przecież to twój nauczyciel! Nie wpadnie w złość?

— Dlaczego miałby? W gruncie rzeczy to dla niego komplement. — Selquist wzruszył ramionami. — Dobrze mnie wyuczył.

— Jaką jednak wartość może mieć książka o wyprawie rabunkowej Daewarów? Chyba, że gdzieś w jej środku są schowane klejnoty — stwierdził Świder.

— Wyprawa rabunkowa to łupy. Skarb, które trzeba gdzieś schować. Ukryć. Książka o wyprawie rabunkowej...

— ..może nam powiedzieć, gdzie skarb jest schowany! — krzyknął Tłuczek.

?— Doskonale — Selquist z aprobatą pogłaskał go po głowie. — Tylko nie mów tak głośno.

— Ale... — Moździerz znów myślał, a było to coś, co drażniło Selquista — jeśli z tej książki można się dowiedzieć, gdzie ukryto skarb, Chronix musiał go już znaleźć. — Niekoniecznie — odparł Selquist. — On nie umie czytać. — Mógł jednak znaleźć kogoś, kto by mu ją przeczytał.

— Może nikomu nie ufa. Może nie zna nikogo, kto umie czytać — odparł Selquist. — Spójrzmy na to w ten sposób. Gdyby znalazł skarb, nie trzymałby wciąż książki pod kluczem, prawda? Moździerz zmarszczył czoło. 91

— Niby racja, ale...

— Żadnych więcej ale! — rozżłościł się Selquist. — Nie znam jeszcze wszystkich odpowiedzi, ale je poznam za kilka dni. Kiedy tylko przeczytamy ze Świdrem tę książkę. Tymczasem — ciągnął dalej — ty i Tłuczek zaniesiecie towar do Pax Tharkas i tam go sprzedacie. Tylko bądźcie ostrożni na drodze. Ostatnio mnóstwo w okolicy złodziei.

— Szczera prawda — powiedział Tłuczek, kiwając głową nad zepsuciem obyczajów w obecnych czasach. — Podróż do Pax Tharkas zajmie nam trzy dni, tyle samo powrót. Zostaje nam dzień, żeby sprzedać łupy.

— Tylko nie na targowisku —? ostrzegł Selquist. — Ktoś z Thorbardinu mógłby poznać przedmioty.

— Może nie mam wyobraźni, ale aż taki głupi nie jestem — rzekł urażony Tłuczek. — Zajrzę do przyjaciela, kendera Rhangi Changehands. On weźmie od nas towar i dobrze nam za niego zapłaci.

— Kender? — Selquist miał wątpliwości. — Od kiedy to kenderzy zajmują się paserstwem?

— On od dawna się tym zajmuje. Jest sprytniejszy od większości swoich ziomeków. Podejrzewam, że jest po części człowiekiem.

— Wiele z tego nie wynika — burknął niezadowolony Selquist. — Dobra, jeśli na więcej was nie stać. Tylko macie przynieść nie mniej niż dwadzieścia sztuk stali. I pamiętajcie, żeby kender dał wam rachunek. Bracia ponownie zapakowali wszystkie przedmioty.

— Zobaczmy się za tydzień — powiedział Moździerz. — Powodzenia w czytaniu książki. \*

Selquist i Świder spali do późna, zadowoleni, że znów są we własnych łóżkach. Kiedy Selquist już wstał, zbudził Świdra i polecił mu zacząć lekturę, a sam przyrzędził śniadanie.

Księga miała ponad dwa cale grubości i ciężkie karty z pergaminu. Niektóre się poodrywały i wystawały z oprawy. Okładkę książki wykonano z miękkiej brązowej skóry, miejscami przetartej i obłazącej. Nie widniał na niej żaden tytuł ani znak. Pismo w książce było drobne i prawie nieczytelne.

Sekjuist podał Świdrowi talerz ze smażonymi jajkami na bekonie i usiadł.

— Dobra, co my tu mamy? Czytaj na głos. Tylko nie z pełnymi ustami! Plujesz jajkiem na cały stół.

Świder pośpiesznie przełknął śniadanie i rozpoczął czytanie od pierwszej strony.

— „Dzień pierwszy: Halfest, nasz dowódca, każe nam pośpieszyć się z gromadzeniem prowiantu. Mówi, że musimy wyruszyć jeszcze dzisiaj albo zrezygnować z wyprawy. Kiedy Grumold siadł, żeby odsapnąć, uderzył go batem. Śpieszymy się. Później: Teraz Grumold jest naszym dowódcą. Zabił Halfesta, ale on także twierdzi, że musimy się śpieszyć. Teraz Grumold ma bat. Jesteśmy posłuszni.” — Świder popatrzył na Selquista. — Mili faceci z tych Daewarów.

— Jestem pewny, że Grumold miał powody — powiedział oschle Sekjuist. — Czytaj dalej.

Świder rozparł się wygodnie i wrócił do lektury. Jego przyjaciół usiadł w swoim miękkim fotelu i słuchał. Pod wieczór, kiedy wydawało się, że Świder zachrypnie, Selquist przynosił mu piwo orzechowe, które, jak wiadomo, koi podrażnione gardło.

Dowiedzieli się, że książkę tę napisał skryba, który służył w tamtych czasach tanowi Daewarów. Wysłano go z drużyną, aby prowadził dziennik wyprawy. Najwyraźniej nie dla potomności, lecz dlatego, że tan nie ufał dowódcom ekspedycji.

Pierwszego dnia lektury śledzili losy Daewarów w trakcie ich wędrówki z ojczystego Thorbardinu w głąb puszczy. Krasnoludowie maszerowali wiele dni, a pisarz notował tak godne uwagi wydarzenia, jak bójka na noże o resztki potrawy z królika, która została po kolacji. W jej trakcie trzech Daewarów odniosło ciężkie obrażenia i trzeba było ich zostawić.

Jedynym dotychczas zdobytym łupem był świeżo upieczony placek, który skradziono z okna chaty jakiegoś wieśniaka. W końcu Selquist usnął w fotelu. Zbudziwszy się raptownie

ze złego snu, w którym Chronix gonił go z nożem w jednej ręce, a gorącą szarlotką w drugiej, stwierdził, że Świder również śpi, z głową na książce. Obaj dali za wygraną i poszli do łóżek. \*

Podczas drugiego dnia lektury ekspedycja Daewarów przędzierała się przez jakieś pozbawione nazwy góry i pustynię, gdzie dwóch kolejnych krasnoludów padło z pragnienia. Świder doskonale wiedział, co czuli. Mniej więcej w porze obiadu poskarżył się na suchość w gardle i rzeczywiście, ledwo chrypiał. Selquist przyniósł więcej piwa i tym razem doprawił obie porcje spirytusem. Czuł potrzebę pokrzepienia się napojem wzmacniającym.

— Nie mogę w to uwierzyć! — powiedział Selquist podczas przerwy w czytaniu, kiedy Świder koił struny głosowe. — Gdzie te łupy? Gdzie skarby? Po jakiego diabła płaczą się po tej przeklętej pustyni, kiedy mogliby coś ukraść bliżej domu? Coś kiepski wódz z tego Grumolda. — Mam przestać? — spytał z nadzieją Świder. — Nie, poczekamy do wieczora. Czytaj dalej. Świder

westchnął i wrócił do lektury.

— „... przełęcz przez Pasma Zagłady zagradały pułki woj- ska smokowców...”

— Zaczekaj! — krzyknął Selquist i zeskoczył z fotela. Pod- biegł do wielkiego, zamkniętego na trzy zamki drewnianego kufra. Otworzył go i przez chwilę przetrząsał zawartość skrzyni. Świder, ucieszony z chwili przerwy, pociągnął kolejny łyk piwa.

Selquist wyjął tuleję, otworzył ją i wyciągnął ze środka mapę. Mamrocząc pod nosem „Pasma Zagłady”, rozłożył ją na stole. Wskazał palcem. — Czy tu jest napisane to, co mi się wydaje? Świder rzucił okiem.

— Jeśli ci się wydaje, że jest napisane „Pasma Zagłady”, to masz rację. — Wiedziałem! Pasma Zagłady. To góry tuż na południe od 94

Neraki. Od Neraki! To tam wędrują. Z tego może jeszcze coś wyniknąć. Słyszałem, że Smoczy Władcy ukryli tam wszystkie swoje łupy. — Selquist zatarł dłonie. — To może być duża sprawa! Bardzo duża! Czytaj dalej!

Wzmocniony piwem i pokrzepiony na duchu, Świder podjął lekturę w miejscu, w którym ją przerwał. Czytał monotonie do bladego świtu, lecz poza bijatyką w karczmie w Sanction pisarz nie zanotował niczego godnego uwagi. — Do licha, miałem nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej — westchnął Selquist.

Świder ziewnął. Był na wpół pijany, oczy mu się kleiły i ledwo mógł mówić.

— Reszta książki jest naprawdę w kiepskim stanie. Wyglą- da, jakby ktoś wrzucił ją do ogniska.

Wskazał następną stronicę, częściowo zwęgloną. Pismo było nieczytelne. — Ciekaw jestem, co za idiota próbował spalić moją książkę — powiedział obrażonym tonem Selquist. — Pewnie ta wesz, Grumold. Mam nadzieję, że tan wyleje go z pracy. W odpowiedzi usłyszał jedynie chrapanie. Świder padł na twarz, zmorzony mocnym snem. Selquist potrząsnął nim. Krasnolud ani drgnął.

— W porządku — westchnął Selquist. — Zrozumiałem aluz- ję. Kładź się do łóżka. Jutro rano zaczniemy od nowa. \*

Jednak następnego dnia Świder całkiem stracił głos. Selquist zmuszony był poszukać kapłanki, która zmówiła modlitwę uz- drawiającą do Reorxa, zaleciła okład z miodu i gorczycy na klatkę piersiową i zażądała od Selquista wygórowanej sumy sześciu pensów za swoje usługi.

Miód i gorczyca kosztowały następne dziesięć pensów i za- nim Selquist wrócił z rynku, zapomniał, czy maść miała być stosowana zewnętrznie, czy podawana wewnętrznie. Na wszelki wypadek zrobił jedno i drugie. Pod wieczór Świder odzyskał zdolność mówienia, aczkolwiek wabił muchy. 95

— „Dzień osiemdziesiąty pierwszy: Już od czterech dni znaj- dujemy się pod ziemią. Wstrząsy sprawiły, że ściany naszej jaskini się zawaliły, ale skała utrzymała sklepienie. Vissik i Gre- vik dowodzą grupą kopaczy, ale po stracie Romasa i Ulutha, pogrzebanych pod rumowiskiem, rozpaczliwie brakuje nam rąk do pracy. Ten...” Świder umilkł. — Co ten? — zaciekawił się Selquist.

— Nie mogę odczytać. To chyba... — Krasnolud wskazał na stronicę. — To chyba krew!

— Świetnie! Jakiś idiota nie tylko upuszcza moją książkę do ogniska, ale też brudzi ją krwią!

Świder spojrział na następną stronę, która była podarta, ale dawała się odczytać.

— „... magowie czarnych szat. Znaleźliśmy dwóch żywych pod zwałami kamieni. Odkopaliśmy ich, a potem zabiliśmy. Nie próbowali rzucać czarów. Nadal przekopujemy się do komory i natknęliśmy się na coś, co zdaniem Grumolda jest północną ścianą. Grumold twierdzi, że zgodnie z mapą powinniśmy zna- leźć ogromną dębową szafę, wyższą od człowieka, a w niej mnóstwo magicznych przedmiotów, pieniędzy i klejnotów. Sku- piamy wysiłki w tym właśnie miejscu, w

nadziei, że...

— Tak, tak! — Selquist z zapalem nachylił się w przód. — Dobry stary Grumold! Już się zbliża! Co było dalej? — Nie wiem. — Świder potrząsnął głową. — Znów krew. Selquist posłał Grumolda do Otchłani. \*

Następnego dnia Selquist znów nakarmił Świdra miodem z gorczycą i posmarował mu miksturą klatkę piersiową, nie zważając na protesty ani na fakt, że zaczęła mu złazić skóra. Podał przyjacielowi książkę. Świder jęknął, ale Selquist był bezlitosny. — Czytaj. Krasnolud czytał. — „... wreszcie dokopaliśmy się do przedsionka składu. 96

Zniszczenia nie są tu tak dotkliwe. Południowa ściana wytrzymała. Księgi zaklęć nadal stały na półce. Zabraliśmy je, a także kilka sztuk broni, która wydaje nam się magiczna, a także trochę innych rzeczy. — Rzeczy? Jakich rzeczy? — podniecił się Selquist.

— O tym nie wspomina. Pisze tylko: „Wszyscy będziemy bogaci. Bogatsi od tana. Bogatsi od wszystkich tanów w całym Thorbardinie.”

Świder i Selquist wlepili w siebie oczy. Selquist z szerokim uśmiechem zerwał się od stołu i odtńczył krótki taniec na środku saloniku.

Świdra nie trzeba było już poganiać, żeby czytał dalej. Robił to teraz tak szybko, że przyjaciel ledwo mógł zrozumieć słowa.

—? „Wypełniliśmy prawie wszystkie plecaki stalą i drogimi kamieniami.” — Tak! Tak! — Selquist śpiewał i tańczył.

— Niektórzy uważali, że to wystarczy i że powinniśmy odejść. Grumold jednak rozkazał dalej kopać. Twierdzi, że czuje wielką magiczną moc promieniującą z tej komnaty.”

— Kochany, stary Grumold! Prawdziwy przywódca! — Selquist padł na fotel, zdyszany, ale szczęśliwy. — Co znaleźli? Czytaj dalej! Dalej!

— „Później tego samego dnia: Grumold miał rację! Tuż po przerwie w południe Kuvoss odkrył smocze jajo w skrzyni pod słupem. Co za znalezisko! Wciąż nietknięte i warte więcej niż wszystkie pozostałe przedmioty razem wzięte!” Selquistowi zrzędała mina. — To wszystko? To ten wielki skarb? Świder podniósł wzrok znad książki. — Na to wygląda.

— Smocze jaja. — Selquist zmarkotniał. — Może były coś warte dwadzieścia pięć lat temu, ale teraz ten rynek diabli wzięli. Wszędzie teraz pełno smoczycich gniazd. Poza tym, każde jajo, które leży od dwudziestu pięciu lat... — Zmarszczył nos, potrząsnął głową. — Co za bęc wał z tego Grumolda! Za grosz zdolności przewidywania. 97

— Chcesz posłuchać reszty? — Chyba tak — odparł posepnie Sekjuist.

— „Później: Znaleźliśmy jeszcze dziewięć jaj. Wszystkie są całe i w dobrym stanie. Niestety, nie są tyle warte, ile początkowo sądziliśmy.”

— Ha! — rzekł z ponurą satysfakcją Selquist. — Grumold musiał spojrzeć na przyszłe rynki.

— „Vissik znalazł jakieś napisy na jednym z pojemników. Noorhas je przetłumaczył, ponieważ są w mowie wspólnej. W tych jajach rzekomo znajdują się samice smokowców, którym nigdy nie pozwolono się wykluć. Pomimo to wygląd zewnętrzny jaj nie uległ zmianie. Grumold mówi, że powinniśmy je sprzedać jako zwykłe smocze jaja i niech kupujący się strzeże!”

— Okazał się przebieglejszy, niż początkowo myślałem — przyznał Selquist. — Czytaj dalej. Może dowiemy się, ile dostali za te jaja.

Świder wrócił do lektury, ale reszta książki była tylko zapisem powrotnej podróży Daewarów do ojczyzny, urozmaiconym relacjami o bójkach, które wybuchały z powodu skarbów i spowodowały śmierć następnych kilkunastu krasnoludów. Zanim książka się skończyła, przy życiu został tylko Grumold i pisarz.

Przedostatni zapis brzmiał: „Grumold i ja schowaliśmy skarb w bardzo przemyślnej skrytce, której nikt nigdy nie znajdzie.”

Ostatni był następujący: „Z rozkazu tana Grumolda dziś stracono za próbę zatrzymania całego skarbu dla siebie. On nie wiedział, że prowadzę ten dziennik, ponieważ jestem pewny, że inaczej nie zostawiłby mnie przy życiu. Tan sowicie mnie nagro- dził. Mapa z zaznaczonym miejscem ukrycia skarbu znajduje się w księdze, którą wkrótce przekażę tanowi.”

— Daj mi zobaczyć! Daj mi zobaczyć! — Selquist gorącz- kowo wyrwał książkę Świdrowi i otworzył ją na ostatniej stronie. Strona była brudna, pognieciona i pusta. — Do licha! Może mapa jest z przodu.

— Nie ma — powiedział Świder, ale Selquist musiał sam zobaczyć. 98

Nie było. Selquist osunął się na fotel i wbił wzrok w ścianę. — Nie ma mapy — powiedział. — Nie ma mapy. Włożył rękę do kieszeni, wyjął medalion Królowej Ciemności.

— Trzeba było powiedzieć Moździerzowi, żeby go zabrał. Oczywiście nie dostałby za niego nawet połowy tego co ja, ale teraz oddałbym go za kenderski grosz. Umilkł i coś zaskoczyło mu w głowie.

— Kenderski grosz. Coś nieistniejącego. Niewidzialnego. W tym rzecz! — zawołał. — Niewidzialny tusz.

Selquist wystawił książkę na słońce, które wpadało przez górne okno. Obejrzał każdą stronę w świetle, ale znów niczego nie znalazł. Cisnął wolumin na stół z odrazą. — Musi być mapa — twierdził uparcie Świder.

— Wcale nie. Może dlatego ten nędznik Chronix nigdy nie skorzystał z księgi. Nie miał mapy. Nigdy mu nie ufałem. — Rzucił medalion na książkę. — A co do tego świecidełka, jutro wieczorem zakopię ten piekielny przedmiot. Najwyraźniej ciąży na mnie przekleństwo. — Ale skryba napisał, że mapa jest w książce. — Kolejny krasnolud, któremu najwyraźniej nie można ufać

— rzekł ponuro Selquist. — Spójrz tylko, jak zawiódł zaufanie biednego Grumolda. „Mapa jest w książce. Mapa jest w książce”. — Nagle zerwał się na nogi z dzikim wrzaskiem. — Aha!

— Co się stało? — krzyknął przestraszony Świder.

— Kochany, drogi pisarz. Błogosławiony, prześliczny pi- sarz! Jak mogłem w ciebie zwątpić?

Selquist wyciągnął z cholewki buta nóż. Wsunąwszy ostrze pod górną okładkę, rozciął oprawę i odciągnął skórę.

— Mapa jest w książce — rzekł Selquist i triumfalnie pod- niósł złożony kawałek pergaminu.

Ostrożnie, rękami drżącymi z podniecenia, rozłożył arkusz na stole.

Rzeczywiście była to mapa ukazująca płataninę tuneli i ko- rytarzy. Najwyraźniej narysowali ją krasnoludowie, ponieważ była niezwykle szczegółowa. Przewidująco naniesiono na nią 99 pułapki i sposoby ich unieszkodliwienia oraz kąt nachylenia rozmaitych korytarzy.

Selquist przyglądał się uważnie mapie, potem niespodziawa- nie wydał okrzyk. — Ja wiem, gdzie to jest! — Naprawdę? — Świder przetarł klejące się oczy.

— Tak! Popatrz, tu jest Brama Południowa, a Brama Północ- na jest tam na górze. Komnata, od której zaczyna się mapa, znajduje się po lewo. Nie może leżeć daleko od tego szybu wentylacyjnego, który znalazłem. — Selquist podniósł medalion Królowej Ciemności, pocałował go z czcią. — Wasza Królewska Mość! Wasza błogosławiona Królewska Mość wreszcie coś zro- biła dla mnie!

Ostrożnie złożył mapę i schował ją do kościanego mapnika. Umieścił mapnik do skrzyni i zamknął ją na trzy zamki. Włożył medalion do kieszeni. Potem rozsiadł się w fotelu i westchnął z błogim zadowoleniem. — Będziemy bogaci, prawda? — spytał Świder.

— Tak — odparł Selquist głosem zdławionym ze wzrusze- nia. — Bardzo bogaci. Rozdział 15

Smokowcy, którzy biwakowali na wzgórzach, przez następne dwa dni obserwowali wojsko lorda Ariakana, które przebyło Równiny Pyłu i rozbiło obóz w górach.

Perspektywa ponownego wyruszenia na wojnę wprawiła smokowców w podniecenie i chociaż Kang robił, co mógł, żeby pohamować ich entuzjazm, musiał przyznać, że podzielał ich uczucia. Znow będą służyć pod rozkazami dowódcy, który doceni ich wyjątkowe zdolności, będą mieli okazję robić to, czego ich nauczono, a mianowicie budować, projektować i obsługiwać każdą konstrukcję, od mostów do trebuszów, od wież Szturmowych do machin oblężniczych. Okazję, żeby być użytecznym, 100

a nie kisić się w swojej osadzie i upijać do nieprzytomności krasnoludzkim spirytusem.

Kiedy tylko wciągnięto flagi przed namiotem dowódcy, Kang zszedł z wzgórza, z którego prowadził obserwację. Zabierając dwóch baazów jako gwardię honorową, udał się na spotkanie z komendantem armii Takhisis.

Za dawnych czasów w obozowisku panowały zamęt, dowódcy poszczególnych pułków wyklócaliby się o to, kto ma najlepsze miejsce i próbowali wyłudzić od siebie nawzajem prowiant i ekwipunek. Bijatyki, pijaństwo, wchodzące w drogę markietanki, ich dzieci płaczące się pod nogami — znow ogarnęły go złe wspomnienia. Postanowił, że jeśli znow to zobaczy, zawróci, zabierze swoich żołnierzy i odmaszeruje do domu.

Doznał miłego zaskoczenia. Był nie tylko zaskoczony, ale pełen podziwu. Ogromnego podziwu.

Żołnierze spokojnie krzatali się w obozie, cicho i sprawnie wykonując przydzielone zadania. Rozkazy wypełniano bez zastrzeżeń, niepotrzebni byli ordynarni i trzaskający z bata nadzorcy.

Kang zatrzymał rycerza ubranego w czarną tunikę z godłem w kształcie kwiatu znanego na Ansalonie pod nazwą lilii śmierci.

— Proszę mi wybaczyć, panie rycerzu — powiedział Kang — czy zechciałbyś wskazać mi drogę do namiotu dowódcy?

Dobrze wiedział, gdzie ten namiot stoi. Cały poranek przyglądał się, jak go wznoszono. Chciał jednak sprawdzić reakcję rycerza.

-Mężczyzna omiół smokowca spojrzeniem, przyglądając się jego zbroi, wypolerowanej tak, że błyszczała jaśniej od słońca, oraz pasowi z oznaczeniem rangi i złotemu młotowi, który wskazywał, że jego właściciel jest saperem.

Kang zeszywniał, spodziewając się szyderczej uwagi, albo, co gorsza, pobłażliwego uśmiešku, jaki zwykle pojawiał się wargach ludzi, kiedy rozmawiali ze smokowcem.

Rycerz jednak zsalutował i przemówił do niego z wyraźnym szacunkiem.

— Panie pułkowniku, namiot dowódcy znajduje się tam, jakieś dwadzieścia pięć kroków dalej. Widać stąd proponuję. Mogę pana tam zaprowadzić, jeśli pan sobie życzy. 101

— Dziękuję, panie rycerzu — odparł Kang, również mu salutując. — Widzę już flagę. Nie będę cię odciągał od zajęć. Rycerz jeszcze raz oddał mu wojskowe honory i odszedł.

Kang poczuł rozlewające się po jego ciele rozkoszne ciepło. Słyszał kiedyś, jak pewien poeta nazwał to uczucie miłością.

Namiot dowódcy stał na dużej, płaskiej skalnej półce. Kang pochwalał wybór miejsca. W porze największego upału będzie go chronił od słońca cień gór. Obszerny pawilon uszyto z płacht czarnego i czerwonego płótna. Łopotwały nad nim dwa proporce, jeden czarny, z wizerunkiem czarnej lilii gwałtownej śmierci, której odcięta łodyga oplatała zboczony krwią topór, a poniżej drugi, oznaczający rangę komendanta, dodatkowo ozdobiony białą czaszką. Po obu stronach wejścia do namiotu stały dwa olbrzymie posągi o ludzkich kształtach, aczkolwiek zbyt wysokie jak na ludzi i groteskowo pomalowane na jaskrawoniebieski kolor.

Kang zastanawiał się nad powodem ich obecności i uznał, że zapewne są jakimś nowym symbolem kultu Królowej Ciemności, kiedy ku jego wielkiemu zdumieniu jedna z figur drgnęła. Oczy, okolone skorupą niebieskiej, tłustej farby, spojrzały na Kanga. Dłoń, dorównująca rozmiarami dłoni smokowca, wliczając w to pazury, ścisnęła rękojeść miecza tak gigantycznego, że większość ludzi prawdopodobnie nie zdołałaby go nawet unieść.

Kang stanął jak wryty. Dwa baazy zajęto plecami omal na niego nie wpadły. Smokowiec wlepił wzrok w człowieka, który uczynił to samo. Nie ulegało wątpliwości, że przedstawiciele tych dwóch ras widzieli się po raz pierwszy. Pomalowane na niebiesko wargi człowieka wykrzywił wrogi grymas. Mężczyzna warknął i wyciągnął dobre sześć cali klingi ze zdobionej po barbarzyńsku pochwy.

Z namiotu wyszedł rycerz, żeby zobaczyć, co się dzieje. Na widok Kanga rzekł coś do człowieka w dziwnej i chrapliwej mowie. Wartownik znów burknął i schował miecz do pochwy. Nie spuścił jednak oczu z Kanga. Smokowiec także nadal wpatrywał się w człowieka z napięciem.

— Zaczekajcie tu na mnie — rozkazał baazom. — I wciągajcie języki — dodał z irytacją. Rycerz zbliżył się do Kanga i zasalutował. 102

— Tędy, panie pułkowniku. Oczekiwaliśmy pana.

Wprowadził go do namiotu. Starszy oficer siedział przy polowym biurku ze skórzaną podkładką do pisania. On również nosił czarną oponkę, z tym, że z wizerunkiem czaszki. Wewnątrz namiotu było chłodniej, ale różnica nie była wielka. Panował niemiłosierny upał. Płachta w drzwiach wisiała nieruchomo, nie wiał najłżejszy nawet wiatr. Mimo to oficer najwyraźniej nie cierpiał z powodu gorąca. Po obu jego stronach stało następnych dwóch ludzi o wyglądzie dzikusów. Każdy z nich nosił po dwa miecze i odziany był od stóp do głów w ciężką kolczugę, która musiała ważyć więcej niż on sam. Nawet nie byli spoceni. Generał skończył pisać i wstał.

— Przedstawiam Roberta Sykesa, Lorda Czaszki — oznajmił rycerz, który pełnił funkcję adiutanta. Sykes przyjrzał się Kangowi z nieskrywaną ciekawością. — Witam, pułkowniku...

— Kang — rzekł smokowiec. — Saper Pierwszej Smoczej Armii.

— Doprawdy. — Rycerz uśmiechnął się lekko. — Niewiele zostało z Pierwszej Smoczej Armii.

— My zostaliśmy, panie generale — powiedział z dumą Kang.

— Tak słyszałem. — Sykes był mężczyzną w średnim wieku, o ciemnych włosach i kontrastujących z nimi siwych, krzaczystych brwiach. W krótkiej, schludnie przystrzyżonej brodzie widniały siwe pasma. Chłodne, szacujące spojrzenie dostrzegało więcej, niż samo zdradzało.

— Zbierz pierwsze skrzydło, mają być gotowi do inspekcji — rzekł do adiutanta.

Rycerz zasalutował i wyszedł. Sykes odwrócił się znów do Kanga.

— Ma pan pod swymi rozkazami dwustu smokowców, pułkowniku — powiedział. — Nie myślę się?

— Nie, lordzie. Muszę przyznać, że to, co dziś zobaczyłem, wywarło na mnie ogromne wrażenie. Najwyraźniej od czasów Wojny Lancy w wojsku Królowej zaszły poważne zmiany na lepsze. 103

Sykes uśmiechnął się.

— W czasie wojny byłem dowódcą kompanii w Drugiej Smoczej Armii. Muszę się z panem zgodzić, pułkowniku Kang. Żołnierze pod rozkazami takich dowódców jak Smoczy Władca Verminaard bardzo przypominali swoich przełożonych i niewiele różnili się od złodziei i rzeźników. Zawsze skłonny byłem zaliczać do tego grona również smokowców. Z tego też powodu obawiam się, że nie skorzystam z waszych usług.

Kang skrzyżował ręce na piersi i rozpostarł skrzydła. Był duży jak na bozaka, dorównywał wzrostem najwyższym spośród pomalowanych na niebiesko dzikusów.

— Może niektórych smokowców, panie generale, ale nie tych pod moją komendą. Nie przetrwalibyśmy tak długo, gdybyśmy tacy byli. Mam dwustu żołnierzy, wszyscy są świetnie wyszkoleni. Jesteśmy saperami. Myślimy w biegu, otwieramy drogi armii i zagradzamy je nieprzyjacielowi.

Rycerz uśmiechnął się na przechwałki Kanga, aczkolwiek smokowiec odniósł wrażenie, że zaimponował Sykesowi. Mimo to mężczyzna postarał się, żeby nie pokazać tego po sobie. Uniósł jedną białą brew.

— Musiał pan być w Nerace, pułkowniku. Braliście udział w bitwie i uszliście z życiem... Cóż, można by was nazwać dezserterami. Kang nie drgnął ani nie spuścił oczu.

— Dostojny panie, każdego żołnierza Królowej Ciemności, który przeżył Wojnę Lancy, można nazwać dezserterem.

Sykes zeszywniał, słysząc te słowa. Poblądł ze złości i Kang przez chwilę sądził, że posunął się za daleko. Potem rycerz odprężył się i ze smutkiem pokręcił głową.

— Ma pan rację, pułkowniku. Niejeden z nas wyrzucił broń ze wstrętem i wołał opuścić pole walki, niż znieść upokorzenie, jakim było poddanie się tej elfiej dziwce, która przybrała miano Złotego Generała. Po co oddawać życie za sprawę, której nie chcieli popierać nawet nasi dowódcy? Teraz jednak wszystko się zmieniło — powiedział cicho Sykes, bardziej do siebie niż do Kanga. — Wszystko się zmieniło. 104

Milczał przez chwilę, wyglądając z namiotu z zadumą, której smokowiec nie zamierzał przerywać. Obaj wciąż stali w ciszy, kiedy wrócił adiutant. — Pierwsze skrzydło zebrane, panie generale.

— Dziękuję, szponowy. — Sykes odwrócił głowę do Kanga. — Proszę ze mną. Pokażę panu nowe wojsko lorda Ariakana.

Wyszli z namiotu, a dwaj pomalowani na niebiesko strażnicy ruszyli w ślad za nimi. Na placu stał cały szwadron rycerzy z uniesionymi kopiami. Mieli czarne zbroje, ich konie były czarne. Na widok dowódcy wyprężyli się na baczność.

— Lord Ariakan za młodu przez wiele lat przebywał w niewoli u rycerzy solamnijskich — wyjaśniał Kangowi Sykes. — Traktowali go dobrze, ponieważ podziwiali jego odwagę i umiejętności. On z kolei nabrał szacunku dla nich. Kang zmrużył oczy. To rzeczywiście coś nowego!

— Wiele się też od nich nauczył — ciągnął dalej Sykes. — Zdobył rozległą wiedzę, z której zrobił dobry użytek, kiedy wreszcie zdołał uciec. Dzięki przysiędze i Regule, z której kiedyś szydziliśmy, rycerze solamnijscy działali jako zwarta grupa, nawet przed wojną, kiedy ludzie na nich pomstowali. Lord Ariakan ustanowił kodeks dla naszych wojsk. Tym kodeksem i Objawieniem kierujemy się na polu walki i poza nim. Dzięki nim zaprowadzimy pokój i ład na tym chaotycznym świecie.

Żaden z rycerzy nawet nie drgnął w siodle. Panowali też doskonale nad swoimi wierzchowcami. Wydawało się, że jeźdźcy i konie wykuci są z obsydianu. — Opowiedz mi o tym kodeksie — rzekł Kang.

— Dla każdego z trzech zakonów jest on inny. Reguła Rycerzy Lili brzmiała: „Niezależność rodzi zamęt. Poddaj się i bądź silny.” Reguła Rycerzy Czaszki: „Śmierć jest cierpliwa. Nadchodzi tak z zewnątrz, jak i z wewnątrz. Miej się zawsze na baczności i do wszystkiego podchodź sceptycznie.” Reguła Rycerzy Cierpienia, którzy władają magią, brzmi następująco: „Ten, kto słucha głosu serca, odkryje, że serce może krwawić. Nie odczuwaj niczego, oprócz zwycięstwa”. 105

— A Objawienie, panie? — zaciekał się Kang. Zdecydowanie pochwalał wszystkie trzy zasady.



— Objawienie zsyła każdemu z nas nasza Królowa — powiedział Sykes. — Dostają wszyscy, każdy odpowiednie dla siebie. Stąd wiemy, jaką drogę wybrać. Stąd czerpiemy natchnienie.

Kang wyciągnął miecz z pochwy, powoli i świadomie. Straż przyboczna wodziła za nim czujnym wzrokiem, trzymając dłonie w pobliżu oręża. Odwrócił miecz i podał go Sykesowi rękojeścią do przodu.

— Czcigodny panie, upłynęło wiele lat, odkąd moi żołnierze służyli naszej Królowej. Stworzono nas jednak do walki i to potrafimy najlepiej. Nasze umiejętności saperskie mogą się przydać twojej armii. Oddaję Pierwszy Pułk Saperów na usługi twojego wojska. Jestem przekonany, że taka jest wola Królowej. Rycerz przyjął miecz z jego rąk.

— Przyjmuję pańską propozycję, pułkowniku Kang. Jest wiele rzeczy, które możecie dla mnie zrobić. Kiedy będziecie gotowi do wymarszu?

— Za cztery dni możemy się z wami spotkać przy pierwszej górskiej przełęczy, która wiedzie do Thorbardinu. Zakładam, że tam właśnie się udajecie, żeby zdobyć twierdzę krasnoludów. Dowódca rycerzy niczego nie dał po sobie poznać.

— Powiedzmy tylko, że macie się z nami spotkać na pierwszej przełęczy na drodze do Thorbardinu. Kang zasalutował. — Rozumiem. Będziemy tam.

— Oczekuję tego z niecierpliwością — powiedział lord. Podał miecz Kanga adiutantowi, który ceremonialnie zwrócił go smokowcowi. Rycerz oddalił się, żeby zlustrować swoje wojsko. Kang mógł odejść.

Oddalając się, wciąż słyszał i widział zbrojnych rycerzy, wykonujących manewry w doskonałym szyku. Znajome wojskowe widoki i dźwięki.

Poczuł się błogo, jak ktoś, kto wrócił do domu po bardzo, bardzo długiej nieobecności. 106

## Rozdział 16

Powrotny marsz do góry Dashinak dłużył się smokowcom. Był długi i odbywał się w ciszy, którą zakłócał jedynie tupot stóp, chrobot pazurów i łagodny szum skrzydeł, którymi się wachlowali dla ochłody w palącym słońcu. Kang nie pamiętał tak gorącego i suchego lata. Zapomniał już, kiedy ostatni raz padało. Nawet krasnoludom, którzy byli lepszymi rolnikami od smokowców, plony więdły i schły w oczach. Zima mogła okazać się ciężka dla obu ras żyjących w dolinie.

— Z drugiej strony — rzekł do siebie Kang — my już nie będziemy mieszkać w dolinie. Może będziemy stacjonować w tak miłym i przytulnym mieście jak Palanthas. Albo może nawet w Wieży Najwyższego Klerysta. Będziemy mieli wtedy pod dostatkiem jadła i napojów.

Oddając się tym miłym marzeniom, przeszedł w ostrym tempie przynajmniej pięć mil, zanim wątpliwości nakazały mu zwolnić kroku.

„Rezygnuję z dwudziestu pięciu lat mozolnej, wytężonej pracy. W pewnym sensie rezygnuję z dwudziestu pięciu lat walki — walki, którą toczyliśmy o przetrwanie. Teraz być może posyłam ich wszystkich na śmierć. Pomimo to” — sprzeczał się sam ze sobą —, jak już mówiłem generałowi, jesteśmy stworzeni do wojny. Jesteśmy żołnierzami. Urodziliśmy się żołnierzami. Okryjemy się chwałą w bitwie. Wojsko rycerzy nie może ponieść klęski. Tym razem znajdziemy się po stronie zwycięzców!”

„I niektórzy z nas zginą” — przyznał. — „Może nawet wszyscy, i wówczas nasza rasa zniknie z powierzchni ziemi. Jednak my już tego nie zauważymy” — dodał, przypomniawszy sobie słowa Slitha. — „Więc to i tak nie będzie ważne.”

Mimo to nie mógł się pozbyć uczucia smutku i przygnębienia. Zaczął iść wolniej.

Jeden z oficerów podszedł do Kanga od tyłu i musnął czubek jego skrzydła, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Kang podniósł głowę i zobaczył, że większość żołnierzy zatrzymała się i spoglądała na niego z troską. Nie powiedział im 107

jeszcze o swoim postanowieniu, a dwóm baazom kazał milczeć. Nie zamierzał wyjawiać czegokolwiek, dopóki nie będzie abso- lutnie pewny swojej decyzji.

— Proszę wybaczyć — powiedział oficer — ale jeśli jest pan zmęczony, możemy odpocząć. Przed nami jest miejsce...

— Zmęczony! — ryknął Kang i skoczył na nieszczęsnego smokowca, kłapiąc zębami. — Jak to zmęczony? Mamy wojnę do stoczenia! Ruszać się, zwawo!

Żołnierz szybko wrócił do swoich towarzyszy. Kang puścił się biegiem. Pokaże im, kto tu jest zmęczony! Zaczął śpiewać dziarską piosenkę marszową, a potem zaintonował pieśń bojową smokowców. Wtedy uświadomił sobie, że już podjął decyzję.

Zmusił smokowców do przebycia całej drogi powrotnej bie- giem. I sam biegł na ich czele.

Cały pułk czekał na murach na powrót dowódcy. Wszyscy byli w pełnym rynsztunku bojowym. Kang wmaszerował do warownego grodu i zatrzymał oddział na centralnym placu. — Trąbić na zbiórkę!—rozkazał. Rozległ się sygnał trąbki, jego echo odbiło się od gór.

Większość żołnierzy, spodziewając się tego rozkazu, już była na placu i formowała szyki. Po chwili oddziały były gotowe do przeglądu. Kang pierwszy raz widział, żeby tak szybko się uwi- jali. Uśmiechnął się szeroko. Byli tak samo podnieceni jak on. Slith prężył się na baczność.

Z powodu hulanki, raportu o smokach i odkrycia armii Aria- kana, Kang całkiem zapomniał, że jego zastępca sam był na wyprawie. — Baczność! — zawołał zastępca komendanta pułku. Rozległo się tupnięcie nóg o ubitą ziemię. Kang podszedł do Slitha i odebrał od niego honory. Po cichu rzekł:

— Cieszę się, że wróciłeś! Po zakończeniu przeglądu opo- wiedz mi, gdzie się, do diabła, podziewałeś!

— Tak jest, panie pułkowniku. — Slith nic więcej nie powie- dział, ale mrugnął do niego.

Kang rozkazał pułkowi spocząć. Nie było sensu nadwerężyć ich sił w tym skwarze. Na szczęście zaczynał już zapadać zmierzch, 108

choć najwyraźniej wieczorem robiło się niewiele chłodniej. Przynajmniej w górach nie było takiego upału jak na Równinach Pyłu.

— Smokowcy z Pierwszego Pułku Saperów! Wzywa nas bit- wa. Znow będziemy żołnierzami! Lord Sykes z Piątej Armii Zdobywców pragnie, abyśmy go wsparli w podboju Ansalonu!

Zdumieni żołnierze milczeli. Smokowcy, którzy towarzyszy- li Kangowi, widzieli wojsko, ale nie mieli pojęcia, że zaproszono ich do współpracy. Ci, którzy zostali, spodziewali się ataku smoków. Teraz wszyscy usłyszeli, że znow wzywa ich wojna z narodami Ansalonu.

Slith wzniósł radosny okrzyk. Pozostali go podjęli i wkrótce ich połączone głosy zagrzmiały w górach jak grom. Z pewnością dole- ciałły wyraźnie do uszu krasnoludów pod drugiej stronie doliny.

— Wiedliśmy dobre życie na stokach góry Dashinak, ale to nie było życie żołnierzy — dokończył Kang, kiedy wrzawa wreszcie ucichła. — Stworzono nas w jednym i tylko jednym celu — abyśmy wypełniali wolę Królowej Ciemności i wspoma- gali ją w podboju tego świata. Takie wezwanie właśnie otrzyma- liśmy. Musimy go usłuchać.

Tym razem nie podniósł się aplauz. Panował uroczysty, pod- niosły nastrój.

— Dowódcy batalionów, przygotować wojsko do wymarszu za dwa dni. Zebranie sztabu odbędzie się o siódmej rano. Slith, każ żołnierzom się rozejść.

Slith stanął na baczność, taką samą komendę wydał pułkowi, zsalutował dowódcy i zawołał: — Rozejść się!

Smokowcy nie opuścili placu defilad, lecz natychmiast zbili się w gromadę, łopotali skrzydłami,

kłapali zębami i syczeli. Ktoś wytoczył beczułkę krasnoludzkiego spirytusu. Żołnierze wzno- silili okrzyki na cześć przechodzącego Kanga i wołali, żeby się do nich przyłączył. Komendant jednak potrząsnął głową i udał się do swojej kwatery. Nagle poczuł się strasznie zmęczony.

Sprawy przybrały zupełnie niespodziewany obrót. Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

109

Upuścił polowy rynsztunek i zostawił go na podłodze. Padł na łóżko i wbił wzrok w sufit.

— Czy postąpiłem właściwie? — znów zadał sobie pytanie. — Czy tego właśnie chcą moi żołnierze? Jestem ich dowódcą i muszę o nich dbać. Muszę o nich myśleć. Z drugiej strony, od dwudziestu pięciu lat nie jesteśmy żołnierzami. Jesteśmy osad- nikami w surowej i jałowej krainie. I przetrwaliśmy. Co więcej, uczyniliśmy z niej swój dom... Tok jego myśli przerwało pukanie do drzwi. — To ja, Slith, panie pułkowniku. — Wejdz.

Sivak wszedł, zasalutował i zamknął drzwi. Był dość przewi- dujący, żeby przyjść z dzbankiem.

— Pomyślałem, że należą się panu gratulacje. Musiał pan piekielnie zaimponować temu dowódcy. Jak on mówi o sobie? Lord rycerz? Kim on jest, jakimś solamnijskim wyrzutkiem? Czy jest pan pewien, że powinniśmy się w to angażować? Kang wstał i powlókł się do stołu.

— Nalej sobie i przy okazji mnie też. — Pociągnął długi łyk alkoholu, odczekał chwilę, aż zgaśnie blask wybuchu w jego mózgu, a ogień w żołądku przestanie się tlić. Kiedy już to nastąpiło, zaczął znów mówić.

— Obaj jesteśmy żołnierzami. Wiemy, jak walczyć i dowodzić wojskiem. Sam o tym mówiłeś. O tęsknocie. O tęsknocie za tym, żeby toczyć boje i walczyć w imię Królowej. Do tego nas stworzono.

Slith usiadł i odchylił się na oparcie krzesła. Ogon spuścił na bok i owinał nim stopy.

— Wiem. Pamięta pan jednak, co się wydarzyło ostatnim razem. Podejrzewam, że nasza Królowa nie miała wiele wspól- nego z tą wojną. Z drugiej strony, sam nie wiem. Nigdy ze mną nie rozmawiała.

Kang popatrzył w głąb kubka pełnego ciemnego, mocnego trunku.

— Ze mną tak — powiedział cicho. Ilekroć prosił ją o czary, słyszał jej głos. Nagle uderzył pięścią w stół. — Tym razem nie poniesiemy klęski! Jestem tego pewny. Powinieneś widzieć 110

to wojsko! Zdyscyplinowane, dobrze wyszkolone, wierne spra- wie Królowej. Honor, Slith, oni mówili o honorze! Możesz w to uwierzyć? Całe ich wojsko było całkiem inne. Oni zamie- rzają zwyciężyć, nie zabijać dla samego zabijania, jak zesłłym razem.

— Skoro mowa o zabijaniu, panie pułkowniku. Wciąż żyje- my po tych dwudziestu pięciu latach, a to coś warte.

— Tak, żyjemy, ale co to za życie. Prawdę mówiąc, gdyby się nad tym zastanowić, tylko czekamy na śmierć. Teraz przynaj- mniej mamy okazję nadać jej jakiś sens.

— Ma pan dziś dobry humor, pułkowniku. Proszę się jeszcze napić. — Slith sam pociągnął spory łyk.

Kang wybuchnął śmiechem, ale wypił tylko odrobinę alko- holu. Nie mógł sobie pozwolić na upojenie trunkiem. Nie dziś wieczorem. Miał robotę. Odepchnął dzbanek na drugi koniec stołu, poza zasięg ręki.

— Powiedz mi teraz, przyjacielu, gdzie się wymknałeś pod- czas napadu? Kapral, którego przysłałeś, wspominał o pościgu za krasnoludzkimi złodziejami.

— Tej nocy, kiedy urządziliśmy napad, zauważyłem czte- rech krasnoludów, którzy opuszczali po cichu Celebundin. Sko- rzystali z zamętu wywołanego naszym atakiem, żeby się wymk-nąć. Można powiedzieć, że pomogliśmy im uciec.

Kang próbował udawać zainteresowanie, ale przychodziło mu to z trudem. Tydzień temu byłby

zafascynowany tą nowiną. Teraz krasnoludowie mało go obchodzili. Slith mówił dalej.

— Śledziłem ich dwa dni. Poszli na północ przez przełęcz w górach. Minęli dwa górskie szczyty, a potem przecięli grań Helefundis. W tym momencie musiałem się zatrzymać, aby mnie nie zauważono. Dowiedziałem się jednak, co było celem ich wyprawy.

— Co? — spytał Kang, ponieważ tak należało, a nie dlatego, że go to obchodziło. — Thorbardin. Kang nagle bardzo się zaciekawiał. Był przekonany, że Thorbardin był celem wyprawy rycerzy.

111

— Thorbardin? Krasnoludowie podgórcy? Nie przyjęto by ich tam zbyt serdecznie.

— Nie oczekiwali serdecznego przyjęcia. Z tego, co udało mi się złożyć ze strzępów podsłuchanych rozmów, ci czterej mają ręce lepkie jak kenderzy. Nie wybierali się do Thorbardinu na zjazd rodzinny. Jeśli dobrze zgadłem, zamierzali ograbić swoich bogatych kuzynów z drogich kamieni i stali. Mam wrażenie, że daliśmy się wystrychnąć krasnoludom na dudka. Okradaliśmy ich gorzelnie, a trzeba było nam okraść ich skarbiec! Kang wzruszył ramionami.

— Psiakrew. Szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym wcześniej. Teraz to już nieistotne. Wyruszamy na wojnę i zostawiamy krasnoludów. Z drugiej strony, dobrze wiedzieć, że istnieje tylne wejście do Thorbardinu. Ta wiadomość może bardzo zainteresować lorda rycerza. — Za chwałę, panie pułkowniku. — Za chwałę! Dwaj smokowcy wzniesli kubki i napili się. — Dwa dni, Slith. Każdym żołnierzom się przygotować. Slith dokończył swój trunek jednym haustem.

— Dwa dni. Trudno uwierzyć, że po tylu latach odchodzimy. Tak jest, panie pułkowniku. Pułk będzie gotowy. Dwa dni. \*

Dwa dni minęły jak z bicza trzasnął. Kang wydawał rozkazy, nadzorował załadunek wozów, pilnował, aby przyszykowano prowiant. Musiał uporać się z niezliczonymi kłopotami, kilkoma małymi i jednym poważnym. Poważny problem wystąpił w chwili, gdy trzech kalecy smokowcy usłyszeli, że towarzysze wyruszają na wojnę, i zakładając, że zostaną porzuceni i skazani na śmierć głodową, próbowali popełnić samobójstwo, dosypując sobie zmieszanych płatków lilii śmierci do piwa orzechowego. Ich zamiar wyszedł na jaw wystarczająco wcześnie, aby temu zapobiec.

Kang porozmawiał z inwalidami, pokazał im ich imiona w planie dyżurów i obiecał, że nie tylko odejdą razem z resztą pułku, ale zostaną uwzględnieni przy podziale obowiązków. 112

Poleciał im dokonać inwentaryzacji ekwipunku oraz broni i ustalić, co powinni zabrać, a co zostawić. Dzięki temu trzech sprawnych smokowców mogło się zająć innymi obowiązkami, więc decyzja Kanga przyniosła pożytek. Niemniej spowodowała kolejną przerwę w pracy. „Może to i dobrze, że nie mam czasu, żeby za dużo myśleć” — pomyślał jedząc spóźnioną kolację, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

Było to przynajmniej setne pukanie w przeciągu ostatniej godziny. Kang westchnął. — Tak, o co chodzi? Jem kolację! W każdym razie próbuję.

— Proszę mi wybaczyć, panie pułkowniku, ale przyszedł zwiadowca z meldunkiem. Sądzę, że powinien pan go wysłuchać. — Jasne, że powinienem — mruknął Kang. Odsunął talerz. — Wpuść go.

Baaz wszedł niezdarnie, kołysząc głową i rzucając szybkie spojrzenia na boki. Pierwszy raz był w kwaterze dowódcy. — O co chodzi? Streszczaj się — warknął Kang. Baaz znów skłonił głowę.

— Tak jest, panie pułkowniku. Obserwuje nas kilku krasnoludów. Zauważyliśmy ich wczoraj. Siedzą na drzewie w zagajniku jakąś milę stąd. Nie meldowaliśmy o tym, bo poza siedzeniem niczego nie robili. Dzisiaj jednak wrócili i nasz dowódca chce wiedzieć, co ma robić. Mamy ich stamtąd ściągnąć czy zostawić w spokoju?

— Zostawcie ich — powiedział Kang z uśmiechem. — Próbują tylko ustalić, jakie mamy plany.

Pewno trzęsą portkami, boją się, że szykujemy się do poważnego ataku na nich.

— A nie robimy tego? To nie byłby zły pomysł. Przypuśćmy, że komuś powiedzą, że odeszliśmy.

Kang już się nad tym zastanawiał. Spalona osada krasnoludów i wóz wypełniony odciętymi głowami byłby świetnym prezentem dla ich nowego dowódcy. Zagwarantowałyby też milczenie krasnoludów.

Zrezygnował jednak z tego pomysłu, choćby tylko z powodu kubka spirytusu, który stał obok jego talerza. Miał wobec kras-

113

noludów dług; od lat dostarczali im żywności, trunków i szczególnego rodzaju towarzystwa. Jeśli rycerze Takhisis mogli mówić o honorze i wyrażać się z szacunkiem o nieprzyjaciółach, w takim razie, na miłość Królowej Ciemności, Kang też potrafił!

— Komu mają powiedzieć? — Potrząsnął głową. — Najbliższy rycerz solamnijski znajduje się pewnie setki mil stąd, w dodatku krasnoludowie nie przepadają za nimi. Po za tym, zanim uświadomią sobie, że odeszliśmy na dobre, nie będzie ich obchodziło, dokąd poszliśmy. Wybuchnął śmiechem.

— My zdobędziemy sławę, oni zdobędą nasz gród. Niech im idzie na zdrowie. Przynajmniej odzyskają większość skradzionych rzeczy!

Zgodnie z obietnicą Slitha smokowcy wymaszerowali na drugi dzień. Mieli sześć godzin opóźnienia w stosunku do planu, ale byli gotowi do drogi. Pułk zebrał się po raz ostatni na placu pośrodku osady. Kang stanął naprzeciwko żołnierzy.

— Przez ostatnie lata żyło nam się dobrze — rzekł po prostu. — Ale będzie jeszcze lepiej. Od dziś znów maszerujemy dla chwały Królowej!

Po tych słowach odwrócił się, wysunął się na czoło kolumny i pierwszy wyszedł za bramę, za mur, który zbudowali jego żołnierze, jedyne ich dzieło, które faktycznie może ich przetrzymać. Jedyne. Nie obejrzał się za siebie. Rozdział 17

Bataliony smokowców maszerowały jako pojedyncze jednostki. Wszyscy żołnierze byli w pełnym rynsztunku bojowym, natomiast prowiant, narzędzia saperskie i sprzęt jechały w tabory. Każdy wojak niósł mały plecak, zawierający osobiste rzeczy,

114

które zgromadził przez lata życia na stokach Dashinak. Nie było tego dużo. Większość dobytku zostawili krasnoludom.

Bardziej z ciekawości niż obawy przed atakiem krasnoludów Kang zostawił z tyłu Slitha z grupą zwiadowców, żeby sprawdzili, co knują ich sąsiedzi. Patrol wrócił późną nocą. — No i co się stało? — spytał Kang.

— Natychmiast po naszym odejściu jeden z krasnoludów zszedł z drzewa i pognął na złamanie karku do osady, żeby o tym zameldować — powiedział Slith. — Zagrały rogi, rozdzwoniły się dzwony. Postawili na nogi cały gród, żeby odeprzeć atak. Slith uśmiechnął się szeroko.

— Czekali i czekali, z nieba lał się żar, a my oczywiście się nie zjawiliśmy. Wreszcie ich generał zgromadził drużynę i pomaszerowali do naszej osady.

Spotkali wciąż siedzących na drzewie krasnoludów, którzy zameldowali, że nie ma po nas śladu. Wódz wziął oddział i podszedł do wrót, które stały otwarte na oścież. Trzeba było widzieć, jak ściskali w garściach topory! Byli przekonani, że zaraz wyskoczymy i ich pozabijamy! Kiedy wreszcie dowódca zebrał się na odwagę, żeby przejść przez bramę, powiał wiatr i zawiasy zaskrzypiały zgrzytliwie. Stary krasnolud podskoczył tak wysoko, że tylko cudem nie uderzył głową w Lunitari! Kang parsknął śmiechem. — Co potem?

— Poszli sobie. Wrócili do swojej osady. Obserwowaliśmy ich, ale nie wysłali więcej zwiadowców ani posłańców. — Dobrze. Doskonale. Świetnie się spisales. Sivak kiwnął głową i

wrócił na swoje miejsce w szeregu.

Kang, który był w wyjątkowo złym humorze, kiedy opuszczali osadę, z chwilą rozpoczęcia podróży nabrał animuszu. Maszerował na czele pułku świetnie wyszkolonych żołnierzy, jednych z najlepszych, jakich można znaleźć, aby wstąpić do potężnej armii zdobywców. Podjął słuszną decyzję. Był tego pewien.

Przebyli przełęcz pod Dashinakiem, przecięli grzbiet Forthin i rozbili obóz w dolinie po drugiej stronie. Slith też miał dobry humor. Smokowcy od lat nie szli tak

forsownym marszem. Stracili kondycję i wyszli z wprawą, potykali się o własne ogony, narzekali na upał i obolałe nogi. Niejeden zemdłał z niezwykłego wysiłku i osłabienia wywołanego nadużywaniem alkoholu.

Slith chodził wzdłuż kolumny, łaskocząc swoją pałeczką maruderów, poganiając ich i kwitując wszystkie skargi uderzeniem w głowę. Tych, którzy zemdleli, wrzucano na wóz. Nikt im nie zazdrościł. Slith kręcił się przy taborze, z radością oczekując chwili, gdy odzyskają przytomność.

Podróż była trudna, zwłaszcza, że ciągnęły za nimi wozy, które trzeba było pchać i holować po kamienistym terenie. Nagle szlak skończył się na krawędzi urwiska. Jedyna droga prowadziła prosto w dół.

Sama przepaść nie stanowiła problemu dla uskrzydłonych smokowców, ale wozy trzeba było spuszczać na linach. Trwało to całe popołudnie i pod wieczór wszyscy padali z nóg.

Kang pozwolił żołnierzom tylko na krótki odpoczynek. Przez wozy zmarnowali wiele czasu, a nie chciał od samego początku wywierać złego wrażenia, spóźniając się na spotkanie.

Drugiego dnia smokowcy dotarli do przełęczy, gdzie mieli spotkać lorda Sykesa i jego wojsko. Zdążyli na czas. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać wojska.

Kang i Slith na czele kolumny wspięli się na ostatnie wzniesienie i pierwsi zauważyli, że są sami. — Gdzie są wszyscy? — spytał Slith. — Wiedziałem...

— Cicho — ostrzegł Kang. — Nie zatrzymuj się. Nie jesteśmy tak całkiem sami, jak nam się wydawało.

Wskazał przed siebie. Rycerz w czarnym stroju wstał z kamienia i skinął na smokowców, aby się zbliżyli. Kiedy zdjął hełm, spłynęły spod niego rude włosy, osobisty sztandar szponowej Huzzud. — Witam, panie pułkowniku — zawołała. Kang zaszalutował.

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

— Gdzie wasza armia? Miałem się dziś spotkać tutaj z lordem Sykesem.

— Tego dnia, kiedy odeszliście, natknęliśmy się na patrol krasnoludów górskich. Sądzymy, że zabiliśmy ich wszystkich, ale 116

na wypadek, gdyby któryś uciekł i zaniósł ostrzeżenie, lord rycerz postanowił, że należy szybko wyruszyć. Miał nadzieję, że zdąży zaatakować Thorbardin, zanim krasnoludowie zatrzasną wrota góry. Jego wojsko odeszło stąd forsownym marszem półtora dnia temu. Mam was zaprowadzić do obozu.

Kang widział kiedyś potężne wrota Thorbardinu, które po zamknięciu nie wystawały z górskiej ściany. Atakowanie ich byłoby równoznaczne z atakowaniem samej góry i przypuszczalnie równie bezskuteczne. Nic dziwnego, że Sykesowi tak się śpieszyło.

Smokowcy skorzystali z chwili postoju, żeby odpocząć. Leżeli w każdym skrawku cienia, jaki udało im się znaleźć, oszczędnie sącząc wodę z manierek. Na znak Kanga Slith rozkazał wszystkim wstać. Czując na sobie wzrok czarnego rycerza, smokowcy pospiesznie sformowali szyki i stanęły sztywno na baczność.

Przez resztę dnia pułk maszerował bez wytchnienia, bez słowa skargi. Huzzud co jakiś czas rzucała okiem za siebie. Kolumna żołnierzy przedstawiała imponujący widok. Łuski i metal błyszczały w słońcu, skrzydła wachlujących się smokowców poruszały powietrze.

Dopiero kiedy słońce schowało się za górami, Kang zarządził krótki odpoczynek.

— Moglibyśmy tu rozbić obóz na noc — zaproponowała Huzzud. Jej rude włosy były mokre od potu, jasna skóra zaczerwieniła się od prażącego słońca. Wytarła czoło wierzchem dłoni w skórzaną rękawicę. — Lord rycerz oczekuje nas dopiero jutro. Musimy przejść na drugą stronę góry, a za dnia trudno podróżować. Kang poskrobał się po brodzie. — Jak daleko jeszcze? — spytał. Huzzud spojrzała na góry, na niebo i powiedziała: — Dziesięć mil.

Smokowiec rzucił okiem za siebie. Jego żołnierze byli zmęczeni, ale nie wyczerpani. Mogliby odpocząć dzisiejszej nocy, by być w formie przed jutrzejszym bojem. — W takim razie pójdziemy dalej, jeśli się pani zgodzi.

— Oczywiście. — Huzzud najwyraźniej ucieszyła się z takiej odpowiedzi. 117 ?

Kangowi coś przyszło do głowy.

— Czy potrafi pani przeprowadzić nas przez przełęcz po ciemku? — zaniepokoił się. — Wy, ludzie, nie widzicie dobrze w ciemności, przynajmniej tak mi mówiono. Bez obrazy — dodał szybko. Huzzud się uśmiechnęła.

— Nie obraziłam się. To, co pan mówi, jest prawdą. Poza tym — przyznała — przelatywałam tylko nad przełęczą na smoku, nigdy nie szłam pieszo. Mimo to znam drogę. Nauczyłam się jej. Kang złożył jej ukłon. Pokładał w kobiecie pełne zaufanie. — Moje gratulacje dla nauczyciela.

Huzzud wiązała z tyłu długie, rude włosy, patrząc na Kanga ze szczerym zaciekawieniem.

— Przed panem, pułkowniku, nie spotkałam żadnego smokowca. Nie spodziewałam się, że będziecie tacy... cywilizowani, jeśli mnie pan rozumie. Sądziłam, że przypominaćie goblinów. Prymitywni i niezbyt roztargnieni. Bez obrazy — dodała figlarnie. Kang parsknął śmiechem.

— Nie obraziłem się. Niedocenianie nas jest błędem, który istoty ludzkie często popełniają, przeważnie ze szkodą dla siebie.

Popadł w zadumę. Maszerowanie z kimś ramię w ramię przez cały dzień sprawia, że zaczyna się go traktować jak członka rodziny. Kang czuł się dobrze w jej towarzystwie. Być może dlatego

podzielił się z nią myślami, których nie zdradził nikomu innemu.

— Jesteśmy potomkami smoków. Przypuszczalnie najinteligentniejszych, najmądrzejszych istot, jakie żyją na Krynnie. Jesteśmy w stanie nabyć taką mądrość i wiedzę. Gdybyśmy tylko mieli dość czasu! Czasu, żeby pożyć na tym świecie, pojąć jego tajniki, poznać ludy, jakie na nim żyją. I gdybyśmy tylko mogli przekazać to, czego się dowiemy...

Umilkł, zażenowany. Mówił głupstwa i wiedział o tym. Spodziewał się, że Huzzud popatrzy na niego szyderczo, albo, co gorsza, wyśmieje go.

Ku swemu zdumieniu stwierdził, że kobieta wbija w niego skupiony, poważny wzrok. — Proszę nie zwracać na mnie uwagi — dodał Kang, ma-

chając szponiastą dłońią. — Zbyt długo byłem na słońcu. Zawsze tak bredzę od upału i picia krasnoludzkiego spirytusu.

— Nie bredzi pan — zaprotestowała. — To ciekawe. Nigdy tak na to nie patrzyłam.

— Wcale nie ciekawe, chociaż miło, że pani tak twierdzi. — Kang szybko zmienił temat. — Moi żołnierze już odpoczęli. Jeśli jest pani gotowa, powinniśmy już iść.

Kobieta zgodziła się i po wypiciu kilku łyków wody ruszyli w dalszą drogę. Podczas długiej wędrówki oboje milczeli, raz na jakiś czas uzgadniając tylko kierunek marszu. Huzzud jednak często spoglądała na niego z zamyśloną miną. Najwyraźniej Kang urósł w jej oczach.

Godzinę później dotarli do wiodącej na północ drogi. Obejmując ją okiem saperskim, Kang uznał, że była stosunkowo nowa. Drzewa niedawno wycięto, na skałach jeszcze znać było ślady kilofów i młotów.

— Kiedy to zbudowano? — zaciekawiał się Kang. — I kto to zrobił?

— Krasnoludowie. Nie poznaje pan ich kunsztu? Pomysł jednak rzuciły wszystkie trzy rasy: krasnoludowie, ludzie i elfowie. Mieli podpisać wielki traktat, dzięki któremu ich królestwa sprzymierzyłyby się i otworzyły przed sobą granice dla handlu. Zamierzali wybudować podobne drogi, żeby połączyć Solamnię z Thorbardinem, a Thorbardin z Qualinesti. W ten sposób, gdyby jeden z sojuszników został napadnięty, pozostali mogliby przysłać wojska na odsiecz.

— To wygląda na mądry plan — rzekł zaniepokojony Kang. — Utrudni nam zadanie.

— To był mądry plan. Był dziełem pewnego mieszkańca imieniem Tanis Półelf i jego żony Laurany, którą niegdyś nazywano Złotym Generałem. Nie ma jednak powodu do obaw. Najgorszymi wrogami tych trzech ras są teraz oni sami.

W świetle malejącego Solinari Kang zobaczył rumowisko głazów, którego nie usunięto z drogi, niezasypane rowy.

— Rozumiem, do czego pani zmierza. Budowę drogi przerywano. 119

— Podobnie jak rozmowy pokojowe — powiedziała Huzzud z kwaśnym uśmiechem. — Podobno ten ich traktat nie doczekał się nawet wersji pisemnej. Elfowie wrócili do dawnej polityki izolacjonizmu. Znieważyli krasnoludów, którzy całą winę zrzućili na ludzi, a ci z kolei czują się urażeni stanowiskiem elfów. Jedno nie kiwnie palcem, żeby pomóc drugiemu. Nie, panie pułkowniku, będziemy mieli łatwe zadanie. Bardzo łatwe.

Po godzinie marszu zatrzymało ich dwóch żołnierzy, którzy zastąpili im drogę. Kang usłyszał szelest w zaroślach i domyślił się, że przynajmniej pięćdziesiąt strzał mierzyło w niego i jego oddział. Zapłonęły pochodnie. — Stójcie! Podejdźcie i pokażcie się! — zawołał wartownik. Kang zatrzymał oddział. Razem z Huzzud poszedł naprzód.

— Jestem szponowa Huzzud — oznajmiła kobieta. — A to pułkownik Kang i Pierwszy Pułk Smokowców. Żołnierz zasalutował.

— Tak jest. Oczekiwaliśmy pana dopiero jutro rano, pułkowniku. Proszę za mną.



Dwoje oficerów poszło za strażnikiem. Chociaż Kang nie otrzymał polecenia, aby zabrać ze sobą żołnierzy, nie zamierzał ich zostawiać na drodze po tak długim marszu. Dał znak Slithowi, który rozkazał wszystkim ruszać.

Wartownik odwrócił się, zmarszczył brwi i najwyraźniej zamierzał zaprotestować.

Kang rozpostarł skrzydła, wymachiwał powoli ogonem na boki i mierzył strażnika zimnym, twardym wzrokiem.

Cokolwiek wartownik chciał powiedzieć, zachował to dla siebie. Obrócił się na pięcie i poszedł dalej.

Kang usłyszał zduszony śmiech. Huzzud, która szła obok, nic nie powiedziała. Szczerzyła jednak zęby w uśmiechu.

Minęli jeszcze dwa punkty kontrolne, aż wreszcie weszli na łąkę na poboczu. Ogniska obozowe lśniły jak gwiazdy, które spadły na ziemię. — Slith! — zawołał Kang. Smokowiec podbiegł do dowódcy i zasalutował. — Każ żołnierzom rozbić obóz. Ta sama procedura, co za-

wsze, żadnego luzu. Zanim ktokolwiek położy się spać, okopy mają być usypane, a stráže wystawione. Zrozumiano?

Slith zasalutował, odwrócił się i szybko wydał serię rozkazów. Smokowcy wyszli z szeregów i zabrali się do roboty. Wykonywali przydzielone zadania sumiennie, bez zbędnego zamieszania i hałasu. Huzzud śledziła ich poczynania przez kilka chwil.

— Muszę dzisiejszej nocy wrócić do swojego szponu — poinformowała Kanga—ale wrócę rano, żeby zaprowadzić pana do komendanta. Spotkamy się tutaj o wschodzie słońca. Kang zgodził się i zasalutował. — Do jutra. Huzzud również zasalutowała. — Do jutra, panie pułkowniku.

Zniknęła w mroku nocy. Kang odwrócił się i zobaczył, że jego żołnierze pracują szybko i sprawnie. Uśmiechnął się i zagrzechotał łuskami z radosnej niecierpliwości. — Do jutra! Rozdział 18

Upłynął tydzień, odkąd Tłuczek i Moździerz opuścili gród. Tydzień doniosły dla Seląuista, który w tym czasie odkrył położenie olbrzymiego skarbu. Doniosły dla mieszkańców Celebundu, którzy odkryli, że po dwudziestu pięciu latach smokowcy najwyraźniej opuścili swoje domy. Doniosły dla smokowców, którzy wymaszerowali, aby przyłączyć się do armii lorda Ariakana. I całkiem nieudany dla Tłuczka i Moździerza.

Po przybyciu do Pax Tharkas krasnoludowie stwierdzili, że miasto, którego ludność po wojnie składała się mniej więcej w równej części z ludzi i elfów, z niewielką domieszką innych ras, w połowie opustoszało. Elfowie spakowali się i wynieśli. Powiadano, że większość przystała do buntownika Porthiosa. Ludzie natomiast byli wzburzeni wieścią o tym, że Wieżę Naj-

wyższego Klerysta zdobyli rycerze ciemności, a Palanthas znajduje się w rękach jakiegoś złego lorda Ariakana.

Chodziły pogłoski, jakoby wkrótce miało zostać zaatakowane samo Pax Tharkas. Bramy twierdzy, będącej niegdyś siedzibą sławnego Smoczego Władcy Verminaarda, zatrzaśnięto, mury obsadzono strażami. Wartownicy nie chcieli wpuścić Moździerza i Tłuczka. Kiedy krasnoludowie usilnie się tego domagali, zaprowadzono ich do strażnicy i dokładnie przesłuchano, aby ustalić, czy nie są czarnymi rycerzami w przebraniu.

Taki obrót sprawy poważnie zaniepokoił braci, którzy cały czas myśleli o złodziejskich łupach w plecakach. Podczas przeszukiwania bagaży trzęśli portkami, przekonani, że zostaną wtrąceni do miejscowego więzienia.

— Na pewno będzie w nim pełno kenderów! — jęknął Tłuczek. — Zawsze jest — posępnie przyznał mu rację Moździerz.

Gdyby w ich plecakach znaleziono broń, z pewnością spędzi- liby noc za kratkami, ściskając manatki i kopiąc każdego kende- ra, który podszedłby zbyt blisko. Ponieważ strażnicy zobaczyli tylko kilka pospolitych przedmiotów codziennego użytku, które, jak twierdził Moździerz, mieli sprzedać, aby zdobyć pieniądze dla bezdomnych sierot, wpuścili ich. Po namyśle skonfiskowali jednak czaszkę ze świecącymi czerwonymi oczami.

— Nasz najcenniejszy przedmiot — westchnął Tłuczek. Obaj czym prędzej oddalili się od wieży. — Selquist nie będzie zadowolony — stwierdził Moździerz.

Szli przez miasto, które szykowało się do oblężenia. Właści- ciele domów zabijali okna deskami. Mężczyźni napełniali beczki wodą do gaszenia pożarów. Straż miejska odbywała ćwiczenia na ulicach. Kobiety i dzieci uciekały na wzgórze. Targ świecił pustkami.

Bracia popatrzyli na siebie, na swoje worki z łupami i po- nuro pokręcili głowami. Wybrali stragan i rozłożyli towar, ale nieliczni przechodnie ledwo rzucali okiem na przedmioty i szyb- ko szli dalej. Krasnoludowie czekali cały dzień i niczego nie sprzedali. 122

— Może jutro pójdzie lepiej — stwierdził Tłuczek. Spako- wali manatki, znaleźli tanią gospodę i spędzili noc na walce z pchłami w materacu.

Następnego poranka, obolali i pogryzieni przez robactwo, wrócili na rynek. Siedzieli tam do południa, ale zajął do nich tylko krasnolud źlebowy, który usiłował im sprzedać zdechłe szczury na sznurku. — Zawsze jest jeszcze Rhanga — rzekł Moździerz.

— Nie da nam wiele, ale zawsze to lepsze niż nic — zgodził się Tłuczek. Zgarnęli zrabowane mienie i poczłapali do kendera.

Nie mieli kłopotów ze znalezieniem jego domu, chociaż nie odwiedzali go od ponad roku. Był to jedyne przy tej ulicy gmach o jasnofioletowych drzwiach, jaskrawożółtych ścianach i oszłamiająco szmaragdowych zasłonach w oknach. Krasno- ludowie skrzywili się i zapukali do drzwi, starając się osłonić oczy. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich kenderka. — Dzień dobry. O jejku, jesteście krasnoludami, prawda?

— Tak — odparł Tłuczek, trzymając z całych sił swój ple- cak. — Jesteśmy...

— Słuchajcie! — Kenderka odwróciła głowę. — Chodźcie popatrzeć! Krasnoludowie!

W drzwiach stanęła cała gromada istotek, a druga grupka cisnęła się przy oknie. Trajkotali jak najęci. — Masz rację. To krasnoludowie. — Jacy krasnoludowie? Żlebowi? — Jesteście krasnoludami źlebowymi?

— Nie jesteśmy! — wrzasnął Moździerz, przekrzykując zgiełk. — Jesteśmy Neidarami i potrzebna nam mamona.

— Mnie nie potrzebna ona. A wam potrzebna? — spytał któryś z kenderów.

Jego słowa wywołały huragan śmiechu, chociaż Moździerz nie widział w nich nic śmiesznego. Z drugiej strony kende- rzy nigdy nie potrzebowali powodu do wesołości, co dopro- wadzało inne, poważniejsze i stateczniejsze rasy do szału. Ken- 123

derzy wybiegli na ulicę, żeby lepiej przyjrzeć się gościom. Moź- dzierz zazgrzytał zębami, przycisnął plecak do piersi i dokoń- czył najlepiej jak potrafił, odtrącając jednocześnie wścibskie ręce.

— Szukam... Odłóż to! Mówię, że chcę się zobaczyć z... To moje, poszedł won! Nie szarp za to! Mówię, że chcę się zobaczyć z Rhangą! — wrzasnął. — Rhanga? — Rhanga. Czy on powiedział Rhanga?

— Mnie się wydaje, że powiedział Rhonda. Ty znasz jakąś Rhondę?

— Może to jej potrzebuje. Mówił przecież, że potrzebna mu ona. — Potrzebujesz kogoś imieniem Rhonda?

— Nie znamy nikogo o imieniu Rhonda, ale jeśli chcesz, żebyśmy popytali...

— Rhanga! — krzyknął Tłuczek. — Chcemy się zobaczyć z Rhangą Changehands!

— Aha! — zawołali wszyscy kenderzy razem. — Rhanga Changehands! — On tu już nie mieszka

— dodał któryś.

— Już tu nie mieszka? — zdumiał się Moździerz. — To gdzie jest teraz? — Poszedł sobie — odparł jeden z kenderów. — Tak, wyskoczył, żeby pożyczyć cukru. — Kiedy wróci? — spytał Tłuczek.

— Nie mamy pojęcia. — Kenderzy potrząsnęli kitkami na głowach.

— Ale chyba zjawi się przed zmierzchem? — pytał dalej Moździerz. Zaczynał wpadać w rozpacz. — Może tak. Może nie.

— Pożyczanie szklanki cukru nie może trwać długo. Kiedy wyszedł? — wtrącił się do rozmowy Tłuczek. Kenderzy nachylili głowy ku sobie. — W zeszłym miesiącu? — Nie, co najmniej dwa miesiące temu. 124

— Mnie się wydaje, że gdzieś w zeszłym roku. Nie było go na moim Dniu Daru Życia. — Ciebie też nie było na własnym Dniu Daru Życia!

Moździerz mocno szarpnął się za brodę. Z bólu łzy stanęły mu w oczach, ale oprzytomniał, a już miał wrażenie, że pomalutką dostaje pomieszania zmysłów. Chwycił Tłuczka za ramię i obydwaj zaczęli się wycofywać, nie spuszczając kenderów z oczu. — Nie, dziękujemy. My już sobie pójdziemy. Kenderzy okrążyli ich, wyciągając rączki. — Nie odchódźcie! — Nie tak szybko! —? Nie możecie zostać na podwieczorek? — Co jest w tym worku? Mogę zobaczyć? — Chcesz, żebym poszukał Rhondy? — Co mam jej powiedzieć, kiedy już ją znajdę?

— Prosimy, Neidarowie! Zostańcie na podwieczorek! Zostańcie na podwieczorek!

Kenderzy cisnęli się wokół krasnoludów, wołając i chwytając ich za ubranie.

— Puść to! Zostaw to! Nie odpinaj tego paska. Popatrz, wyciąłeś dziurę. To moja sakiewka! — Krasnoludowie odtrącali obmacujące ich dłonie i wyciągali głowy ciekawskich ze swoich plecaków, lecz powoli ulegali przeważającej sile nieprzyjaciela i ostateczna klęska wydawała się bliska. Jeden z kenderów już udawał, że pije ze srebrnego kufła, a dwóch następnych, że fechtuje kościanymi lichtarzami.

— Co robimy? — wysapał Tłuczek, wyciągając dłoń kendera ze swojej kieszeni.

— Zostańcie na podwieczorek! Zostańcie na podwieczorek! — Kilka małych istotek tańczyło wokół nich w kółko.

— W nogi! — krzyknął Moździerz. Rozpaczliwie usiłował wyrwać któremuś z kenderów drugi kufel do piwa.

— Co z łupem? — zawołał Tłuczek, daremnie próbując odzyskać lichtarze. — Przepadł. Musimy ratować własną skórę! 125

— Seląquist się wścieknie!

— Chrzanić Seląquista! — rzucił ze złością Moździerz. Dał susa i przerwał krąg kenderów, którzy ze śmiechem przewrócili się na ziemię i poturlali we wszystkie strony.

Tłuczek pobiegł w jego ślady. Żałowali nawet czasu, żeby zamknąć torby, które podskakiwały i podrygiwały im na plecach. Cokolwiek zdołali ocalić, wysypało się teraz, sądząc po chóralnych westchnieniach i okrzykach zachwyty kenderów. — Ścigają nas? — spytał bojaźliwie Moździerz. Tłuczek obejrzał się w biegu i zobaczył kenderów, którzy na czworakach szukali na ulicy rozsypanych skarbów. — Nie! — westchnął z ulgą. — Jesteśmy bezpieczni.

— Nie będziemy bezpieczni, póki nie opuścimy Pax Tharkas — stwierdził Moździerz.

Jak gdyby na potwierdzenie jego słów, rozległ się piskliwy głosik. — Hej, w kwestii tej

Rhondy... Krasnoludowie przyspieszyli kroku. \*

W ponurym nastroju wrócili do frontowej bramy. Mieli nadzieję, że szybko opuszczą miasto, ale okazało się, że wyjść było równie trudno, jak wejść.

— Jesteście niespełna rozumu, skoro chcecie tam iść — powiedział jeden z wartowników. — Dlaczego? — zdziwił się Moździerz. — Co się dzieje?

— Nie słyszeliście? Rycerze Takhisis, tak mówią o sobie. Rycerze ciemności. Służą Królowej Takhisis. Zostalibyście lepiej tutaj, w bezpiecznym miejscu.

Moździerz i Tłuczek wymienili spojrzenia i przewrócili oczami. Rycerze ciemności. Ludzie byli tacy łatwowierni. — Dziękujemy, ale musimy wracać do domu. — Jasne, ostrzeżcie swój lud. Nadciąga wojna. — Ostrzeżemy. Dzięki.

Krasnoludowie opuścili Pax Tharkas. Wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem. Usłyszeli zgrzyt zasuwanego rygła. 126

Przygnębieni i zgrzani krasnoludowie posepnie wlekli się do domu z pustymi rękami. Po wyjściu z Pax Tharkas byli dużo ubożsi niż przedtem, a tego nie było w planie.

Selquist naprawdę się wścieknie. Zwłaszcza, kiedy usłyszy, że ich zdobycz padła łupem bandy zgłodniałych kenderów. — Zerwaliby z nas ubranie! — bronił się Tłuczek. — Jasne. Powiedz to Selquistowi.

Krasnoludowie szli, póki się nie zmęczyli, a wtedy rozbili obóz na noc. Nie zrobili niczego, żeby zachować ostrożność. Rycerze ciemności! Czego ci ludzie nie wymyślą!

Noc upłynęła spokojnie. Dopiero około południa następnego dnia obaj poczuli się trochę nieswojo.

— Wiesz co — rzekł Moździerz — z reguły na tej drodze panuje spory ruch. To główny szlak na północ. A my od chwili opuszczenia Pax Tharkas nie widzieliśmy żywej duszy.

— To przez ten skwar — stwierdził Tłuczek, chociaż stale rozglądał się nerwowo. — Wszyscy siedzą w domu z powodu upału.

— Pewnie masz rację — zgodził się Moździerz, ale bez przekonania.

Wędrowali dalej, ale teraz trzymali się pobocza drogi i cienia drzew. Nagle Moździerz podskoczył i odwrócił się.

— Co się stało? —? Tłuczek wyciągnął topór z pokrowca. — Co widzisz?

— Nic — powiedział Moździerz. On również trzymał siekierę w dłoni. — Mam jednak wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

— Ja też. — Tłuczek przyglądał się cieniom. — Może lepiej zawrócić do Pax Tharkas? — Zaszliśmy za daleko. Powinniśmy iść dalej.

— Zgoda. Może jednak lepiej zejdźmy z gościńca. Za bardzo rzucamy się w oczy. Chodźmy do lasu. Zrobili krok w stronę drzew.

Rozległ się brzęk i dwie strzały utkwily w ziemi, po jednej przed każdym z nich.

— Ruszcie się, a zginiecie — rzekł jakiś człowiek po krasnoludzku. Kaleczył język, ale bracia nie zamierzali poprawiać jego wymowy. 127

Z zarośli wyłonił się łucznik w czarnej, skórzanej zbroi ozdobionej wizerunkiem makabrycznie szczerzącej zęby czaszki. Opuścił łuk, ale krasnoludowie słyszeli szelesty w lesie i domyślali się, że inni wciąż mierzą do nich. — Rozumiecie mowę wspólną? — spytał łucznik. Obaj krasnoludowie pokiwali głowami. — Rzućcie topory na ziemię, potem połóżcie ręce na głowach. — Zamierzacie nas okraść? —? spytał Tłuczek.

— Jeśli tak — powiedział Moździerz — powinienem was chyba uprzedzić, że marnujecie tylko czas. Nie mamy niczego wartościowego.

— Nie jesteśmy złodziejami — oznajmił łucznik, pogardliwie krzywiąc wargi. — To wy złamaliście prawo. Aresztujemy was.

Moździerz westchnął z ulgą. Wydawało mu się, że wie, na czym stoi.

— Posłuchaj, nawet nie było nas w pobliżu Thorbardinu. Spytaj, kogo chcesz. Tamtej nocy byliśmy w domu i spaliśmy mocno... Łucznik uniósł broń. Celował prosto w serce Moździerza. — Powiedziałem, rzućcie topory. Moździerz upuścił siekiere. Tłuczek zrobił to samo.

Z lasu wyszło jeszcze dziewięciu łuczników, ubranych w identyczne stroje z czarnej skóry. Wzięli krasnoludów na cel. Pierwszy łucznik schylił się, żeby podnieść ich broń. Obszukał więźniów, którzy stali z rękami na głowach. Wyciągnął dwa noże zza ich pasków i dwa następne, które chowali w cholewkach butów. Zamachnął się i wyrzucił topory w głąb lasu.

— Związać im ręce — rozkazał. — Ta droga jest zamknięta z rozkazu lorda Sykesa, dowódcy Drugiej Armii w służbie królowej Takhisis. Kto się nie podporządkuje, zostanie aresztowany. Skoro jesteście na tej drodze, musicie być szpiegami. Zabieramy was na przesłuchanie. Dwaj krasnoludowie wymienili zrozpaczone spojrzenia.

— Tamci ludzie chyba jednak wiedzieli, o czym mówią — rzekł ze smutkiem Tłuczek. — Już po nas — mruknął Moździerz. 128

— Milczeć! Żadnych rozmów. — Dla podkreślenia wagi słów rycerz uderzył Tłuczka w bok głowy.

Łucznik pozbierał strzały, oczyścił je i schował do kołczanu. Dwaj rycerze związali krasnoludom ręce na plecach. — Ruszać się.

Przywódca pchnął Tłuczka. Moździerz podreptał za bratem. Reszta rycerzy podążyła za nimi.

— W sumie wolałbym jednak zostać na podwieczorku u kenderów — stwierdził Tłuczek, któremu w głowie szumiało od uderzenia.

Moździerz musiał się chwilę zastanowić, ale spojrzawszy na surowe, srogie i bezlitosne oblicza rycerzy, z żalem zmuszony był przyznać mu rację. Rozdział 19

Zanim wstało słońce, smokowcy otoczyli obóz okopami i w każdym narożniku wzięli bunkier. Wejścia strzegły dwa kolejne bunkry. Wewnątrz w równych rzędach stały namioty, zgrupowane według batalionów. Pośrodku rozbito duży namiot, w którym spał Kang.

Zbudził go zapach pieczonego mięsa. Marsz sprawił, że czuł wilczy apetyt. Zeszłego wieczoru zrezygnował z kolacji i przez jakiś czas w ciszy obcował z Królową. Jak zwykle otrzymał od niej czary, chociaż odniósł wrażenie, jakby była trochę roztargniona. Pewnie z powodu działań wojennych. Założył skórzane pasy, ale zostawił zbroję. Przypasał miecz i wyszedł z namiotu.

Slith stał przy palenisku, wbijając zęby w kość do połowy obgryzioną z mięsa. Na widok zbliżającego się Kanga szturchnął kucharza. — Pośpieszcie się, żołnierzu. Nadchodzi dowódca.

Nad ogniem piekła się na rożnie ćwiartka dziczyzny. Baaz odkroił plaster mięsiwa i podał go Kangowi. Pod osmaloną skórką pieczeni skwierczał sok. 129

— Dzień dobry, panie pułkowniku! — powiedział Slith. Zasalutował kością.

— Dzień dobry, Slith. — Kang spałaszował kawał mięsa. — Doskonałe! Skąd to się wzięło? Sivak się uśmiechnął.

— Dostaliśmy je z pozdrowieniami od lorda Sykesa. Prezent na powitanie nowych sąsiadów. Niech pan je, pułkowniku. Jest więcej. Wie pan co, mimo wszystko zaczynam lubić tego Sykesa.

Kang odkroił sobie kolejny kawał pieczeni. Odeszli ze Slithem od kucharza, żeby porozmawiać na osobności. Kang dobrze znał swojego zastępcę. Pewnie był na nogach już od kilku godzin, być może w ogóle nie położył się spać. Nie potrafił spocząć, póki nie wściubił wszędzie nosa, nie usłyszał najświeższych obozowych plotek, nie dowiedział się wszystkiego, co mógł, o sytuacji.

Tak jak wtedy, gdy poszedł za czterema krasnoludami tylko po to, żeby sprawdzić ich zamiary. Kang zawsze twierdził, że Slith jest bardziej ciekawski niż kender, i że przez tę ciekawość któregoś dnia napyta sobie biedy. Do tego czasu jednak wścib- stwo jego zastępcy było bardzo użyteczne. — Więc, co słyhać? — spytał Kang, żując mięso. Slith wskazał drogę, którą przyszedli.

— Kwatera główna lorda Sykesa znajduje się w domu bur- mistrza pośrodku tego miasteczka. Osada nazywa się Mish-ka na cześć bogini dobra. — Slith skrzywił się szyderczo i obaj smo- kowcy splunęli na ziemię.

— Wojsko zajęło go trzy dni temu — dokończył siva. — Rycerze zabili wszystkich, którzy stawiali opór. Większość się nie opierała. Trzymają miasto żelazną ręką. Kang zmrużył oczy i rzucił okiem na drogę. — Nie widzę dymu. Nie splądrowali miasta?

— Nie. Żadnych mordów na ludności cywilnej. Żadnych tortur, publicznej chłosty ani konfiskaty majątku. — Slith się uśmiechnął. Takim eufemistycznym wyrażeniem określano grabież.

— A niech to szlag. — Kang też się uśmiechnął. — Chcesz powiedzieć, że dla odmiany rzeczywiście chcą się skupić na prowadzeniu wojny? 130

— Proszę posłuchać tego. — Slith nachylił się ku niemu. — Podobno w mieście jest świątynia czcicieli Mishakal. Znów obaj smokowcy splunęli na ziemię.

— No więc, pierwszą rzeczą, jaką Sykes zrobił, było odwie- dzenie tej świątyni. Oczywiście nie wszedł do środka, tylko stanął na progu, obejrzał ją z podziwem i kazał wezwać kapłana. Kapłan wychodzi na pół martwy ze strachu. Błaga Sykesa, żeby oszczędził świątynię, mówiąc, że w środku są chorzy ludzie. Jak pan myśli, panie pułkowniku, co się wtedy dzieje?

— Sykes obcina kapłanowi głowę, wkracza do świątyni, zabija rannych, a następnie pali świątynię.

— Nie, panie pułkowniku! — Slith klepnął się w udo dłonią. — Sykes mówi, że czci wszystkich bogów. Ich domy są święte i dopóki kapłan i jego uczniowie będą przestrzegać prawa usta- nowionego przez rycerzy, on osobiście gwarantuje im bezpie- czeństwo.

— Czasy się rzeczywiście zmieniły — stwierdził zdumiony Kang.

— Oczywiście rycerze ułożyli listę przepisów długą jak mój ogon — dodał Slith, puszczając do niego oko. — Godzina policyjna. Wszyscy muszą mieć dokumenty potwierdzające toż- samość. Nikt nie może opuścić miasta bez zezwolenia samego Sykesa. Nikt nie może wejść, zanim nie zostanie przesłuchany. Cywilom nie wolno posiadać ani nosić broni. Wszystkie przed- mioty magiczne muszą zostać przekazane czarodziejom Sykesa, Szarym Rycerzom. Żadnych burd, hazardu i pijaństwa w miej- scach publicznych. Slith szturchnął Kanga w bok. — To dotyczy również żołnierzy. Kang mruknął.

— Wygląda na to, że będziemy musieli uważać. Gdzie scho- wałeś tę beczkę krasnoludzkiego spirytusu? — W moim namiocie, panie pułkowniku. Pod łóżkiem. — Dobra robota. Jakies wieści o Thorbar...

Slith wyjrzał zza ramienia Kanga, wyprostował się i zasalu- tował. 131

— Szponowa Huzzud, panie pułkowniku — zameldował. Kang odwrócił się, ucieszony widokiem wojowniczkii. — Dzień dobry! Jadła już pani śniadanie?

— Dzień dobry, panie pułkowniku. Tak, dziękuję. Ma pan dziś rano zameldować się w sztabie. Jeśli jest pan gotowy, zaprowadzę pana. — Oczywiście. Idziemy.

Smokowiec i kobieta opuścili obóz i udali się do miasta. Dwa pułki wojska, które minęli po drodze, dobrze się obwarowały. Obozy otoczone były kwadratowymi okopami, a w narożnikach wzniesiono naprędce drewniane wieże strażnicze. Na każdej stali łucznicy. Oddziały znajdowały się po przeciwnych stronach dro- gi. Z tego, co Kang widział, zachowanie żołnierzy było wysoce

profesjonalne. Zaczęło go gryźć sumienie z powodu ukrywanego spirytusu.

Sykes umieścił stanowisko dowodzenia w domu burmistrza. Nie miał zamiaru narażać się na ryzyko ze strony cywilów. Huzzud i Kang musieli minąć dwa posterunki kontrolne, zanim pozwolono im wejść. Kiedy znaleźli się już pośród innych oficerów, zaprowadzono ich do pomieszczenia, które kiedyś zapewne było elegancko urządzonej salą bankietową. Na stole leżała teraz ogromna mapa. Huzzud przedstawiła Kanga oficerowi, który siedział za biurkiem, sumując kolumny liczb w księdze oprawionej w skórę.

— Pułkowniku Kang, to dowódca kwadronu Mumul, starszy logistyk Drugiej Armii. Dowódco kwadronu, przedstawiam pułkownika Kanga z Pułku Saperów.—Huzzud zaszalutowała i wyszła. Mumul podniósł wzrok znad rachunków.

— Proszę, niech pan siądzie, pułkowniku Kang. Chcę z panem porozmawiać o roli, jaką będziecie odgrywać w Drugiej Armii.

— Tak jest. — Kang ledwo mógł opanować podniecenie. Odsuwając ogon, siadł na krześle, które nie nadawało się dla smokowca. Było okropnie niewygodne, uciskało go w skrzydła, kiedy je złożył, i uwierało, kiedy je rozpostarł. Niewygodą była jednak w tej chwili mało istotna. — Czy mogę zadać pytanie? — Oczywiście. 132

— Jak wygląda przebieg natarcia na Thorbardin? Jak rozumiem, lord Sykes nakazał forsowny marsz, aby dotrzeć tutaj, a teraz zamiast atakować, po prostu siedzicie. Dowódca kwadronu wzruszył ramionami.

— Spóźniliśmy się. Krasnoludowie zostali ostrzeżeni. Zamknęli wrota. — Planujecie oblężenie?

— Nie. Nie mamy na to czasu. Ci przekłęci krasnoludowie mogliby przez rok bronić się przed nami. Marnowalibyśmy tylko siły. Niech siedzą w tej górze, jeśli chcą. My tymczasem zajmemy wszystkie szlaki, wiodące do Thorbardinu. Mamy czas. Kiedyś będą musieli wyjść. Kang był pod wrażeniem. Strategia była prosta, ale skuteczna.

— Proszę teraz powiedzieć, panie pułkowniku, jakimi siłami pan dysponuje. — Dowódca kwadronu odwrócił stronę, szykując się do zanotowania informacji.

Kang udzielił odpowiedzi. Oficer zadawał pytanie za pytaniem, chcąc poznać liczebność, skład, wykształcenie, wyposażenie i stan pułku. Dociekliwość, z jaką oficer oceniał regiment smokowców, sprawiła Kangowi przyjemność. Rycerz notował odpowiedzi w tabeli w swojej księdze. Wreszcie odłożył pióro i wyprostował się w krześle.

— Dziękuję, panie pułkowniku. Pierwszą rzeczą, jaką macie dziś wykonać, będzie przeniesienie całego sprzętu do budowy mostów, jaki nam dostarczyliście, do trzeciego szponu.

Kang poczuł ukłucie w okolicy łopatek. Było to bolesne ukłucie, które nie miało nic wspólnego z krzesłem. — Tak jest — powiedział. — Czy należy tam zbudować most?

— Nie, panie pułkowniku. To mój oddział saperów. Przydadzą im się materiały i narzędzia, jakie przynieśliście. Możecie zostawić cały tabor w trzecim szponie. Nie będzie wam już potrzebny.

— Aha, rozumiem, panie komendancie. Chce pan, żebyśmy budowali maszyny oblężnicze. Katapulty, trebusze, umiemy zbudować każdą z nich. Kiedyś, podczas Wojny Lancy, zrobiliśmy katapultę tak dużą, że można było wystrzelić z niej minotaura... 133

Kang umilkł. Nie podobał mu się uśmiech dowódcy kwadronu. Był cierpliwy, protekcyjny.

— Trzeci szpon doskonale sobie radzi z budowaniem i obsługą maszyn oblężniczych.

— Panie komendancie—zaczął Kang, robiąc głęboki wdech, żeby opanować skurcz, który powoli ścisnął mu żołądek — wszyscy jesteśmy doskonale wyszkolonymi saperami. Przypuszczalnie najlepszymi, jakich pan znajdzie. W dodatku mamy doświadczenie bojowe. Czy pański trzeci szpon

kiedykolwiek budował most, w czasie gdy nad ich głowami przelatują srebrne smoki, siejąc smoczy strach, a z drugiego brzegu elfowie próbują ich naszpikować strzałami? Oficer siedział z uśmiechem na ustach.

— Niech pan posłucha — mówił Kang — proszę przyjść do naszego obozu. Niech pan zobaczy, jak się okopaliśmy. Przyszliśmy zaledwie dziesięć godzin temu, a nasz obóz już nadaje się do obrony! Po raz pierwszy dowódca kwadronu wykazał zainteresowanie. — Doskonale! Kang zdumiał się. — Do czego pan zmierza?

— Znakomicie kopiecie! — powiedział Mumul, entuzjastycznie pukając w blat stołu. — Miło słyszeć, że jesteście świetnymi kopaczami. — Proszę mi wybaczyć, ale nie rozumiem.

— Wy, smokowcy, jesteście piekielnie dobrymi kopaczami. Ponieważ nie możemy pokonać krasnoludów, otrzymaliśmy rozkaz wyruszyć na podbój elfów z Qualinesti. Mamy już dość saperów, ale zawsze przydadzą nam się dobrzy kopacze! Przydzielę was do kierownika kantyny, szponowego Stonchwalda.

Kang otworzył pysk ze zdumienia i wy wiesił język. Wciągnął go z powrotem i kłapnął zębami z irytacji.

— Kantyna, panie komendancie? Nie jesteśmy kucharzami, tylko saperami! Dowódca kwadronu wziął do ręki pióro i wrócił do pracy. — Bardzo dobrze, panie pułkowniku. Kwatermistrzostwo od-

134  
powiada również za higienę obozową. Po dotarciu do głównego obozu w rejonie południowego Qualinesti, zameldujecie się u szponowego Stonchwalda. Do tego czasu próbujcie nie wchodzić w drogę przemieszczającym się oddziałom. Kierowanie ruchem tej armii jest wystarczająco trudne bez kłopotów ze strony waszego pułku. Wyruszamy jutro z samego rana. Niech pan powie swoim ludziom, to znaczy smokowcom — rzekł, lekko krzywiąc wargi — żeby byli gotowi do wymarszu. To wszystko, panie pułkowniku.

— Aha, tak przy okazji — dodał, jakby po namyśle — możecie zatrzymać krótkie miecze dla obrony, ale resztę broni proszę oddać. Będzie potrzebna żołnierzom na pierwszej linii frontu. Odmaszerować.

Kang wstał, chciał zsalutować, a potem ze złością zmienił zdanie.

Kopanie latryn. Dowódca kwadronu użył wymyślnego określenia: „higiena obozowa”, ale Kang wiedział, co chciał przez to powiedzieć.

W drodze powrotnej poszukał wzrokiem Huzzud. Nie zauważył jej i po chwili zastanowienia nawet się z tego ucieszył. Wiedział, że kobieta okaże mu współczucie, ale spaliłby się ze wstydu, mówiąc jej o przydzielonej im służbie. Wrócił do obozu sam. Jego gniew rósł z każdym krokiem, jego nogi deptały ziemię jak młot bijący rozpaloną stal.

Zanim dotarł do obozowiska, wpadł w taką złość, że smagał ogonem i bił skrzydłami. Jego żołnierze, znając te objawy, uciekali przed nim jak przed zarazą. Kang szedł do namiotu, nie zwracając na nich uwagi. — Slith! — Jego głos niósł się po całym obozie.

Sivak był w namiocie Yethika. Słyszając ryk komendanta, zdał sobie sprawę, że coś musiało się stać. Wybiegł na zewnątrz i zobaczył ponure, niezadowolone miny narzekających smoków. Pobiegł do namiotu dowódcy i gwałtownym ruchem odsunął płachtę w drzwiach.

— Co się stało, panie pułkowniku? — spytał. — Coś złego? Krasnoludowie atakują? Kang chciał mu powiedzieć, ale słowa nie mogły wyrazić tego, 135

co czuł. Dostał ataku wściekłości. Zerwał się na nogi, chwycił krzesło i strzaskał je o blat stołu. Rozpadło się na drzazgi. Uderzył pięścią w stół i rozłupał go na dwie części. Miał zamiar zrobić to samo z głównym masztem namiotu, ale Slith go powstrzymał.



— Panie pułkowniku, na pańskim miejscu nie robiłbym tego! Namiot zwali nam się na głowy.

— Dobrze! Doskonale! — wrzasnął Kang. — Zawsze możemy się spod niego wykopać! Do tego się nadajemy! Do kopania! Jesteśmy dobrymi kopaczami! Żeby piekło pochłonęło tych cholernych sukinsynów!

Slith zwiesił skrzydła. Z niedowierzaniem wlepił oczy w komendanta. — Powiedział pan: „kopanie”?

Kang zazgrzytał zębami. Ponieważ nie mógł przewrócić meblu, zabrał się do niszczenia stołu, wyłamując nogi z mebla i roztrzaskując je o ziemię. — „Kopanie”, jak ... kopanie latryn?

Wściekłość Kanga przeminęła, huragan ucichł. Nagle poczuł ogromne zmęczenie. Osunął się na pryczę.

— Zostaliśmy przydzieleni do kierownictwa kantyny, żeby kopać latryny i doły pod paleniska — powiedział ze złością. — Do prawdziwej inżynierii wojskowej mają ludzi. Nas nie potrzebują. Ściśle rzecz biorąc, przypuszczalnie zastąpimy tych pomalowanych na niebiesko dzikusów, żeby oni mogli się zająć czymś innym!

Slith siadł obok swojego dowódcy. Miał równie przygnębioną minę co Kang.

— Kopanie latryn. Żeby to szlag. Co zrobimy, panie pułkowniku? Kang potrząsnął głową.

— Nie wiem. Naprawdę tym razem nie wiem. Zwołaj zebranie sztabu za godzinę. Powiedz wszystkim starszym oficerom, co się dzieje. Wtedy o tym pomówimy. \*

Godzinę później wszyscy dowódcy batalionów i oficerowie specjaliści siedzieli na pożyczonych krzesłach, które ustawiono

wokół pustego miejsca w namiocie, gdzie dawniej stał stół. Leżąca na zewnątrz sterta szczątków mebli stanowiła nieme świadectwo podłego nastroju komendanta. Kang otworzył zebranie.

— Jak już słyszeliście, przydzielono nas do budowania latryn. Wiecie nie gorzej ode mnie, że jeśli znów będziemy musieli kopać wychodki, dojdzie do buntu w naszych szeregach. Wszyscy obecni zasyczeli i zaszemrali, przyznając mu rację. Kang mówił dalej.

— Nie przyłączyliśmy się do tej armii po to, żeby kopać ludziom doły do srania. Nie wierzę, że wolą Jej Królewskiej Mości jest, abyśmy służyli jej w taki sposób. Pozostaje pytanie, co mamy zrobić? Oczekuję propozycji. Fulkth, przełożony saperów, zabrał głos pierwszy. — Może skierują nas na front, żebyśmy służyli w piechocie? Kang parsknął. — Zapomniałem wspomnieć, że mamy oddać broń. Odczekał, aż ucichną krzyki oburzenia, potem dokończył. — Nie ufają nam. To nie ulega wątpliwości.

Slith milczał, głęboko zamyślony, bębniąc pazurami w bok krzesła. Kang mu nie przeszkadzał. Kiedy jego zastępca będzie gotowy, żeby przemówić, przemówi.

Kang był w trakcie relacjonowania słów dowódcy kwadronu, kiedy Slith nagle mu przerwał.

— Co dokładnie pan powiedział, zgłaszając nas do służby w armii tego lorda Sykesa? Kang musiał się zastanowić.

— Chyba powiedziałem, że oferuję Drugiej Armii usługi naszego pułku, a on się zgodził. Dlaczego pytasz? Slithowi zabłyśły oczy.

— Znam pana, pułkowniku. Jest pan z nas dumny. Jest pan pewny, że nie wspomniał o służbie w charakterze saperów?

— Wydaje mi się, że wspomniałem. Nie, jestem tego pewny — rzekł Kang, przypominając sobie rozmowę z rycerzem. — Powiedziałem, że będziemy pełnić w jego wojsku funkcję saperów. Slith nachylił się ku niemu. 137

— W tym właśnie rzecz, panie pułkowniku. Nie zatrudniono nas w charakterze saperów, zatem umowa jest nieważna. Nie musimy zostawać. Yethik pokiwał głową z aprobatą.

— Nie chcą nas tutaj. Co do tego nie ma wątpliwości. Uważam, że powinniśmy odejść.

Kang spojrział na nich. Sprawa była śmiertelnie poważna, ciszył głos.

— Zdajecie sobie sprawę, że Sykes uzna to za dezercję. Albo, co gorsza, może pomyśleć, że jesteśmy szpiegami. Wiemy za dużo o jego posunięciach, jego mocnych stronach, jego planach. Jeśli odejdziemy i damy się złapać, zabiją nas. Slith wzruszył ramionami, uśmiechnął się szeroko.

— Pokonywaliśmy rycerzy solamnijskich. Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy walczyć z drugą stroną, jeśli będziemy zmuszeni. Ale to nie będzie konieczne, panie pułkowniku. Wątpię, czy w ogóle urządzią pościg. Mają inne zajęcie, wojnę z elfami. A jeśli rzeczywiście wyślą za nami pogoń, cóż... oświadczenie wolę zginąć od miecza niż znowu kopać latryny. Uważam, że powinniśmy wrócić pod Dashinak.

Kang zamyślił się. Nie uśmiechała mu się myśl o dezercji — po raz kolejny. Wyobraził sobie, co pomyśli Huzzud. Że uciekł z tchórzostwa. Ona tego nie zrozumie i nie było sposobu, żeby jej to wytłumaczyć. Ale czy jej opinia się liczyła? Opinia jakiegokolwiek człowieka? Dopóki on, jego żołnierze i jego Królowa znali prawdziwy powód odejścia, to, co ludzie sobie pomyślą, było guzik warte.

— Zgoda, panowie — powiedział Kang. — Decyzja zapadła. Jutro armia rycerzy ciemności rusza do natarcia na Qualinesti, ale my z nimi nie pociągniemy. Odejdziemy dziś w nocy, gdy Solinari zawiśnie nisko nad horyzontem i będziemy maszerować tak długo, póki nie padniemy albo nie wrócimy do naszego domu u stóp Dashinaku. Pójdziemy okrężną drogą, żeby zmylić pościg. Niczego nie zostawimy, ani narzędzi, ani broni. Załadujemy znowu wszystko na wozy. — A jeśli ktoś zapyta, co robimy? — spytał Fulkth. 138

— Nie zapyta. Pomyślą, że mamy specjalne rozkazy. Pamiętajcie, armia wyrusza jutro rano. Ludzie się będą kręcić przez całą noc. Nikt nas nie zauważy. Yethik, poślij drużyny, żeby uzupełniły zapasy prowiantu i wody. Slith, zamknij wejście do naszego obozu. Sprowadźcie wszystkich ludzi do mnie. Wątpię, żeby ktoś miał nas odwiedzić, ale nigdy nic nie wiadomo. Fulkth, każ wszystkim przygotować się do wymarszu o zmierzchu. W porządku, do dzieła. Oficerowie wrócili do pracy.

Kiedy Kang został sam, siadł na łóżku i wbił wzrok w klepisko. Wciąż się w nie wpatrywał, kiedy w otwartych drzwiach do namiotu zamajaczył jakiś cień. Kang podniósł głowę. Zobaczył Slitha. Obok stała szponowa Huzzud. — Wizyta oficjalna — oznajmił smokowiec.

Kang wstał. Kobieta weszła do namiotu i omiotła wewnątrz wzrokiem. Musiała widzieć, jak wynoszono resztki połamanego stołu i krzesel.

Zawahala się, następnie wyprostowała plecy i powiedziała, co miała do powiedzenia.

— Żadna praca nie hańbi w oczach naszej Królowej. Wszystko, co robimy, robimy dla jej chwały.

— W pani rękach widzę miecz — rzekł z przekąsem Kang. — Nie łopatę.

Szponowa otworzyła usta, potem znowu je zamknęła. Odwróciła się na pięcie i wyszła. Kang westchnął i wrócił na pryczę. — Mam tylko nadzieję, że postępujemy słusznie. Zamknął oczy i położył się na pościeli. Nie usnął, lecz leżał i rozmyślał. Leżał tak bardzo długo. Rozdział 20

Czarni rycerze narzucili wziętym do niewoli krasnoludom szybkie tempo, popychając ociągających się jeńców i zmuszając 139

ich do pośpiechu smagnięciami bata. Rozmawiali ze sobą we własnym języku. Myśleli, że więźniowie ich nie rozumieją, albo nie dbali o to. Obaj krasnoludowie znali jednak ludzką mowę. Przydawała im się przy sprzedawaniu towaru.

Wszystko wskazywało na to, że rycerze byli grupą rozpoznania dalekiego zasięgu. Mówili o powrocie do głównej części jakiejś armii, która stacjonowała w mieście przed nimi. Była to

zamieszkała przez ludzi osada o nazwie Mish-ka. Krasnoludowie wymienili spojrzenia. Znali ją. Rycerze wspominali o przygotowaniach do wojny z Qualinestyczykami i zastanawiali się, kiedy armia ruszy do natarcia.

Moździerz wydał delikatne westchnienie ulgi. Jak na jego gust, wojsko znajdowało się zdecydowanie za blisko jego ojczyzny. Ucieszył się, że rycerze ciemności mają zamiar napaść na kogoś innego.

Tłuczek musiał myśleć o tym samym. W pewnym momencie, kiedy rycerze zatrzymali się, żeby więźniowie i oni sami mogli zaczerpnąć tchu, Tłuczek nachylił się do brata. — Wiesz, gdzie jesteśmy? — szepnął. — Bardzo blisko domu! Gdybyśmy tylko zdołali rozluźnić te supły! — Zaczekaj, aż usną... — zaczął Moździerz.

— Nie gadać! — Mężczyzna zamachnął się i uderzył krasnoluda w skroń płazem miecza. — Zamknij się, bo ci flaki wypruję.

Rycerze zmusili jeńców do wstania i znów ruszyli. Zapadł już zmierzch, kiedy wreszcie ogłoszono postój. Tłuczek i Moździerz padli na ziemię, ciesząc się z chwili odpoczynku. Nie odważyli się rozmawiać. Każdą próbę nawiązania kontaktu natychmiast karano. Siedzieli po cichu w ciemności, zajęci rozplątywaniem rzemieni, którymi związano ich nadgarstki.

Rycerze rozbili obóz. Otworzyli plecaki, wyjęli jedzenie, i ku wielkiemu zdumieniu krasnoludów, podzielili się nim z jeńcami. Każdemu też dali kubek wody. Po zakończeniu kolacji jeden z rycerzy sprawdził, czy są dobrze skrępowani — na szczęście żaden krasnolud nie poczynił dużych postępów w rozluźnianiu rzemieni — po czym przywiązał ich do drzewa za pomocą sznura, który przymocował do więzów na ich nadgarstkach i kostkach. 140

— Kładźcie się spać — rozkazał w mowie wspólnej. — Wstajemy przed świtem.

Poszedł rozścielić własne poślanie. Dwaj rycerze stanęli na pierwszej warcie. Jeden przeszedł na drugą stronę drogi i zniknął między drzewami. Drugi usiadł na zwałonym pniu.

Krasnoludowie wiercili się na suchych liściach, udając, że moszczą się wygodnie. W rzeczywistości starali się ułożyć w najlepszej pozycji do rozwiązania supłów. Niestety, ilekroć któryś się poruszył, liście szeleściły i chrobotwały. Rycerz na warcie wstał i popatrzył na nich złym wzrokiem. — Nie kręćcie się! — rozkazał.

Krasnoludowie posłusznie leżeli nieruchomo co najmniej godzinę. Reszta rycerzy usnęła i cicho chrapała. Wojownik na warcie nucił sobie pod nosem marszową piosenkę, wystukując rytm palcami na kolanie.

Moździerz przysunął się do brata, pełznąc powoli, żeby nie wzbudzić czujności rycerza.

— Wiesz co? — szepnął. — Dużo myślałem. To wszystko przez Seląuista. — Jak do tego doszedłeś? — odszepnął Tłuczek.

— Gdyby nie kazał nam kraść, a potem sprzedawać zrabowanych łupów, nie byłoby nas tutaj. Bylibyśmy w domu we własnych łóżkach. — Moździerz westchnął. Nigdy przedtem łóżko nie wydawało mu się tak cudowne.

— Przystaliśmy na ten plan — stwierdził Tłuczek, próbując być sprawiedliwy.

— Tak, ale gdyby nie Seląuist, nie ułożylibyśmy go nawet — zauważył Moździerz.

— Tu masz rację — przyznał Tłuczek. Leżał przez chwilę spokojnie, mamrocząc coś pod nosem. — Co powiedziałeś?

— Dobijałem targu z Reorxem. Obiecałem mu, że jeśli wyciągnie nas z tych opałów, nigdy już niczego nie ukradnę.

— Świetny pomysł! — Moździerz spojrzał na brata z podziwem. — Zrobię to samo. Złożył przysięgę. Obaj zawarli więc umowę ze słynącym

z drażliwości i często nieprzewidywalnym bogiem kowalstwa, któremu krasnoludowie oddają wyłączną cześć.

Rycerz przestał nucić i krasnoludowie musieli umilknąć. Do tego czasu jednak obu udało się przesunąć węzły w taki sposób, aby móc zwinnymi palcami rozsypać splecione rzemienie.

Rycerz powiedział coś głośno i krasnoludowie znieruchomili, póki nie uświadomili sobie, że nie mówi do nich. Najwyraźniej wznosił modły do Królowej Ciemności. — Jak ci idzie? — szepnął Moździerz. — Prawie mi się udało. Już. Mam wolne ręce. A ty? Moździerz sapnął. Miał większe trudności. — Mnie zwiążali mocniej — poskarżył się. — Nie gadać tam — powiedział rycerz.

Moździerz odczekał, aż mężczyzna wróci do modlitwy, która na szczęście całkowicie go absorbowała i trwała dość długo. Ciągnął i szarpał, i niespodziewanie węzeł się rozplatał. — Dzięki niech będą Reorxowi! Udało mi się! — szepnął. — Dobrze. Teraz zaczekamy, aż uśnie. — A jeśli nie uśnie? — Phi! Uśnie. Ludzie zawsze zasypiają na warcie.

Pewni siebie krasnoludowie czekali godzinę, potem dwie. Człowiek sprawił im jednak zawód. Wstał, pokrzepiony modlitwą, i sprawiał wrażenie jeszcze czujniejszego niż przedtem. Co gorsza, ruszył w ich stronę, najwyraźniej z zamiarem sprawdzenia więzów.

— Wysłuchaj mnie, Reorxie! — szepnął zrozpaczony Moździerz. — Obiecuję, że nie tylko przestanę kraść, ale oddam wszystko, co już ukradłem!

Wartownik stanął. Odwrócił raptem głowę, spojrzał w stronę drogi. Stał w ciszy, nasłuchując, a potem schylił się i potrząsnął dwóch kompanów za ramię. — Coś się rusza na drodze.

Pozostali rycerze ocknęli się i zanim dokończył zdanie, stali na nogach z bronią w ręku. Poruszając się bezgłośnie, krążyli po obozie, budząc następnych. Chwycili łuki, nałożyli na nie strzały i schowali się w zaroślach. Wyraźnie słychać było kroki wielu osób i brzęk zbroi. 142

— To musi być część naszej armii — rzekł cicho jeden z rycerzy. — Kto inny wędrowałby o tej porze?

— Nie powiadomiono nas o żadnych ruchach wojsk — powiedział dowódca. — Poza tym, oddalają się od Mish-ka, a nie idą w jego kierunku. To mi się nie podoba. Nie pokazujcie się. Pójdę sprawdzić ich rozkazy. Jeśli udzielą niewłaściwej odpowiedzi, strzelajcie do nich. Moździerz i Tłuczek spojrzeli na siebie. Teraz albo nigdy.

Zrzucili więzy z nadgarstków, schylili się i rozwiązali sznury, którymi skrępowano im nogi. Jeden z rycerzy rzucił na nich okiem i krasnoludowie znieruchomieli. Mężczyzna wrócił do obserwowania drogi. — Teraz! — szepnął Tłuczek.

Zerwali się i pobiegli w przeciwnym kierunku. Mieli nadzieję, że zgubią pościg w lesie.

Nie słyszeli, żeby ktokolwiek ich gonił. Może rycerze, zajęci wojskiem na drodze, nie zauważyli ich nieobecności. Przyspieszyli jeszcze kroku. Przedzierali się przez leśne poszycie, objijając się o drzewa i potykając o zwalone pnie.

Moździerz zauważył przed sobą świecący na czerwono zarys ciała ułamek sekundy za późno, żeby ostrzec brata. Ktoś chwycił go w mocne ramiona i zasłonił mu usta dłonią. Poznał zapach, szponiaste palce i krótkie, krępe skrzydła wyrastające z ramion napastnika. Smokowcy!

Moździerz szarpał się i wrywał, kopał i gryzł po rękach. Sądząc po odgłosach szamotaniny i przekleństwach, Tłuczek też wpadł w zasadzkę.

— Psiakrew! Auu! Cholera, ugryzł mnie! Żeby szlag trafił tego rycerza! Nie ruszaj się, bo ci poderżnę gardło.

Zduszony w żelaznym uścisku Moździerz przestał się szarpać, czując wpijające się w jego ciało szpony, a w ustach ohydny smak ciała smokowca. Miał zamiar powiedzieć kilka kąśliwych uwag Reorxowi, kiedy go zobaczy, co przypuszczalnie miało wkrótce nastąpić. — To nie są rycerze, ty

głupi baazie — syknął trzymający 143

Moździerza smokowiec do tego, który złapał Tłuczka. — To krasnoludowie! Byli w niewoli u rycerzy. Na Królową, dość się nawąchałeś ich zapachu przez te dwadzieścia pięć lat. Nie sądzi- łem, że do tej pory nie umiesz go rozpoznać. I od kiedy to rycerze są tacy niscy i włochaci? Zza ich pleców, od strony drogi dobiegło wyraźne wołanie. — Stać! Zbliźcie się i pokażcie!

— Hejże! Co za miłe spotkanie, panie rycerzu! Chyba czu- jesz się samotnie na służbie tej nocy — rozległ się donośny, zgrzytliwy głos. — Co to takiego? — spytał zdumiony rycerz. — Smokowcy? — Pierwszy Pułk Saperów — brzmiała dumna odpowiedź.

— Muszę poprosić o pisemny rozkaz, panie komendancie — powiedział rycerz. — Nic mi nie wiadomo o dozwolonych ruchach oddziałów, zwłaszcza całego pułku, tą drogą w środku nocy.

— Między drzewami są łucznicy — szepnął jeden ze smo- kowców. — Trzeba ostrzec komendanta. Nie wiem, jak się z tego wykręcimy. Pójdę... — umilkł. — Na naszą Królową, ci prze- klęci krasnoludowie mogą się jeszcze przydać! — rzekł podnie- conym tonem. — Idziemy! — Tak jest — odpowiedział baaz.

Smokowcy wzięli krasnoludów pod pachy i szybkim krokiem poszli w stronę drogi. Moździerzowi serce uciekłoby w pięty, gdyby nie fakt, że trzymano go w takiej pozycji, że nogi miał wyżej od serca.

Smokowcy przedarli się przez szereg ukrytych łuczników, którzy odwrócili się, słysząc trzaski i krzyki. Rycerze nie wy- strzelili, ale też nie opuścili łuków.

— Cześć, chłopaki — powiedział głośno Slith, salutując. — Przyjemna noc na ćwiczenie strzelania do celu, prawda?

Wyszli z lasu, i nadal trzymając dwóch krasnoludów, zbliżyli się do bardzo wysokiego smokowca, który rozmawiał z dwoma rycerzami na środku drogi. Za nim, jak daleko sięgał wzrok krasnoludów, ciągnął się szereg jego pobratymców.

— Wasi łucznicy kryją się w zaroślach — powiedział wysoki smokowiec. 144

— Owszem. — Rycerz był nieustępliwy. — Czy mogę zo- baczyć pańskie rozkazy... — Umilkł. Właśnie zauważył dwóch krasnoludów.

— Czy przypadkiem nie brakuje wam dwóch jeńców? — spytał Slith.

Złapał mocno Moździerza za kołnierz i podniósł, żeby poka- zać. Krasnolud kołysał się i wierzgał, próbując kopnąć smokow- ca, ale robił to bardziej z bezsilnej złości niż przekonania, że uda mu się go trafić.

— Złapaliśmy ich, kiedy uciekali przez las, panie pułkowni- ku — dokończył Slith, salutując.

Moździerz nagle dobrze mu się przyjrzał i zdał sobie sprawę, że go poznaje. Obrócił się i spojrział na brata, który wlepił w smokowca bojazliwy wzrok. Tak, najwyraźniej Tłuczek też go poznał. To był ten ogromny bozak z osady smokowców, który zdaniem generała był ich przywódcą.

— Już po nas — oznajmił po raz drugi Moździerz i zwiśł bezwładnie w rękę napastnika. — Jeśli nie zabiją nas ci rycerze, zrobią to smokowcy.

— Uciekli wam jeńcy? — Kang przyjrzał się rycerzowi, który sprawiał wrażenie bardzo zmieszanego. — Co to ma zna- czyć, panie rycerzu?

— Wzięliśmy ich do niewoli jaskiś czas temu. Najwyraźniej zdołali rozwiązać supły. Potem usłyszeliśmy, że się zbliżacie. Poszedłem się rozejrzeć, a kiedy spuściłem ich z oka, wzięli nogi za pas.

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

— Całe szczęście, że byliśmy w okolicy i znów ich złapaliśmy — stwierdził Kang, odchylając się do tyłu i podpierając ogonem.

— Tak jest, panie pułkowniku — odparł posepnie rycerz. — Gdyby zechciał pan nam ich przekazać, dopilnujemy już, żeby więcej nie uciekali.

Kang rzucił okiem na dwóch krasnoludów. Moździerz miał nieprzyjemne uczucie, że on również ich poznał. Bozak podrapał się po brodzie.

— Wydaje mi się, że nie pilnujecie zbyt uważnie swoich więźniów. Chyba my przejmujemy nad nimi pieczę. 145

Rycerz nie był zadowolony. Z pewnością zastanawiał się, w jaki sposób sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

— Panie pułkowniku, to my jesteśmy odpowiedzialni za jeńców. A pan nadal nie pokazał mi swoich rozkazów...

Sivak trzymający Moździerza upuścił krasnoluda na ziemię. Zbliżył się do człowieka i przysunął pysk do jego twarzy.

— Niech teraz pan posłucha, panie rycerzu. Chcę natychmiast znać pańskie imię, nazwisko i stopień. — Jestem Glaf Herrik, zastępca szponowego... Sivak ryknął.

— Zastępca szponowego! I pan ma czelność pyskować pułkownikowi! Każę pana za to wychłostać przed namiotem lorda Sykesa. Niech pan zabiera tych swoich tchórzliwych, pyszałkowatych gagatków w skrzypiących skórach z powrotem do lasu i zostawi prawdziwą robotę nam, weteranom. Teraz my przejmujemy jeńców. Odmaszerować.

Rycerz zamierzał protestować, ale w tej chwili jego łucznicy wyszli z lasu otoczeni przez co najmniej pięćdziesięciu smokowców. Mężczyzna miotał groźby, że doniesie o tym przełożonym, potem jednak niechętnie zasalutował, odwołał swoich ludzi i wrócił do obozu. — Kompania, naprzód marsz! — zawołał Slith. Smokowcy ustawili się w szeregu i ruszyli. Sivak w ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby zabrać Moździerza z drogi, w ten sposób ratując go przed stratowaniem przez dwustu smokowców. Znów trzymając krasnoluda pod pachą, dogonił komendanta i zrównał z nim krok. — Myśli pan, że doniosą o tym? — spytał.

— Oczywiście — odparł Kang. — Prawdopodobnie już wysłał gońca. Przynajmniej wiemy, że droga nie jest bezpieczna. Pewnie na całym gościńcu są patrole. Przejdziemy jakieś pięć mil, a potem ruszymy w góry. Zwiększyć tempo marszu. Ruszać się, ruszać!

Sivak wydał rozkazy i smokowcy przyspieszyli kroku. Moździerz wykręcił głowę, wyrzwał spod ramienia smokowca i spróbował zobaczyć, co się dzieje z jego bratem. Tłuczka niósł na plecach ten sam baaz, który go złapał. 146

Zauważywszy, że Moździerz mu się przygląda, smokowiec uśmiechnął się szeroko. W migotliwym świetle gwiazd błysnęły ostre zęby. Baaz się oblizał.

— Mięso krasnoluda na śniadanie! Mniam, mniam — powiedział. Moździerz przełknął ślinę i szybko odwrócił oczy.

— Milczeć! — rozkazał Slith. — Zasapiecie się i potem tchu wam zabraknie.

Smokowcy przez całą długą noc gnali na złamanie karku. Po zejściu z drogi poszli w góry. Droga okazała się trudna i niebezpieczna, ale nawet to nie zmusiło ich do zmniejszenia tempa. Dzięki zakończonym pazurami dłoniom i stopom świetnie wdrapywali się na skały, a skrzydła chroniły ich przed upadkami, które inaczej mogłyby być groźne.

Największą zawadą okazali się jeńcy. Smokowcy nie mogli jednocześnie nieść krasnoludów i wspinać się. Moździerz za- pewnił, że on i jego brat nie obrażą się, jeśli zostaną zostawieni, ale pułkownik Kang na to nie pozwolił. Polecił ich związać, oddał pod pieczę dwóch baazów i rozkazał maszerować.

Tłuczek odmówił. Był wymięty i poobijany, ale nie stracił ducha. Zaparł się nogami w ziemię, skrzyżował ramiona na piersi i patrzył wilkiem. — Nigdzie nie idę. — Ja też — oznajmił Moździerz. Kang zniżył głowę do wysokości oczu krasnoluda. — Zawsze mogę was oddać rycerzom. Tłuczek i Moździerz wymienili spojrzenia. — Pójdziemy — powiedzieli potulnie.

Dochodziło południe. Moździerz nigdy w życiu nie pracował tak ciężko. Drapał się, ślizgał i osuwał. Ręce miał pokaleczone i pokrwawione. Nie raz któryś ze smokowców chwycił go na chwilę przed upadkiem, ratując przed osunięciem w przepaść. Ilekroć dotarli do mniej stromego terenu, sivak kazał im biec i chłostał po plecach, jeśli zwalniali kroku. Potem znów zaczy-

nała się wspinaczka. Przez cały czas Moździerzowi chodziła po głowie okropna myśl o tym, że cierpi te męczarnie tylko po to, żeby na końcu wylądować w garnku.

Zanim wstał świt, był tak wyczerpany i obolały, że nie obcho- dziło go, czy smokowcy zjedzą go na śniadanie. Oby tylko już nie musiał wspinać się i biegać. Włókł się ze spuszczoną głową, z trudem stawiając nogę za nogą. Wtedy ktoś chwycił go za ramię. — Patrz! — wyciągnął rękę Tłuczek. Moździerz z wysiłkiem uniósł głowę. Zrobił głęboki wdech. Góra Celebund. Tylko jedna przełęcz dzieliła ich od domu. Tak blisko. I zarazem tak daleko.

— Stać! — zawołał Kang. — Przerwać marsz. Piętnaście minut odpoczynku.

Smokowcy zatrzymali się, nie mniej zmęczeni od krasnolu- dów. Wielu padło na ziemię tam, gdzie stało. Leżeli na głazach z wywieszonymi językami i zipali. Inni wyciągnęli manierki i łapczywie pili wodę.

Moździerz i Tłuczek usiedli na ziemi, z żalem i tęsknotą spoglądając w stronę górskiego szczytu. Stojący nad nimi sivak zasłonił im widok. — Wstawać. Komendant chce was widzieć.

— To już koniec — rzekł Moździerz. — Żegnaj, Tłuczku. Byłeś naprawdę dobrym bratem. — Ty też — odparł Tłuczek ze łzami w oczach. Bracia padli sobie w ramiona.

— Och, na miłość Królowej Mroku, chodźcie już! — wark- nął sivak.

Dwaj krasnoludowie poczapali do wielkiego bozaka, który siedział na skale.

— Poznają was. Jesteście z Celebundinu, prawda? — wark- nął Kang. Smokowiec był szary ze zmęczenia.

— Może jesteśmy — odparł Moździerz, nie zamierzając współpracować. — A może nie. Bozak się uśmiechnął.

— Jeśli jesteście z Celebundinu, to tą przełęczą wróćcie do domu. Do widzenia i dzięki. 148

Moździerz i Tłuczek stali i wytrzeszczali oczy tak długo, że wydawało się, że wrosli w ziemię.

— Powiedziałeś „do widzenia”? — Tłuczek nie był pewny, czy się nie przesłyszał.

— Czy to znaczy, że możemy sobie pójść? — spytał dla jasności Moździerz. — Idźcie sobie! Precz! Wynocha!

Moździerz poczuł, jak mu wracają siły. Bracia wzięli nogi za pas, obawiając się, że smokowiec może zmienić zdanie. Po przebiegnięciu kilku jardów Moździerz jednak stanął i obejrzał się. Czoło mu się pobruzdziło. — Powiedziałeś, że nam dziękujesz. Za co?

— Ocaliliście nam życie — rzekł Kang. — Najmniejszą rzeczą, jaką możemy dla was zrobić, jest odwdzięczenie się tym samym. — Pomachał im pazurzystą dłonią. — Do zobaczenia za kilka tygodni. Spirytus prawie nam się skończył.

— Co? — zdziwił się Moździerz. — Aha, już rozumiem. Wy... Tłuczek złapał brata za ramię i

odciągnął go. Dwie godziny później dotarli do najwyższej położonego punktu przełęczy i spojrzeli z góry na swoją zaciszną dolinę.

— Udało nam się! — zawołał Moździerz i zaczerpnął głęboko tchu. Popatrzył z czułością na Celebundin w dole. — Przysięgam, że czuję zapach dymu z kominów.

— To nie dym z kominów! — powiedział ponuro Tłuczek, pokazując na drugi koniec doliny, gdzie w niebo bił gęsty, czarny dym. — Spójrz!

— Na brodę Reorxa! — zawołał wystraszony Moździerz. — Drogo za to zapłacimy! Biegiem! Musimy ostrzec tana!

Tłuczek już gnał co sił w nogach. Strach dodawał mu skrzydeł. Moździerz miał rację. Drogo za to zapłacą. 149

## Rozdział 21

Smokowcy mogli drogo zapłacić za dezercję, Kang jednak doszedł do wniosku, że dopóki będą omijać lorda Sykesa, nic im nie grozi. A do jego wojska z pewnością znów się nie zaciągnie. Rycerze mogliby wyruszyć w pościg za dezertkami, ale po co mieliby się fatygować? Sykes miał ważniejsze sprawy na głowie, na przykład podbój Ansalonu.

Upewniwszy się, że nie będzie pościgu, Kang z przyjemnością myślał o powrocie do własnej warownej enklawy. Kto wie? Teraz, kiedy zanosilo się na to, że stanie się ich stałą siedzibą, może nawet nadadzą jej nazwę.

Pułk był w drodze od wczorajszego zmierzchu. Po krótkiej przerwie ruszyli w stronę domu. Nie było ich zaledwie sześć dni, mimo to Kang miał wrażenie, że upłynęło sześćset lat. Myślał tylko o tym, żeby położyć się do własnego łóżka, jeśli krasnoludowie go nie ukradli.

Uśmiechnął się szeroko. Na jego olbrzymim posłaniu zmieściłoby się sześciu krasnoludów ułożonych jeden za drugim. Był prawie całkiem pewny, że akurat tego mebla nie skradną.

Pojedynczym, wyciągniętym szeregiem maszerowali przez wąską przełęcz, która miała zaprowadzić ich do domu. Kang szedł na przedzie. Slith został z tyłu, żeby się upewnić, że wszyscy szczęśliwie pokonali drogę i że nikt ich nie ściga. On sam miał przejść ostatni.

Kang pierwszy stanął po drugiej stronie przełęczy. Zatrzymał się, żeby rzucić okiem na swoją osadę. Niczego nie zobaczył. Gród zasłaniał unoszący się w niebo dym.

Miał takie wrażenie, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Widok był tak wstrząsający, że zatoczył się kilka kroków do tyłu i omal nie nadepnął na nogę idącemu za nim baazowi. Smokowiec wyciągnął rękę, żeby podtrzymać komendanta. Kang odepchnął żołnierza, wydał ryk wściekłości i pognął na dół.

W szalonym pośpiechu zbiegł na spaloną słońcem łąkę. Smokowcy galopowali za nim. Przybyli jednak za późno. Nic już nie można było zrobić. 150

Kang stanął. Pozostali zbili się w gromadkę za jego plecami. Wszyscy milczeli. Nikt nie odezwał się ani słowem. Stali i patrzyli, jak ich osada płonie.

Ogień już osmolił i strawił większość budynków. Wieże strażnicze leżały w gruzach. Wrota zawaliły się z hukiem w deszczu iskier. A na murach roilo się od krasnoludów z pochodniami w rękach.

Kang był zły, kiedy rycerze rozkazali mu kopać latryny. Teraz jednak wpadł we wściekłość, w straszliwą furję. Zawrzał gniewem sroższym i gwałtowniejszym niż ogień, który trawił dobytek ostatnich dwadziestu pięciu lat jego życia. Pobłażał krasnoludom, a oni go zdradzili. Zostawił im swoje dzieło, nawet czerpał przyjemność z myśli, że zrobią z niego użytek, a oni napluli mu w twarz.

Dotarcie do płonącej osady po drugiej stronie łąki zajęło smokowcom prawie trzydzieści minut. Kang biegł pierwszy, z mieczem w ręku i morderczymi zaklęciami w myślach.



Doszli do murów obronnych, zanim pochłonięci niszczyciel- ską działalnością wrogowie zauważyli ich obecność. Jeden z kras- noludów, który stał na blankach, obejrzał się przez ramię, zoba- czył smokowców i wrzasnął.

Kang podniósł rękę. Z jego palców strzeliła błyskawica. Magiczny piorun trafił nieszczęśnika w klatkę piersiową i odrzu- cił go do tyłu. Krasnolud spadł z muru, ginąc w płonącej szopie.

Kang przebiegł po tłących się szczątkach wrót. Zwęglone drewno żarzyło się jeszcze, parzyło podeszwy jego bosych stóp, ale smokowiec nie czuł bólu. Pęcherze były niczym w porówna- niu z tym, co czuł widząc, jak dzieło jego życia płonie. Miał wrażenie, jakby ktoś pchnął go nożem w serce.

Smokowcy pędzili za Kangiem. Po znalezieniu się w obrębie murów pobiegli szukać krasnoludów. W osadzie było ich tylko piętnastu. Pozostali prawdopodobnie uciekli z wszystkim, co się dało wynieść, i zostawili dość wojowników, żeby spalić gród. Ci krasnoludowie wpadli w pułapkę bez wyjścia.

Mając śmierć przed oczyma, wyciągnęli miecze i zaciekle bronili swych pozycji, gdziekolwiek się znajdowali. Większość jednak zginęła bez zadania choćby jednego ciosu. Rozwścieczeni 151 smokowcy posiekali krasnoludów na kawałki. Potem pozbierali je i wrzucili do ognia.

Kang obcinał głowę martwemu wrogowi, zamierzając póź- niej wywiesić ją na osmolonym murze, który był prawie jedyną rzeczą, jaka ocalała w mieście. Usłyszał, że jakiś smokowiec woła go po imieniu, ale nie zwracał na to uwagi. Wołanie nie cichło. Potem ktoś złapał go za rękę. Rozzłoszczony tym, że mu przerwano, odwrócił się z okrwawionym mieczem w rękę.

Uplłynęła dobra chwila, zanim ustąpiła czerwona mgła przed jego oczami. Wtedy zobaczył Slitha.

— Panie pułkowniku! — Zastępca ochrypl od dymu i krzy- ku. — Panie pułkowniku! Na miłość Królowej, niech mnie pan posłucha! Kang opuścił miecz.

— Panie pułkowniku — powiedział Slith, kaszłąc. — Mu- simy opanować wojsko! Szykują się do wymarszu na Celebun- din. Jeśli pobiegną teraz, w nieładzie i bez rozkazów, wszyscy zginą!

Kang wbił oczy w Slitha. Wiedział, że zastępca coś mówi do niego. Wiedział, że mówi coś ważnego, ale szum krwi w uszach zagłuszał każde słowo. — Od początku — wyszeptał suchymi i spieczonymi wargami. Slith wszystko powtórzył. Tym razem Kang był dość spokoj- ny, żeby go zrozumieć. — Tak. Masz rację. Idź... — Machnął okrwawioną ręką. Smokowiec odwrócił się i pognał z rozkazami, przekrzykując trzask dogasających płomieni. Kang wiedział, że powinien po- móc, ale czuł się dziwnie odrętwiały. Miał wrażenie, że śni jeden z tych przerażających snów, kiedy chcesz się poruszyć, wiesz, że musisz się poruszyć, ale wciąż stoisz w miejscu.

Przez chwilę wątpił, że Slithowi się uda. Tłum smokowców krzyczał jak oszalały, że wymorduje wszystkich krasnoludów na świecie. Motłoch jednak nie jest przeciwnikiem dla zorgani- zowanego wojska, a Kang się domyślił, że krasnoludowie słysze- li o ich powrocie i będą czekać. A to byłby koniec. „Niech i tak będzie” — pomyślał Kang. — „Tak zginiemy”. 152

— Przynajmniej zazna jakiejś satysfakcji, zanim pójdzie służyć Królowej.

Wtedy przez zgiełk przedarł się dźwięk trąbki, sygnał zbiórki oficerów. Smokowcy unieśli głowy i rozejrzeli się, wyrwani z oszołomienia. Slith stracił głos, lecz najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieważ nadal krzyczał, choć nikt go nie słyszał. Złapanie trębacza było genialnym pomysłem. Kilku ofi- cerów oprzytomniało i zaczęło pomagać w przywracaniu porządku.

Smokowcy powoli zaczęli formować szeregi na łące przed płonącym miastem. Kang będzie musiał pójść i przemówić do nich. Przypomniawszy sobie, że już kiedyś tak się czuł. Był wtedy młodym oficerem i przegrał pierwszą bitwę. Spotkanie napawało go lękiem.

Powoli podniósł miecz i wytarł go o leżące u jego stóp zwłoki krasnoluda, zauważając

jednocześnie, że trup miał na sobie mundur. Schował broń do pochwy. Szedł przez pełne kłębow dymu ulicę, aż znalazł się za osmoloną bramą. Teraz czuł ból poparzonych stóp.

Po dotarciu na miejsce stwierdził, że wszyscy oficerowie są obecni, a żołnierze stoją na baczność. Dyscyplina zwyciężyła chaos. Dyscyplina. To dzięki niej wytrwali tak długo. Jeśli taka będzie wola Królowej Ciemności, wytrwają dużo dłużej. Kang wyprostował się i maszerował z dumą.

Kiedy się zbliżył, Slith rozkazał starszej szarzy stanąć na baczność.

— Obecni wszyscy oficerowie, z wyjątkiem dwóch — wychrypiał. — Gloth i Stempth zbierają maruderów, zgodnie z pańskim rozkazem.

Slith skłamał dla dobra pozostałych oficerów. Kang nie wydał takiego rozkazu. Utrzymanie jednolitego frontu było jednak sprawą najwyższej wagi.

— Dziękuję, Slith — powiedział cicho Kang. — Mam wobec ciebie dług wdzięczności. Po raz kolejny. Slith stanął na baczność, udając, że nie słyszał.

— Dowódcy plutonów — zawołał Kang, sam zachrypnięty od dymu. — Zbierzcie swoich żołnierzy i zacznijcie gasić pożary. Yethik, twoja kompania zaopatrzeniowa ma przeszukać każdy cal kwadratowy tej osady i zebrać wszystko, co się może przydać. Gwoździe, zawiasy, wszystko. Gloth, weź pluton z drugiego batalionu i wystaw strażę na północy, dwieście jardów stąd. Z wyjątkiem wracających maruderów nikomu nie wolno wejść ani wyjść. Pozbierajcie resztki ścierwa tych przeklętych krasnoludów i przybijcie je do słupów. Słupy wkopcie w ziemię. Byliśmy dla nich za dobrzy. Ale to się zmieni. — Słyszeliście komendanta! Do roboty! — zawołał Slith. Smokowcy rozeszli się do swoich zadań. Kang poważnie wątpił, czy zdołają cokolwiek odzyskać. Nie sądził też, aby groził im teraz atak. Krasnoludowie najprawdopodobniej zabarykadowali się w grodzie i obawiali się najgorszego. Najważniejsze, że jego żołnierze robili coś pożytecznego, wyżywali się w pracy. Kiedy zostali sami, Slith odwrócił się do niego. Wokół snuły się kłęby dymu. Gdzieś z hukiem spadła płonąca belka.

— Co teraz zrobimy, panie pułkowniku? — spytał Slith ochryłym szeptem. Tylko tyle mógł wykrztusić. Kang westchnął, potarł dłonią podbródek.

— Nie wiem. Chyba rozbijemy obóz na zachód od miasta. Przynajmniej wiatr nie będzie przynosił smrodu. Kiedy pogorzelsko ostygnie, może oczyścimy je z gruzu i odbudujemy domy. Slith potrząsnął głową. — To nie będzie to samo. — Masz rację. To już nie będzie to samo.

Stosunkowo spokojne życie, jakie wiedli przez ostatnie dwa-dziesiąt pięć lat, poszło z dymem. Próba pokojowego współistnienia z sąsiadami zakończyła się klęską. Ich związek opierał się na pewnej dozie zaufania, a tego teraz zabrakło.

— Dlaczego to zrobili? — Slith był zdumiony i urażony. — Tu było mnóstwo wartościowych rzeczy. Mogli je zabrać, zrobić z nich użytek. A oni wszystko spalili! Dlaczego?

— Z nienawiści — odparł Kang. — Nienawidzą nas tak bardzo, że nie mogli znieść niczego, co po nas zostało. Sądziłem, że to się zmieniło. Nie twierdzę, że wyobrażałem sobie, że nas polubili. Nie lubię krasnoludów. Nigdy ich nie polubię. Mogłem jednak ich tolerować. Sądziłem, że oni mają do nas taki sam

stosunek. Chyba się pomyliłem. Jedno ci powiem — głos Kanga stwardniał. — Celebundin zapłaci za to.

Slith pokiwał głową z zadowoleniem. Odwrócił się i pobiegł do plutonu, który szedł objąć wyznaczony posterunek.

Gaszenie pożaru zajęło wiele godzin. Nie ocalono ani jednego budynku. Na szczęście, kiedy smokowcy poszli wstąpić do armii, zabrali ze sobą narzędzia, broń i zbroje. Mieli namioty, więc

przynajmniej mogli wzniesć tymczasowe siedziby, dopóki dowódca nie postanowi, co i gdzie mają zrobić.

Drewno nie przestanie się tlić jeszcze przez wiele dni. Kang wiedział, że nigdy już nie pozbędzie się tego smrodu. Smokowcy byli czarni od przeczesywania i sprzątania ciepłych jeszcze zgliszcz. Patrole Glotha wyłapały nielicznych smokowców, którzy w napadzie szału złamali rozkazy i pognali mordować krasnoludów. Zatrzymano ich, zanim dotarli do Celebundinu. Wszyscy ponieśli surową karę. Żadna armia nie przetrwa, jeśli dyscyplina się rozluźni i żołnierze uznają, że wolno im działać na własną rękę.

Przed zachodem słońca smokowcy opuścili swoje dawne miejsce. Zaczęli sypać okopy wokół nowego obozu, jak to czynili wiele razy przedtem. Praca szła im powoli i ociężale. Nie spali od prawie trzech dni, a resztek sił pozbawiła ich wściekłość. Kilku usnęło na stojąco i wpadło do kopanego rowu. Nawet wtedy się nie zbudzili. Po zmierzchu komendant rozkazał przerwać pracę.

Kiedy żołnierze powlekli się do namiotów, Kang rozkazał trębaczowi znów zagrać Wezwanie Oficerów. Wyżsi rangą żołnierze zebrali się wokół swego dowódcy.

— Tej nocy — powiedział Kang — wartę będziemy trzymać my, oficerowie. Żołnierze są tak zmęczeni, że zasną na posterunkach albo zrobią coś głupiego, na przykład postrzelą kogoś, kto będzie szedł do wychodka. Naszym oficerskim obowiązkiem jest zachować przytomność umysłu. Nikt nie pójdzie spać przed wschodem słońca. Zrozumiano! — Tak jest, panie pułkowniku — odpowiedział za nich Slith. Rozeszli się poszukać posterunków, których będą strzec. Kang stanął na warcie. Niebo było bezchmurne. Wydawało się, że gwiazdy świecą wyjątkowo jasnym, prawie gorączkowym blaskiem, jakby same niebiosa były wzburzone i niespokojne. Smokowiec nie musiał się obawiać, że zaśnie. Wprawdzie dokuczało mu zmęczenie, lecz nerwy miał napięte jak postronki. Gdyby się położył, całą noc wbijałby oczy w płachtę w drzwiach namiotu.

A tak patrzył na migoczące gwiazdy, snując myśli czarniejsze od nocy. Zaczynał wątpić w siebie, w swoje zdolności przywódcze. Cofnął się pamięcią do chwili, gdy wszystko zaczęło się rozpadać. Do dnia, w którym odkrył, że jego święty symbol zginął. A złodziejem był przeklęty krasnolud.

Od tej chwili każda decyzja, jaką podjął, była zła. Być może powinien zrezygnować, przekazać dowodzenie Slithowi.

Patrząc w niebiosa, znalazł gwiazdozbiór Królowej — pięciogłowego smoka. Przemówił do swojej bogini, nie prosząc o czary, władzę, czy chwałę. Błagał ją o przebaczenie. Prosił o pomoc i radę.

Sądząc ze spokoju, jaki przeppełnił jego duszę, i pomysłu, jaki mu podsunęła Królowa, najwyraźniej tę pomoc otrzymał.

Nad ranem tylko połowa oficerów na warcie nie spała. Resztę zmorzył sen. Kang nie powiedział ani słowa. Rozdział 22 Dwa dni później Kang wezwał Slitha.

Sivak, który wciąż stacjonował na obrzeżu obozu, wszedł do siedziby sztabu. Był to namiot, który jednocześnie służył Kango wi za kwaterę. — Podobno chciał się pan ze mną widzieć.

Kang siedział przy naprędcie zbitym stole na prowizorycznym siedzisku, które skrzypiało przy każdym jego ruchu. Przed chwilą wrócił z inspekcji niedawno usypanych wałów obronnych. Teraz ostrzył nóż.

— Tak, to prawda. Mam dla ciebie zadanie, przyjacielu. Sądzę, że ci się spodoba. 156

Slith uśmiechnął się szeroko. — Tak jest, panie pułkowniku! Następne pytanie zaskoczyło sivaka.

— Co myślą żołnierze? Jesteś w bliższych z nimi stosunkach niż ja. Co mówią? Slith poczuł się nieswojo. — Czy wolno mi mówić szczerze, panie pułkowniku? — A mówiłeś kiedyś inaczej? —

spytał kwaśno Kang.

— No cóż... — Slith był zażenowany — uważają, że jest pan zbyt łagodny. Upłynęły już dwa dni, a oni, zamiast ścinać krasnoludom głowy, kopią doły. Równie dobrze mogliśmy zostać z rycerzami ciemności. Żołnierze chcą zemsty. Kang pokiwał głową.

— Tak właśnie myślałem. Chcą wymordować krasnoludów, wyciąć ich w pień. — Zrobić to samo, co oni nam.

— Oni nas nie wymordowali — powiedział Kang. — Spalili tylko miasto podczas naszej nieobecności.

— Tak, chyba ma pan rację, panie pułkowniku. — Slith sprawił wrażenie zatroskanego. Najwyraźniej niczym się nie różnił od reszty i sądził, że jego komendant stał się zbyt wyrozumiały. Czyżby tylko Kang potrafił dostrzec coś więcej niż czubek własnego nosa? — Co się stanie, jeśli zabijemy wszystkich krasnoludów?

— Ulży nam jak cholera, panie pułkowniku — odparł Slith, zamykając pysk z wściekłym kłapnięciem. Kang powstrzymał się od uśmiechu.

— I co wtedy? Kiedy już damy upust żądzy krwi? Co się stanie wtedy?

— Będziemy mieć całą dolinę dla siebie. Możemy żyć w ciszy i spokoju.

— Chciałbyś tego? Ciszy i spokoju? Żadnych najazdów. Żadnych nocnych alarmów. Może byłoby nawet przyjemnie — rzekł z zadumą Kang. — Mógłbyś spędzać czas na uprawianiu ogródka. Plewiłbyś chwasty, zbierał marchewkę. Może nawet hodowałbyś kury. Twarz Slitha wykrzywił grymas. 157

— Oczywiście musiałbyś przerywać bójkę wśród żołnierzy, którzy nie mieliby gdzie dawać upustu swej złości — dokończył Kang. — Pomyśl jednak o tych długich, spokojnych nocach. Bardzo długich. Żadnego krasnoludzkiego spirytusu. Żadnego piwa orzechowego. Moglibyśmy wiele osiągnąć. Myślałem o roz-poczęciu cyklu wykładów...

— W porządku — rzekł ponuro Slith. — Przekonał mnie pan. Muszę jednak coś powiedzieć. Znam krasnoludów. Jeśli przynajmniej ich nie ukarzymy, i to surowo, pomyślą, że wszystkim nam zmiękły serca.

— Taki mam zamiar — powiedział Kang, tym razem poważnie. — Najpierw muszę się jednak upewnić, że nie zamierzają nas wykończyć. Wiesz, że mogliby tego dokonać, gdyby napadli na nas teraz. Nie mamy jak się bronić. Siedzimy na otwartej przestrzeni, narażeni na ataki. Muszę poznać ich plany. Muszę wiedzieć, czy szykują się do zmasowanego natarcia. — A jeśli tak, panie pułkowniku?

— Wtedy będziemy zmuszeni dokonać wyboru. Albo opuścimy dolinę, albo będziemy walczyć. Slith zastanowił się.

— Jeśli opuścimy dolinę, dokąd pójdziemy? Musimy założyć, że rycerze ciemności opanowali wszystkie ważniejsze drogi. Na pewno nas znajdą. Uważam, że powinniśmy zostać i walczyć.

— Zgadzam się. Sam jestem za tym, żeby zostać. Jeśli krasnoludowie zmuszą nas do tego, stoczymy bezpardonową walkę, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Koniecznie musimy poznać ich plany. — Tak jest. I co wtedy? Kang umilkł. Po chwili powiedział:

— Jeśli nas zmuszą do walki, będziemy walczyć. Jeśli będą skłonni wrócić do układu, jaki istniał poprzednio, ja jestem gotów zrobić to samo. Umówię się na rozmowę z wielkim tanem. W dolinie jest dość miejsca dla obu naszych ras. Nas i tak się wkrótce pozbędą. Wystarczy, że poczekają, aż wymrzemy.

Slith potrząsnął głową z powątpiewaniem. Nie mógł się jednak kłócić z dowódcą. 158

— Więc jaki ma pan plan?

— Weź jeszcze trzech sivaków i idźcie na zwiad. Wiecie, jak wkraść się niepostrzeżenie do

miasta.

— Tak jest! — Zmiennokształtny Slith znów się uśmiechnął. Ten rozkaz bardziej mu przypadł do gustu. — Będziemy jednak musieli zabijać.

— Wiem. Pokażemy w ten sposób krasnoludom, że nie zamierzamy położyć się i zmienić w kamień. Będziemy zabijać tylko żołnierzy. Żadnego mordowania cywilów, zwłaszcza kobiet i dzieci. Wszyscy krasnoludowie, których zastaliśmy przy podpalaniu naszej osady, byli żołnierzami. Przypomnij sobie, że ta akcja różniła się od napadów. Na wyprawę rabunkową śpieszył każdy krasnolud, który mógł chodzić i brać udział w zabawie. Sądzę, że podpalenie było ściśle wojskową operacją, przypuszczalnie wymyśloną przez tego ich generała. Dlatego za cel naszych ataków weźmiemy ich wojsko. Poza tym, ty i reszta sivaków i tak musicie przyjąć postać krasnoludzkich żołnierzy. Wtedy będziecie mogli przeniknąć w ich szeregi i poznać ich plany. Slith tryskał entuzjazmem. — Kiedy wyruszamy? — Dziś wieczorem. Smokowiec zasalutował. — Tak jest. — Aha, jeszcze jedno — dodał Kang. — Idę z wami. Slith zeszytniał. — Jeśli mi pan nie ufa...

— Psiakrew, znasz mnie od trzydziestu lat! — zirytował się Rang. — Tyle razy ratowałeś mnie z opresji, że straciłem rachubę. Jasne, że ci ufam. Nie sądzisz jednak, że władający magią bozak może się przydać? Slith odprężył się. — Tak jest, panie pułkowniku. Jak zawsze, ma pan rację.

— Teraz będę medytował i rozmawiał z naszą Królową. Daj mi znać, kiedy będziecie gotowi do drogi.

Smokowiec kiwnął głową, wstał i zasalutował. Wychodząc, spuścił płachtę w drzwiach namiotu.

159

\*

Długo po zmroku baaz stojący na straży przed kwaterą Kanga zastukał w maszt namiotu.

— Prosił pan, żeby pana zbudzić, kiedy podpułkownik Slith będzie gotowy do wymarszu.

Kang zapadł w podobny do transu sen, podczas którego przygotowywał magiczne zaklęcia. Obudził się wypoczęty, z pełną listą czarów w umyśle. Królowa najwyraźniej pochwałała jego plan. Nałożył skórzaną zbroję, przypasał krótki miecz i schował nóż za pasek.

Slith i trzech innych sivaków czekało na komendanta przy ognisku. Slith podawał im opaski z czerwonej tkaniny.

— Po zmienieniu postaci zawiążcie sobie te opaski na ramionach. Nie chcę, żebyśmy przez pomyłkę pozabijali się nawzajem. Spojrzał z powątpiewaniem na Kanga.

— Panie pułkowniku, a co będzie z panem? Nie umie pan zmienić kształtu, i za przeproszeniem, nie jest pan ani trochę podobny do krasnoluda.

— Mam zaklęcie, które temu zaradzi. Idę głównie po to, żeby dopilnować, żebyśmy nie przysporzyli sobie kłopotów, z których nie zdołamy wybrnąć.

— Panie pułkowniku, mam pomysł. Moglibyśmy wziąć pierwszy batalion... Kang potrząsnął głową.

— Nie. Wystarczy, że zwietrzą krasnoludów, i urzędzą krwawą jatkę.

— Ma pan rację — powiedział zrezygnowany Slith. — Idziemy.

Pięciu smokowców opuściło obóz pod osłoną mroku. Obu księżyców ubywało, chociaż Kang wyczuwał, że trzeciego, tego czarnego, przybywało. Był to dla nich dobry znak. Poruszali się w znajomym terenie. Szli szybko i cicho. Kiedy dotarli do lasu na skraju miasta, Kang zatrzymał drużynę. — Zamierzam stać się niewidzialny. Czar nie trwa długo

160  
i nie daje kompletnej ochrony. Każdy, kto mnie szuka, znajdzie mnie. Będziecie musieli mnie osłaniać.

Kang wskazał sześciu ciężko uzbrojonych krasnoludów, którzy strzegli głównej drogi wiodącej

do Celebundinu.

— Patrzcie, czekają na nas. Po wejściu do środka będziecie zdani na własne siły. Spotkamy się w obozie. Jeśli nie wrócicie, zostaniecie uznani za poległych. Idziemy.

Kang wymówił słowa zaklęcia i nakreślił w powietrzu tajemny znak. Jeden z sivaków odwrócił się, żeby zadać dowódcy pytanie, zamrugał ze zdumienia i rozejrzał się. Czar podziałał. Slith wydał rozkazy.

— Wy dwaj, zakradniecie się od zachodniej strony i spróbujecie wejść tamtędy. Pamiętajcie, że zabijamy tylko wojowników. Żadnego mordowania cywilów. Macie zbierać informacje, nie głowy krasnoludów.

Trzech sivaków cicho zniknęło w mroku. Slith i czwarty sivak podkradli się do najbliższego budynku, którym był mały składzik kryty strzechą. Kang szedł w ślad za nimi, chociaż żaden z nich o tym nie wiedział. Slith wysunął się naprzód i wyjrzał zza węgła.

Dwaj krasnoludowie, którzy patrolowali ulicę, przemaszrowali przed szopą. Slith upewnił się, że nosili mundury, następnie wezwał kolegę skinieniem ręki. Smokowiec przebiegł na drugą stronę i stanął przed wejściem do składu. Slith podkradł się do narożnika i tam czekał na powrót krasnoludów.

Chwilę później wartownicy wrócili. Kiedy jeden z nich mijał Slitha, smokowiec wyskoczył zza węgła, złapał krasnoluda, odciągnął mu do tyłu głowę i poderżnął gardło. Posługując się zdolnością przybierania kształtu niedawno zabitego wroga, zmienił postać. Trupa wciągnął w ciemny zaułek już jako krasnolud.

Drugi wartownik, słysząc szamotaninę, odwrócił się. Wydało mu się, że jego kolega ginie z rąk innego krasnoluda. Zanim jednak zdążył podnieść krzyk, drugi sivak skoczył na niego i zasłonił mu usta. Rozległ się ostry trzask i teraz było dwóch martwych krasnoludów i dwóch żywych, którzy wyglądali dokładnie tak samo jak zabici. 161

— Schowajcie ciała w składziku.

Kang stał z boku, gotów rzucić magiczną błyskawicę, gdyby zjawili się kompani wartowników. Nikt się jednak nie pokazał. — Jest pan tam, pułkowniku? — spytał Slith. — Jestem. — W taki razie wszystko gotowe.

Slith krasnolud i jego nowy kolega, obaj z czerwonymi chustkami na szyjach, szli środkiem ulicy i szukali karczmy. Musieli znaleźć jakieś miejsce, gdzie żołnierze będą mówić swobodnie, a nie ma to jak karczma, jeśli szuka się informacji. Nawet mieli trochę stali w kieszeniach, dość, żeby było się za co napić. Na rachunek zabitych wrogów.

W połowie drogi do środka miasta natknęli się na karczmę cechu kupieckiego. Szyld na przysadzistym, piętrowym gmachu głosił: „Jedzenie, napoje, pokoje do wynajęcia”. Zaglądając przez okno, Slith dostrzegł kilku krasnoludów w mundurach podobnych do tego, który miał na sobie.

— Wejść do środka. Dowiedz się, ile zdołasz. Spotkamy się na zewnątrz za pół godziny.

Krasnolud z przyzwyczajenia chciał zaszutować jak smokowiec. Slith uderzył go w ramię. — Jesteś teraz krasnoludem, pamiętasz?

Skarcony krasnolud zmienił salut w machnięcie ręką i wszedł do karczmy.

Slith szedł dalej, zamierzając rozejrzeć się po środku grodu, gdzie stał gmach zgromadzeń. Przyszło mu na myśl, że może tam zastać generała. Kogo lepiej pytać o wojskowe plany krasnoludów, jeśli nie samego dowódcę wojska?

Podczas spaceru ulicami zauważył krasnoludzką kobietę, która zdążyła w jego kierunku. Będą musieli się minąć. Przeszedł na przeciwną stronę ulicy i starał się wyglądać nonszalancko, jakby wyszedł na wieczorną przechadzkę. Źle byłoby, gdyby się do niego zbliżyła. Wygląd miał

krasróluda, ale zapach — wciąż smokowca. Kobieta wlepiła w niego wzrok. Pewnie to jedna z tych, 162

którym podobają się mężczyźni w mundurach. Slith spuścił oczy i miał nadzieję, że nie zwróci na niego uwagi. Nie poskutkowało. Krasnoludka zbliżyła się.

— Nie próbuj mnie omijać, Haroldzie Brickman! Nie próbuj wymykać się chyłkiem! Powiedziałeś, że masz dzisiaj służbę! Dlatego nie mogliśmy pójść do mojej mamy! Gdzie byłeś? Założę się, że w szynku. Piłeś ze swoimi nic wartymi kolegami. Czuję zapach wódki... — Kobieta przysunęła się do Slitha i pociągnęła nosem. To nie był zapach wódki. Rozdział 23 — Brickman, co ty robił? Śmierdzisz żabami...

Oczy jej wyszły na wierzch. Spojrzała na Slitha ze zgrozą. Aby czar zmiany kształtu zadziałał, ofiara musi wierzyć, że widziana osoba jest tym, za kogo się podaje. Jeśli tylko ta wiara z jakiegokolwiek powodu zostanie zachwiana... Krasnoludka wrzasnęła.

Slith zawrócił i uciekł. Przebiegł obok karczmy, z której wychodzili krasnoludowie — wśród nich sivak — żeby zoba- czyć, skąd ten krzyk. Zauważyli uciekającego Slitha. Kobieta dostała ataku hysterii. Mogła tylko krzyczeć i pokazywać ręką. Pozostali krasnoludowie, sądząc, że została obrabowana, ruszyli w pościg. Smokowiec nie zatrzymywał się. Skręcił za róg i gnał w kierunku północnego skraju osady. Z tyłu dobiegł go czyjś głos. — Nie martw się, osłaniam cię z tyłu — rzekł Kang.

Slith zapomniał, że towarzyszył mu dowódca. Nie obejrzał się, tylko biegł dalej. — Doganiają nas.

— Cholerny pech! — mruknął Slith. Miał nogi krasnoluda, nie własne, potężne nogi smokowca, i zostawał z tyłu. — Królowa mogłaby bardziej nam sprzyjać! 163

— Może sprzyja — odparł Kang. — Może sprzyja. Spójrz, tam stoi pusty dom. Schowamy się tam. Posiedzimy cicho, póki sobie nie pójdą.

Slith skręcił i wraz z dowódcą pobiegł w stronę budynku. Był to typowy krasnoludzki dom wzniesiony z kamienia o drewnia- nych drzwiach i okiennicach. W oknach nie paliło się światło. Faktycznie, tak jak Kang powiedział, dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Slith nacisnął klamkę. Kiedy drzwi się od razu nie otworzyły, chciał je wyważyć. Zapomniał, że ma barki krasnoluda, a nie muskularnego, wielkiego smokowca. Drzwi nawet nie drgnęły. — Pośpiesz się, Slith! — popędzał go Kang. Słyszeli coraz bliższe krzyki i nawoływanie.

— Te przekłete drzwi są zamknięte na trzy zamki! — powie- dział Slith, przyglądając im się z bliska. — Lepiej niech pan spróbuje.

Slith niczego nie zobaczył, ale poczuł, że coś wielkiego przemknęło obok niego. Drzwi wyleciały z zawiasów, jakby kopnęła w nie olbrzymia noga.

— Wchodź do środka! Ja się nie zmieszczę w drzwiach. Mnie na zewnątrz nic nie grozi.

Slith wszedł do wnętrza i czym prędzej zamknął drzwi z trzema popsutymi teraz zamkami. Odwrócił się i stwierdził, że się pomylił. Dom nie był opuszczony.

Czterech krasnoludów stało wokół stołu, na którym paliła się jedna świeczka. Wszyscy patrzyli na coś bardzo uważnie i wy- klócali się.

Na widok gościa, który wpadł do ich domu, jeden z krasno- ludów pośpiesznie zabrał ze stołu przedmiot, któremu się przy- glądali, i usiłował go schować. Pozostali trzej bardzo usilnie starali się robić niewinne miny.

— O, cześć, Brickman — rzekł jeden, chuderlawy młodzie- niec z brodą jak kępa pleśni. — Wskoczyłeś do miasta bez swojej żoneczki? Miło, że wpadłeś do nas. Następnym razem zapukaj, dobrze? Zniszczyłeś mi drzwi. „Ale heca” — pomyślał Slith. — „Znam tego krasnoluda!” 164

\*

Kang, który stał na zewnątrz, usłyszał głosy w środku i zaklął. — Psiakrew! Żeby to szlag trafił! — Wydawało się, że to niebiosa mu zesłały ten pusty dom. Teraz rzeczywiście wyglądało na to, że Królowa ich opuściła. Będzie musiał znaleźć sobie nowy święty medalion. Gdyby Slithowi udało się zwodzić ich jeszcze przez chwilę...

Pościg już się zbliżał. Kang przykucnął pod zasłoniętym grubą kotarą oknem, mając nadzieję, że usłyszy, co się dzieje w domu, a jednocześnie wciąż będzie niewidoczny w mroku. Czar miał się wkrótce rozwiać. Grupa pościgowa powoli się zatrzymała. — Gdzie on poszedł? — A boja wiem?

Krasnoludowie stali na środku drogi, rozglądając się na wszystkie strony.

— To dom Selquista. Może on coś widział. Moglibyśmy spytać.

— Ee tam. Nie ma go w domu. Spójrz, nie pali się światło. Co zrobił ten facet, którego gonimy?

— Nie mam pojęcia. Pani Brickman darła się, jakby ją ze skóry obdzierali. Chyba ją obrabowano. Przyjrzałeś mu się dobrze? — Nie, a ty? — Ja też nie.

— Musiał uciec z miasta. Chcesz go gonić? — W głosie krasnoluda nie było słycać zapału.

— Coś ty! Słyszałeś, co mówił generał. Powiedział, że ci przekłęci smokowcy na pewno zaczęli się w okolicy i czekają, żeby nas wybić jednego po drugim. Nie mnie. Nigdzie dalej nie pójde. Wracajmy do karczmy. Od tego biegania zaschło mi w gardle. Po chwili rozmowy krasnoludowie zawrócili do miasta.

Całe szczęście. Kang czuł, że zakłęcie pomału się rozprasza. Mógł je utrzymać jeszcze przez kilka minut. Przynajmniej znajdował się niedaleko skraju miasta. Mógł zniknąć w ciemności. Nie chciał jednak zostawiać Slitha i zachodził w głowę, czemu

165  
tak długo tam siedzi. Nie usłyszał żadnych krzyków ani wrzasków, więc zakładał, że go nie rozpoznano. W takim razie, co tam robił? Został na herbatce? — Do diabła, Slith! — mruknął Kang. — Wychodź wreszcie! \*

Slitha paliła ciekawość. Znał tych krasnoludów — byli to ci czterej, których śledził przez dwa dni. To oni mówili o potajnym wejściu do Thorbardinu. Z całą pewnością przypominał sobie tego zdechlaka z rzadką brodą.

Ci krasnoludowie zakradli się do Thorbardinu. Najwyraźniej znaleźli coś wartościowego, sądząc po tym, jaką tajemnicą otaczali ten fakt.

A rzecz cenna dla krasnoluda może mieć nie mniejszą wartość dla smokowca.

— No, Brickman — powiedział chudy krasnolud. — Będziesz tak całą noc stał i wytrzeszczał gały? Czego chcesz, do licha? Jeśli chodzi ci o ten zaginiony cynowy garnek, to już wyjaśniałem...

— Nigdy nie byliśmy w pobliżu Thorbardinu! — powiedział jeden z krasnoludów drżącym głosem. — Auu! — zawołał chwilę później, rozcierając ramię. — Dlaczego mnie uszczypnąłeś, Selquist? Slith nabrał powietrza i zdmuchnął świecę.

Krasnoludowie widzą w ciemności nie gorzej od smoków, ale ci czterej patrzyli na świecę i ich oczy przyzwyczyły się do mroku dopiero po chwili. Slith wykorzystał tę chwilę. Zmienił kształt i wróciwszy do postaci smokowca, skoczył w stronę stołu. Odepchnął krasnoluda, który stał mu na drodze i rzucił się na jego chudego kompana.

Tamten odzyskał już wzrok i to, co zobaczył, wprawiło go w przerażenie. Stał, struchlały ze zgrozy, przyciskając coś do piersi. Slith wyciągnął ręce i złapał to, co krasnolud usiłował schować.

Próba odebrania skarbu skłoniła wreszcie Selquista do działania. Ścisnął go z zaciekłością typową dla pewnej rasy psów, 166

jaką rycerze solamnijscy hodują do polowania na gobliny. Slith podniósł nie tylko przedmiot, ale i trzymającego go krasnoluda.



— Żeby cię pokręciło! Puszczaj, ty kosmata pokrako! — warknął Slith, usiłując strząsnąć Selquista. — To m-m-moje! — wybełkotał krasnolud, szczękając zębami. Slith zamachnął się z całych sił i odrzucił Selquista. Sądząc po odgłosach, krasnolud wylądował w szafce z talerzami.

Sivak schował łup pod pachą i rzucił się do drzwi. Na nieszczęście, w pośpiechu i podnieceniu zapomniał, że znajdował się w domu wybudowanym dla niskich istot, że wszedł do niego jako krasnolud, ale wychodził jako wysoki na siedem stóp smokowiec. Z impetem walnął głową we framugę drzwi. \*

Kang usłyszał krzyki, hałasy i brzęk tłuczonych naczyń. Nasuwał mu się tylko jeden wniosek. Slith został rozpoznany.

Nie było sensu się ukrywać. Wetknął łeb przez otwarte okno w samą porę, żeby zobaczyć, jak jego zastępca uderza głową we framugę i pada bez przytomności. — Och, na miłość...

Podbiegł do drzwi. Do tego czasu czar przestał działać, ale nie było już potrzeby się chować. Jeden z krasnoludów w środku wył jak jakaś piekielna machina gnomów. Zbiegną się wszyscy w promieniu kilku mil.

Slith leżał na plecach, a nogi wystawały mu za drzwi. W rękach ścisnął coś, co wyglądało na księgę.

Dwaj krasnoludowie zbliżali się do niego z wielkimi maczugami w dłoniach.

— Ratujcie książkę! — krzyknął krasnolud z wnętrza półmanej szafki. — Slith! Ocknij się! — zawołał Kang.

Chwycił go za nogi, szarpnął i wyciągnął za drzwi w chwili, gdy krasnoludowie z maczugami szykowali się do rozbicia smokowcowi czaszki, i tak już nadwerężonej uderzeniem we framugę.

— Slith! Ocknij się wreszcie! — Kang poklepał zastępcę po twarzy. 167

Otępiały sivak potrząsnął głową. — Co mnie uderzyło?

Kang wziął książkę, beztróska wsunął ją pod pachę i pomógł mu wstać. Zatrzymał się na chwilę, żeby obnażyć kły i ryknąć na trzech krasnoludów, którzy wybiegali z domu.

Na widok dwóch smokowców, z których jeden był wyjątkowo duży i potężnie zbudowany, krasnoludowie stanęli jak wryci, przez co zderzyli się w drzwiach.

— Przepuście mnie! Przepuście! — ktoś wołał zza ich pleców. — On ma książkę! Slith słał się na nogach. — Ooch! — Przyłożył dłoń do czoła.

— Przykro mi przyjacielu, ale musimy wiać — powiedział Kang. — Mamy towarzystwo. — Tak jest — rzekł Slith, zaciskając zęby.

Wyszli na drogę. Stąd było już widać las, w którym mogli zgubić pościg. Kang dzielił uwagę pomiędzy ucieczkę i troskę o Slitha, który zataczał się jak pijany goblin. Z tego powodu nie usłyszał kroków za swoimi plecami. Pałący ból przeszył jego udo, ból tak dotkliwy, tak nagły i nieoczekiwany, że Kang zawył i upuścił książkę. Odwróciwszy się z wściekłością, zobaczył krasnoluda, który trzymał zakrwawiony nóż w garści.

Krasnolud, nie zwracając uwagi na smokowca, skoczył po książkę.

— Niech ją pan ratuje! — krzyknął Slith. — Niech pan jej nie oddaje!

Kang nie miał pojęcia, dlaczego jest tak cenna, ale skoro zależało na niej Slithowi i krasnoludowi, chyba coś musiało w tym być. Chwycił wolumin w tej samej chwili co jego przeciwnik.

Doszło do krótkiej szamotaniny. Chuderlawy krasnolud okazał się silniejszy, niż się zdawało. Jego ciemne, oszalałe oczy świeciły dziwnym, niesamowitym blaskiem.

Kang usiłował przytrzymać książkę, wbijając pazury w skórzaną oprawę. Ciągnął w swoją stronę, jego przeciwnik w swoją. Okładka rozdarła się i obaj polecili do tyłu. Szarpanina zakoń-

czyła się tym, że krasnolud miał w ręku książkę, a Kang oderwał okładkę.

Chudy krasnolud wstał i pognał, jakby go wystrzelono z kaptuły. Pod pachą triumfalnie ścisnął wolumin.

— Trudno, panie pułkowniku — rzekł Slith. — Próbował pan.

Zapłonęły pochodnie. Zaczęły bić dzwony. Całe miasto postawiono na nogi. Kang zastanawiał się, czy pozostałym sivaikom udało się uciec i czy dopisało im szczęście. — Wiejemy stąd — powiedział.

On utykał, a Slith zataczał się, przyciskając dłoń do zbolątego czoła. Manewr zakończył się niezupełnie tak, jak to sobie zaplanowali.

Dwaj smokowcy bezpiecznie dotarli do lasu. Tam odpoczęli chwilę i obejrzeliby rany. Ścigający ich krasnoludowie zatrzymali się na skraju osady. Dalej bali się iść. W zaroślach mogło się roić od smokowców.

Slith miał na głowie guza wielkości jaja lelka kozodoja. Rana, jaką odniósł Kang, była głęboka i bolesna. Nóż rozkroił mięsień udowy i cięcie obficie krwawiło. Smokowiec nie nosił koszuli, a rozpaczliwie potrzebny mu był opatrunek. Slith zaproponował, że da mu czerwoną chustkę, którą miał na szyi, ale nigdzie nie mogli jej znaleźć. Przypuszczalnie rozpadła się, kiedy ponownie przyjął kształt smokowca. — Co pan ma w ręku, panie pułkowniku?

— Nie wiem. Chyba fragment tej przeklętej książki. — Kang spuścił wzrok i zobaczył spory kawałek wyprawionej skóry, który przyczepił mu się do pazurów. — Lepsze to niż nic. Pomogę panu — powiedział Slith. Kang, który z upływu krwi czuł osłabienie i zawroty głowy, podał mu strzęp oprawy.

Slith miał już przyłożyć okładkę do rany, kiedy zauważył przyklejony do niej kwadrat białego pergaminu. — Co to jest?

— Czy to ważne? — odparł Kang, powstrzymując się od jęku. — Wykrwawiam się na śmierć!

169

Slith ostrożnie odkleił pergamin i włożył go do sakwy przy pasku.

— Jeśli schowano go wewnątrz okładki, musi być cenny — wyjaśnił Kangowi, który tylko warknął na niego. — Tak jest, panie pułkowniku — powiedział Slith. Wziął strzęp skóry, przycisnął go do rany i obwiązał rzemieniem oderwanym od swojej zbroi. We dwóch poszli w kierunku tego, co ocalało z ich miasta. Zanosiło się na długą drogę. Rozdział 24

Selquist wrócił do domu potłuczony i posiniaczony, ale cały. Cenną księgę trzymał mocno w objęciach. Wychodząc zza węgła, dostrzegł zmierzającą ku niemu połowę ludności Celebundinu.

— Szlag by to trafił! — mruknął pod nosem Selquist. Najpierw smokowcy, teraz sąsiedzi. Jeszcze tylko brakowało, żeby banda kenderów spadła mu z nieba prosto na głowę, a jego szczęście tej nocy byłoby kompletne.

Schowwał książkę pod koszulę. Na czele tłumu szedł generał i wielki tan, uzbrojony w wałek do ciasta.

Na widok Selquista Moortan zatrzymał grupę. Obronnym gestem zasłonił władczę.

— Uważaj na siebie, czcigodny panie. Ja się tym zajmę. To może być jeden z nich! Stój! — ryknął na Selquista. Krasnolud westchnął z irytacją i zatrzymał się. — Kto to? — Moortan poświecił mu pochodnią w twarz. — To ja, Moorpacanie, Selquist — powiedział rozzłoszczony krasnolud. — Uważaj z ogniem! Omal nie podpaliłeś mi brody!

— Skąd mam mieć pewność, że to ty? — Moortan przyglądał mu się uważnie.

— Przebij go mieczem — powiedział Vellmer, mistrz gorzelniczy i jeden z zastępców

Moortana. — Jeśli umrze, to Selquist. Jeśli zmieni się w smokowca, będzie wiadomo, że to nie on.  
170

— Może to ciebie należałoby przebić mieczem — odparł selquist, posyłając pełne złości spojrzenie gorzelnikowi. — Wi- Izę, że jesteś jakiś zielonkawy na gębie. Czy przypadkiem nie wyrastają ci łuski?

Sąsiedzi wlepili w Vellmera przestraszone oczy i odsunęli się na bezpieczną odległość.

— Skoro już o tym mowa, Moorpacanie, skąd mam wie- dzieć, że to ty? — spytał Selquist. Obwąchał go. — Coś mi :uchniesz rybą. — To prawda — rzekł cicho wielki tan. Pozostali krasnoludowie zaczęli się oddalać od generała.

— Jadłem na obiad soloną rybę! — Moortan krzyknął ze złością. — Przestańcie wreszcie! Właśnie tego chcą te przekłete jaszczury. Jeśli nie ufamy sami sobie, możemy od razu spalić nasze miasto, tak jak spaliliśmy ich osadę! A skoro mowa o smo- kowcach — zwrócił się ponownie do Selquista — rozmawiałem z tymi nicponiami, twoimi przyjaciółmi. Powiedzieli, że do wa- szego domu włamali się smokowcy. Dokąd poszli? Widziałeś ich? Selquist wzruszył ramionami i zrobił skromną minę.

— Goniłem za nimi ulicą. Uciekli, ale przedtem zdążyłem jednego dziabnąć nożem. — Pokazał okrwawioną broń. — Teraz dobrze się zastanowi, zanim wróci do Celebundinu. Wielki tan popatrzył na niego z szacunkiem. — Nigdy nie słyszałem o tak dzielnym czynie, a ty, generale? Moortan parsknął szyderczo i spojrzał podejrzliwie na Selquista. — Od kiedy to jesteś bohaterem?

— Odkąd mojemu ludowi grozi niebezpieczeństwo — od- parł krasnolud, prostując dumnie plecy.

Wielki tan i pozostali nagrodzili go oklaskami. Generał za- pienił się ze złości.

— Wracam teraz do domu — dodał Selquist. — Jestem strasz- nie zmęczony. Walka ze smokowcami to wyczerpująca praca, zwłaszcza jeśli muszę bić się z nimi sam! Ciekawe, że zjawiliś się, kiedy niebezpieczeństwo zostało już zażegnane, Moorpacanie!

Posławszy generałowi tę zatrutą strzałę, Selquist skłonił się z szacunkiem władcy, który z kolei klepnął go w plecy i nazwał 171

swoim chłopem. Tłum następnie się rozproszył i udał na poszu- kiwania następnych smokowców, zwłaszcza tych, którzy chowa- li się w karczmach.

Selquist włókł się ulicą. Był zdenerwowany, zmęczony i w złym humorze, co razem sprawiło, że stracił zwykłą czujność. Nie spojrzał za siebie, jak miał w zwyczaju, żeby sprawdzić, czy go ktoś nie śledzi. Myślał tylko o tym, żeby wrócić do domu i spraw- dzić, jak poważnie uszkodzona została jego książka.

Zastał cały dom rozświetlony, ponieważ trzech krasnoludowie byli przekonani, że smokowcy mogą w każdej chwili wyskoczyć z ciemnego kąta. Zatrzymując się na progu, przez chwilę oglądał popsute zamki w drzwiach. Potrząsnąwszy głową ze smutkiem, wszedł do środka i zamknął drzwi.

— Selquist! — zawołał Tłuczek, wytrzeszczając oczy. — Wróciłeś!

— Selquist! — Świder podbiegł do przyjaciela, chwycił go w objęcia i uściskał. — Już myślałem, że cię nie zobaczę żywego!

— To był niestęchanie odważny czyn — powiedział Moź- dzierz, patrząc na Selquista z czcią. — Nigdy jeszcze nie widzia- łem kogoś tak dzielnego jak ty, kiedy wybiegłeś za tymi smo- kowcami tylko z nożem do obrony. — Zabiłeś ich? — dociekliwie pytał Świder. — Zabrałeś im książkę? — domagał się odpowiedzi Tłuczek.

— Słyszałeś coś w ogródku? — spytał lękliwie Moźdierz, spoglądając w stronę okna.

— Nie, tak inie — odparł Selquist. — To tylko kot. Na miłość Reorxa, nie pozwól ponosić się

wyobraźni jak reszta tych idiotów. — Burcząc pod nosem, wyciągnął zza pazuchy książkę i położył ją na stole. Drgnął, zbladł, jęknął i chwycił za krawędź blatu, żeby nie upaść.

— Jesteś pewny, że to nasza książka? — spytał Świder. — Wygląda jakoś inaczej.

— To dlatego, że brakuje okładki — stwierdził Tłuczek, otwierając wolumin i przerzucając kartki. — Co za różnica? Nie ma tylko oprawy. Wciąż możemy iść na poszukiwania skarbu. Reszta książki nie jest uszkodzona... 172

— Mapa! — powiedział Selquist, albo wydawało mu się, że powiedział. Z jego ust popłynął niezrozumiały bełkot. — Co on mówi? — zadał Tłuczkiowi pytanie Świder.

— Jestem pewny, że coś słyszałem w ogrodzie — powtórzył Moździerz. Zamierzał już wstać i wyrzeć przez okno, kiedy usłyszał tak rozpaczliwy krzyk Selquista, że stanął jak wryty. Dbając o siebie najgorszego, szybko się odwrócił, sądząc, że ujrzy wpadającą do izby armię smokowców. — Gdzie? Co?—jęknął.

Selquist nie padł ofiarą napaści. Wziął książkę do ręki i rozpaczliwie ją kartkował, obracał do góry grzbietem, starał się coś z niej wytrząsnąć. — Nie ma!

Z rozdzierającym serce jękiem osunął się na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

— Aha — westchnął Świder, wreszcie pojmując sytuację. — Nie ma mapy.

— Tylko tyle? — zachnął się Moździerz. — Sądziłem, że co najmniej ktoś cię dusi. A co do mapy, pamiętam ją doskonale. Mogę narysować ci nową, ot tak. — Strzelił palcami. Selquist podniósł zapłakaną twarz. — Naprawdę możesz? — szepnął.

— To, czego ja nie zapamiętałem, z pewnością uzupełni Tłuczek — dodał Moździerz. — Jasne. Dobrze znam się na mapach.

— Pamiętasz, gdzie jest skarb i... i jaja smokowców, i cała reszta? — dopytywał się rozgorączkowany Selquist. — Jak tam się dostać? Gdzie są wszystkie niebezpieczne miejsca?

— Znów słyszałem ten hałas — powiedział Moździerz. — Mówię ci, w twoim ogrodzie coś jest!

— Mam w nosie ten cholerny ogród — zaklął Selquist. Zerwał się na równe nogi, złapał kolegę za kołnierz i potrząsnął nim. — Powiedz, że umiesz narysować tę mapę!

— Ależ oczywiście — rzekł z godnością Moździerz. Oderwał dłonie Selquista od swojej koszuli. — Podaj mi coś do rysowania. 173

Znalazłszy w księdze Daewarów czystą stronicę, tylko lekko zwęgloną i poplamioną krwią, Selquist podsunął ją Moździerzowi. Świder pobiegł po kawałek węgla. Tłuczek przyniósł kufle z orzechowym piwem, żeby wspomóc ten artystyczny proces.

Moździerz wziął do ręki kawałek węgla drzewnego i zaczął rysować. Pozostali krasnoludowie zaglądali mu przez ramię, wisząc mu nad karkiem.

— Nie tak! — rzekł Selquist, przytykając brudny paluch do rysunku. — Tu się pomyliłeś. To odgałęzienie idzie w lewo. — Właśnie, że nie — odparł rozdrażniony Moździerz. — Właśnie, że tak. Świder, co o tym sądzisz?

— Myślałem, że to miejsce, w którym rozchodzą się trzy drogi... — Nie, tu była zamurowana ściana — wtrącił Tłuczek. Kłótnia i rysowanie mapy trwały jeszcze długo. Moździerz nie usłyszał już żadnych hałasów dochodzących z ogródka. \*

Moortan nie lubił Selquista. Nie ufał mu. Nie lubił kolegów Selquista i nie darzył ich zaufaniem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Selquist od czasu do czasu wypuszczał się z domu na małe wycieczki, co samo w sobie było wysoce podejrzane. W odróżnieniu od ich kenderskich kuzynów, którzy cierpią na chorobę zwaną gorączką podróży i z reguły przebywają w jednym miejscu tylko do chwili, gdy skończą odsiadywać wyrok, krasnoludowie nie lubią podróżować. Krasnoludowie są domatorami. Większość rodzi się, spędza całe życie i umiera w tej samej osadzie, prawdopodobnie

w tym samym domu lub jakimś innym w pobliżu.

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Sam Moortan widział dużo więcej świata niż większość jego rodaków, ponieważ podczas Wojny Lancy trafił przez przypadek do Pax Tharkas. Nie miał zamiaru tam trafiać, ale kiedy Moortan bronił Celebundinu przed wojskami Verminaarda, nadleciał czerwony smok, pochwycił go w szpony i zaniósł Smoczemu Władcy, który przesłuchiwał krasnoluda. 174

Moortan zobaczył w mieście tylko lochy, które zdaniem kenderów były całkiem ładne, ale zdecydowanie nie prezentowały się wtedy najlepiej. Były brudne, cuchnące i zatłoczone. Moortan już porzucił wszelką nadzieję na ucieczkę, kiedy zjawiała się drużyna nieustraszonych poszukiwaczy przygód i przedwcześnie zakończyła obiecującą karierę Verminaarda, który zapowiadał się na rzeczywiście złego dyktatora. Pax Tharkas zostało oswobodzone spod władzy smoczycich armii i Moortan wyszedł z więzienia.

Krasnolud przekroczył próg celi i nie zatrzymał się, dopóki nie wrócił do swojej spokojnej doliny. Tam przysiągł, że nigdy już jej nie opuści. To smutne doświadczenie przekonało go, że po tym świecie podróżują tylko złoczyńcy i nikczemnicy.

Zdaniem szpiegów Moortana, Selquist podróżował. Nie tylko podróżował, ale zniknął na całe doby. Zabierał również ze sobą innych krasnoludów. Co więcej, zachęcał przyjaciół, aby folgowali swym skłonnościom do wojaży. Moortan wiedział z całą pewnością, że Tłuczek i Moździerz byli poza domem prawie przez tydzień i dopiero co wrócili.

Teraz jednak Moortan wszystko zrozumiał. Wiedział, gdzie Selquist przebywał i co knuł. Jego przyjaciele również. Selquist był w zмовie ze smokowcami!

Moortan nienawidził smokowców. Pałał do niech nienawidzisz, do jakiej zdolni są tylko krasnoludowie. Nienawidzisz, która może przetrwać stulecia. Ich lud nigdy nie zapomina zniewagi i rzadko ją wybacza. Zatargi trwają wieki, przechodzą z ojca na syna, z matki na córkę. Krwawa wendetta jest dziedzictwem każdego krasnoluda. Podczas Wojny Lancy smokowcy zabili Moortanowi brata. Wprawdzie nie zrobili tego akurat ci smokowcy, ale generał winił całą rasę.

Istniała jeszcze tylko jedna rasa, której Moortan nienawidził bardziej niż smokowców, pominawszy kenderów (którzy się nie liczyli, ponieważ każda zdrowa na umyśle osoba na Krynnie nienawidziła kenderów), a byli to krasnoludowie z Thorbardinu. Hylarowie osobiście nigdy nie wyrządzili krzywdy Moortanowi. On ich nienawidził po prostu z zasady. Kiedy smokowcy wprowadzili się do doliny, Moortan wpadł 175

we wściekłość i wymógł urządzenie kilku zbrojnych wypraw, żeby ich wybić. Jedynym rezultatem jego najazdów było zabicie kilku smokowców i strata pięciu krasnoludów na każdego zabitego nieprzyjaciela.

Wtedy, z przyczyny nieznannej, lecz niewątpliwie złowieszczej, smokowcy przestali walczyć. Przestali zabijać krasnoludów i tylko tłukli ich po głowach. Wielki tan, z prawdziwą krótkowzrocznością, jaką można spotkać tylko u zagniatanego ciasta, przyprószonego mąką piekarza, ucieszył się z takiego obrotu sprawy i stanowczo odmówił choćby rozważenia planu Moortana, aby skorzystać z tej zesłanej przez Reorxa okazji i raz na zawsze zgładzić smokowców.

Spalenie ich osady było pomysłem tylko i wyłącznie Moortana. Tym razem nie oglądał się na nikogo i postanowił działać samodzielnie, bez oglądania się na wielkiego tana, który pewnie wymyśliłby jakiś głupi plan przeniesienia miejskiej biedoty do wygodnych domów po smokowcach. I jak wtedy wyglądaliby krasnoludowie?

Moortan wiedział, że smokowcy wrócą. Nie spodziewał się tylko, że tak szybko. Ledwo uszedł z

zyciem, będąc w lesie w czysto osobistej sprawie, kiedy z rykiem zbiegli z gór. Podciągając spodnie, Moortan pognął z powrotem do miasta. Po drodze zobaczył Tłuczka i Moździerza, którzy wracali ze wzgórz, nadchodząc z tej samej strony co smokowcy.

A czego się dzisiejszej nocy dowiedział? Selquist gościł smokowców we własnym domu! Oczywiście, podczas przesłuchania ich złodziejscy kompani twierdzili, że smokowcy napadli na nich, a Selquist dzielnie ich przepędził. Co więcej, wybiegł za nimi na ulicę i rzekomo dźgnął jednego nożem. Wiarygodna historia.

Wreszcie Selquist posunął się za daleko. Wreszcie Moortan zdobędzie wszystkie dowody potrzebne, żeby postawić go przed sądem i skazać na wygnanie. Nawet matka Selquista nie stanie w jego obronie, kiedy się dowie, że jej syn jest w zмовie ze smokowcami. — Mam cię, ty daergardzki kurdupłu — rzekł Moortan. 176

Rozdział 25 W domu Selquista krasnoludowie ukończyli rysowanie mapy.

Co do pewnych jej części wszyscy byli zgodni, co do innych się nie zgadzali, a w kwestii jeszcze innych głosy były podzielone, ale ostatecznie Selquist dość ponuro oznajmił, że: „chyba lepsza już nie będzie”.

— Mnie się wydaje całkiem ładna — stwierdził Tłuczek, podziwiając talent artystyczny brata. — Spójrzcie, jak narysował te jajeczka, zupełnie jak na oryginalne, i samiczki smokowców z malutkimi, krępyimi skrzydełkami... — Szsz! — szepnął Selquist. — Słyszeliście? — To w ogrodzie — stwierdził Tłuczek.

— Cały czas próbowałem wam powiedzieć — rzekł zirytowany Moździerz.

Szelesty i tupanie przybrały na sile, następnie rozległo się przeraźliwe miauczenie, plucie i syk, a potem ktoś zaklął grubym głosem. — Na pomoc! Smokowcy! — wrzasnął Świder. — Napomoc!

— Zamknij się, idioto. — Zza zasłonek w oknie wychynęła głowa Moortana. — To ja.

— Na pomoc! Moorpacan! — krzyknął Selquist, zwinnie zacierając mapę ze stołu i wpychając ją sobie do spodni. — Na pomoc! Moortan poczerwieniał ze złości. Pogroził pięścią Selquistowi. Krasnolud wstał i podszedł do okna.

— Przepraszam, Moorpacanie. Straszny przeciąg. — Zamknął okno, nie trafiając go w głowę, ale omal nie przytrzaskując mu palców. — Myślisz, że usłyszał? — spytał Świder.

— Usłyszał — odparł Selquist, popadając w głębokie przygnębienie. Drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wszedł Moortan. — Widzicie? — rzekł Selquist. Krasnolud poczłapał do stołu i rzucił okiem na blat. Poza rozrzuconymi kawałkami węgla i czterema opróżnionymi kuflami stół był pusty. 177

— Dobra. — Moortan powiódł wokół nieprzyjaznym wzrokiem. — Gdzie to jest?

— Co? Obiad? Zjedliśmy kilka godzin temu. Dzięki jednak, że spytałeś — rzekł Selquist.

— Nie mówię o obiedzie — rzekł Moortan z przebiegłym uśmiechem na ustach. — Mówię o mapie skarbu. Chcę wiedzieć: a) jaki skarb? b) gdzie się znajduje? i c) co macie na myśli, mówiąc o jajach smokowców. Bo inaczej... — Uniósł rękę, żeby uprzedzić niewątpliwie uszczypliwą odpowiedź Selquista — bo inaczej zwołam zebranie rady miasta i powiem wszystkim krasnoludom z Celebundinu, że znaleźliście mapę skarbu. Porośnięta rzadkim włosem twarz Selquista zbladła. — Nie zrobiłbyś tego. — Czyżby? — triumfował Moortan.

— Niech spróbuje — rzekł Moździerz, któremu się zdawało, że zwietrzył blef.

— Co ty? Oszalałeś? Wiesz, co by się stało? — spytał gorzko Selquist. — Nie mógłbym pójść do wychodka, żeby nie śledziło mnie dwudziestu pięciu krasnoludów przekonanych, że idę szukać skarbu.

— Nie miałbyś ani chwili spokoju — rzekł Moortan, wzdychając głęboko. — Oczywiście

byliby też tacy, którzy pomyśleliby sobie, że już je znalazłeś i gdzieś ukryłeś.

— Zdemolowaliby mi dom! — przeraził się Selquist. — Rozkopali ogródek! — Jego głos stęzał. — Dobrze, Moorpacanie, zwyciężyłeś. Ale nie będzie już mowy o moim wygnaniu. Moortan popatrzył na niego spode łba, zawahał się.

— Kiedy znajdę skarb, pewnie i tak się przeniosę do Palanthas — stwierdził beztrąsko Selquist. — Oczywiście dostaniesz swoją dolę. Jest nas czterech, z tobą pięciu. Zobaczmy, pięć razy dwa jest dziesięć. Dziesięć razy dziesięć jest sto. Dostaniesz jedną setną. Jedna setna udziału za to, żebyś trzymał język za zębami. Jestem zbyt szczodry, wiem. To moja wada.

Moortan nie znał się najlepiej na ułamkach. Nigdy ich nie opanował jako chłopiec. Jedna setna wydawała mu się ładną, okrągłą liczbą. Poza tym i tak go nie obchodziło złoto, stal 178 i drogie kamienie. Właściwie obchodziły, ale wszystko w swoim czasie.

— A co ze smoczymi jajami? — spytał, nachylając się nad stołem i mierząc złowrogim spojrzeniem pozostałych krasnoludów. Szara jak żelazo broda drżała mu z nienawiści. — Słyszałem, że wspomnieliście o smoczycach i samicach smoków. Co to takiego? Co znaleźliście?

Selquist westchnął. Był ogromnie zmęczony i zniechęcony. Następnego dnia, po odpoczynku i dobrym śniadaniu, mógłby rozmawiać z Moortanem. Tej nocy miał już wszystkiego serdecznie dość. Z drugiej strony, przed oczami stanął mu przerażający obraz sąsiadów, którzy chodzą za nim, obserwują każdy jego ruch... — Świder, ty wyjaśnij — rzekł zmęczonym głosem.

— Mam powiedzieć prawdę? — Krasnolud nie był pewny, czego od niego wymagano. Sekjuist znów westchnął i kiwnął głową.

— Dobra. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Ta książka — Świder stuknął w nią dłonią — opowiada o złodziejskiej wyprawie Daewarów do Neraki w czasach Wojny Lancy. Rabusie znaleźli rozmaite skarby, jakie zgromadzili Smoczy Władcy. Oprócz tego natrafili również na jakieś jaja, z których jeszcze nic się nie wykuło. Były w nich samice smoków. Najwyraźniej siły wyższe stworzyły samice, ale doszły do wniosku, że lepiej będzie dla wszystkich zainteresowanych, jeśli smokowcy nie będą mogli się rozmnażać. Tak więc nie dokończono czarów potrzebnych do wylęgu.

— Dzięki Reorxowi! — rzekł Moortan. Spojrzał wilkiem na Selquista. — Co zamierzaliście zrobić z tymi jajami?

— Sprzedać je, oczywiście — odparł krasnolud, wzruszając ramionami. — A bo co? Co ty byś z nimi zrobił, Moorpacanie? Usmażył omlet?

— Żebyś wiedział, że zrobię omlet — powiedział ze złością Moortan. Zaciśnął pięść. Uderzył nią w stół z taką siłą, że omal go nie roztrzaskał. — Potłukę każde z tych przeklętych jaj! Zajmę się tym osobiście! — Co takiego? Nie! Nie możesz! — Selquist wlepił oczy 179

w krasnoluda, nie mogąc uwierzyć w jego głupotę. — Zdajesz sobie sprawę, ile moglibyśmy zarobić, gdybyśmy je sprzedali? Może nie na otwartym rynku — przyznał — ale smokowcy zapłaciliby każdą cenę! Każdą, Moortanie! Mając jedną setną zysku byłbyś bogatszy od samego wielkiego tana! — Ty zachłanny daewarski złodzieju! — warknął Moortan. — Sprzedałbyś własnego ojca, gdybyś wiedział, kto nim jest. Jeśli samice smoków się wyklują, spotkają samców i wydadzą na świat potomstwo. Dzieci wyrosną na dużych smoków i opanują świat!

— O rety! — powiedział Selquist, wytrzeszczając oczy. — To stąd się biorą dzieci, Moorpacanie? Nie wiedziałem.

— Pójdę szukać tych jaj — dokończył Moortan. — Ja i moich dwudziestu najlepszych żołnierzy znajdziemy je i zniszczymy! Co wy na to?

— Dobra — rzekł nonszalancko Selquist. — Potrzebujemy kogoś do dźwigania łupów. Oczywiście podzielisz się z kolegami własnym udziałem, bo to ty chcesz ich zabrać.



— Hmm — burknął Moortan. — Kto w ogóle mówił, że pójdziecie z nami? Oddajcie mi mapę.

— Niewielki będziesz miał z niej pożytek — powiedział Selquist ze słodkim i niewinnym uśmiechem. — Chyba, że chcesz poprosić grzecznie Hylarów, żeby otworzyli wrota góry i wpuścili was do środka. Tylko ja znam tajne wejście do Thorbardinu.

Moortanowi powoli rzedła mina. Zmarszczył brwi, chrząkał i mamrotał pod nosem, próbując wybrnąć jakoś z sytuacji.

Selquist wygładził koszulę i podciągnął spodnie, ukradkiem sprawdzając, czy mapa nadal była na swoim miejscu. Była. Uśmiechnął się do zakłopotanego generała. — Chcesz mi powiedzieć, że ten skarb, te jaja, są w... w... — Moortan miał trudności z wymówieniem znieawidzonej nazwy. Wreszcie wykrztusił: — W Thorbardinie?

— Tak, Moorpacanie. Właśnie to ci chcę powiedzieć. Ja znam drogę. Tajną drogę — na mapie jej nie ma. Skoro więc nie chcesz pukać do Południowych Wrót Thorbardinu, musisz mnie zabrać ze sobą. I moich przyjaciół — dodał. 180

— Nie jestem pewny, czy mogę pójść — oznajmił nagle Moździerz. — Widzisz, obiecałem Reorxowi, że jeśli pomoże mi w ucieczce z rąk rycerzy ciemności, nigdy już nie będę kraść, a on mi pomógł. To znaczy, chyba mi pomógł. Może to on przysłał smokowców... Selquist posłał Moździerzowi ostrzegawcze spojrzenie. Krasnolud jęknął i zamknął usta. Moortan przeniósł wściekłe spojrzenie z jednego na drugiego.

— Więc zaprzyjaźnieni smokowcy pomogli wam wydostać się z opałów, tak? A wy w zamian daliście im mapę. Wszystko jasne. Oni też idą po skarb!

Selquistowi zadrżała lewa brew. Omal czegoś nie powiedział, ugryzł się w język i aby to ukryć, potarł rzadki zarost tak mocno, że o mało go nie zdarł.

— Będziemy musieli tylko ich wyprzedzić — rzekł uroczyście Moortan. — Wyruszymy o pierwszym brzasku. A ty — pogroził pięścią Selquistowi — masz do mnie mówić Moortan! Moortan! Zrozumiałeś? Warknął na pożegnanie i wymaszerował.

— No cóż — rzekł Świder. — Spójrzmy na to inaczej. Pomogą nam nieść wszystkie łupy. Ciekaw jestem...

— Och, zamknij się — powiedział Selquist i wylał mu na głowę kufel ciepłego piwa.

Pokazawszy, co myśli o filozoficznym światopoglądzie Świdra, trzasnął pustym kuflem w blat stołu i wyszedł do swojej sypialni.

Wrócił chwilę później, ubrany w skórzaną zbroję i hełm. Trzymał coś w ręku. Szedł w kierunku drzwi, a raczej tego, co z nich zostało. — Dokąd idziesz? — zdumieli się pozostali krasnoludowie. — Na dwór — warknął. — Nie czekajcie na mnie.

Trzej kompani przycisnęli nosy do okna. Kiedy ostatni raz widzieli Selquista, szedł drogą w kierunku skraju osady. 181

Rozdział 26 Sanitariusz baaz nalał cuchnącej, gęstej cieczy na szmatkę.

— Będzie szczypało, panie pułkowniku — ostrzegł. Ostatnim razem, kiedy zaaplikował dowódcy to lekarstwo bez ostrzeżenia, leżał dwa tygodnie ze złamaną szczęką.

Kang skinął krótko głową, zacisnął zęby i złapał za krawędź stołu.

Baaz przyłożył polane mazią płótno do rany na udzie komendanta. Kang zawył. Stół się zatrzęsł. Zazgrzytały pazury. — I to miało szczypać! — sapnął.

Baaz zręcznie założył świeży opatrunek na ranę. Na koniec nalał skrzywionemu i klnącemu dowódcy kubek spirytusu z malejącego zapasu i pośpiesznie się oddalił. Kang wychylił gorzki trunek i przez chwilę ogień w gardle skutecznie konkurował z ogniem, którym paliła go noga. Wreszcie ból zelzał.

Z tęsknotą obejrzał się na łóżko. Nie spał całą noc i większość poranka. Powrót do obozu był koszmarem. Przy każdym kroku przeszywał go potworny ból. Musiał się oprzeć na ramieniu Slitha. Tym sposobem wędrowka przez dolinę zajęła im sześć godzin.

Cudownie byłoby położyć się spać, ale nie miał czasu. Musiał wysłuchać raportu Slitha o tym, czego się dowiedziały pozostałe sivaki. Na tej podstawie musiał podjąć decyzję, co mają robić. Krasnoludowie mogli planować atak dzisiejszej nocy, chociaż na podstawie tego, co zobaczył, poważnie w to wątpił.

— Przekażcie podpułkownikowi Slithowi, żeby się u mnie zameldował — krzyknął do sanitariusza.

Kang zdecydowanie odwrócił wzrok od posłania. Powinien teraz wyjść z namiotu i pokuśtykać po spalonym placu defilad, żeby nie stracić władzy w sztywniejącej nodze. Zebrał się włąs- nie na odwagę, żeby to zrobić, kiedy do namiotu wszedł Slith.

— Czuje się pan lepiej, panie pułkowniku? — Sivak przysu- nął sobie krzesło i usiadł. — Nie — powiedział bez ogródek Kang. — Niech licho 182

porwie tych przeklętych krasnoludów. Mam ochotę pójść i wszyst- kim powypruwać flaki. A jak ty się czujesz?

— Mam wrażenie, że łeb mi spuchł jak bania, ale poza tym nic mi nie jest.

— To dobrze — mruknął Kang. — Co masz mi do powie- dzenia? Ufam, że pozostałym dopisało szczęście.

— Nie Vissowi. Właśnie siadł z kuflem w karczmie, kiedy ogłoszono alarm. Nie mógł zrobić nic innego, jak pobiec z pozo- stałymi. Udało mu się zgubić w tłumie, ale wtedy ktoś krzyknął, że znaleziono zwłoki, a ktoś inny poznał, że on i nieboszczyk mają te same twarze. W tym momencie Viss uznał, że niczego nie zdoła, i wycofał się. — A Glish i Roxl? Slith uśmiechnął się szeroko.

— Oni mieli więcej szczęścia. Natknęli się na grupę krasno- ludów, którzy zaciągali straż po drugiej stronie grodu. Wartowni- cy nie spodziewali się napaści z tamtej strony, więc zabrali ze sobą dzbanek spirytusu. Zanim Glish i Roxl się zjawili, krasnoludowie nie zdołaliby poznać, czy to smokowcy, czy elfie dziewice. Glish i Roxl przysiedli się i rozmawiali z nimi prawie do świtu. — Czego się dowiedzieli?

— Wygląda na to, panie pułkowniku, że spalenie grodu było robotą ich generała, krasnoluda imieniem Moortan. Wielki tan nic o tym nie wiedział i wręcz wpadł we wściekłość, kiedy mu o tym doniesiono. Część krasnoludów uważała, że podpalenie to dobry pomysł, ale większość się z tym nie zgadza. Uważają, że to okropne marnotrawstwo dobrego drewna. Teraz oczywiście umie- rają ze strachu, że odplacimy im tym samym i spalimy ich domy.

— Możemy jeszcze to zrobić — rzekł Kang, pocierając zbolałą nogę. — Jakies plany o napaści na nas?

— Generał nalega na atak, ale tan jest przeciwny. Twierdzi, że straci zbyt wielu ludzi. Jak dotąd, ważniejsze jest zdanie wielkiego tana.

— To dobra nowina. Z każdym dniem rośniemy w siłę. Wkrótce naprawimy mur i usuniemy gruzy. Wtedy będziemy mogli rozpocząć odbudowę. — Kang pokiwał głową z zadowo- 183

lenia. — Cieszę się, że przynajmniej kilku z nas miało szczęście tej nocy. Przypomnij mi przy następnym przeglądzie, żebym przedstawił tych trzech do pochwały. — Tak jest, panie pułkowniku.

Zamiast wyjść, Slith pokręcił się na krześle i spojrział na komendanta spod oka. — Widzę, że coś jeszcze ci leży na sercu.

— Wiem, że jest pan zmęczony, ale czy możemy porozma- wiać chwilę dłużej? Nie chciałbym zawracać głowy, ale to dość ważna sprawa.

— Oczywiście. Wybawiasz mnie od spaceru po placu defilad. O co chodzi?

Slith wyjął z sakwy przy pasku złożony kwadrat pergaminu i ostrożnie rozłożył go na stole.

— Niech pan na to rzuci okiem, panie pułkowniku. To było w tej książce, którą ukradliśmy krasnoludom. Kang popatrzył. — To mapa. — Tak, panie pułkowniku. Potrafi pan odczytać napisy? Kang potrząsnął głową. — Wygląda mi na jakieś pismo krasnoludów, ale nie znam go.

— Wielka szkoda. — Slith zerknął na mapę z tkliwą czułością. — Niech pan spojrzysz na ten rysunek. Jak pan sądzi, co to takiego? Kang zmrużył oczy, nachylił się nad pergaminem. — Jaja. Duże jaja, jak sądzę, bo są na tym obrazku największe. Slith z zadowoleniem pokiwał głową.

— To samo przyszło mi na myśl, panie pułkowniku. Te inne rysunki mogą przedstawiać smokowców. Może strażników? A to tutaj. Jak pan myśli, co to jest? Kang dotknął szponem rysunku.

— To są kufry. To urny. Być może tuleje na zwoje albo mapniki. Książki, przypuszczalnie księgi zaklęć, bo na każdej jest symbol jednego z trzech księżyców. — O tym samym pomyślałem. — Slith uśmiechnął się.

Kang rozparł się na krześle i położył zranioną nogę na taborecie. — Co więc myślisz o tej mapie? Najwyraźniej coś ci chodzi po głowie. Masz minę jak smok, który zjadł kendera. 184

— Tak jest, panie pułkowniku. — Slith odczekał chwilę, potem rzekł cicho — Wydaje mi się, że zeszłej nocy mieliśmy jednak trochę szczęścia. Podejrzewam, że to mapa prowadząca do skarbu! Te pojemniki — pokazał kufry i urny — przypuszczalnie są wypełnione pieniędzmi i klejnotami. Sam pan powiedział, że księgi i zwoje są magiczne. Sądzę, że mapa może nas zaprowadzić do cennego skarbu.

— A jaja? — spytał Kang. Co mają wspólnego ze skarbem? Chyba, że kończą się racje żywnościowe, oczywiście.

Smokowcom też się kończyły racje żywnościowe. Zostało im tylko tyle jedzenia, ile przynieśli ze sobą z obozu czarnych rycerzy. Nie starczy tego na długo, jeśli ma się do wyżywienia dwieście gąb. — Nie mam pojęcia. Chyba, że to wcale nie są jaja. Może to... Wartownik zastukał w słupek namiotu. — Tak? — Kang ułożył nogę wygodniej. — Co tam?

— Jest tu ktoś, z kim powinien pan się zobaczyć, panie pułkowniku.

— Dobrze. — Kang dał znak Slithowi, który chwycił mapę, złożył ją i schował do sakwy u paska.

Wszedł baaz. W ręku trzymał niskie, szamoczące się czupieradło o jakby znajomym wyglądzie. — A to co? — spytał zdziwiony Kang. — Krasnolud, panie pułkowniku.

— To widzę — odparł poirytowany smokowiec. — Co on tu robi? — Przyjrzał się uważnie krasnoludowi. Gdzieś już widział tę twarz pokrytą marnym zarostem. Spojrzał na Slitha, który zmrużył oczy i patrzył na krasnoluda z zaciekawieniem.

— Przeszedł obok pikiety i nawet okiem nie mrugnął — wyjaśnił baaz. — Chłopcy go złapali i chcieli zadźgać, sądząc, że jest szpiegiem, a ten błyska medalionem i mówi, że musi natychmiast widzieć się z komendantem.

— Jakim medalionem? — podejrzliwie spytał Kang. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że krasnolud jest szpiegiem. Baaz upuścił jeńca na podłogę i uderzył go dłonią w tył głowy. — Pokaż medalion komendantowi. 185

Krasnolud otworzył brudną pięść i wyciągnął rękę. Wtedy Kang go poznał.

— To ty! — ryknął. — To ty jesteś tym łajdakiem, który mnie zranił!

Baaz wyciągnął nóż. Chwycił krasnoluda za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu, gotów na rozkaz dowódcy poderznąć mu gardło. Kang miał zamiar go wydać, lecz Slith go powstrzymał. Nachylił się nad krasnoludem i uważnie przyglądał się przedmiotowi, który leżał na jego dłoni. —

Mam wrażenie, że powinien pan na to rzucić okiem.

Kang niechętnie spuścił nogę ze stołka i pokuśtykał zoba- czyć, co krasnolud trzyma w ręku. Przez cały ten czas jeniec nie odezwał się ani słowem.

— Jeśli to nie mój święty symbol, to jestem hobgoblin! — zawołał zaskoczony Kang. — Ten.. .ten sam, który mi skradzio- no! — Spojrzał ze wściekłością na krasnoluda i przeszedł na mowę wspólną. — Ty mi go ukradłeś! Złodzieju! Po co z nim wróciłeś? Krasnolud padł na kolana i uniósł ręce w błagalnym geście.

— O mądry i najszlachetniejszy wodzu! Przyznaję się do- browolnie, że go ukradłem, ale nie wiedziałem, że ty jesteś właścicielem. Zresztą, co to za różnica. — Spuścił głowę. — Przyznaję, że postąpiłem źle, chociaż to samo można powiedzieć o innych, którzy zabierają przedmioty — na przykład książki — które do nich nie należą. Kang warknął. Krasnolud jęknął i mówił dalej.

— Jestem szczęśliwy, mogąc ci go zwrócić, czcigodny panie. Bardzo szczęśliwy! — Krasnolud otarł spoconą twarz rękawem koszuli. — Proszę w zamian tylko o jedno. — Złożył błagalnie ręce. — Zdejmij ze mnie przekleństwo Królowej! Proszę!

— A może tak poprosiłbyś, żebyśmy oszczędzili twoje nędz- ne życie? — spytał zgrzytliwym głosemKang. Krasnolud pomyślał chwilę, w końcu potrząsnął głową.

— Nie, czcigodny panie. Jeśli nie zdejmiesz ze mnie klątwy, moje życie i tak nie będzie nic warte. Gdybyś tylko zechciał spełnić moją prośbę, byłbym ci wdzięczny. Niezmiernie wdzięcz- 186 ny. I strasznie mi przykro, że cię dźgnąłem. Zrobiłem to w zapa- miętaniu. W szale bitewnym.

Kang wyrwał mu święty symbol. Kiedy ścisnął go w dłoni, poczuł wielką ulgę. Błogie ciepło ukoiło ból rany. Wyciągnął rękę i odebrał baazowi nóż. — Dziękuję, żołnierzu, ale sam go wypatroszę...

— Przepraszam, mogę z panem zamienić słowo? — Slith kaszlnął znacząco i wskazał głową wewnątrz namiotu.

— Dobrze — mruknął Kang, wciąż wrogo patrząc na kras- noluda. Odszedł ze Slithem w ciemny kąt.

— Panie pułkowniku, to ten krasnolud, którego spotkaliśmy wczoraj. Ten, który miał książkę.

— To również ten sam, który pchnął mnie nożem i ukradł święty symbol — warknął Kang. Umilkł, a potem spytał — Jaką książkę? — Wspomnienia wydarzeń zeszłej nocy były trochę mgliste.

— Książkę, którą panu podałem. Tą ze skórzaną okładką. Użył jej pan jako opatrunku. To tam była mapa! Wewnątrz książki! A to jest krasnolud, który nad nią ślęczał w domu. Zranił pana z jej powodu.

— Książka! — przypomniał sobie Kang. — Na naszą Kró- lową, masz rację. I co z tego? To tylko książka.

— Zależało mu na niej tak bardzo, że wybiegł za panem — smokowcem trzykrotnie większym od niego — i dziabnął pana nożem. — Racja.

— Niech pan spojrzy, jak mu latają te paciorkowate oczka. On czegoś szuka, panie pułkowniku. Czego, jeśli nie mapy? Musiał się domyśleć, że ją mamy. Wie pan, co ja sądzę? — Zaczynam się domyślać. — W książce jest napisane, co znajduje się w skarbcu. On wie! Kang z zadumą przyjrzał się krasnoludowi.

— To mała, szczwana bestia. W dodatku bardzo zła. Żaden krasnolud z czystym sumieniem nie mógłby nawet tknąć meda- lionu naszej Królowej, a on nosił go jak jakąś cholerną pamiątkę 187 rodową. Sądząc po jego minie, podejrzewam, że prędzej umrze, niż powie nam cokolwiek o skarbie.

— Właśnie — rzekł Slith, wpadając w coraz większe pod- niecenie. — Przekleństwo, panie

pułkowniku! Powie wszystko, co wie o skarbie, jeśli zdejmie pan z niego klątwę.

— Jaką klątwę? — zdziwił się Kang. — Nikt nie rzucał na niego klątwy. Chociaż szkoda, że o tym nie pomyślałem.

— To nieistotne, panie pułkowniku. On sądzi, że został przeklęty. — Aha. Może masz rację. Wrócili do jeńca, który przyglądał im się ukradkiem.

— To wszystko — rzekł komendant do baaza. Wartownik zasalutował i wyszedł z namiotu.

— A teraz — Kang wbił w krasnoluda gadzie oczy. — Co masz na myśli, mówiąc o klątwie?

— Ty wiesz, panie — rzekł markotnie krasnolud. — Ty ją na mnie rzuciłeś. — Nagle wybuchnął.

— Najpierw wojna, potem kenderzy w Pax Tharkas, potem czarni rycerze, którzy łapią podróżnych na drodze, potem smokowcy w moim pokoju i na końcu najgorsze — Moortan pod moim oknem. Zdejmij ze mnie tę klątwę — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Albo zabij mnie tu i teraz.

Cały czas, kiedy mówił, badał spojrzeniem każdy kąt namiotu i wszystko, co się w nim znajdowało.

— Tego szukasz? — Slith wyjął złożoną mapę i położył ją na stole.

Krasnolud ledwie rzucił okiem na pergamin. Wzruszył ramionami. — Niczego nie szukam.

— Dobry jest — mruknął Kang do siebie. Zauważył, że na widok mapy ciemne oczy krasnoluda zaświeciły się.

— Dobijemy targu — rzekł smokowiec. Pokuśtykał do krzesła i osunął się na nie, opierając zranioną nogę na stołku. — Zdejmę z ciebie przekleństwo, jeśli mi się odpłacisz. Przypadkiem znaleźliśmy tę mapę. Wygląda na mapę skarbu, ale napisy są w nieznanym nam języku krasnoludów.

188

— Dajcie mi ją — powiedział krasnolud, którego oczy płonęły ogniem. — Ja wam ją przeczytam.

— Tak, w to nie wątpię. I przy okazji odświeżysz sobie pamięć. — Kang przykrył mapę pazurastą dłonią. — Musi być na niej coś, co jest warte ceny zdjęcia klątwy. Co to jest?

Krasnolud zacisnął usta; policzki mu się zapadły, a rysy wyostrzyły. I bez tego nie był przystojny, a grymas bynajmniej nie dodał mu urody. Przygryzł wargę.

Kang uniósł święty symbol. Nachylił się i otworzył krasnoludowi kieszeń. — Może chcesz go z powrotem...

— Dobrze! — jęknął tamten i wzdrygnął się. — Zabierz to! Powiem wam... o jednym! — Słowa z trudem wydobywały się z jego ust. — Patrzyliście na mapę? — Tak. — Wiecie, że to mapa Thorbardinu.

— Oczywiście — powiedzieli Kang i Slith. Wymienili spojrzenia. Żadnemu z nich nie przyszło to do głowy.

— No właśnie. — Krasnolud zaczerpnął tchu. Jeszcze raz spojrzął na święty symbol. Zgarbił się, przyznając do klęski. Reszta słów popłynęła jak potok. — Widzieliście na tej mapie znaki, które wyglądały jak jaja? Bo to są jaja. Smocze. Z Neraki z czasów Wojny Lancy. Powiedziałem, smocze jaja? Raczej jaja smokowców. Takich jak wy, panowie, tylko w nich nie ma panów. Rozumiecie? Nie rozumieli. Patrzyli na niego z zakłopotanymi minami. Krasnolud wpadł w irytację.

— Słuchajcie, czy muszę wam wszystko tłumaczyć jak chłop krowie na rowie? Co jest przeciwieństwem panów? Panie! Zgadza się? No, wreszcie łapiecie. W tych jajach, moi przyjaciele, są panie. Chłopiec, dziewczynka. Chłopiec, dziewczynka. Tupot małych pazurastych nóżek. Samice smokowców.

Krasnolud zrobił krok do tyłu, machnął ręką i skrzyżował ramiona na piersi jak kiepski iluzjonista, który właśnie wyciągnął sobie monetę z nosa. Kang i Slith zamarli bez ruchu, gapiąc się

Nowiny zaparły im dech w piersi równie skutecznie, jakby uderzył ich w splót słoneczny konarem vallenga.

— Samice — szepnął Kang. — Samice smokowców. To niemożliwe.

— Możliwe. Wszystko jest w książce. Kapłani ciemności i czarodzieje czarnych szat stworzyli samice, aby przedłużyć istnienie waszej rasy. Potem jednak ważne szczyty doszły do wniosku, że wcale nie są pewni, czy tego chcą. Zatem ostatniego zaklęcia nie dokończono.

— Ale my byliśmy w Nerace — powiedział szorstkim głosem Slith. — Znaleźlibyśmy je!

— Wcale nie — rzekł chytrze krasnolud. — Ponieważ do tego czasu Daewarowie już je ukradli i zanieśli do Thorbardinu. Zamierzali je sprzedać, ale zanim do tego doszło, wybuchła bójka o podział łupów, na skutek której podzielono na części kilku złodziei, a nie skarb.

— Chcesz powiedzieć, że... tejaja...wciążtamsą? — Kang zamilkł, zanim dotarł do końca zdania, ale krasnolud go zrozumiał.

— Istnieje duże prawdopodobieństwo. — Wzruszył ramionami. — Pamiętajcie, niczego nie mogę gwarantować. No i jak? Czy to dla was dość cenna wiadomość?

— Tak. Jasne. — Kang był osłupiały. Trzy razy machnął ręką nad głową krasnoluda i powiedział coś w języku smokowców. Nie bardzo wiedział co, ale krasnolud był najwyraźniej zadowolony. Wyprostował plecy i odrzucił włosy do tyłu.

— Doskonale! Czuję się jak nowo narodzony. — Spojrzał tęsknym wzrokiem na mapę. — Może... tylko szybciotko rzucę okiem? Slith zawarczał i obnażył zęby. Krasnolud pokiwał głową.

— Kapuję. No to cześć. — Puścił do nich oko, a potem wyskoczył z namiotu.

— Panie pułkowniku! — Baaz wsunął głowę do środka. — Chce pan... — Puście go — powiedział Kang, wciąż oszołomiony. — 190

Przeprowadźcie go przez pikietę. Dopilnujcie, żeby nic mu się nie stało.

— Tak jest. — Baaz miał wątpliwości, ale nie zamierzał kwestionować rozkazów dowódcy. Kang słyszał cichnący w oddali tupot ciężkich buciorów krasnoluda. — Co o tym myślisz? — spytał Slitha.

Sivak gwałtownie ocknął się z zamyślenia. Czym prędzej rozłożył mapę drżącymi rękami. Obaj nachylił się nad nią i przyrzekli jej się uważnie.

— To możliwe, panie komendancie — rzekł podniecony Slith. — To zupełnie możliwe. Te rysunki. Niech pan na nie spojrzysz. Postaci różnią się od nas. Skrzydła mają krótsze i bardziej krępe. Biodra szersze i...

— Może są dziełem marnego rysownika — stwierdził Kang. Westchnął. — Widzisz to, co chcesz zobaczyć, mój przyjacielu.

— Być może — upierał się Slith. — Ale uważam, że warto zaryzykować. Co pan na to?

Kang spojrział w przyszłość. Przyszłość, która nagle przestała być ponura i pusta. Która nie była już czuwaniem przy zmarłych. Która miała sens.

— Tak. — Zrobił głęboki wdech i poczuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie. — Tak, warto zaryzykować! \*

Selquist znalazł w zalesionej części doliny miejsce, w którym mógł się zaszyć i przeczekać upalne godziny. Spacer w skwarze byłby bardzo nieprzyjemny, a poza tym i tak nie miał szczególnej ochoty wracać do Celebundinu za dnia. Umościwszy się wygodnie w chłodnym wykrocie pod ogromną sosną, podłożył sobie ręce pod głowę i z uśmiechem patrzył w gałęzie drzewa.

Nie odzyskał mapy, ale w gruncie rzeczy wcale tego nie oczekiwał. I tak nie było już takie ważne, czy jama. Krasnoludowie, smokowcy, mapa — wszystko zdążyło do jednego miejsca... Pierwszy

cel już zrealizował.

Drugim było pozbycie się tego przekłętego świętego symbolu Takhisis. To też osiągnął. Nie był zabobonny ani też szczególnie 191

pobożny. Ale kiedy zaczniesz mieć pecha i ten pech cię nie opuszcza, kiedy wśród twoich rzeczy znajduje się naszyjnik, być może własność Królowej Ciemności, która mogła mieć do tej błyskotki słabość, a sposób, w jaki wszedłeś w jego posiadanie, nie był całkiem uczciwy... cóż, nie zaszkodziłoby go oddać. Wreszcie trzeci cel. Pozbyć się Moortana raz na zawsze.

Tego celu jeszcze nie osiągnął, ale przynajmniej był na dobrej drodze. Rozdział 27

Resztę dnia Kang i Slith spędzili na układaniu planów. Zachowali mapę i wiadomość o jajach w tajemnicy nie dlatego, że nie mieli zaufania do swoich żołnierzy, lecz ponieważ wiedzieli, że kiedy dadzą smokowcom tę niespodziewaną nadzieję, trudno im będzie ich powstrzymać od pośpieszenia bez namysłu na wyprawę, w której prawdopodobnie zginą.

Dowódca musiał koniecznie przedstawić im jakiś plan. A z chwilą, gdy Kang się przebudził z błogich marzeń, stwierdził, że wcale nie będzie to łatwe. Prawdę mówiąc, nie wyobrażał sobie trudniejszego zadania.

— Thorbardin — mruknął. — Jak, do diabła, dostaniemy do Thorbardinu? Wy, sivaki, pewno dacie sobie radę. Zabijecie kilku krasnoludów i przyjmiecie ich postać. Chociaż w Celebundinie nie skończyło się to najlepiej.

— Będzie nam potrzebny spory oddział, panie pułkowniku — rzekł Slith. — Więcej niż czterech sivaków. Po pierwsze, będziemy musieli sami wynieść te jaja. Smocze jaja są duże i ciężkie. Nie wspominając o tym, że możemy być zmuszeni walczyć. Nie mam za grosz zaufania do tego złodziejaszka. Mam wrażenie, że chce nas wciągnąć w zasadzkę. Zbyt chętnie wyjawiał nam te informacje. — To może być pułapka — rzekł Kang. — To pewnie jest pułapka — przyznał mu rację Slith. — 192

Możemy zrezygnować —? rzekł po chwili milczenia. — Jeśli tego pan chce. Nikomu nie powiem ani słowa.

„Tak” — powiedział Kang w duchu. — „Tak właśnie powinienem zrobić. Ten pomysł jest szalony, niemożliwy i niebezpieczny, w dodatku pewnie się nie uda. Zostaniemy tutaj, odbudujemy osadę. Co kilka tygodni będziemy napadać na krasnoludów. Co kilka tygodni oni będą napadać na nas. Wreszcie — kto wie, po jakim czasie? — zaczniemy umierać. Najpierw jeden albo dwóch. Potem coraz więcej. Wykopiemy za miastem głębokie mogiły, żeby zwierzęta nie wyciągnęły zwłok. Ostatni, który umrze, nie będzie miał grobu. Nie będzie kto miał go pochować.

Może to będę ja. Może będę jedynym smokowcem, który zostanie przy życiu. Będę patrzył na śmierć wszystkich innych, wszystkich przyjaciół, towarzyszy, podkomendnych. Pogrzebię ich wszystkich i tylko ja zostanę. Naszą spuścizną będzie rząd grobów.” Spojrzał na Slitha. — Dobrze. Jak, do diabła, dostaniemy się do Thorbardinu? Smokowiec wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Chyba znam sposób, panie pułkowniku. \*

Mały oddział złożony z dwudziestu pięciu sivaków i bożaków cichcem skradał się przez las na północ od Celebundinu. Smokowcy odeszli daleko na północ od grodu, zatoczyli łuk i wrócili do lasu, mając nadzieję, że dzięki temu ominą patrole krasnoludów w dolinie.

Kang obejrzał się za siebie. Ledwo dostrzegał smokowców zaczajonych w zaroślach, a przecież wiedział, gdzie ich szukać. Dzięki swemu ubarwieniu ubrani w skórzane zbroje żołnierze zlewali się z brązem i wyblakłą zielenią spalonego słońcem lasu. Każdy wybrał sobie miejsce, przykucnął i znieruchomiał. Można ich było wziąć za leżące pod drzewami gałęzy.

Zadowolony Kang ponownie skupił uwagę na domu, który obserwowali.

— Wciąż tam są, panie pułkowniku — zameldował Gloth, dowódca tej doborowej jednostki. — Widzę, jak się kręcą po izbie. 193

— Mam nadzieję, że nas nie wyprzedzili — rzekł Kang.

— Nie sądzę, panie pułkowniku — powiedział Slith, obdarzony najostrzejszym wzrokiem w oddziale. — W środku są ci sami czterej, których zastaliśmy z książką. Poznają tego cherlawego z wyleniała brodą. Jest z nim jeszcze jakiś puciołowaty krasnolud i tych dwóch, których odebraliśmy ryerczom ciemności. — Myślisz, że wszyscy pójdą?

— Jestem tego pewny. To ci sami, których śledziłem poprzednim razem. Są współnikami.

Pałace słońce chyliło się ku zachodowi, w lesie kładły się smugi cieni. Była to niebezpieczna pora, ponieważ wydłużające się cienie często oszukiwały wzrok, tworząc złudzenie, że ktoś się porusza. Wystarczyło, aby jeden smokowiec podskoczył z wrzaskiem, gotowy rzucić się na nieistniejący cel, aby cała misja zakończyła się katastrofą. Krasnoludowie puściliby się w pogoń tak szybko, że pewnie pogubiliby brody.

Ostatnie promienie słońca ozłociły szczyt Celebundu. W dołynie zapadł zmrok. Kang pomyślał właśnie, że krasnoludowie niebawem ruszą w drogę, kiedy Slith szturchnął go w bok. — Psiakrew! Niech pan na to spojrzy!

Kang spojrział. Lepiej widział w pełnej ciemności niż o zmierzchu.

Ulicą maszerowało dwudziestu umundurowanych krasnoludów. — Znaleźli nas! — rzekł Gloth, sięgając po miecz.

— Nie, zaczekaj! — rozkazał Kang. — Oni nie idą walczyć. A nawet jeśli tak, to na pewno nie z nami.

Teraz pozostali dostrzegli to, co pierwszy zauważył ich komendant. Oprócz broni krasnoludowie zabrali ciężkie plecaki i bukłaki. Kilku niosło solidne kostury. Slith obejrzał się na Kanga. — Ki diabeł? Komendant potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że to ich generał, ten sukinsyn, który kazał spalić naszą osadę. Widziałem go wcześniej, kiedy wydawał rozkazy. 194

Przywódca krasnoludów — potężnie zbudowany, szpakowaty mężczyzna, którego Kang znał z poprzednich napadów — wszedł do domu. Drużyna czatowała na podwórku, rozglądając się uważnie, aczkolwiek nie z obawy przed smokowcami. Nie patrzyli w ich kierunku. Oglądali się na swoją osadę.

Kilka chwil później z domu wyszli mieszkańcy. Towarzyszył im dowódca oddziału. Czterej krasnoludowie również nieśli plecaki, manierki i broń. Slith i Kang zauważyli, że chudy krasnolud rozmawia z generałem.

— Wspomniał pan o pułapce — szepnął Slith. — To miał pan na myśli?

Kang zamyślił się. Zupełnie nie oczekiwał takiego rozwoju wydarzeń.

— Nie, wątpię — powiedział wreszcie. — Gdyby to była zasadzka na nas, byłoby ich raczej dwustu, nie dwudziestu. Podejrzewam raczej, że mają ten sam problem co my — jak we czterech przynieść cały łup. Nie wspominając już o tym, że jako Neidarowie spotkają się w Thorbardinie z prawie tak samo miłym przyjęciem jak my, jeśli się damy złapać. Krasnoludowie wyruszyli w drogę. — Niezła ekspedycja — stwierdził Slith.

— Owszem — zgodził się Kang. — Jakoś nie wydaje mi się, aby nasz chuderlawy przyjaciel właśnie to miał na myśli.

Krasnoludowie minęli smokowców z bardzo zarozumiałymi i zwycięskimi minami. Chudy krasnolud i jego trzej towarzysze ponuro dreptali z tyłu. Kang obejrzał się przez ramię. — Już czas. Gloth, szykuj się do wymarszu.



Gloth wczółgał się ponownie w poszycie. Smokowcy również byli dobrze wyposażeni. Mieli ciężkie plecaki z prowiantem i dodatkowo nieśli narzędzia i ekwipunek, który mógł się przydać do kopania tuneli, wspinaczki i budowania. Przez pierś przerzucili sobie niczym szarfę pięćdziesięciostopowe zwoje lin. Wszyscy mieli miecze. Kang dysponował pełnym asortymentem czarów.

Może mu się tylko zdawało, ale od chwili, gdy odzyskał święty symbol, Królowa Ciemności była dla niego jakby łaskaw - 195

sza. Okazywała mu więcej względów, lecz mimo to miał wrażenie, że wyczuwa jej skrywany niepokój. Może czarni rycerze byli w opałach. Gloth przyczółgał się z powrotem. — Jesteśmy gotowi na pański rozkaz.

Nie musieli długo czekać. Krasnoludowie opuścili gród i pociągnęli na północ. Nikt nie żegnał ich radosnymi okrzykami, nie machał im ręką, nie odprowadzał. Wielki tan nie wygłaszał przemówień, nie wołał, aby szli okryć się chwałą. Dwudziestu krasnoludów wymykało się chyłkiem pod osłoną mroku. Kang domyślał się dlaczego. Osada wciąż spodziewała się napaści smokowców, a tu dwudziestu sprawnych mężczyzn, którzy powinni być gotowi bronić rodzinnych domów, opuszczało miasto.

Krasnoludowie szli prosto w stronę przełęczy Celebund. Noc była bardzo ciemna. Lunitari wszędzie dopiero za jakiś czas, a nawet wtedy będzie widać tylko jej cienki, czerwony sierp podobny do blizny. Czarny księżyc za to był w pełni. Kang dał krasnoludom dziesięć minut przewagi. — Wyruszamy.

Rozkazał Glothowi przekazać komendę. Każdy smokowiec miał ją szepnąć do ucha następnemu w szeregu.

— Ma panować absolutna cisza — powtórzył Kang. — Jeśli ktoś choćby kaszlnie, przez następne dwa miesiące nie dostanie spirytusu.

To była straszliwa groźba i jak Kang wiedział, zupełnie niepotrzebna. Jego żołnierze byli zdyscyplinowani i świetnie wyszkoleni, a zabrał ze sobą najlepszych z najlepszych. Smokowcy wyszli z lasu i podążyli w ślad za krasnoludami.

Kang zaprowadził swój oddział do skalistego początku wydeptanej ścieżki, która prowadziła na grań, a potem w dół po stoku Celebundu. Ilekroć stawali na szczycie wzniesienia, widział schodzącą kolumnę krasnoludów i lekką, czerwoną poświatę otaczającą ich ciała.

Maszerowali od prawie sześciu godzin i właśnie przebyli przełęcz, kiedy krasnoludowie urządzili postój. Rozsiedli się na polanie, wyciągnęli bukłaki i odpoczywali. 196

Kang zatrzymał oddział. Slith wysunął się naprzód. — Co się stało, panie pułkowniku?

— Na dole zaczyna się otwarta przestrzeń. Musimy przejść przez łąkę. Powinniśmy zwiększyć odległość między grupami. W tym tempie i tak zdążymy dojść do Bletheronu przed świtem. Czy idą tą samą drogą co poprzednio?

— Dokładnie tą samą, panie pułkowniku. — Slith wysunął język. — Miałem rację. Prowadzą nas prosto do tajnego wejścia.

Drużyna Kanga czekała. Pół godziny później krasnoludowie spakowali manatki i udali się w dalszą drogę.

Kiedy niebo zaczęło szarzeć, smokowcy dotarli do ścieżki na Bletheron.

— Lepiej zatrzymajmy się i ukryjmy tutaj — powiedział Kang. — Kiedy wszędzie słońce, zauważy nas każdy krasnolud, który odwróci się i obejrzy za siebie.

Przyczaili się za głazami albo położyli w zaroślach. Większość usnęła. Kang i Slith po kolei pełnili wartę.

Poranek minął spokojnie. Kiedy słońce stanęło w zenicie i paliło tak mocno, jakby chciało upiec ich żywcem, Kang uznał, że krasnoludowie wyprzedzili ich wystarczająco. Obudził wszystkich. Po zjedzeniu zimnego posiłku znów ruszyli w drogę. Przeszli przez przełęcz pod Bletheronem, kiedy słońce zniżyło się ku zachodowi.

Kang zaczynał się niepokoić. Wysłał na szlak najlepszych tropicieli, a ci donieśli, że po krasnoludach nie ma śladu. Oczywiście wśród skał i głazów trudno było cokolwiek wytropić. Tysiąc krasnoludów mogło przejść tamtędy i nie zostawić śladu. Kang jednak gryzł się i trapił. A jeśli Slith nie miał racji? Jeśli krasnoludowie poszli inną drogą? Skinął na Slitha i Glotha, żeby dołączyli do niego.

— Pozwoliłem im za bardzo wysunąć się naprzód. Musimy nadrobić stracony czas. Krasnoludowie wyprzedzają nas o jakieś pół dnia marszu. Nie zatrzymali się zeszłej nocy, więc sądzę, że urządzą postój i odpoczną dziś. Wiesz gdzie? Slith kiwnął głową.

— Przypuszczalnie rozbiją obóz przed grzbietem Helefundis, po drugiej stronie Prenechiala, jak zeszłym razem. 197

— Zauważą nas, kiedy tylko zaczniemy iść po grani. Tam nie ma gdzie się schować — rzekł Gloth. — Nie możemy też pozwolić, aby za bardzo nas wyprzedzili, bo zejda do Thorbardinu i nigdy nie znajdziemy wejścia. Kang pokiwał głową.

— O to się nie martwcie. Pomyślałem o zakłębieniu, które rozwiąże ten problem. Przede wszystkim musimy się upewnić, że idziemy właściwym tropem!

Ruszyli w dalszą drogę. Przed północą przeszli na drugą stronę Prenechiala i podeszli pod grani Helefundis. Kang omijał właśnie zbiorowisko głazów, myśląc, że dobrze byłoby tu rozbić obóz na noc, kiedy nieomal nadepnął na śpiącego krasnoluda.

Zatrzymał się tak raptownie, że mało brakowało, a spadłby na łeb ze stoku.

„Przynajmniej ich znaleźliśmy” — taka była pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy. A druga — „Krasnoludowie znaleźli nas”. Rozdział 28

Kang cofnął się powoli, ostrożnie, przy każdym kroku macając grunt stopą. Jeśli poruszy choćby okrusz skały, kamicień potoczy się po zboczach góry i zdradzi ich obecność. Kiedy stracił z oczu śpiącego krasnoluda i zobaczył swoich żołnierzy, gwałtownie zamachał rękami, rozkazując im natychmiast stanąć. Smokowcy zatrzymali się w miejscu, zaniepokojeni i czujni.

Nasłuchując sygnału alarmu z obozu krasnoludów, Kang rozpaczliwie szukał kryjówki dla swojego oddziału. Po drugiej stronie ścieżki, przy skałach, sterczała kępa na pół uschniętych krzaków. Podleciał lotem ślizgowym do zarośli, rozpościerając skrzydła, żeby nie dotykać stopami ziemi i zmniejszyć zarówno hałas, jak i prawdopodobieństwo, że się potknie i upadnie. Żołnierze szli za nim gęsiego. 198

Po obejściu kępy krzaków smokowcy przykucnęli i położyli się w ich cieniu.

Slith był ostatni w szeregu. Kang nie powiedział ani słowa, ale każdy żołnierz domyślił się, co się stało. — Myślę, że nikt nas nie usłyszał — szepnął Slith.

Kang skinął głową. Obawiał się, że krasnoludowie urządzili na nich zasadzkę, ale najwyraźniej się mylił. Znów odetchnął.

Slith wyciągnął miecz i położył się w ukryciu. Kang zrobił to samo. Smokowcy czekali. Tym razem nikt nie usnął.

Od miesięcy na niebie nie było jednej chmury, lecz Kang pomyślał, że Królowa Ciemności mogłaby zainteresować się ich sprawą i zesłać następnego dnia burzę. Krasnoludom trudno byłoby zorientować się w ulewnym deszczu, że są śledzeni, a smokowcy mogliby podkraść się do nich dostatecznie blisko, żeby zobaczyć, którędy schodzą do podziemi.

Jeśli nawet Jej Wysokość interesowała się nimi, nie miała ochoty im pomóc. Następnego dnia wstał pogodny i słoneczny ranek. Kang zaklął w duchu. Przy takiej pogodzie ślepy by ich zauważył.

Z wrogiego obozu dobiegły jakieś odgłosy. Kang odważył się podnieść i zobaczył dwóch krasnoludów, którzy za głazem czy- nili poranne ablucje. Potem rozległy się bicie w garnek i wesołe przekleństwa. Krasnoludowie szykowali śniadanie. Następnie zebrali swoje rzeczy i ruszyli w drogę.

Kang kazał swoim żołnierzom zostać w ukryciu. Odczekał dwie godziny i dopiero wtedy pozwolił im wyjść. Rozkazał posilić się i wysłał patrol na zwiad. Zwiadowcy wrócili z dobrymi wiadomościami.

— Widzieliśmy ich z oddali. Szli pojedynczo wzdłuż górskie- go grzbietu. Przed zmierzchem powinni dotrzeć do jego końca.

— Slith, Gloth, do mnie. — Kang wyłuszczył im plan. — Dziś w nocy przejdziemy przez grań pod osłoną ciemności. Nie sądzę, żebyśmy musieli się obawiać, że ktoś nas zobaczy. Jesteś- my blisko Thorbardinu. Tajne wejście musi być gdzieś niedaleko i krasnoludowie prawdopodobnie zejną pod ziemię, zanim do- trzemy do grani. Kiedy będziemy na miejscu, zaczekamy do rana. Poproszę Królową o czary. 199

Wszystko poszło zgodnie z planem. Drużyna dotarła do grani, nie widząc ani jednego krasnoluda. Byli pewni, że przeciwnicy również ich nie zobaczyli.

Kang przypilnował, aby żołnierze rozbili obóz, i kazał wysta- wić warty. Przetrzęsawszy zawartość plecaka, wyjął niedawno odzyskany święty symbol i ściskając go mocno w dłoni, zaczął piąć się korytem suchego potoku. Lato było tak suche i skwarne, że woda dawno wyschła. Wydawało mu się, że na górze dostrzegł coś, co wyglądało na grotę — doskonałe miejsce na obcowanie z Królową Ciemności.

Koryto potoku omijało duży, płaski głaz, który sterczał nad miejscem, gdzie odpoczywali jego żołnierze. Szło się tamtędy trochę ciężko. Kang musiał posłużyć się dłońmi, stopami, ogo- nem i skrzydłami, żeby przebyć ten ostatni krótki odcinek. Dotarł na szczyt i właśnie się wyprostował, wycierając ręce, kiedy raptem uświadomił sobie, że nie jest sam. Był tam jeszcze ktoś, ktoś ukrywał się w tej grocie. Człowiek, sądząc po zapachu. Znajomym zapachu.

Kang stanowił łatwy cel, stojąc na skale w pełnym słońcu. Cóż, na to nie mógł nic poradzić.

Przeklinając własną nieostrożność, zajrzał w głąb mrocznej jaskini.

— Może pani wyjść, Huzzud — powiedział cicho. — Wiem, że pani tam jest.

Początkowo nie słyszał, żeby ktokolwiek się poruszył. Ze- sztywniał, czekając na strzałę, która wyleci z ciemności grotty i zakończy jego życie.

Zawsze mógł wołać o pomoc. Slith i jego sivaki mogli przy- lecieć na szczyt, na który on się musiał wspinać. Nie zdążą uratować swojego komendanta, ale przynajmniej zemszczą się na jego zabójcach.

Doszedł jednak do wniosku, że nie miało to sensu. Gdyby oddział łuczników szedł ich tropem, dawno by już go zabili. Jego i wszystkich pozostałych. Kiedy się zbliżył, zwęszył tylko jed- nego człowieka. Huzzud była sama. Może spodziewała się, że smokowcy przestraszą się jej władzy, rangi i faktu przynależ- 200

ności do rycerzy Takhisis, może nawet tego, że była istotą ludzką. Może wyobrażała sobie, że wywrze na nich takie wrażenie, że potulnie się poddadzą. Kang uniósł ręce i otworzył dłonie.

— Nie jestem uzbrojony. Moi żołnierze śpią na dole. Jest nas tylko dwoje. Jeśli przyszła pani wyrównać rachunki, załatwmy to między sobą. Kobieta-rycerz wyszła z grotty.

Zamiast płytowej zbroi miała na sobie skórzany pancerz i skó- rzane spodnie. Ręce miała obnażone. Z powodu gorąca nie nosiła koszuli. Jej strój był odpowiedni do skradania się i tropienia,

nie walki. Na plecy spływały dwa wilgotne od potu, rude warkocze. Przy pasie widniał miecz, ale nie wyciągała go z pochwy. Mimo to trzymała dłoń na jego rękojeści. Stojąc w cieniu, obrzuciła Kanga chłodnym spojrzeniem. Potem skinęła na niego ręką. — Wejdz do środka, nie stój na słońcu. Jestem sama — dodała.

— Ja nie — rzekł sucho smokowiec. — Na dole jest dwudziestu moich żołnierzy, którzy z wielką ochotą zobaczyliby twoje rude warkocze przyczepione do swoich pasków. Nie wróby, pani rycerzu. Nic, co zrobisz czy powiesz, nie zmieni naszego zdania. Jesteśmy wojownikami. Nie kopaczami sraczy. A już na pewno nie wrócimy, żeby nas stracono jako dezertarów.

Huzzud zadarła głowę i zmrużyła oczy, żeby mu się przyrzec. Słońce prażyło niemiłosiernie, odbijało się od skał. — Przecież tym właśnie jesteście. Smokowcami. Dezertarami.

— Nie, pani rycerzu — rzekł z naciskiem Kang. — Zgodzimy się wstąpić do wojska pod warunkiem, że zostaniemy zatrudnieni jako saperzy. Wasz dowódca zgodził się na nasze warunki, po czym złamał umowę. W pewnym sensie to lord Sykes porzucił nas.

Kąciki ust Huzzud drgnęły, a potem, ku zdumieniu Kanga, kobieta wybuchnęła śmiechem. Śmiała się, aż łzy stanęły jej w oczach. Otarła powieki i wypuściła miecz z dłoni.

— Oddałabym wiele, żeby zobaczyć wyraz twarzy mojego pana, kiedy przedstawiłbyś mu ten argument. — Westchnęła, potrząsnęła głową. — Kto wie? Może mój pan już nie żyje. Nie 201 przybyłam tu, żeby ukarać pana i pańskich żołnierzy. Posłano mnie, abym pana znalazła. Śledziłam was wiele dni. Gdybym chciała cię zabić, mogłabym to uczynić wcześniej. Mam rację? Kang kiwnął głową, nie spuszczając jej z oczu.

Kobiecie najwyraźniej trudno było powiedzieć następne zdanie. Przyglądała dłonią wilgotną od potu włosy i skierowała wzrok ku horyzontowi.

— Rozkazano mi powiedzieć panu, że wasza rola w armii Takhisis została poddana ponownej ocenie.

— Aha, więc macie teraz dla nas robotę — warknął Kang. — Założę się, że brudną. Będą nam potrzebne łopaty?

Kobieta zaczerwieniła się ze złości, ale jej gniew szybko minął. Rzuciła okiem na Kanga.

— Dziwne i przerażające rzeczy dzieją się na świecie. Podejrzewam, że nic o nich pan nie wie. Zapraszam do środka, pułkowniku. Musimy porozmawiać.

Kang wzruszył ramionami i wszedł do groty. Była płytka, przypominała raczej niszę w skale niż prawdziwą jaskinię. Szybki rzut oka upewnił go, że kobieta mówiła prawdę. Była sama. Smokowiec siadł na ziemi, Huzzud na niewielkim gładzie obok niego.

Zacisnęła dłonie i oparła łokcie na kolanach. Kang zauważył, że knykcie jej pobielają. Teraz, gdy nie oślepiało go słońce, dostrzegł na jej twarzy bruzdy niepokoju i napięcia.

Wezwała go tu, żeby rozmawiać, ale pogrzyżała się w milczeniu i zadumie.

— Wspomniała pani, że wasz dowódca nie żyje. Wygląda na to, że elfowie okazali się silniejsi, niż wam się wydawało — rzekł Kang.

— Elfowie! — zachnęła się Huzzud. — Silni! Żołnierze lorda Ariakana zajęli Qualinesti jeszcze przed przybyciem naszej dywizji. Po raz pierwszy w historii Krynny siły Królowej Ciemności władają Ansalonem. Oczywiście istnieją punkty oporu. Na przykład Thorbardin. Krasnoludowie jednak zamknęli się we wnętrzu góry i nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia, więc zostawiamy ich w spokoju. Wieża Najwyższego Klerysta należy do nas, tak samo Palanthas i cała reszta Solamni. Przeklęte smoki 202

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Paladine'a zmuszone były uciec. W naszych rękach są Południowy i Północny Ergoth; władamy na pełnym morzu. Pax Tharkas padło, Solące jest nasze, nawet zajęliśmy Kenderówek. — Skrzywiła się. — Biedni rycerze, którzy tam stacjonują. Odnieśliśmy zwycięstwo, pułkownikowi Kang. Zwycięstwo dla Jej Wysokości.

Kang zrobił głęboki wdech. Wiedział, że wojsko jest doborowe, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Wreszcie zwycięstwo. Rycerze podbili Ansalon. Nastaną rządy Takhisis.

Skąd więc te pobielające kostki na dłoniach Huzzud? Dlaczego wysłano ją, żeby znalazła smokowców? Dlaczego wątpiła, że jej dowódca żyje? Wojnę wygrano i praktycznie zakończono. Kangowi wpadła do głowy przerażająca myśl. — Wasz lord nie chce chyba nas posłać do Kenderówka?

— Nie. — Na wargach Huzzud zagościł przelotny uśmiech. Znów chwilę milczała, potem odezwała się zniecka. — Czy lord Sykes powiedział panu o Objawieniu? Kang skinął głową, dziwiąc się, skąd nagła zmiana tematu.

— Dzięki Objawieniu każdy rycerz rozumie jasno cele naszego zakonu — wyjaśniła Huzzud. Jej spojrzenie powędrowało w stronę ostrego słońca za progiem jaskini. — Objawienie pokazuje każdemu rycerzowi jego miejsce w planie Królowej Ciemności. Po raz pierwszy doznajemy go przy pasowaniu, potem jeszcze wiele razy, zmieniając się i płynąc z nurtem rzeki czasu.

Spojrzała na Kanga. Na jej czole pojawiła się bruzda. Knyki zaciśniętych dłoni zbieleły jeszcze bardziej, jakby zdarto z nich skórę, odsłaniając nagie kości.

— Mój dowódca od dwóch tygodni doznawał dziwnego i przerażającego Objawienia. Nie tylko on jeden. To samo widziało wielu innych rycerzy.

„Aha, wreszcie do czegoś dochodzimy” — pomyślał Kang. — A czego ono dotyczy, czcigodna pani? — Wiezę Najwyższego Klerysta oblegają...

— Rycerze solamnijscy — rzekł smokowiec, miotając przekleństwo. — Nie, nie rycerze. Prawdę mówiąc... — kobieta umilkła, 203

a jej słowa zabrzmiały bojaźliwie — Solamnijscy walczą po naszej stronie! Toczymy bój z przerażającymi istotami, demonami nie z tego świata. A może są z tego świata, lecz dotychczas; były uwięzione w bezdennej czeluści poniżej Otchłani. Teraz wdzierają się przez mury Wieży Najwyższego Klerysta. Kogośkolwiek dotkną, ten obraca się w nicość. Nie zostaje po nim nawet pamięć. Powiadają, że nawet zmarli boją się tych demonów. Lord Ariakan pada śmiertelnie ranny. Bogowie toczą wojnę w niebiosach. Walczą i przegrywają. — Huzzud mówiła szepcąc. Twarz miała bladą, oczy nieprzytomne i szeroko rozwarte. Znów doznawała Objawienia. — Drużyna bohaterów wyruszyła na bój z Ojcem demonów. Ojcem Wszystkiego, Ojcem Bogów Chaosu. To on przysłał te piekielne bestie, żeby nas unicestwić strącić nasze słońce z nieba, zepchnąć nas ponownie w pustkę z której nas stworzono. Nie zostanie po nas żadne wspomnienie

Kanga przeszły ciarki i łuski mu zagrzechotały. Jeśli ich wyprawa po jaja zakończy się niepowodzeniem, być może smokowcy znikną z powierzchni ziemi jako rasa, ale przynajmniej ktoś przechowuje pamięć o nich. Już teraz bardowie na całym Ansalonie opiewali ich czyny podczas Wojny Lancy. Pieśni nie były szczególnie pochlebne i przeważnie opowiadały o tym, jak ten czy inny bohater pokonał złych pachołków Królowej Ciemności. Przynajmniej jednak ktoś o nich pamiętał. Przynajmniej ktoś o nich śpiewał.

Kang próbował wyobrazić sobie nicość. Cały ból, cierpienie, miłość, nienawiść, śmiech,

męstwo, bohaterowie i zwykli ludzie, wszystko na nic, wszystko obrócone w nicość. — Co się stanie? — spytał smokowiec. W ustach mu zaschło.

— Bohaterowie ponoszą klęskę — rzekła cicho Huzzud. — Świat wpada w ręce Chaosu, a on zgniata go i otrzepuje pył z palców. Kang zamrugał powiekami.

— Więc taki ma być nasz koniec? Co robić? Siedzieć i czekać na śmierć?

— Nigdy — odparła ostro Huzzud. Otrząsnęła się i energicznie podjęła relację. — Objawienie się zmienia z upływem czasu. 204

ro, co widziałam w przyszłości, może się nigdy nie wydarzyć. Może wydarzyć się tylko częściowo albo wcale. Mamy wpływ na kształt Objawienia. W pewnym sensie spotkał nas najwyższy zaszczyt, bowiem dano nam walczyć u boku Bogów. Idzie pan, zdaje się, do Thorbardinu, panie pułkowniku?

Tak szybko zmieniła temat, że Kang w piewszej chwili osłupiał. Opanował się, wzruszył ramionami i powiedział: — Czyżby? To dla mnie nowina.

Huzzud z uśmiechem wzięła go za pazurzystą dłoń. Kang ze zdumieniem wbił oczy w mocne, chude, stwardniałe palce, które ścisnęły jego pokryte łuskami ciało. Pierwszy raz istota ludzka dotknęła go z własnej woli. Dłoń miała ciepłą, uścisk mocny.

— Był pan w moim Objawieniu, Kang. Dlatego komendant polecił mi pana odszukać. Mam panu przekazać wiadomość. Od Jej Wysokości Królowej Mroku. Jest z pana bardzo zadowolona, pułkowniku Kang. Od wielu lat żyje pan we wrogim świecie, przez cały ten czas dochowując jej wierności. Wykazał się pan inteligencją i rozumem. Inni wybiliby krasnoludów w waszej dolinie. Wy jednak pozwoliliście wrogom żyć i sami z kolei żyliście ich kosztem. Wasza mądrość została nagrodzona. Krasnoludowie przypadkiem znaleźli cenny skarb, zaiste, bardzo cenny. I nie mam na myśli stali ani drogich kamieni.

Kang wbił wzrok w Huzzud. Dłoń mu zadrżała. Kobieta nie mogła wiedzieć o krasnoludach. Nigdy jej o nich nie powiedział. A już na pewno nie mogła wiedzieć o mapie skarbu. Wiadomość więc rzeczywiście pochodzi od Królowej Ciemności. Spuścił głowę, pełen pokory i wdzięczności. Huzzud ścisnęła go mocniej za rękę.

— „W skrzyni ozdobionej moimi symbolami leży dziesięć jaj: dwa złote, dwa srebrne, dwa spiżowe, dwa mosiężne i dwa miedziane. W nich są samice smokowców. Żyją, a raczej będą żyły, kiedy ostatni czar zostanie rzucony”. Kangowi zamarło serce, jego nadzieje prysły.

— Jak rzucić ten ostatni czar? — spytał z goryczą. — Wśród nas nie ma kapłanów ciemności ani magów czarnych szat. — Nie będą wam potrzebni — powiedziała spokojnie Huz-

zud. — Ich dzieło zostało ukończone. Potrzebujecie tylko różdżki, bardzo specjalnej różdżki. — Jak ją poznam?

— „Jest z obsydianu i ma długość twojego przedramienia. Oplatają ją ciała pięciu smoków z drogocennych kamieni. Smocze głowy łączą się na czubku, ogony splatają się na końcu. Będziesz wiedział, jak jej użyć, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Wy-mów moje imię. Niczego więcej nie trzeba. Różdżka zrobi resztę.”

— Dziękuję, czcigodna pani. Powiedz Jej Wysokości... — ze wzruszenia słowa uwięzły Kangowi w gardle. — Powiedz, że nie wiem, jak dziękować.

— Ale ona wie — rzekła Huzzud z powagą. — Głęboko w podziemiach Thorbardinu żyją ci, którzy przyczynią się do zagłady Krynnu, jeśli się ich nie powstrzyma.

— Zniszczymy ich! — przysięgł Kang, zaciskając pięść. — Jeśli chce pani, żebyśmy wymordowali wszystkich krasnoludów w Thorbardinie, na całym Ansalonie, zrobimy to!

— Nie krasnoludów, pułkowniku Kang — powiedziała kobieta. — Nie słuchał mnie pan?

Wróg, z którym być może przyjdzie wam walczyć, jest nieporównanie straszniejszy od wszystkich innych żywych nieprzyjaciół na Krynnie. To stworzy Chaosu. — Co to takiego? — spytał Kang.

Huzzud wbiła wzrok w ciemność, widząc znów Objawienie. W końcu potrzęsła głową.

— Nie potrafię powiedzieć. Widzę tylko pożogę, bohaterów, którzy spopielają się i giną w płomieniach. Widzę, jak cały świat spopiela się i ginie w płomieniach. Przykro mi. Nic więcej nie wiem. Na tym się kończy moje Objawienie i moja wiadomość.

— Skąd mamy więc wiedzieć, z czym walczyć? — spytał zniechęcony smokowiec. — Skąd będziemy wiedzieć, że spotkaliśmy te potwory, tych wrogów Królowej Ciemności?

— Kiedy zobaczycie jej znak. Ten znak. — Huzzud wypuściła dłoń Kanga. Palcem obwiodła wizerunek pięciogłowego smoka na swoim napierśniku. — Wtedy będziecie wiedzieli, że to co robicie, robicie dla Jej Wysokości, na jej prośbę i z jej błogosławieństwem. 206

Wstała.

— To miałam panu przekazać, panie pułkowniku. Przykro mi, że wiadomość nie jest jaśniejsza. Mam nadzieję, że znajdziecie jaja. I że wasza rasa przetrwa. Kang również się podniósł.

— Mam nadzieję, że wszyscy przeżyjemy. Dziękuję, pani rycerzu. Dziękuję, że pani przyszła. Obudziła pani we mnie wielką nadzieję.

We dwoje podeszli do wyjścia z groty i stanęli. Nie śpieszyło im się wychodzić na palące słońce.

— Jesteśmy niedaleko Thorbardinu. Krasnoludowie czasami patrolują tę okolicę. Potrzebuje pani eskorty? — spytał smokowiec. — Mógłbym wysłać dwóch żołnierzy...

— Nie, dziękuję. — Huzzud wydobyla spod skórzanej zbroi amulet w kształcie czerwonego smoka na srebrnym łańcuszku. — Mój wierzchowiec jest w zasięgu sygnału.

— Żegnam zatem, pani rycerzu — rzekł Kang. — Dokąd uda się pani teraz?

— Do Wieży Najwyższego Klerysta — odparła Huzzud. — Kto wie? Może znajdę się wśród tych bohaterów, którzy pojedą w ostatni, decydujący bój. Żegnam, panie pułkowniku.

— Żegnam, pani rycerzu — powiedział Kang. — Oby okryła się pani chwałą w imię Królowej Ciemności.

Huzzud opuściła grotę i poszła ścieżką, która prowadziła wyżej w góry. Kang odprowadzał ją wzrokiem, póki nie zniknęła mu z oczu. Nawet wtedy stał jeszcze długo w wejściu do jaskini, zastanawiając się nad tym, co usłyszał, i powtarzając jej słowa w myślach.

Wyjął święty symbol, położył go sobie na dłoni. Potem wystawił go na palące słońce. Miał wrażenie, że skrzący się medalion jest zboczony krwią.

Pokornie padł na kolana i podziękował Jej Wysokości za łaskę. Krasnolud powiedział prawdę. W jajach byli smokowcy, samice smokowców! Przynajmniej on i jego towarzysze mogli teraz myśleć o przyszłości. Pomimo radości Kang jednak uświadamiał sobie okrutną 207

ironię losu. Teraz, kiedy wreszcie mieli po co żyć, przysiągł, że oddadzą życie w walce z tymi stworami Chaosu, czymkolwiek były.

„Gdyby jednak choćby kilku smokowców przeżyło bitwę, a młode samice udało się uwolnić ze skorupki jaj” — rozkoszował się tą myślą Kang — „ich przyszłość byłaby zapewniona”. Rozdział 29

Kiedy Kang się zbudził, stwierdził, że zapadł zmierzch. Był zmęczony, ale ciepło aprobaty Królowej koło jego znużenie. W dodatku dała mu zaklęcia, o jakie ją prosił. Czas było ruszać. Kiedy wrócił do obozu, Slith ledwo się ocknął. — Wypoczął pan choć trochę? — spytał jego zastępcę. — Trochę.

Zastanowił się, czy nie powiedzieć Slithowi, że widział Huzzud, która przyniosła mu

wiadomość od Królowej. Odrzucił ten pomysł. Slith był doskonałym żołnierzem i najlepszym przyjacielem Kanga, ale do ludzi odnosił się z cynizmem. Natychmiast zaczęłyby szukać dziury w całym, wskazywać luki i niejasności w jej opowieści i wkrótce nakłoniłby Kanga do zwątpienia w Huzzud, w Królową, w siebie samego. Lepiej zachować dla siebie zarówno nadzieję, jak i obawę. \*

Smokowcy wznowili marsz z chwilą, gdy słońce całkiem zaszło. Droga przez przełęcz Helefundis była trudna, połączyli się więc linami dla bezpieczeństwa. Kang rozkazał wszystkim obwiązać sobie pyski kawałkami płótna. Nie chciał, żeby w razie upadku któryś zdradził ich obecność krzykiem.

Przekraczanie przełęczy zajęło im całą noc. Po drugiej stronie grzbietu znaleźli się godzinę przed brzaskiem. Kang nakazał postój.

— Odpocznijmy, póki możemy. Poszukiwania zaczniemy, kiedy wstanie dzień. 208

Słońce wytoczyło się nad horyzont, prażąc żywym ogniem góry Kharolis i lejąc żar na doliny. Przed nimi rozciągało się ukryte w podziemiach wielkie miasto krasnoludów, Thorbardin. Jego wrota zamknięto z obawy przed rycerzami ciemności. Góra była odcięta od reszty świata. Wewnątrz czekały czujnie, gotowe do odparcia ataku, niezliczone tysiące krasnoludów. A Kang i dwudziestu smokowców będzie próbowało się tam zakraść.

Puścił wodze wyobraźni i pomyślał, co się stanie, jeśli odkryją jego i jego mały oddział. Nie trzeba będzie się martwić o groby. Tego był pewny.

O świcie Gloth rozkazał żołnierzom rozproszyć się i poszukać śladu krasnoludów. Po chwili Slith krzyknął: — Tutaj, panie pułkowniku!

Kang szybko podszedł, żeby zobaczyć. Trawę zdeптano i złażmano gałązkę na brzegu zarośli.

— Pójdiesz ze mną tędy. Reszta zostanie tutaj. Aha, Slith, jeśli niesiesz jakąś linę, zostaw ją.

Sivak był lekko zaskoczony tym dziwnym rozkazem, ale wykonał polecenie komendanta. Poszli z Kangiem tropem, który był niezwykle wyraźny. Po drodze natknęli się nawet na okruchy chleba i innego jedzenia, rzucone na pobocze. Krasnoludowie zupełnie nie dbali o zacieranie za sobą śladów. Najwyraźniej nie mieli pojęcia, że ktoś ich śledzi.

— Albo wabią nas śladem z okruszków, tak jak czarownica z kenderskiej bajki wabiła dzieci. — rzekł Slith. — Podobno na koniec je upiekła.

— Jeśli tak, zobaczymy jeszcze, kto kogo upiecze — warknął Kang.

Szli przez prawie milę, a potem nieoczekiwanie ślad się urwał. Smokowcy stanęli przed litą ścianą góry. — Co teraz, panie pułkowniku?

— Mam zakłęcie, które pozwala mi znajdować pewne przedmioty. Domyśliłem się, że skoro krasnoludowie schodzą do podziemi tajną drogą, wejściem tym musi być stara sztolnia albo szyb wentylacyjny. Cóż innego mogłoby to być? 209

Slith zastanowił się. — Ma pan rację.

— W takim razie będą musieli użyć liny, żeby spuścić się w dół. Rzucę czar, który znajduje sznury.

— To genialny pomysł, panie pułkowniku. — Slith był pod wrażeniem. — I taki prosty. Dlatego kazał mi pan zostawić linę. — Ciebie nie muszę szukać — powiedział Kang z uśmiechem. — A co, jeśli nie posłużyli się sznurami?

— Wtedy będziemy mieli kłopot. Miejmy nadzieję, że tak nie jest.

Wziął do prawej dłoni rozdwojoną różdżkę. Wymawiając słowa zaklęcia, lewą ręką nakreślił w powietrzu symbol i wyciągnął patyk przed siebie. Obaj ze Slithem utkwili w nim wyczekujący wzrok. Różdżka ani drgnęła.

— Psiakrew! Wejście musi być gdzieś niedaleko! Przecież ci przekłeci krasnoludowie nie odfrunęli. Poszukaj śladów na północy — rzekł rozzłoszczony Kang. — Ja pójdę wzdłuż tej ściany na



południe. Po przejściu pięciuset kroków spotykamy się znów tutaj. — No i co? — spytał Kang, kiedy się spotkali.

— Niczego nie znalazłem, panie pułkowniku. Czy mam zawołać resztę drużyny?

— Nie, mają ze sobą za dużo lin. — Kang zastanowił się. — Spójrzmy na to logicznie. Sztolnia albo szyb wentylacyjny musi wychodzić na powierzchnię gdzieś ponad poziomem gruntu. W innym przypadku kopalnię na dole zalewałoby przy każdym deszczu.

— Ma pan rację. Nie przyszło mi to do głowy. — Slith rozejrzał się i nagle wskazał na zachód. — Może tam?

Machnął ręką w stronę niedużego ostańca w odległości kilkuset jardów. Czym prędzej podeszli tam z Kangiem, po drodze szukając śladów. — Aha! — Slith wskazał stratowaną sosenkę.

Kang wdrapał się na pierwszy gładz wiodący do ostańca. Jeszcze raz spróbował użyć zaklęcia i tym razem patyk drgnął, tak gwałtownie, że omal go nie upuścił. Wskazywał wzwyż. 210

Podeksycytowany smokowiec wspiał się na następną skałę i wtedy zobaczył, że drogę zagraża mu gąszcz kolczastych jeżyn. Rozdwojona różdżka pokazywała wprost na krzaki. — Niech pan to zobaczy! — zawołał Slith. Zdjął z kolców kilka pasemek brązowych włosów.

— Niech ja w domu nie nocuję, jeśli to nie z brody krasnoluda! A to, widzi pan? Połamane gałązki, więcej włosów, a tu strzępek tkaniny. Nie ma wątpliwości, że szli tędy.

Kang przedarł się przez ciernie, które nie wyrządziły wielkiej szkody jego łuskowatej skórze. Pod krzakiem jeżyn znaleźli duży kamień, który przypominał korek w ścianie góry.

— Pozbądźmy się tego paskudztwa — powiedział Slith, wyciągając miecz i wyrabując jeżyny.

Kang wetknął różdżkę za pasek. We dwóch oczyścili kamienią zatyczkę z ciernistych pnączy. Po wycięciu zarośli chwycili kamień z obu stron i bez trudu go podnieśli.

Pod spodem zobaczyli szyb, który prowadził prosto w dół i niknął w ciemności. W słońcu wyraźnie było widać sznury przymocowane do haków w ścianach studni. — To tutaj! — powiedział Kang. Rozdział 30

Krasnoludowie spuszczaali się po linach na dno szybu wentylacyjnego. Odbywało się to przy wtórze potwornych łomotów, stuków, przeklinania i rozmów, które ich zdaniem prowadzono głośnym szeptem, choć inne rasy uznałyby to za krzyki.

Selquist, który schodził pierwszy, wciskał głowę w ramiona. Do Thorbardinu było jeszcze daleko, lecz zważywszy na hałas, jaki robiła jego drużyna, nie zdziwiłby się, gdyby na dnie wszyscy Hylarowie czekali na ich przybycie. Najgorsze, że Moortan i jego żołnierze wyobrażali sobie, że są przebiegli i zwinni.

— Spróbujcie zachowywać się trochę ciszej! — odważył się zawołać, kiedy stanął na dnie. 211

— Co on powiedział? — zagrział Moortan.

— A bo ja wiem? Nic nie słyhać! — odkrzyknęło kilku krasnoludów. Na dodatek któryś upuścił kilof, który spadł na ziemię z nieziemskim brzękiem i omal nie odciął Selquistowi stopy.

— Niech was wszystkich Chemosh porwie — mruknął krasnolud pod nosem. — Co z tobą? — spytał Moździerz, który szedł za nim. Krasnolud zeskoczył i potrząsnął głową. — Tak nie można — powiedział. — Po prostu tak nie można.

— Czego nie można? — Selquistowi przyszło na myśl, że coś się stało na górze.

— Mnie tu nie powinno być — rzekł cicho Moździerz. — Obiecałem Reorxowi, że nie będę więcej kraść i...

— Och, na miłość... — jęknął Selquist. — Już to przerabialiśmy. My nie kradniemy. Inni kradną za nas. My tylko... — szukał natchnienia — jesteśmy gospodarni. Robimy użytek z cennych materiałów, które inaczej poszłyby na marne. Moździerz zawahał się i rozważył nowy pomysł. —

Nie jesteśmy paserami?

— Ależ skądże — uspokoił jego sumienie Selquist. — To przestępstwo uległo przedawnieniu. Właściciele otrzymali pieniądze z ubezpieczenia. Nie chcą już tego towaru. Może go wziąć każdy, kto chce.

— Aha. — Po chwili zastanowienia Moździerz uznał, że pomysł mu się podoba. Zaczekał, żeby podzielić się wiadomością z bratem, który właśnie schodził po linie.

Selquist pokręcił głową. Jak gdyby mało miał kłopotów, musiał jeszcze zadawać się z krasnoludem, w którym nagle odezwało się sumienie! Chwycił Świdra, który właśnie stanął na ziemi i pociągnął go za sobą do drugiej liny, po której z grzechotem opuszczali się żołnierze.

Moortan wreszcie zszedł na dół. Stojąc na dnie, kierował okrzyki zachęty do tych, którzy wisieli nad nim. Selquist z trudem powstrzymał się od zaduszenia generała. — Moorpacanie — rzekł, szturchając go w plecy. 212

Krasnolud podskoczył i odwrócił się. Zrobił gniewną minę, kiedy zobaczył, z kim ma do czynienia. — Nazywam się Moortan, a w ogóle czego chcesz?

— Świder i ja idziemy trochę się rozejrzeć. Ty i reszta zaczekajcie na nas w tym tunelu. Moortan zmarszczył brwi i zrobił podejrzliwą minę.

— Gdzie idziesz? Nie masz chyba zamiaru nas zostawić i uciec ze skarbami?

Selquist zebrał resztki cierpliwości, powstrzymując się przed rzuceniem się generałowi do gardła.

— Nie, nie mam takiego zamiaru. Zostawiam Moździerza i Tłuczka jako gwarancję tego, że wrócę. Oni mają mapę. A co do tego, gdzie idę, idę rozejrzeć się po Thorbardinie. Robicie tyle hałasu, że moglibyście zbudzić Ósme Królestwo! Powinniśmy zobaczyć, czy Hylarowie już chwycili za broń.

Widać było jak na dłoni, że Moortanowi nie spodobał się ten pomysł, ale musiał przyznać, że z wojskowego punktu widzenia przeprowadzenie rozpoznania wśród nieprzyjaciela miało sens. Poza tym, nadal miał Moździerza, który posiadał mapę.

— Zgoda — warknął Moortan. — Tylko uwińcie się szybko. Jeśli nie wrócicie za godzinę, pójdziemy dalej bez was.

Selquist kiwnął głową i oddalił się ze Świdrem. Ich odejściu towarzyszył brzęk upuszczanej łopaty.

— Dokąd idziemy? — spytał po chwili Świder. — Zeszłym razem szliśmy w innym kierunku.

Kiedy znaleźli się z dala od drużyny, Selquist wspiął się na ścianę, która z pozoru wydawała się całkiem gładka, jednak drogą eksperymentalną Świder odkrył, że wykuto w niej kilka płytkich stopni. Po wejściu na górę Selquist wpęłzył do kolejnej sztolni. Tunel był tak wąski, że krasnoludowie zmuszeni byli chodzić na czworakach, a nawet wtedy stukali głowami w sklepienie.

— Jak już mówiłem Moortanowi — rzekł Selquist — pójdziemy zobaczyć, co słychać w Thorbardinie. — Naprawdę? — zdumiał się Świder. — Mówiłeś serio?

— Oczywiście — odparł wyniośle jego towarzysz. — Nie zawsze kłamię. 213

— Dlaczego nie szliśmy tędy wcześniej? — spytał Świder. Pomimo uderzania głową w sufit i obcierania sobie dłoni o skałę, ta trasa wydawała się łatwiejsza niż poprzednia.

— Sam zobaczysz — zapowiedział Sekjuist i w końcu Świder zobaczył.

Tunel skończył się niespodziewanie, a dalej ziała przepaść. Świder bojaźliwie wystawił głowę i daleko, daleko w dole ujrzał miasto. Rojący się tam krasnoludowie przypominali mrówki w mrowisku, na które ktoś nadepnął. Przełknął ślinę i pośpiesznie się wycofał, trzymając się obydwiema rękami ścian tunelu.

— To mi się nie podoba — powiedział cienkim głosem. — Wracajmy!

— Chwileczkę. — Selquist wychylał się niebezpiecznie poza krawędź i spoglądał w dół. Od samego patrzenia na to Świdrowi robiło się niedobrze. — Coś się tam dzieje. Nigdy jeszcze nie widziałem takich tłumów na ulicach. Nie wiem, co robią, ale wydaje mi się... Umilkł.

— Tak? Co? Możemy już iść? — żałośnie spytał dygocący Świder. — Oni toczą wojnę — stwierdził w końcu Selquist. Jego kompan wytrzeszczył oczy.

— Z czarnymi rycerzami? Myślałem, że Hylarowie zamknęli wrota góry!

— Bo zamknęli — rzekł Selquist. — Oni toczą wojnę ze sobą nawzajem.

Wycofał się w głąb tunelu i milczał przez dłuższą chwilę. Siedział tak cicho i miał tak poważną minę, że Świder się przestraszył. — Nie gonią nas chyba?

— Nie, nie gonią nas. — Selquist westchnął. — Mają większe problemy. Krasnoludowie walczą z krasnoludami. To jakieś niegodne. — Ludzie stale biją się między sobą — zauważył Świder.

— Bo to ludzie — rzekł pogardliwie Selquist. — My podobno jesteśmy od nich lepsi. 214

— Kto walczy z kim?

— Nie widzę wyraźnie. Podejrzewam, że Theiwarowie wreszcie zrobili to, czym grozili od tylu lat. Próbują przejąć władzę w Thorbardinie. Wygląda na to, że walki rozprzestrzeniają się od ich miasta — tego, które odwiedziliśmy zeszłym razem.

Świder, przypomniawszy sobie karczmarkę i jej bokobrody, wyraził nadzieję, że nikomu się nie stanie krzywda.

— Jest wojna — powiedział Selquist. — Wielu stanie się krzywda. — Potrząsnął głową, wzruszył ramionami. — Ano, cóż zrobić. Przynajmniej nimi nie musimy się już przejmować. Zawrócił i zaczął się czołgać z powrotem.

— To i dobrze — stwierdził pełną za nim Świder — skoro naszym tropem idą smokowcy.

Selquist mocno stuknął głową w sufit. Wykręcił szyję i wlepił wściekły wzrok w Świdra. — Co powiedziałeś?

— Powiedziałem, że to dobrze, że nie musimy się przejmować Hylarami. — Nie to! To o smokowcach. — Oni idą za nami. Nie wiedziałeś?

— Oczywiście, że wiedziałem — rzekł Selquist. — To był mój pomysł. Ale nikt inny miał o tym nie wiedzieć. Czy ktoś jeszcze wie? — Najwyraźniej się wystraszył. — Powiedziałeś komuś?

— Powiedziałem tobie — stwierdził Świder po chwili głębokiego namysłu. — Ja się nie liczę! Komuś innemu! Moździerzowi? Tłuczkiowi? — Nie.

Selquist odczuł ulgę, która jednak szybko znikła, kiedy Świder dodał: — To oni powiedzieli mi. Krasnolud jęknął. — Czy już wszyscy w tej przeklętej drużynie wiedzą?

— Nie sędzę. Moździerz powiedział, że bym nie wspominał o tym Moortanowi ani reszcie jego podwładnych. Powiedział, że się domyślił, że to część twojego planu, i że wpadłeś na piekielnie chytry pomysł. 215

— Moździerz tak powiedział? — Selquist był zadowolony. — Piekielnie chytry pomysł? Świder pokiwał głową.

— Ma rację — stwierdził Selquist. — To był piekielnie chytry pomysł. Znow zaczął szybko iść na czworakach.

— Nie rozumiem — stwierdził Świder, drepcąc za nim. — Chcesz, żeby smokowcy szli naszym tropem?

— Oczywiście. Skąd inaczej wiedzieliby, gdzie szukać tajnego wejścia?

Świder przyswoił to sobie. Wydawało mu się, że ten pomysł ma pewną wadę. — A my chcemy,

żeby znaleźli tajne wejście?

— Oczywiście. Jak inaczej dostaliby się do środka i zaprowadzili nas do skarbu? Świder przyswoił sobie również i tę nowinę. — Dlaczego zaprowadzą nas do skarbu? — Ponieważ mają mapę! — zawołał triumfalnie Selquist. — My też mamy. — Ale kiepską. Tak będzie dużo pewniej. Świder czołgał się w ciemności i myślał.

— A co będzie, jeśli smokowcy postanowią zabrać skarb dla siebie?

— Nie zrobią tego. Ich obchodzi tylko jedno — jaja smokowców. Krasnolud sapnął z wrażenia. — Jaja? Skąd oni wiedzą o jajach? — Ja im powiedziałem. — Selquist zrobił zarozumiałą minę. — Dlatego śledzą nas. I dlatego my będziemy śledzić ich! Piekielnie chytry pomysł, co nie?

Świder oniemiał z podziwu dla niewiarygodnej przebiegłości tego planu.

— Jeszcze tylko jedno. Czy smokowcy nie wściekną się, kiedy zobaczą, że Moortan tłucze jaja? — To już jego problem — rzekł bez troski Selquist. Dwaj krasnoludowie poczołgali się dalej. 216

\*

Po powrocie Selquist i Świder stwierdzili, że krasnoludowie bezpiecznie zeszli na dół. Moortan stał na dnie szybu wentylacyjnego i zastanawiał się, jak zdjąć liny.

— Zostaw je — poradził Selquist. — Przydadzą się smokowcom.

— Sam nie wiem — rzekł z powagą Moortan. — Wydaje mi się, że... — Oczy mu wyszły na wierzch. — Co? Co? Smokowcy? Jacy smokowcy? — zabełkotał.

— Nie powtarzaj się, Moorpacanie. Wyglądasz wtedy na jeszcze głupszego niż zwykle. Oczywiście smokowcy, którzy szli naszym śladem. Smokowcy, którzy mają jedyną dobrą mapę. Potrafię doprowadzić nas i ich do punktu wyjścia, ale potem nasza mapa robi się trochę niejasna, więc będziemy musieli polegać na nich. Moortan zaniemówił.

— Zamknij buzię, Moorpacanie — dokończył Selquist — bo ci wleci do niej prusik. Powinieneś mi dziękować. Zrobię z ciebie bohatera! Twoje imię będzie żyło w legendach i pieśniach przyszłych wieków. Objął ramieniem osłupiałego generała i odciągnął go na bok. — Oto mój plan...

Rozdział 31

Ostatni smokowiec zszedł na dół po linie. Kang czekał nadnie szybu, aby się upewnić, że wszyscy dotarli bezpiecznie. „Mogliśmy przecież użyć skrzydeł” — pomyślał. „Trzeba było poszybować, a nie zawracać sobie głowę sznurami.”

Nie umiał jednak ocenić, jak szeroki jest tunel, nalegał więc, aby wszyscy zeszli po linie. Nie chciał, żeby ktoś złamał sobie skrzydło w przypadku nagłego zwężenia się szybu.

Jeden z sivaaków, który zszedł pierwszy, poszedł na zwiad. Wrócił z meldunkiem. 217

— Przed nami pusto, ale wszędzie cuchnie krasnoludami. Byli tutaj, i to niedawno. Miło z ich strony, że zostawili liny.

— Prawda? — mruknął Kang. — Tym małym draniom wydaje się, że są tacy przebiegli. Uważajcie na zasadzki. — Wyjął mapę. — Slith! Poświeć mi tu.

Zastępca komendanta pułku przyniósł lampkę oliwną, która wśród złodziei nosiła miano ślepej latarni. Zrobiona z żelaza, miała ruchome metalowe płyty, które można było podnieść, aby odsłonić płonący w środku knot. Kiedy były zamknięte, światła w ogóle nie było widać. Slith trzymał latarnię nad mapą.

— Droga do skarbu zaczyna się w dużej komorze. Nie może być zbyt daleko. Proszę spojrzeć, tu zaznaczono Południową Bramę, a tu Północną. Tutaj my jesteśmy, trochę na zachód od punktu dokładnie pomiędzy nimi. A tam jest komnata, niedaleko na północ od nas.

— Ale tam na dole jest prawdziwe szcurze gniazdo — oznajmił z odrazą Slith. — Tunele i szyby prowadzące we wszystkich kierunkach. Jak znajdziemy właściwy?

— To proste — rzekł Kang, uśmiechając się szeroko i chwytając mapę do sakwy. — Pójdziemy za krasnoludami. Zgaś światło. Slith, idziesz na szpicy.

Smokowcy, podobnie jak ich smoczy przodkowie, w jaskiniach i tunelach czuli się jak u siebie w domu. Kiedy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, mogli iść szybkim krokiem.

W jednym z korytarzy zapach krasnoludów był wyjątkowo silny. Był to tunel, w którego podłodze biegły dwie żelazne szyny.

Smokowcy ustawili się w pojedynczym szeregu i weszli do środka. Droga była prosta. Obszerny tunel prowadził prosto do wnętrza góry. Nie miał żadnych odgałęzień, nie skręcał ani nie zawracał.

Podążali za zapachem krasnoludów, który był coraz silniejszy i świeższy. Po jakiejś godzinie zobaczył, że idący na przodzie Slith macha do niego. — Zaczekajcie tutaj — rozkazał Kang i poszedł naprzód. — Co się stało? Slith otworzył przesłone latarni. Ze środka strzelił snop żół-

tego światła i padł na leżące na podłodze tunelu strzępy dwóch martwych krasnoludów. Obaj zakuci byli w metalowe zbroje i ściskali w dłoniach miecze. Obu brutalnie rozerwano na kawałki i obgryziono do gołych kości.

— Nie jestem tchórzem, panie pułkowniku — powiedział Slith — ale wyznam szczerze, że nie chciałbym spotkać stworzenia, które to zrobiło.

— Ja też nie jestem tchórzem i zgadzam się z tobą — powiedział Kang. Obejrzał szczątki. — Nie żyją od jakiś dwudziestu lat. Miejmy nadzieję, że cokolwiek to zrobiło, już się stąd wyniosło. Mimo wszystko miejcie oczy szeroko otwarte.

— Tak jest, panie pułkowniku. Właśnie to chciałem panu powiedzieć. Przed nami jest zakręt — rzekł cicho Slith. — To byłoby świetne miejsce na zasadzkę. Dla krasnoludów albo... czegokolwiek. — Tak jest. Idź dalej. Będziemy cię osłaniać.

Slith zamknął przegrodę, zasłonił światło i oddalił się chylikiem. Kang zebrał oddział i kazał wszystkim stanąć w pobliżu zwłok krasnoludów.

Slith ostrożnie zbliżył się do zakrętu. Tuż przed nim zatrzymał się. Ściana była wilgotna, skądś z góry ściekała woda. Skała lśniła lekko.

Stał nieruchomo, czekając, aż ciepłota jego ciała nie zrówna się z temperaturą jaskini. Wtedy stanie się niewidzialny dla krasnoludów, którzy podobnie jak smokowcy dostrzegali w ciemnościach przedmioty, które wydierały ciepło. Stanie się również niewidzialny dla innych stworzeń, które mogły się czaić w mroku.

Kiedy uznał, że ochłodził się wystarczająco, wysunął się zza zakrętu, przywierając plecami do ściany.

Niczego nie zobaczył ani nie usłyszał. Otworzył przesłone latarni i szybko poświecił dookoła. Tunel biegł dalej prosto, w świetle błyszczały tory.

Slith gwizdnął na znak, że droga wolna, i poszedł dalej. Kang i jego drużyna cicho maszerowali za nim.

Po następnej godzinie doszli do małej komory, za którą znajdowała się kolejna niewielka sala. Śląc po śladach kilofów, 219

Hylarowie sporo tam kopali. Przypuszczalnie trafili na żyłę rudy żelaza. Było bardzo niewiele odpadków, żadnych porzuconych narzędzi. Krasnoludowie zawsze zostawiali po sobie porządek w miejscu pracy, co Kang uważał za zwyczaj godny pochwały. Smokowcy przebyli dwie groty i kiedy znów wyszli na korytarz, wrócił Slith,

— Z tej mniejszej komory jest przejście do olbrzymiej pieczary — zameldował. — Znacznie większej od dwóch poprzednich. Poza tym coś znalazłem. Wygląda na to, że nasi przewodnicy zatrzymali się i ugotowali sobie obiad. — Jak dawno temu?

— Ognisko było chłodne. Moim zdaniem, jakieś pięć lub sześć godzin.

Kang wszedł do pieczary, rzeczywiście olbrzymiej, jak powiedział Slith. Domyślił się, że dawno temu, kiedy ta część kopalni była jeszcze czynna, tutaj odbywał się ładunek i rozładunek wózków z rudą.

Pod przeciwną ścianą stało dwadzieścia mniej lub bardziej zniszczonych i zardzewiałych wagoników. Na podłodze leżały rozsypane kółka, ośki i zawiasy. Albo krasnoludom nie chciało się posprzątać tego stanowiska, albo uciekli stamtąd w pośpiechu.

Kang przypomniał sobie trupy, które znaleźli, i miał nadzieję, że jeśli jakiś potwór wciąż grasował w tych korytarzach, wołał krasnoludów od gadów. — Wystaw strażę — rozkazał Slithowi. — Tu odpoczniemy. — Zapalić pochodnie?

— Właściwie możemy. Przynajmniej się rozejrzemy. To może być ten punkt wyjściowy, który widzieliśmy na mapie — stwierdził Kang.

Smokowcy zapalili łuczywa, ale komnata była tak rozległa, że światło nie sięgało sufitu. Strażnicy z pochodniami zatrzymali się, kiedy natrafili na ścianę.

Wkrótce oświetlono całą grootę. Z rosnącym podnieceniem Kang dostrzegł, że miała kształt ziarna fasoli, a naprzeciwko niego znajdowała się ściana z potężnych bloków litego kamienia. Mur odcinał dostęp do jednej ze ścian pieczary. 220

Smokowiec wyjął mapę i przyjrzał jej się w świetle łuczywa. Pierwsza komnata, punkt wyjściowy na mapie, miała kształt fasolki. Zaznaczono również zamurowaną ścianę.

— Wielkie dzięki — rzekł z satysfakcją Kang, rzucając okiem na wygaszone ognisko krasnoludów. — Zaprowadzili nas do właściwego miejsca.

Smokowcy posilili się i odpoczęli. Kang i Slith studiowali uważnie mapę.

— Tam powinno znajdować się wyjście — Kang wskazał na prawo. — Viss! — zawołał jednego z wartowników. — Idź tam ze światłem. Co widzisz? Sivak zaniósł pochodnię do wskazanego miejsca. — Wyjście, panie pułkowniku — zameldował. Kang rzucił okiem na mapę. — Czy biegną tamtędy żelazne szyny? — Tak jest. Slith ścisnął komendanta za przedramię. — To tutaj, panie pułkowniku! To tutaj!

— Tak. — Kang nie mógł wykrztusić nic więcej. Wezbrała w nim fala radości, od której oniemiał i omal się nie zatchnął. Zmówił bezgłośnie modlitwę dziękczynną do Królowej i ponownie zapewnił ją o swej wierności.

— Powinien pan coś zjeść — powiedział Slith, przynosząc mu skrawek suszonego mięsa i kawałek czerstwego chleba.

Były to już resztki zapasów. Kang zostawił baazów w osadzie i nakazał im zapolować — na jelenie i króliki, nie krasnoludów, wątpił jednak, czy znajdą cokolwiek. Susza zmusiła zwierzynek do szukania paszy i wody w rejonach mniej surowych niż góry. Jak jego żołnierze przeżyją tę zimę?

Kang odpędził te myśli. Nie wszystko na raz. Nie był głodny, ale zmusił się do jedzenia, aby nie opaść z sił. Rozkazał zmienić warty, żeby reszta oddziału mogła się posilić, a potem znów popatrzył na mapę. Slith oglądał wyjście. — No i co? — spytał Kang, kiedy sivak wrócił. Slith podrapał się po głowie. 221

— Tunel wykuto dla krasnoludów. Będziemy musieli iść zgięci w pół. Coś jeszcze. Nie czuć smrodu. Zdumiony smokowiec podniósł oczy. — Jakiego smrodu?

— Krasnoludów, panie pułkowniku. Nigdzie ich nie zwie-trzyłem.

Kang narysował pazurem pierwszą część drogi zaznaczonej na mapie. Trasa wiła się i zakręcała. Smokowiec uśmiechnął się i parsknął śmiechem. — Oni nie mają mapy! Już źle skręcili. — Do tego miejsca jednak dotarli — twierdził Slith.

— Sam mówiłeś, że tu już kiedyś byli. Drogaszła prosto, był tylko jeden zakręt. Tę komnatę łatwo znaleźć, z resztą jednak nie pójdzie tak łatwo. Spójrz na to. — Pokazał rozdroże z czterema korytarzami, z których tylko jeden prowadził do skarbu. — Bez mapy mogą tu błądzić miesiącami.

Kiedy ostatni wartownik skończył jeść, Kang wydał rozkazy.

— Będziemy szli, póki zmęczenie nie zwali nas z nóg. Tutaj nie ma dnia ani nocy, więc pójdziemy tak daleko, jak zdołamy, znajdziemy bezpieczne miejsce na odpoczynek, a po obudzeniu się ruszymy w dalszą drogę. Zrobił przerwę, a następnie dodał: — Miejcie oczy i uszy otwarte.

Wszyscy skinęli głowami. Widzieli trupy. Spakowali swoje rzeczy i wymaszerowali.

— Pójdę na przedzie, Slith. Ty idź tuż za mną. W czasie drogi nie odsłaniaj ślepej latarni. Oświetlę nią sobie mapę, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Dzięki torom łatwo im się szło nawet w ciemności, tak gęstej, że nocny wzrok smokowców z trudem przenikał tę nieskończoną czerń. Zwolnili kroku. Tunele się zwężyły, a wysokość miały dostosowaną do wzrostu krasnoluda. Smokowcy zmuszeni byli się schylać i zawadzali skrzydłami o sufit.

Kiedy Kang omal nie uderzył głową w przekrzywioną belkę, zarządził postój. Dałby wszystko, żeby móc się wyprostować. 222

Plecy go bolały od ciągłego zginania się w pół. Przykucnął na podłodze i trochę mu ulżyło. — Spójrzmy na mapę — rozkazał.

Slith odsłonił ślepe latarnię, która rzuciła nikłe światło na pergamin.

— Przed nami jest jakaś otwarta przestrzeń — rzekł Kang i dodał — Dzięki Królowej! Przynajmniej wyprostujemy się i będziemy chodzić normalnie, nie jak gobliny. Nie zakrywaj światła. Przez ten mrok posuwamy się wolniej. Jeśli coś nas zobaczy, niech spróbuje napaści. Lepsze to niż nabijanie sobie guzów po ciemku. Poszli dalej.

Po godzinie męczącego marszu dotarli do komory o niewielkich rozmiarach, ale sklepieniu dość wysokim, aby mogli się wyprostować, pomasować obolałe plecy i pomachać zeszytymi skrzydłami.

— Jesteśmy przy kolejnym rozwidleniu. Którędy teraz, panie pułkowniku? — spytał Slith. Kang wyjął mapę.

Trzykrotnie dochodzili do rozgałęzień w linii podziemnej kolejki. Czasami z mapy wynikało, że powinni skręcić w prawo, czasami w lewo. Kang jednak zauważył, że zawsze szli wzdłuż torów.

Zaczął się domyślać dlaczego. Daewarowie załadowali łupy na wagoniki i zaciągnęli je na przeznaczone miejsce. Był to świetny pomysł, o którym już rozmawiał ze Slithem. Skarby przywieziono po torach. Po torach również zostaną wywiezione. Gloth zbliżył się i zasalutował. — Panie pułkowniku, coś słyszę.

— Tak — powiedział Slith. — Ja to też słyszę od jakiegoś czasu. Coś jakby szuranie i chrzęst, a potem odgłosy cichną. Czasami wydaje mi się, że dobiegają z tyłu, czasami słyszę je przed sobą.

— Ja słyszałem to samo. To pewnie krasnoludowie — stwierdził Kang. — Gdzieś się błakają w ciemności. W korytarzach dźwięk ulega zniekształceniu i niesie się całymi milami. Chodźmy dalej. 223

— Mam nadzieję, że to krasnoludowie, a nie coś, co się nimi żywi — Gloth szepnął do Slitha. — Ja też — odparł sivamente.

Wyciągnął miecz. Reszta również wydobyła broń i schyliwszy się z jękiem, weszła do kolejnego korytarza.

Światło wpadło do tunelu, przeniknęło gęstą ciemność, pełzało po skałach, belkach i połyskujących żelaznych szynach.

Po następnej godzinie marszu smokowcy dotarli do miejsca, w którym korytarz rozgałęział się na trzy odnogi. Kiedy Kang patrzył na mapę, płomyk latarni zaczął mrugać. — Muszę dolać oliwy — powiedział Slith.

— Dobrze. Przy okazji wyślij kogoś, żeby zbadał wszystkie trzy sztolnie. Niedaleko. Jakies dwieście kroków w głąb. Sprawdź, czy uda się znaleźć źródło tych dźwięków.

Slith wydał komendy. Trzech siva- ków wystąpiło z szeregu, każdy wszedł do innego tunelu i zniknął w ciemności.

Zastępca komendanta napełnił oliwą latarnię. Znów przyglądali się z Kangiem mapie, kiedy rozległ się tupot. Jeden z siva- ków wrócił biegiem.

Kang zerwał się na równe nogi. Reszta smokowców stanęła w szyku bojowym za swoim dowódcą. Sivak podbiegł i zasalutował.

— Usłyszałem, że w tamtym tunelu coś się porusza, panie pułkowniku. — Pokazał lewe odgałęzienie. — Jak daleko przed nami? — spytał Kang.

— Uszedłem jakies sto kroków. Stałem, żeby przez chwilę posłuchać. W oddali usłyszałem ciche szuranie. Nie wiem z jakiej odległości dobiegał ten dźwięk. Może dziesięciu stóp, może dziesięciu mil. Miałem jednak wrażenie, że rozlegał się przed nami. Kang uśmiechnął się. — To na pewno krasnoludowie. Doskonale. Źle skęcili. Na mapie zaznaczony był środkowy korytarz. Smokowcy odprężyli się i usiedli, żeby odpocząć i zaczekać na pozostałych zwiadowców. Ci jednak po powrocie zameldowali, że niczego nie słyszeli. — Wyprzedzamy teraz krasnoludów — rzekł Kang do żoł-

nierzy. — Wiem, że jesteście zmęczeni. Ja również. Wykorzystajmy jednak naszą przewagę.

Weszli do środkowego tunelu. Sufit był w tym miejscu trochę wyższy, wystarczyło, że schylili głowy i zgarbili plecy. Na następnych dwóch rozdrożach skęcili w prawo.

Kang pomyślał o tym, jak przyjemnie byłoby iść wyprostowanym, oddychać świeżym powietrzem, wygrzewać się w słońcu. Zbyt długo żył na otwartej przestrzeni. Zaczynał mieć serdecznie dość tego tunelu.

Światło latarni Slitha rozproszyło się i rozświetliło niewielkie wyrobisko po prawej stronie. Kang stanął i gestem zatrzymał drużynę. — Lepszego miejsca nie znajdziemy. Prześpimy się tu trochę. Slith przyznał mu rację.

— Czy zgodzi się pan, żebym wysłał trzech żołnierzy na zwiady? Są przed nami jakieś rozstajne drogi? Kang spojrział na mapę.

— Jakies półtorej mili stąd korytarze się rozgałęziają. Trzeba przejść przez most nad głęboką przepaścią. Rozwidlenie jest po drugiej stronie. Powiedz im, żeby zatrzymali się tam, posłuchali i wrócili. Gdzie jest Gloth? — Tutaj, panie pułkowniku. — Bozak zbliżył się. — Masz jeszcze zaklęcia?

Gloth poszukał w pamięci. Potrafił dać sobie radę tylko z najprostszymi czarami. Kiedy miał do czynienia z czymś trudniejszym, zapominał słów, mylił je, nie pamiętał o narysowaniu symbolu albo gubił niezbędne substancje. Kang cierpliwie pracował z nim, póki Gloth nie nauczył się wreszcie zapamiętywać kilku nieskomplikowanych zaklęć.

— Pójdiesz ze zwiadowcami. Może im się przydać twoja magia.

Bozak zasalutował. Chwilę później zniknął w czeluściach tunelu wraz z trzema siva- kami. Slith wszedł do komory i poświecił latarnią.

W obszernym pomieszczeniu leżały narzędzia, wśród nich trzy ogromne młoty. Przed wejściem stało sześć wagoników. Sądząc po

225  
stertach podkładów kolejowych i kilku wygiętych szynach, roz-  
rzuconych na podłodze, był to



niewątpliwie warsztat remontowy, którego krasnoludowie używali podczas konserwacji torów.

Smokowcy rozłożyli się obozem w środku i wystawili strażę przy wejściu.

— Muszę trochę odpocząć, żebym mógł odnowić zapas zaklęć — poinformował Slitha Kang. —

Ty weź mapę.

Wyjął święty symbol, ścisnął go mocno w garści i znalazł ciemny kąt. Nie musiał przyciągać uwagi Jej Wysokości. Prawie od razu wyczuł jej obecność, jak gdyby Królowa go obserwowała. Ta myśl natchnęła go otuchą. Uśmiechnął się i wpadł w trans. \*

Kiedy jakiś czas później Gloth i jego zwiadowcy zameldowali się u Slitha, Kang spał mocno.

— Cicho — szepnął zastępca komendanta, wyprowadzając ich na zewnątrz. — Nie zbudźcie dowódcy. Co się stało? Znaleźliście krasnoludów?

— Nie, panie podpułkowniku. — Gloth pokazał swoją trasę na mapie. — Przepaść jest tam, gdzie wskazał komendant. Tylko mostu nie ma. Właściwie jest, ale brakuje środkowego przęsła. Zostawiliśmy ekwipunek i przelecieliśmy na drugą stronę...

— Psiakrew! — zaklął Slith. Gloth był zaskoczony. — W czym rzecz? — Mówisz, że most jest zerwany?

— Tak, ale to tylko jakieś dwadzieścia stóp. Bez trudu przedostaliśmy się...

— Po zostawieniu całego ekwipunku! — Slith puknął Glotha w czoło. — Rusz łbem! Głowa nie służy tylko do noszenia hełmu. Jak przefruniemy na drugą stronę ze smoczymi jajami i resztą skarbu? Gloth wybałuszył ślepie. Teraz miał zmartwioną minę.

— Mapan rację, panie podpułkowniku. Pospadalibyśmy jak kamienie. Co zrobimy? — Jesteśmy saperami — powiedział Slith. — Zrobimy więc

226 to, czym się zajmujemy zawodowo. Albo kiedyś się zajmowaliśmy. Wszystkie potrzebne rzeczy przynieśliśmy ze sobą, a w razie potrzeby prawdopodobnie znajdziemy jakieś w pobliżu.

— Tak jest. — Gloth nadal nic nie rozumiał. — Do czego potrzebne, panie podpułkowniku?

— Jesteśmy budowniczymi mostów — wyjaśnił Slith. — Zbudujemy most. Rozdział 32

Kang ocknął się raptownie z przerażającego snu, w którym błądził po labiryncie korytarzy, niosąc na plecach krasnoluda. Pasażer był ciężki i Kang chciał się go pozbyć, ale nie mógł, ponieważ skuto ich łańcuchem, a żaden nie miał klucza do kłódki. Dźwigał go, póki nie zaczął się słaniać na nogach, a krasnolud wciąż się śmiał...

Otrząsnąwszy się, smokowiec usiadł i rozejrzył się. Latarnia znikła. Nikogo nie widział ani nie słyszał w mroku. Jego żołnierze również zniknęli.

Gdzieś w oddali usłyszał brzęk metalu uderzającego o metal. Przejrzył w pamięci magiczne zaklęcia. Ich słowa przypomniały mu się tak, jak innym wierszyki, których uczył się w dzieciństwie. Niestety, te były bardzo proste.

Skomplikowanych, potężnych zaklęć, o które prosił, nie znalazł. Królowa obdarzyła go tylko podstawowymi czarami, których mógłby się wyuczyć nawet Gloth. Kang martwił się, że Jej Wysokość z jakiegoś powodu była na niego zła. Czym prędzej cofnął się wspomnieniami do czasu, jaki spędził na modlitwie do niej, zamierzając błagać o wybaczenie, jeśli powiedział lub zrobił coś, co kłóciło się z jej życzeniami.

Nie gniew jednak poczuł, kiedy zbliżył się do jej tronu, lecz strach. Jego Królowa się bała. Widocznie odnosiła niepowodzenia na wojnie z Chaosem. Kang usiłował wyobrazić sobie wojnę szalejącą w niebiosach, ale nie potrafił czegoś takiego objąć

227 rozumem. Cóż, trudno. Zrobi więc na tej płaszczyźnie wszystko, co w jego mocy, posługując się tym, co ma. Brzęk się nasilił. Sprawiał wrażenie odgłosów zażartej bitwy.

Kang wyciągnął miecz i ruszył chyłkiem do wyjścia z groty. W tym momencie odniósł wyraźne

wrażenie, że ktoś go śledzi. Dostrzegł niską, krępą postać, która czaiła się w przejściu. Uniósł broń i rzucił się naprzód.

— O, witam, panie pułkowniku. Już się pan obudził? — Viss zerwał się na nogi i zasalutował. Kang opuścił miecz i westchnął.

— Do licha, omal nie uciałem ci tego głupiego łba! Co ty, do jasnej cholery, robisz tu sam po ciemku? Gdzie są wszyscy? Co to za hałas? Ktoś nas atakuje?

— Nic mi o tym nie wiadomo, panie pułkowniku. Slith polecił mi czuwać nad pana snem. Pozostali poszli budować most. — Co robią? — Kang sądził, że się przesłyszał.

— Budują most, panie pułkowniku. Pamięta pan ten na mapie? Po dotarciu na miejsce okazało się, że jest zerwany. Udało nam się nad nim przelecieć, ale przepaść jest dość szeroka i podpułkownik Slith stwierdził, że nie przefruniemy ze smoczymi jajami. Nie wspominając o reszcie skarbu, którą podobno chciał pan przetransportować wagonikami. Budujemy więc most.

— A niech to licho. — Kang był pod wrażeniem. — Brawo dla Slitha.

Z ciemności wyłoniło się dwóch sivaków z pochodniami. Na widok Kanga obaj zasalutowali.

— Przyszliśmy po więcej podkładów kolejowych, panie pułkowniku — powiedział jeden. — Robimy legary pod główne przęsło. — Pomogę wam — zaproponował Kang. \*

Resztki olbrzymiego kamiennego mostu wisiały nad przepaścią. Brakowało środkowego przęsła. Doświadczenie mówiło Kangowi, że zburzono je celowo. Robota krasnoludów, jak zwykle, była świetna. Most, a raczej to, co z niego zostało, sprawiał 228

wrażenie bardzo trwałego. Od trzęsienia ziemi zawaliłaby się cała konstrukcja, nie tylko jej środek.

Nie, krasnoludowie świadomie zburzyli swój most. Musieli go zerwać już po tym, jak Daewarowie ukryli skarb, ponieważ nie zaznaczono tego na mapie.

Była to fascynująca tajemnica. Kang zobaczył oczami wyobraźni, jak obleżone wojsko wycofuje się przed wrogiem i zrywa most za sobą. Rzucił podkłady na ziemię i przez kilka chwil przyglądał się jego konstrukcji. Slith dostrzegł komendanta.

— Witam, panie pułkowniku! — Sivak zasalutował i uśmiechnął się szeroko. — Budujemy most! — To widzę. Pokażcie mi plany.

Slith i Kang przeszli po istniejącej części mostu i stanęli przy krawędzi przerwy w środkowym przęsle. Na wewnętrznej części kamiennej poręczy widniał rysunek naprędcy wykonany węglem.

— Poleciłem to narysować zastępcy Glotha, Drossakowi. To uczeń Horalaka, starszego kreślarza Pierwszego Batalionu. Uważam, że wykonał świetną robotę, zważywszy na to, czym dysponujemy.

Zastępcze przęsło miało być długą na dwadzieścia osiem stóp drewnianą konstrukcją w kształcie trójkąta. Spajać ją miały żelazne szyny. Smokowcy zamierzali podnieść jeden koniec przęsła, nie odrywając drugiego od podłoża. Konstrukcja się przechyliła pod własnym ciężarem, a wtedy spuszcza podniesiony koniec do przepaści między stojącymi fragmentami mostu. Trójkąt zaklinuje się w rozpadlinie, w praktyce tworząc kładkę nad przepaścią.

Rozwiązanie nie było eleganckie, ale Kang musiał przyznać, skuteczne. Załogi czekające po drugiej stronie ułożą przęsło we właściwy sposób.

Bozacy prostowali pogięte szyny, które miały tworzyć mocny szkielet konstrukcji. Część sivaków budowała drewnianą kratownicę. Inni szukali w okolicy podkładów kolejowych i szyn.

Gloth kierował budową kratownicy wsporników, która miała się znaleźć pod częścią wzmocnioną szynami. Belki zbijano 229

gwoździami i wiązano najlepiej, jak można było, biorąc pod uwagę brak materiałów.

— Gloth, mogę z tobą chwilę porozmawiać? — Kang odpro- wadził oficera na bok. — Słucham, panie pułkowniku.

— Wykonujecie dobrą robotę. Może nawet zbyt dobrą. Wy- starczy, że most utrzyma nas w drodze tam i z powrotem. Po przejściu na drugą stronę chcę go wyciągnąć, żeby nie skorzystali z niego krasnoludowie. Nie budujcie mi arcydzieła. Użyjemy go tylko dwukrotnie — raz idąc w jedną i raz w drugą. Gloth skinął głową.

— Rozumiem, panie pułkowniku. Nie możemy jednak po- zwolić, żeby ktoś zginął, więc pomyślałem, że ostrożność nie zawadzi. Zwłaszcza, że będziemy wracać z jajami.

— To jeszcze nic pewnego. Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei — Kang upomniał go ostro.

— Tak jest. — Na twarzy Glotha odmalował się wyraz smutku i zdziwienia.

Kang pożałował swoich słów. Jego zadaniem było podnosić żołnierzy na duchu, a nie odbierać im go. Nie mógł jednak otrząsnąć się z przygnębienia wywołanego brakiem czarów i nie- odpartym wrażeniem, że jest śledzony.

Odesłał Glotha z powrotem do pracy, gratulując mu świetnej roboty, co polepszyło nastrój smokowca. Poszedł potem popatrzeć, jak Slith nadzoruje prostowanie szyn. Smokowcy mocowali cztery szyny do górnej części konstrukcji, żeby ją wzmocnić i usztywnić. — Kiedy spodziewasz się skończyć? — spytał Kang. Slith rozejrzał się, oceniając zaawansowanie prac.

— Sądzę, że za jakieś dwie godziny będziemy mogli pod- nieść przęsło. Opuszczenie go potrwa następną godzinę. To będzie delikatna robota. Nie możemy pozwolić, żeby cała kon- strukcja spadła na dno przepaści.

— Trzy godziny. — Kang skinął głową. — Znakomicie. Tak też myślałem. Poślij dwóch żołnierzy do tunelu. Robimy dość hałasu, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie chcę, żeby nas ktoś zaskoczył. 230

Robota posuwała się zgodnie z planem, ale wolniej niż ocze- kiwano. Zbudowanie przęsła zajęło cztery godziny, a uniesienie go z jednej strony przy pomocy lin następną godzinę. Najtrud- niejsze było jednak dopiero przed nimi.

Trójkąt chwiał się na odwróconym wierzchołku. Wierzch utrzymywały w powietrzu sznury i prowizoryczne bloczki. Mu- sieli teraz zepchnąć balansującą na podłodze część mostu do otworu w moście.

Ośmiu smokowców ciągnęło za sznury, żeby utrzymać przęs- ło w górze. Pozostali umieszczali przeciwległy czubek trójkąta we właściwym położeniu, pchając go cal po calu w stronę zięją- cej przepaści. Dwukrotnie zmuszeni byli przerwać, kiedy szczyt zaczynał się niebezpiecznie chwiać. Gdyby przęsło wpadło do przepaści, nie mieliby z czego zbudować drugiego.

Cal po calu zbliżali się do rozpadliny. Wreszcie znaleźli się jakieś sześć kroków od jej brzegu. — Spuszczajcie je delikatnie, chłopcy! — zawołał Kang.

Smokowcy przytrzymali koniec oparty o podłogę. Żołnierze trzymający liny zaczęli opuszczać drugi. Przęsło obniżało się za każdym razem po kilka cali. Niemniej jednak z chwilą, gdy przebyło połowę drogi, coraz trudniej było je utrzymać i nie pozwolić, by spadło. Kładka znajdowała się wciąż pięć jardów nad drugim brzegiem, kiedy nagle pękły sznury.

Przęsło runęło w dół. Załogi, które czekały po drugiej stronie, aby je ustawić, uciekły w obawie o swoje życie. Koniec konstruk- cji, który uderzył w krawędź mostu z ogłuszającym hukiem, zachodził na nią na trzy jarady. W trakcie zderzenia przęsło jednak wypaczyło się lekko, przez co trójkątna konstrukcja osunęła się głębiej w przepaść. Szyny, które spajały przęsło, jęknęły pod naciskiem, a potem zapadła cisza. Smokowcy wyteżali wzrok i słuch. Most się nie zawalił.

Krzyknęli radośnie. Kang zaczął się otrząsać z przygnębie- nia. Jeszcze raz żołnierzom z

Pierwszego Pułku Saperów udało się wybudować most. Radosne okrzyki ucichły, kiedy Kang wszedł na przęsło 231

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

i ostrożnie postawił stopę na szynach. Po kilku krokach stwierdził, że jest nie tylko stabilne, ale i solidnie zbudowane. Przeszedł na drugi brzeg, odwrócił się i zasalutował swoim saperem. Smokowcy zgotowali mu owację.

Czterech sivaaków zaczęło wbijać kołki po tej stronie mostu, dopasowując nowe szyny do już istniejących i związując je potem dla wzmocnienia. Po drugiej stronie tory zachodziły na brzeg na dwa jardy, co utrudniało ich dopasowanie. Smokowcy próbowali wepchnąć je na miejsce. W sumie jednak Kang był pod wrażeniem. Konstrukcja się nie zawali.

— Slith! — krzyknął. — Wyślij kogoś przodem, żeby zrobił rozpoznanie. Spakujcie narzędzia i cały ekwipunek. Za dziesięć minut wszyscy mają być gotowi do przejścia przez most! Slith zaczął wydawać komendy, nakazując wszystkim pośpiech.

Trzech żołnierzy, jeden bozak i dwóch sivaaków, założyło polowy rynsztunek i wyciągnęło broń. Po przejściu przez most wbiegli do tunelu. Według mapy po drugiej stronie przepaści znajdowało się kolejne rozgałęzienie. Tory skręcały w prawo i wiodły do kolejnego tunelu. Smokowcy zniknęli w ciemności.

Dzięki Slithowi reszta żołnierzy spakowała cały ekwipunek i była gotowa do wymarszu minutę przed wyznaczoną porą. Kang wrócił, żeby zabrać swoje rzeczy. — Doskonale się spisalesz, przyjacielu — pochwalił Slitha. — Wciągamy most teraz? Kang potrząsnął głową.

— Jest o wiele za ciężki. Prawie straciliśmy go za pierwszym razem. Wątpię, abyśmy mieli dość siły, żeby... A co to takiego?

Wokół rozległo się głucho dudnienie, którego echo odbijało się od ścian przepaści. — Trzęsienie ziemi? — spytał zaniepokojony Slith.

— Ziemia się nie porusza. Skąd dochodzi ten odgłos? — przekrzykiwał łoskot Kang.

— Nie wiem, panie pułkowniku! — odkrzyknął Slith. — To przez ten przeklęty tunel! Zniekształca wszystkie dźwięki!

Grzmiało coraz głośniej. W ciemności rozległ się przeraźliwy wrzask, jakby jakaś elfka konała w mękach. 232

— Banshee! — zawołał Slith i wyciągnął miecz. Wszyscy smokowcy chwycili za broń. Zwrócili się w różne strony, bacznie się rozglądając. Kang usilnie próbował przypomnieć sobie, jak się walczy z banshee, chociaż miał wrażenie, że kiedy usłyszał jej groźną pieśń, było już po nim.

Okropny dźwięk świdrował mu w uszach. Wciąż jednak stał i o ile mu było wiadomo, nadal żył... Wtedy poczuł, że szyny zaczynają drgać pod jego stopami. Rzucił okiem za siebie w głąb korytarza. — Tam! — jęknął Slith.

Z tunelu wytoczył się po szynach rozchybotany wagonik do przewozu rudy. W środku siedziało sześciu krasnoludów, kurczowo trzymając się boków wózka. Z rozwianymi brodami i otwartymi szeroko ustami przemknęli obok smokowców z zawrotną szybkością, krzycząc i śmiejąc się szyderczo. Żelazny wózek pędził po torach w stronę niedawno wstawionego przesła. — Uwaga! — krzyknął Kang i odskoczył na bok.

Smokowcy na torach usunęli się szybko z drogi. Kiedy wagonik wjechał na nowe szyny, zakołysał się gwałtownie, sprawiając wrażenie, jakby miał wpaść do przepaści. Szydercze okrzyki zmieniły się we wrzaski przerażenia; kilku krasnoludów zasłoniło oczy. Grzechoczący i rozchybotany wózek nie wypadł z torów i sunął przez most.

Smokowcy, którzy układali szyny po drugiej stronie, odskoczyli na bok, nie ukończywszy dzieła.

Z tamtej strony tory się nie stykały. Kładka wystawała jakieś dwie stopy ponad płaszczyznę mostu. Na końcu przęsła wagonik wzbił się w powietrze, przeleciał pewną odległość, spadł na ziemię i przewrócił się. Pasażerowie, którzy wysypali się z niego, uciekli biegiem. Kang i jego żołnierze gapili się w osłupieniu.

Znów usłyszeli głuchy łoskot, który ucichł, gdy pierwszy wózek się przewrócił. Weszli na tory, żeby zobaczyć, co to takiego.

— Odsuńcie się! — krzyknął Kang w chwili, gdy z tunelu wypadł drugi żelazny wózek. Tuż za nim pędził trzeci. Dwa wagoniki przemknęły przez środkowe przęsło. Radość 233

krasróludów szybko zmieniła się w paniczną trwogę, kiedy pasażerowie dostrzegli przewrócony wózek, który zagradzał im drogę. Jeden z krasróludów próbował włączyć hamulec. Spod żelaznych kółek posypały się iskry. Czaszkę Kanga przeszył przenikliwy zgrzyt, od którego zawibrowały mu zęby.

Drugi wagonik wystrzelił z wystającego przęsła i zderzył się z pierwszym. Trzeci wpadł na dwa poprzednie. Jeden z wózków utrzymał pionową pozycję, drugi się przewrócił. Krasróludowie rozbiegli się na wszystkie strony, gramoląc się po ścianach i wyczołgując spod pogruchotanych wózków. Uciekli w mrok jak szczury. Z tunelu wróciły echem chichoty, śmiech i obraźliwe wrzaski. Kang ocknął się z osłupienia. — Do licha! Gonić ich! — krzyknął rozwścieczony. Rozdział 33

— W życiu nie doświadczyłem czegoś równie wspaniałego! — oznajmił Tłuczek, wypełzając z przewróconego wagonika.

— O rany, co za jazda — powiedział Moździerz. Oczy mu się świeciły. — Gdzie jest Świder? — Tutaj — odparł Selquist.

Nachylał się nad krasróludem, który kulił się na dnie wagonika. Świder nakrywał głowę rękami i krzyczał. — Już po wszystkim? Już po wszystkim?

— Już po wszystkim — rzekł Selquist. Potrząsnął kompanem. — Pośpiesz się! Musimy stąd zmykać!

Razem z Moździerzem zdołali postawić biednego Świdra na nogi. Widok rozwścieczonych smokowców, którzy pędzili po moście, bardzo pomógł krasróludowi dojść do siebie po wstrząsającym przeżyciu. Świder biegł na uginających się nogach. Reszta gnała po obu jego stronach. Krasróludowie z dwóch pierwszych wagoników już ich wyprzedzili. Selquist zatrzymał się na chwilę, żeby pomachać smokowcom. — Dzięki za piękny most! — zawołał. — I za wskazanie nam 234

drogi do komnaty ze skarbem! Bardzo przyjemnie się z wami prowadzi interesy!

— Dokąd teraz? — spytał zaniepokojny Moździerz. — Jak znajdziemy drogę?

— Po szynach — powiedział Selquist. — Jeszcze tego nie zauważyłeś? Po prostu nadal będziemy iść wzdłuż torów. To już niedaleko, niezależnie od tego, na czyją mapę patrzysz.

Plan Selquista przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Krasróludowie zaczęli się uprzednio w niskiej sztolni obok pierwszej komory. Przyglądali się smokowcom, którzy badali grootę i usłyszeli, jak Kang zapewnia, że to rzeczywiście początek drogi zaznaczonej na mapie. Dali im pięć albo sześć godzin przewagi, po czym podążyli ich śladem przez plątaninę tuneli.

Podczas śledzenia smokowców Selquist uświadomił sobie, że Moździerz wcale tak dobrze nie zapamiętał mapy. Pomiął całe fragmenty rysunku i naniósł niewłaściwe zakręty na skrzyżowaniach. Bez wskazujących im drogę smokowców zabłądziliby i przypuszczalnie wędrowaliby po tych podziemiach do końca życia.

No i ten most! Jacy mili ci smokowcy. Jacy przewidujący. Wyprawa krasróludów zakończyłaby się nad tą przepaścią.

Czuł sporo sympatii do rywali i trochę go zasmucała myśl, że Moortan i jego banda opryszków zniszczy smocze jaja. W dodatku takie cenne jaja. Smokowcy z pewnością zapłaciliby mnóstwo... — Do broni! — krzyknął ktoś na przedzie. — Do broni! Selquist podniósł głowę. W świetle pochodni załśniły łuski i czerwone oczy trzech smokowców pędzących tunelem. Biegli wprost na krasnoludów.

Moortan uniósł miecz i stanął dokładnie na ich drodze. Przybrał bojową postawę, gotowy drogo sprzedać swoje życie.

Smokowcy ominęli tęgiego wojownika i pobiegli dalej. Reszta krasnoludów musiała usunąć się pod ściany tunelu, inaczej została by stratowana. Trzej smokowcy ledwo rzucili na nich okiem. Gnali z powrotem w stronę mostu.

— Tchórze! — krzyknął Moortan, wymachując toporem. — Zatrzymajcie się i walczcie! — Ja się zatrzymam i będę z tobą walczył, pacanie! — 235

wrzasnął Selquist, przepychając się do przodu. — Co ty sobie wyobrażasz? Mogłeś zepsuć całą opera...

I wtedy włosy — w każdym razie ich resztki — zjeżyły mu się na głowie. Stanął z otwartymi ustami i wybałuszył oczy, podobnie jak pozostali krasnoludowie. Świder złapał Selquista i zaczął bełkotać.

— Co to jest? Reorxie, miej nas w swej opiece! Co to takiego?

Moortan zrobił głęboki wdech i cofnął się o sześć kroków, wpadając na Selquista. — Grell! — wykrzyknął łamiącym się głosem. — To jest grell! Selquist kiedyś jako dziecko był bardzo chory. W gorączce widział przeróżne przerażające rzeczy — robaki wpełzające z belek, olbrzymie szczury tańczące w nogach jego łóżka, i oczywiście grelle.

Te potwory prawie zawsze występują w strasznych opowieściach, jakie snują krasnoludowie przed położeniem się spać, a historie o nich sięgają czasów, gdy Neidarowie mieszkali jeszcze w Thorbardinie. Legenda głosi, że grelle były pierwotnymi mieszkańcami podziemnych jaskiń, i że ich wytopienie należy przypisać pierwszym krasnoludom, którzy się w nich osiedlili pod wodzą tana Hamisha Ironfista. Najwyraźniej Hamish jednego przegapił.

Grell był zielonkawą bryłą galarety, gigantycznym mózgiem, który unosił się w powietrzu jakieś sześć stóp nad głowami krasnoludów. Miał zielone macki, ptasi dziób, i najwyraźniej był w paskudnym humorze. Nie wyglądało na to, aby miał ochotę uciąć sobie pogawędkę, przeziwać cały dzień, albo spytać uprzedzenie krasnoludów, czy nie zechcieliby wybrać innej drogi niż ta, która wiodła przez jego salon. Grell nadleciał lotem nurkowym, wymachując wściekle kolczastymi mackami, zgrzytając dziobem i najwyraźniej zamierzając pozabijać ich wszystkich.

— „JStic dziwnego, że smokowcy wiali!” — pomyślał Selquist i postanowił wziąć z nich przykład. Odwrócił się i wziął nogi za pas, przepychając się przez tłum krasnoludów. Moortan i jego żołnierze nie cofnęli się. Zaatakowali grella, 236

tnąc macki, którymi stworzył wściekle wywijał na wszystkie strony. Inni krasnoludowie dźgali go płonącymi pochodniami w oczy, chcąc go oślepić. Kilku mniej śmiałych zbiło się w gromadkę, odsunęło na bezpieczną odległość i obrzucało potwora kamieniami.

Kiedy Selquist znalazł się już za plecami kompanów, stanął i odwrócił się, żeby popatrzeć na walkę. Nie wywarła na nim wrażeń. Krasnoludowie nie zrobili dużych postępów — trzech już tarzało się i wiło z bólu spowodowanego paraliżującym jadem grella. Selquist myślał o tym, jak mądrze postąpił, zabierając Moortana jako pokarm dla grella, kiedy wyminął go Świder, który pędził wprost na potwora z toporem w ręku.

— Co ty robisz? Jesteś przecież takim samym tchórzem jak ja! Pamiętasz? — krzyknął Selquist. — Niech Moorpacan tym się zajmie! Przyjaciel go nie usłyszał.

Rzucił się w wir walki i ciął jedną z macek grella. Celny cios odrąbał około stopy drgającego ramienia. Zielony śluz trysnął Świdrowi na głowę i zalał mu oczy.

Oślepiony krasnolud bezradnie się zataczał, ocierając maż z twarzy. Rozjuszony grell uderzył Świdra jedną ze zdrowych macek, trafiając go w ramię.

Krasnolud wrzasnął i zadygotał w konwulsjach. Padł jak długi twarzą do ziemi i znieruchomiał.

Widząc leżącego Świdra, Moździerz i Tłuczek rzucili się do walki i rąbali potwora toporami. Selquist nie zauważył, żeby odniosło to jakiś skutek. Wyglądało raczej na to, że tylko roz- złościł grella.

Potwór wisiał w powietrzu nad swoją ofiarą i kłapał dziobem. Moortan atakował od tyłu, bijąc go po tylnych mackach, a grell od niechcienia bił Moortana. Najwyraźniej bardziej mu zależało na dobieciu biednego Świdra.

Wydał serię klekotliwych dźwięków, a potem uniósł mackę. Przedmiot, który w niej ścisnął, rozjarzył się upiornym, błękit- nym blaskiem.

Selquist jęknął. Nie dość, że sam grell był groźny, to w do- datku jakimś sposobem zdobył różdżkę, najwyraźniej magiczną. 237

Miała kształt długiego na stopę pręta, czarnego jak noc i oplecio- nego ciałami różnobarwnych smoków. Jej głowicę tworzyły łby pięciu smoków.

Selquist domyślił się, że nie należała do tego rodzaju różdżek, które służą do wyczarowywania ślicznych kwiatuszków z zasp śniegu.

Jakby na potwierdzenie najgorszych przypuszczeń Selquista, grell, który najwyraźniej znudził się Moortanem, odwrócił się raptownie, wycelował w niego różdżkę i zaklekotał głośno dziobem. Z paszcz pięciu smoków trysnął snop biało-błękitnego światła. Błysk i huk.

Rozległo się coś jakby mokre plaśnięcie i szczątki Moortana trysnęły na ściany, posadzkę i pozostałych krasnoludów.

Kiedy grell rozprawił się z tym utrapieniem, ponownie skupił uwagę na Świdrze, który nadal był ślepy i nie mógł się ruszać. Reszta krasnoludów rozpierzchła się w panice. Wstrząsająca śmierć Moortana skutecznie odebrała im chęć do walki. Grell uniósł różdżkę i skierował ją w stronę Świdra. Zaczął klekotać.

Selquist wyciągnął zza paska nóż i rzucił go ponad głowami stłoczonych krasnoludów.

Grell znów zaskrzeczał, lecz tym razem z bólu. Noż utkwiał w przednim płacie przypominającej mózg masy. Z rany pociekła zielona posoka. Potwór przerwał rzucanie czaru i macki mu zadrżały.

Korzystając z chwili słabości grella, Selquist przepchnął się łokciami przez tłum. Wskoczył pod wijące się macki, złapał Świdra za ramię i zaczął odciągać bezradnego przyjaciela od potwora. Poślizgnął się na szczątkach Moortana i upadł.

— „No jasne!” — pomyślał ze złością. — „Nawet po śmierci Moortan chce mnie zabić!” Leżał na wznak, wlepiając oczy w grella.

Potwór trzymał uniesioną różdżkę nad Selquistem. Pręt się rozjarzył. Grell zaczął klekotać. Selquist wiedział, że już po nim. Nagle gdzieś zza jego pleców wyleciał grad małych beltów 238

z kuszy. Każdy spowijała otoczka czerwonych płomieni. Pociski przeleciały nad krasnoludem i utkwili w mózgu grella.

Ten wrzasnął i zadygotał; jego macki drgnęły gwałtownie. Nad głowami krasnoludów przeleciała kolejna fala czerwonych beltów, a po niej jeszcze jedna.

Wydawało się, że potwór się kurczy. Jego mózg przypominał gąbkę, z której ciekła krew i ropa. Runął na ziemię. Jego macki wiły się i drgały, a potem zupełnie znieruchomiały.

Oszołomiony Selquist wstał i obejrzał się przez ramię. Ogrom- ny smokowiec uzbrojony w małą,



ręczną kuszę, nadbiegał korytarzem, przeskakując po drodze skulonych krasnoludów. Za bokiem gnało dwudziestu następnych smokowców z mieczami i kuszami w rękach. Krasnoludowie omal nie wspięli się na ściany ze strachu. Smokowcy jednak tego dnia nie mieli ochoty z nimi walczyć.

Bozak przeskoczył nad Selquistem i omal nie nadepnął na Świdra. Kiedy doszedł do zabitego grella, schylił się, chwycił magiczną różdżkę i ostrożnie, żeby nie dotknąć jadowitych ramion, wydobyl ją z uścisku martwego potwora.

Kiedy miał ją już w ręku, odwrócił się, uśmiechnął szeroko i kłapnął krasnoludom zębami przed nosem.

— Dzięki za śliczną różdżkę — powiedział. — Jak to miło z waszej strony, że rozprawiliście się za nas z tym grellem. Przyjemnie się z wami prowadzi interesy! Do zobaczenia.

Bozak uklonił się Selquistowi, potem machnął ręką i wydał rozkazy. Pozostali smokowcy ominęli krasnoludów, przeskoczyli nad ich głowami i zniknęli w ciemności.

— Ano — rzekł Selquist, wstając z podłogi — nawet najlepsze plany mogą wziąć w łeb, jak powiedział pewien kender, tuż zanim gryf odgryzł mu głowę. I nie ma takiego złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło. Coś mi się widzi, że teraz ja jestem wodzem.

Wytarł ręce z Moortana i schylił się, żeby ocucić biednego Świdra. 239

## Rozdział 34

Kang ścisnął mocno różdżkę w garści, oglądając ją w biegu. Nie było najmniejszej wątpliwości. Tę różdżkę opisała mu Huzud. Wciąż otaczała ją lekka, błękitna poświata. Wykonany z czarnego onyxu pręt długości mniej więcej jego przedramienia wieńczyła głowica w kształcie pięciu smoków Królowej.

Smoki miały łby ze srebra i ciała wysadzone rubinami, szmaragdami, szafirami, diamentami i czarnymi opalami. Pięć ogonów oplatało różdżkę i łączyło się na końcu, tworząc uchwyt.

Był to najpiękniejszy i najstraszniejszy przedmiot, jaki Kang widział, a co dopiero trzymał w ręku. Czuł, jak niesamowita moc różdżki przenika jego ciało.

Zaczął wierzyć. Zaczął wierzyć, że wszystko może się spełnić. Mogą znaleźć smocze jaja, mogą zdołać rzucić zaklęcie, które uwolni samice. Jego osada może mieć przyszłość. Cała ich rasa może mieć przyszłość.

Oczywiście wciąż istniały stwory Chaosu, których unicestwienie obiecał Królowej Ciemności. Podejrzewał, że będzie to wymagało czegoś więcej niż pokonania jednego oślizgłego grella. Jednakże z cudowną różdżką w ręku Kang czuł się na siłach stawić czoła każdemu, nawet samemu Ojcu Chaosowi.

— Wspaniałe znalezisko, panie pułkowniku — powiedział Slith, biegnąc obok Kanga.

Sivak, który trzymał ślepe latarnie, skierował snop drżącego światła wprost na różdżkę. Oczy mu się zaświeciły. — Wygląda na niezwykle cenną.

— Jest cenniejsza, niż ci się wydaje, mój przyjacielu — rzekł Kang głosem schrypniętym z emocji. — Cenniejsza, niż ci się wydaje. Jest skrzyżowanie, którego szukaliśmy. — Zatrzymał drużynę i sięgnął po mapę. Żołnierze zgromadzili się wokół niego.

— Panie pułkowniku, co jest grane? — spytał Slith szorstko i zgrzytliwie. Kang ze zdumieniem spojrział na swojego zastępcę. To nie było podobne do Slitha. Sivak machnął ręką. 240

— Nie miał pan zamiaru atakować grella. Przynajmniej nie z początku. A już na pewno nie chciał pan narażać naszego życia w obronie tych kosmatych kurdupli. Wtedy zobaczył pan tę różdżkę i nagle pognął przed siebie. Wie pan co? Sądzę, że pan jej szukał. Wiedział pan, że ona tam będzie. Dlaczego jest taka niezwykła? I dlaczego zachowuje się pan tak dziwnie?

— Dotychczas nas pan nie okłamał — powiedział Gloth, włączając się do rozmowy. Pozostali

smokowcy patrzyli na Kanga z wielką powagą. — Przez wszystkie te lata mówił nam pan szczerze, z czym mamy do czynienia. Od kilku dni widzimy, że się pan zmienił. Zastanawialiśmy się tylko, co się stało.

— Zgaś tę latarnię — polecił Kang. — Nie ma sensu pokazywać krasnoludom podświetlonych celów. Slith posłusznie spuścił przesłonę. Światło zgasło.

Ukryty w ciemności Kang uśmiechnął się smutno i westchnął. Nigdy ich nie okłamał, mówili. Do diabła, dowódca zawsze okłamuje swoich żołnierzy. To część jego pracy. „Jestem przekonany, że generał wie, co robi.” „Ci elfowie nie są tacy groźni, na jakich wyglądają!” „Co z tego, że ich jest jedenaście razy więcej? Bywało już gorzej.” „Jak to, smoczy strach? W promieniu stu mil stąd nie ma ani jednego smoka.”

Kang wiedział jednak, że jego żołnierze nie mieli na myśli tego typu kłamstw. Żył w zakłamaniu przez te kilka dni albo tygodni, czy od jak dawna przebywali w podziemiach. Wydawało mu się, że spędził w nich większość życia. Zdawał sobie sprawę z upływającego czasu i konieczności pośpiechu. Krasnoludowie wkrótce się otrząsną i przegrupują. Sprawa jednak była bardzo poważna. Żołnierze zaczęli tracić wiarę w niego.

— Przepraszam was, chłopcy — powiedział niezręcznie, szukając właściwych słów. — Chodzi o to, że... Coś mi się przydarzyło. Początkowo sam nie wierzyłem, a kiedy przestałem wątpić, bałem się, że nikt inny nie przyjmie na wiarę moich słów. Dopóki nie nabrałem pewności, że to, co się stało, było prawdą, nie chciałem budzić w was nadziei. Ale to — uniósł różdżkę — to jest dowód. Tak, Slith, wiedziałem o jej istnieniu. Szukałem jej. Pamiętasz tę kobietę rycerza, Huzzud? Spotkałem ją, kiedy prze-

241

chodziliśmy przez góry. Miała dla mnie wiadomość od Królowej Ciemności. Powiedziała, że w tych podziemiach znajdę różdżkę. Smokowcy wlepiali wzrok w ciemność, patrząc na magiczny przedmiot. Ich czerwone oczy lekko się jarzyły.

— Nasza Królowa wskazała mi, gdzie jej szukać — powtórzył Kang głosem wyraźnym, lecz ściszym. — Spotkałem się z Huzzud na szczycie góry. Rozmawiała ze mną.

Opowiedział im o wszystkim. Słuchali w milczeniu, niektórzy wręcz wstrzymali oddech. Kiedy skończył, patrzyli na różdżkę z szacunkiem. Kilku nieśmiało wyciągnęło ręce, żeby jej dotknąć na szczęście.

— Dziękuję, panie pułkowniku — powiedział Slith. — I przepraszam. Nie chciałem... Chodzi tylko o to, że... — Wiem — rzekł Kang. — Wiem.

Znów westchnął, ale tym razem było to westchnienie ulgi. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jakim brzemieniem ciążyła mu jego tajemnica. Zrzucił je z siebie i poczuł przyływ sił i energii.

— W drogę. Słyszę za nami krasnoludów. Musimy dotrzeć do jaj przed nimi — dodał posępnie — bo różdżka niczego nie zmieni. Nie będzie żadnych jaj.

— Dlaczego nie zabijemy tych małych drani? — spytał Gloth. — Zaczekamy na nich i zaatakujemy zniemacka.

Kang myślał już o tym wcześniej i odrzucił pomysł. Wiedział, dlaczego nie zamierzał zabić krasnoludów, ale trudno mu było wyrazić swoje myśli.

— Wrogowie mogą okazać się przydatni — powiedział, cytując Królową. — Gdyby krasnoludowie nie zjawili się w odpowiednim momencie, wpadlibyśmy wprost na grella. Poza tym nie chcę marnować sił na ich zabijanie. Pamiętajcie, że w zamian za tę różdżkę Jej Wysokość poprosiła nas o wyświadczenie jej przysługi. Chcę, żebyśmy byli sprawni, wypoczęci i gotowi do boju. Na razie darujemy życie krasnoludom. — Na razie — warknął Gloth, wysuwając z paszczy język. Smokowcy wciąż szli przed siebie. Slith szedł pierwszy i co jakiś czas świecił latarnią.

Tunele były tu wyższe i smokowcy mogli się wyprostować. Kang był za to błogosławieństwo niezmiernie 242

wdzięczny. Miał wrażenie, że trwale nadwerżył sobie kręgo- słup.

Po lewej stronie zauważyli jakieś odgałęzienie. Kang zatrzy- mał się i rzucił okiem na mapę. Główny tunel nadal wiodł prosto. Odnoga sprawiała wrażenie małego, bocznego szybu, który zgodnie z mapą znów łączył się z głównym korytarzem milę dalej.

— Najwyraźniej to jakaś bocznica, na którą spychano wago- niki z torów, żeby nie zagradzały drogi — stwierdził Slith po powrocie z krótkiego rozpoznania. — Stoi tam kilka wózków.

— I zaznaczono ją na mapie — powiedział Kang z satysfak- cją. — Idziemy we właściwym kierunku.

Miał właśnie zamiar skinąć na drużynę, kiedy Gloth stanął i zawołał: — Niech pan posłucha!

Z tunelu za nimi dobiegło jakieś dudnienie, jakby tupot wielu par ciężkich butów. Smokowcy wtopili się w mrok i czekali.

— Pamiętajcie — powiedział cicho Kang — żadnego zabi- jania, póki oni nie zaczną.

Wreszcie ukazali się krasnoludowie. Smokowcy widzieli świe- cące zarysy ich ciepłych ciał. Nie sprawiali już wrażenia tak dziarskich jak przed spotkaniem grella.

Szli w nierównym szyku ze zwieszonymi głowami, garbili się i powłóczyli nogami.

Kang zaczekał, aż pierwsi krasnoludowie znaleśli się sześć kroków do niego, wyskoczył z ukrycia i wydał przerażający ryk.

Rozpostarł skrzydła, obnażył zęby i unosząc świecącą różdż- kę, wzbił się w powietrze. Wylądował tuż przed nosem przywód- cy krasnoludów. Wydając okrzyki bojowe, tupał i wymachiwał rękami. Bił skrzydłami, aż zerwał się huraganowy wiatr.

Krasnolud wytrzeszczył oczy, wrzasnął z przerażenia, zawró- cił i pognął na złamanie karku w głąb tunelu. Jego krzyk i ucieczka wywołały popłoch wśród reszty drużyny. Wytrąceni z równowa- gi atakiem grella i utratą dowódcy krasnoludowie czmychnęli przed tym nowym, ledwo widocznym potworem. 243

Kang usłyszał, że ktoś z końca szeregu czynił im wymówki i próbował zapobiec panicznej ucieczce. Niewiele jednak zdziałał. Krasnoludowie zniknęli smokowcom z oczu.

— Sporo czasu upłynie, zanim odważą się tu wrócić — stwierdził Slith. — O to właśnie chodzi — odparł Kang. \* Smokowcy ruszyli w dalszą drogę biegiem.

— Panie pułkowniku — powiedział Gloth — czy zauważył pan, że robi się coraz cieplej?

Kang zwrócił na to uwagę i pomyślał, że to dziwne. W podziem- nych jaskiniach zawsze utrzymuje się ta sama temperatura, latem i zimą. Tu jednak upał wyraźnie się nasilał, i to całkiem szybko.

Za zakrętem zobaczył, że Slith i jego dwaj zwiadowcy znów się zatrzymali i zaglądali do komory pośrodku tunelu. Opromie- niało ich silne, czerwone światło, którego źródło znajdowało się w jej wnętrzu.

Droga, którą mieli iść, prowadziła prosto do tej pieczary, pomieszczenia, którego, o ile Kang dobrze pamiętał, w ogóle na mapie nie było.

Podszedł do Slitha. Sivak stał na progu komory, zaglądając do środka. Żar, który buchał we wnętrzu groty, był potworny. Fala gorąca uderzyła Kanga z taką siłą, że omal się nie przewró- cił. Wykrzywił pysk z odrazy, jaką napełniły go upał i gryzący smród siarki.

— Co to jest? — Kang zajrzał do środka i zrobił kilka kroków do przodu. Bardziej zbliżyć się nie mógł.

W przeciwieństwie do innych komnat i tuneli wykutych przez krasnoludów, ścian tej komory nie

ociosano z grubsza i nie wzmocniono drewnianymi stemplami. Kamień był tam gładki, lśniący i wyglądał, jakby w pierw się stopił, a potem powtórnie zastygł. Skalne fale tworzyły ściany, strużki kamienia spływały kaskadami na posadzkę. Pośrodku podłogi ziała olbrzymia dziura. Wydobywało się z niej tysiąc razy silniejsze, ognistoczerwone 244

światło. Z czeluści buchał żar, rozpalał kamienne ściany i bezli- tośnie palił Kanga. Jednak nie tylko gorąco dało mu się we znaki. Strach — zimny, szarpiący trzewia lęk — ścisnął go za gardło. Znał to uczucie, chociaż nigdy jeszcze nie było tak silne. Czym prędzej wyszedł z pieczary. — Tfu! Co za ohyda!

Zaczekał, aż opary wywietrzeją mu z głowy. Kiedy opuścił grootę, strach zelżał, chociaż nie ustąpił całkowicie.

Zastanawiał się, co robić. Instynkt nakazywał mu uciekać i nie zatrzymywać się, nawet gdyby wpadł do Thorbardinu i natknął się na armię liczącą dziesięć tysięcy krasnoludów. Dziesięć tysięcy, dziesięć milionów krasnoludów było niczym w porów- naniu z tym, co mogło być w tej czeluści.

Niestety, komnata, w której znajdował się skarb, leżała za tą pieczarą.

— Tam coś jest, prawda? — spytał Slith, przyglądając się komendantowi. — Cokolwiek to jest, topi litą skałę!

— Raz widziałem, jak czerwony smok zrobił coś podobnego — wtrącił Viss. — Służyłem wtedy pod rozkazami Smoczego Władcy Verminaarda. Jego smok spalił jakąś małą osadę na Równinach. Kamienie rozpały się do czerwoności i rozlały po ziemi, tworząc kałuże.

— Widziałem to samo. Nie sądzę jednak, żeby to był czer- wony smok. — Kang nie dodał, że podejrzewał coś dużo gorsze- go. — Idźcie się rozejrzeć po okolicy.

Potrzebował ciszy, żeby spokojnie pomyśleć. Wyciągnął ma- pę, grając na zwłokę. — To nie jest czerwony smok, prawda? — spytał cicho Slith. Kang potrząsnął głową.

— Przebywałem już w pobliżu czerwonych smoków. Ty również. Czulem smoczy strach, ale nigdy taki, jaki mnie zdjął wewnątrz tej komory. Byłeś tam?

— Tak jest. Podobnie jak pan, nie wytrzymałem długo. Co teraz zrobimy? Nie przypominam sobie, abym tę komorę widział na mapie. — Bo jej tam nie było. — Kang rzucił okiem na pergamin. 245

— Według mapy tunel biegnie prosto. Przynajmniej przez następ- ne dwie mile nie ma żadnych łuków ani zakrętów, a już z pew- nością ognistego jeziora i komnaty ze stopionej skały. Dotych- czas mapa wiernie oddawała każdy szczegół. Nie wyobrażam sobie, aby Daewarowie zapomnieli nadmienić o tym drobiazgu. — Może to nasza wina. Może źle skreśliśmy.

Kang odtworzył sobie w pamięci trasę wędrówki i porównał ją z mapą.

— Nie było aż tak ciężko! Minęliśmy bocznice. — Rzucił okiem na podłogę. — Są szyny. Nie, to musi być właściwa droga. Jeszcze raz zerknął na mapę i wpadł na pewien pomysł.

— Spójrz, bocznica okrąża tę część tunelu i wychodzi po- nownie tutaj. Pójdziemy tym korytarzem. Każ żołnierzom wyco- fać się po cichu. Cokolwiek tam jest, nic chcę mu przeszkadzać.

— Panie pułkowniku — zawołał jeden z sivaaków. — Niech pan lepiej przyjdzie i popatrzy.

Kang miał złe przecucia. Ilekroć ktoś go prosił, żeby rzucił na coś okiem, zawsze oznaczało to kłopoty. Nigdy go nie wołano, żeby popatrzył na cudowny zachód słońca albo na pływające po sadzawce stadko kacuzsek.

Zbliżył się do smokowca, który uważnie przyglądał się ścia- nie w pobliżu komnaty. — Niech pan tu spojrz — sivaak pokazał ręką.

Kang popatrzył. Nic nie powiedział. Niewiele można było powiedzieć.

Na ścianie widniał wykuty w skale pięciogłowy smok, wize- runek Takhisis, Królowej

Ciemności. — Co to oznacza? Kang wysunął z pyska suchy język.

— To przysługa, jakiej żąda od nas Królowa. Chce, abyśmy walczyli z tym, co tam siedzi.

— A cokolwiek tam siedzi, pewnie nas zabije. Po co nam różdżka, skoro i tak zginiemy? — rzekł gorzko Slith. — Mamy już różdżkę. Kiedy indziej wyświadczymy Królowej inną przysługę.

Kang przypomniał sobie uniesienie, jakie go ogarnęło, gdy spojrzał na magiczny przedmiot i poczuł jego moc. Wtedy nie 246

powątpiewał w swoją Królową. Nie podważał jej mądrości. Nie zachwiał się w wierze.

Miałby się teraz wycofać ze swojej części umowy? Miałby złamać przysięgę wierności?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że ci, którzy złamali obietnicę złożoną Straszliwej Królowej, rzadko mieli okazję złamać ją jeszcze raz. Dumnie jednak powiedział sobie w duchu, że dotrzyma przysięgi nie tylko ze strachu. Dotrzyma jej dlatego, że ją złożył. To kwestia honoru.

Sięgnął za pazuchę i wyjął medalion, który był oznaką jego rangi. Bez słowa podał go Slithowi.

— Co to? — spytał siva. Nie podnosił rąk i odmawiał wzięcia odznaki.

— Teraz ty tu dowodzisz. — Nachylił się i przyczepił medalion do zbroi Slitha. — Już był na to najwyższy czas. Weź też mapę. — Podał ją siva. — Pójdiesz z pozostałymi dalej i znajdziecie smocze jaja. Ja zachowam różdżkę i uporam się z tą drobną sprawą.

— Nie, panie pułkowniku — uparcie sprzeciwiał się Slith. Odpiął odznakę i próbował oddać ją komendantowi. — Nie odejdę i nie zostawię pana samego. Nikt z nas nie odejdzie. Smokowcy stanowczo mu przytaknęli. Kang potrząsnął głową i skrzyżował ramiona na szerokiej piersi. Widząc, że dowódca nie chce wziąć medalionu, Slith rzucił go na podłogę. Założył ręce na piersi i stanął w rozkroku. — Nie, panie pułkowniku. Nie pójdę. Kang znalazł odznakę w ciemności i schylił się, aby ją podnieść. — To rozkaz — rzekł stanowczo.

Slith spojrzał na niego ze złością. Od czasu do czasu zdarzało mu się działać z własnej inicjatywy, ale przez wszystkie lata wspólnej służby nigdy jeszcze nie złamał bezpośredniego rozkazu.

— Pamiętasz, co powiedział dowódca rycerzy? — spytał cicho Kang. — Dyscyplina. Tylko dzięki dyscyplinie możemy pokonać chaos.

Slith wbił wzrok w ziemię, nie zamierzając podnosić oczu na medalion ani na dowódcę. 247

Kang czekał cierpliwie, przekonany, że jego zastępca opamięta się. Dotychczas Slith nigdy go nie zawiódł.

Nadal nie patrząc na Kanga, siva wziął odznakę. Przypiął ją sobie do zbroi. Ręce mu drżały, więc musiał próbować kilka razy, zanim mu się udało.

— Dziękuję — rzekł Kang i wydał głębokie westchnienie. — Życzę ci powodzenia. Wam wszystkim. — Powiódł spojrzeniem po reszcie drużyny.

Smokowcy wymamrotali coś w odpowiedzi. Byli wstrząśnięci i odrętwiali. Kang był ich dowódcą prawie od samego początku. Dowodził nimi, odkąd sięgali pamięcią.

Slith był dobrym oficerem. Wkrótce przyzwyczają się do jego rozkazów.

— Powinniście już iść — poradził Kang. Nie mógł uczynić z tego rozkazu.

— Tak jest — odparł Slith. Wahał się jeszcze chwilę, jakby miał coś do powiedzenia. W końcu jednak zachował to dla siebie. Natomiast wyciągnął rękę, chwycił w mroku dłoń Kanga i uścił ją. Odwrócił się i spiorunował wzrokiem swoich podwładnych.

— No i na co się tak gapicie? Do tej pory wam pobłażano, ale teraz ja tu dowodzę. Ruszać się! Naprzód marsz!

Slith odwrócił się i na czele oddziału — teraz jego oddziału — ruszył w drogę powrotną. Nie obejrzał się.

Pozostali smokowcy wahali się przez chwilę. Potem poszli w ślad za nim i Kang został sam.

Stał przed pieczarą, z której buchał czerwony blask. Przed wejściem przyłożył dłoń do wizerunku pięciogłowego smoka na ścianie i poprosił Królową o błogosławieństwo.

Z różdżką w jednej ręce i mieczem w drugiej, przebiegł pamięcią listę czarów i ruszył śmiało w stronę czeluści. 248

## Rozdział 35

Wymachiwaniem rękami, krzykiem, groźbami i szarpaniem za brody Selquist powstrzymał wreszcie paniczną ucieczkę krasnoludów. — Stójcie! Stójcie! Czyście wszyscy poszaleli? — wołał.

Krasnoludowie powoli się zatrzymali, sapiąc ciężko i nerwowo oglądając się za siebie. Byli już prawie przy niedawno naprawionym moście. — Budzicie we mnie głęboką odrazę — warknął Selquist. — Nigdy jeszcze nie widziałem takich tchórzy! Nadąsani wojownicy usiłowali się bronić.

— Ty niczego nie widziałeś — stwierdził jeden z nich. — Cały czas byłeś daleko z tyłu. Na samym końcu, gdzie było bezpiecznie.

— Pełniłem straż na tyłach — rzekł z godnością Selquist. — Nigdy nie uciekłbym przed niebezpieczeństwem. W końcu to ja zaatakowałem grella. I wy uważacie się za krasnoludów podgórskich! Chyba raczej źlebowych!

Nagana była dotkliwa, ponieważ krasnoludowie źlebowi powstęchnie uchodzili za największych tchórzy na Krynnie. Wojownicy oburzyli się na tę obelgę, chociaż niektórzy najwyraźniej uważali, że zasłużyli na nią. Spuścili głowy ze wstydu. — Ciebie tam nie było, Daewarze — rzekł ktoś zadziornie. — Byli za to smokowcy. Teraz mają różdżkę, którą zabito biednego Moortana. Ja nie będę ich ścigać.

Kilku krasnoludów mruknęło pod nosem, przyznając mu rację. Selquist wspiął się na palce i spojrział nad głowami towarzyszy. — Kto tam jest z tyłu? Vellmer?

— Tak, to ja. — Z tłumu wyszedł krępy, czarnobrody mistrz gorzelniczy, który z powodu konieczności stałego próbowania swoich wyrobów miał wiecznie zaczerwienioną twarz. Czarne, zrosnięte pośrodku czoła krzaczaste brwi nadawały jego obliczu srogi wyraz. — Byłeś zastępcą Moorpacana, prawda? To chyba oznacza, 249

że po tragicznej śmierci biednego, starego Moorpacana ty objąłeś dowództwo nad jego żołnierzami — stwierdził Selquist.

Vellmer pchnął go w pierś tak mocno, że krasnolud aż się zatoczył. — O zmarłych wyrażaj się z szacunkiem — warknął.

— Nigdy tego nie mogłem pojąć — powiedział Selquist. — Można do woli pomstować na osobę żyjącą, ale z chwilą, gdy umrze i nie może ci już zaszkodzić, nie wolno o niej powiedzieć złego słowa. A co mi tam. Nie mam ochoty się sprzeczać.

Selquist zbliżył się do Vellmera i czule położył mu dłonie na ramionach.

— Posłuchaj mnie. Ty się na to nie pisałeś. To Moorpaca... to znaczy, naszemu drogiemu Moortanowi tak bardzo zależało na rozbiciu smoczycich jaj. Zakładam, że znasz drogę, gdybyś chciał zabrać swoich chłopców i pójść do domu.

Gorzelnik zeszywniał i posłał Selquistowi podejrzliwe spojrzenie.

— Znam — burknął. — Mam właśnie ochotę to zrobić. Przybyliśmy potłuc smocze jaja. Nie wiedzieliśmy, że przyjdzie nam walczyć z grellami i smokowcami z magicznymi różdżkami.

— Z jednym grellem — poprawił Selquist. — Bądźmy precyzyjni. W dodatku dość mizernym. Możesz jednak wracać, skoro chcesz.

— Idziemy — rzekł Vellmer i wraz ze swymi kompanami zaczęli się oddalać.

— To znaczy, że więcej skarbu zostanie dla nas — zawołał Selquist. — Dostałbyś część Moorpacana. Jedną dwusetną. Krasnoludowie stanęli.

— Co to ma znaczyć? — spytał Vellmer, nie słysząc za sobą tupotu maszerującej drużyny. Odwrócił się i poczłapał z powrotem, cały czas burcząc pod nosem. — Po co nam majątek, jeśli zginiemy i nie będziemy mogli z niego skorzystać?

— Ten grell rzeczywiście był mizerny — zauważył jeden z krasnoludów. — I pewnie był sam — dodał inny. — A co ze smokowcami? — pytał Vellmer. 250

— Może wpadną do przepaści — stwierdził następny krasnolud. Selquist klepnął Vellmera po ramieniu.

— Wielkaszkoa, że musisz już wracać. Dalej sami pójdziemy. Trochę ciężko nam będzie dźwigać skarby, ale poradzimy sobie.

— Skarby, powiadasz. — Vellmer spojrzał na Selquista. — A dużo tego? Stal, złoto, srebro, drogie kamienie i tak dalej? — Więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Vellmer się zastanowił.

— Zostaje jeszcze kwestia smoczycich jaj. — Zmarszczył czoło i na jego twarzy odmalował się niezwykle poważny wyraz. — Mamy obowiązek je potłuc. Teraz widzę to wyraźnie. Kiedy się z tym uporamy, pomożemy wam nieść skarby.

— Prawdziwy z ciebie Neidar — rzekł Selquist, ściskając mu dłoń. — Zawsze twierdziłem, że jesteś dżentelmenem i gorzelnikiem. — Ale jak wyminiemy smokowców? — zaniepokoił się Świder. Selquist wyjął mapę.

— Przynieście tu pochodnie. Spójrzcie, nie musimy iść tą samą drogą co smokowcy. Tu jest boczny tunel, który biegnie dookoła, a potem... — Umilkł i wlepił oczy w mapę.

— Potem co? — Vellmer zająknął mu przez ramię. — Kończy się plamą atramentu? Selquist spojrzał wściekle na Świdra. — Przepraszam. Zrobiłem kleksa.

— Nieistotne — uciał ze złością Selquist. — Aczkolwiek, jak widzicie, kiedy już miniemy tego kleksa, dotrzemy prosto do skarbu. Pośpieszmy się. Smokowcy nas wyprzedzają.

Krasnoludowie utworzyli dwa szeregi; jednemu przewodził Vellmer, drugiemu Selquist. Wodzowie puścili się biegiem, nierzucając tempo. Reszta podążyła za nimi. Chociaż urodzili się i wychowali w górach, a nie pod nimi, mieli, jak mówi przysłowie, skalny pył we krwi. Szybko nadrabiali opóźnienie. Wkrótce znaleźli bocznice.

— Posłuchajcie! — powiedział Vellmer, zatrzymując się. — Słyszeliście? 251

Wszyscy słyszeli zgrzyt szponów o skalisty grunt. — Smokowcy! — krzyknął Moździerz. — Wracają!

— Dlaczego to robią? — irytował się Selquist. — Działają mi na nerwy. Zaczynam naprawdę żałować, że ich sprowadziłem.

— Prędko! — nalegał Vellmer. — Pośpieszcie się! Wszyscy do tunelu, zanim nas zobaczą!

Krasnoludowie wskoczyli do bocznego korytarza. Minęli porzucone wagoniki do przewozu rudy i biegli tak długo, póki nie nabrali przekonania, że są poza zasięgiem wzroku i słuchu smokowców. Kiedy zatrzymali się, żeby nadstawić ucha, niczego nie usłyszeli.

— Na pewno pomaszerowali dalej. Może zrezygnują i wrócą do domu — wyraził nadzieję Tłuczek.

— Nie jestem tego taki pewny — powiedział cicho Moździerz. — Czuję, jak mi mrówki chodzą po plecach. Zupełnie jakby ktoś nas obserwował.

— Ja czuję tylko upał! — uskarżał się Świder, ocierając pot z twarzy. — Pod ziemią nie powinno być gorąco.

— Racja — zauważył Vellmer. — Nie powinno. Tu jest za ciepło i coś nas obserwuje. Czuję to.

Coś jest złe.

— Wszystko jest dobrze. — Selquist studiował mapę. — Bocznica znów się łączy z głównym tunelem. Komnata ze skar- bem jest przed nami.

Selquist przyśpieszył kroku. Jego podniecenie udzieliło się po- zostałym. Krasnoludowie biegli za nim z twarzami zaczerwieniony- mi z gorąca i radości. Za zakrętem zobaczyli obszerną pieczarę. — To musi być tutaj! — zawołał Selquist.

— Skoro tak, dlaczego ten skarb rzuca czerwone światło? — zaciekawiał się Świder.

— To blask złota! — odparł Selquist. Stał, żeby otrzeć pot z oczu. — Błysk rubinów. Magiczna aura ksiąg czarów! — I powinno tak śmierdzieć? — Moździerz zatkał sobie nos.

— To pewnie smocze jaja — stwierdził Selquist. — Po tak długim czasie musiały się zepsuć. Tutaj! Jesteśmy na miejscu!

Tunel prowadził do gigantycznej groty. Krasnoludowie ze- brali się przy wejściu i zajrzeli do środka. 252

Z dziury pośrodku jaskini biło czerwone światło. Potworne gorąco zmusiło ich do zasłonięcia twarzy.

— Nie musimy się martwić o smocze jaja — powiedział ponuro Vellmer. — Jeśli są tam, ugotowały się na twardo!

— To nie jest pieczara ze skarbem. Ma niewłaściwy kształt. Tej komory nie ma nawet na mapie — zauważył Moździerz. — Musieliśmy pójść złą drogą!

— Spójrzcie tylko! — zdumiał się Tłuczek. — Kamienne ściany się stopiły! Jakby były z masła!

Podniecenie drużyny również topniało. Krasnoludowie stali w wejściu do groty, oblewali się potem i nerwowo dotykali oręża. — To przekłete miejsce — rzekł Vellmer cichym głosem. — I nie powinno go tu być — powtórzył Moździerz. — Albo może nas nie powinno tu być — jęknął Tłuczek.

— Brednie! — rzekł Selquist ze śmiałością, której naprawdę wcale nie czuł. Wnętrza tak mu się przewracały, jakby chcia- ły wyskoczyć na zewnątrz. — Natknęliśmy się na zbiornik lawy. To wszystko. Podłoże pewno się zapadło jakiś czas po ukryciu skarbu, dlatego nie zaznaczono go na mapie. Pojawienie się tej komory jest całkowicie naturalnym zjawiskiem, spowodowanym przez... przez... — Wstrząsy sejsmiczne — podsunął Moździerz.

— Dziękuję. — Selquist stanął na progu groty i zajrzał do środka, mrużąc oczy od ognistego blasku. — Widzę wyjście... daleko po drugiej stronie. Reszta krasnoludów stłoczyła się przy wejściu do pieczary.

— Masz rację. — Vellmer oficjalnie potwierdził istnienie wylotu. — To jest droga na zewnątrz. Niestety, żeby wyjść, musimy w pierw wejść. Najwyraźniej nikt nie miał na to ochoty.

— No, co jest? — Sekjuist usiłował natchnąć towarzyszy entuzjazmem. — Wejdziemy, jak powiedział Vellmer, okrążymy sadzawkę lawy i wyjdziemy. To wszystko.

— Sam nie wiem. To, co tam siedzi, nie chce, żebyśmy tam wchodzili — powiedział Tłuczek drżącym głosem, ocierając pot z twarzy końcem brody. 253

Krasnoludowie oglądali się z niepokojem na siebie nawzajem i na komnatę. — Ja wejde— oznajmił wreszcie Selquist i ruszył do wejścia. Vellmer schwycił go za paski skórzanej zbroi i odciągnął do tyłu.

— I pod naszą nieobecność wypchasz sobie kieszenie skar- bami? — zachnął się gorzelnik. — Wejdziemy wszyscy albo nikt.

— W takim razie wejdziemy wszyscy — oznajmił z ulgą Selquist. Nie żałował, że będzie miał towarzystwo. Zrobił tylko jeden krok w stronę groty i chociaż panował w niej potworny upał, po plecach przebiegł go dziwny i niewytłumaczalny zimny dreszcz.



Krasnoludowie zbili się w grupę, wyciągnęli broń i ze srogimi minami na błyszczących od potu twarzach weszli do środka. Rozdział 36

Smokowcy bezgłośnie skradali się głównym tunelem, bardzo ostrożnie stawiając szponiaste stopy. Skrzydła im drżały z wysiłku, jakiego wymagało zachowanie absolutnej ciszy. Ich nowy komendant był w podłym humorze i nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi. Dwaj smokowcy już rozcierali sobie siniaki, a jedynym ich przewinieniem było nieumyślne zagrzechotanie łuskami, które rozsuwały się z powodu upału.

Na szczęście, im bardziej się oddalali od tej dziwnej, oświetlonej na czerwono komnaty, tym bardziej temperatura spadała.

Smokowcy maszerowali, póki nie dotarli do bocznicy. Slith rzucił wściekłym wzrokiem na odgałęzienie tunelu, przeklinając jego istnienie. Gdyby nie ten korytarz, komendant nigdy by ich nie odesłał. Z czymkolwiek teraz walczył, nie czyniłby tego samotnie.

Slith kopnął mijaną ścianę. Z markotną i posępną miną zaprowadził drużynę do bocznego tunelu. Nagle zatrzymał się tak niespodziewanie, że żołnierze musieli odskoczyć i rozbiec się na boki, żeby nie wpaść na niego. Nikt nie chciał się z nim zderzyć.

— Czujecie ten zapach? Krasnoludowie! — szepnął Slith, oglądając się na swoich żołnierzy. — Zgaście światło! 254

Skinęli głowami. Smokowiec, który niósł ślepią latarkę, natychmiast spuścił metalową przesłonę.

— Są przed nami w tunelu. Słyszę ich oddechy. Na Królową Ciemności — wybuchnął — przynajmniej pozbędę się tych sukinsynów. — Obejrzał się na pozostałych. — Szykujcie noże — rozkazał. — Szybko i cicho.

Wyjął swój zza paska. Na jego znak reszta zrobiła to samo. W upalnym mroku oczy świeciły im się na czerwono. Wszyscy odczuli ogromną ulgę. Zadżganie kilku krasnoludów niewątpliwie poprawi humor dowódcy.

Schyliwszy się nisko, żeby się zmieścić w tunelu, smokowcy sunęli ostrożnie, patrząc pod nogi i uważając, żeby nie uderzać mieczami o ściany wąskiego korytarza ani nie zawadzić skrzydłami o sufit. Otworzyli paszcze i wywiesili języki, zapiąc ciężko. Znowu robiło się gorąco. Slith wyszedł zza zakrętu.

Oblał go czerwony blask, buchnęły mu w twarz zapierające dech w piersi gorąco i smród siarki. Slith uśmiechnął się szeroko z radości, jaką mu to sprawiło.

— Dzięki ci, Wasza Wysokość! — szepnął. — Wybacz, że w ciebie zwątpiłem. A te wszystkie przykre słowa, które powiedziałem na twój temat — za to też przepraszam.

Wyciągnął mapę i przysunął ją do światła, które padało z pieczary.

— Więc to tak — zamruczał. — Ognista czeluść zagrausza wszystkie drogi do skarbu, który znajduje się po drugiej stronie. My jesteśmy tutaj. — Wskazał palcem górną część mapy. — Komendant jest tutaj. — Przesunął palec na dół. — Schwytaliśmy tych przeklętych krasnoludów w dwa ognie. Odwrócił się do żołnierzy. — Ruszamy! Jesteśmy...

Jego słowa zagłuszył łoskot, od którego cała jaskinia zatrzęsała się w posadach. Smokowcy przytrzymali się ścian, które drżały im pod dłońmi. Huk ucichł, lecz natychmiast dał się słyszeć złowieszczy ryk. Z początku cichy, rósł w siłę, póki nie zdawał się wysysać powietrza z groty. Smokowców opuściła odwaga. 255

Gdzieś przed nimi rozległy się ochryple krzyki przerażenia. Czerwone światło stało się tak jasne, że raziło oczy. Buchnęła fala gorąca i zapierającego dech w piersi zgniętego smrodu. Gorszy jednak od upału i boleśniejszy od oślepiającego blasku był potworny strach, który zdjął smokowców i trząśnął

nimi, jak wilk szarpie rozdarte ścierwo.

Poznali ten strach. Czuli go już przedtem, chociaż nigdy jeszcze nie był tak silny, tak obezwładniający. Pod Slithem ugięły się nogi, skrzydła opadły mu bezwładnie, dłonie się zacisnęły. W ustach tak mu zaschło, że nie mógł poruszyć językiem. — Smok! — wychrypiał któryś z kompanów za jego plecami.

— W takim razie to piekielnie duży złoty smok — wymam- rotał Slith. Z tunelu przed nimi dobiegały przekleństwa i krzyki krasnoludów. Sivak dał znak drużynie, aby się cofnęła. — Odejdziemy po cichutku, póki będzie zajęty pożeraniem krasnolu- dów. Wtedy...

Slith umilkł. Usłyszał, że jeszcze ktoś woła, głośno i śmiało — w języku smokowców.

— To komendant! — krzyknął Gloth. — Smok zaatakował komendanta!

Kang sam walczył z potworem. Slith zapanował nad lękiem, zgniótł go w kulkę i przełknął z wysiłkiem. Strach dławił go za gardło, ale z tym mógł sobie poradzić.

Wyciągnąwszy miecz, pobiegł przed siebie, wprost ku pło- mieniom. Reszta poszła w jego ślady.

## Rozdział 37

Kang nie mógł się ruszyć. Strach go obezwładnił, ścisnął mu gardło i wywrócił na nice. Smokowiec wlepił oczy w czeluść i dopiero teraz, kiedy patrzył z bliska, zdał sobie sprawę, że poprzednio nie widział jej całej. To, co wtedy zobaczył, było zaledwie niewielkim fragmentem gigantycznego kotła wypeł- nionego ogniem i płynną skałą, magmą, która wrzała i kipiała. 256

Z czeluści wyłoniła się głowa. Był to łeb smoka, lecz innego od wszystkich, jakie Kang widział na Krynnie.

Był to ognisty smok. Miał czarne łuski, spod których prześwie- cała upiorna czerwień rozżarzonego ciała. Jego grzywą były trzas- kające płomienie. Smok otworzył paszczę i zionął trującym gazem.

Kang przypomniał sobie słowa Huzzud: „Widzę tylko pozo- gę, bohaterów, którzy spopielają się i giną w płomieniach. Krynn spopielą się i ginie w płomieniach”.

To był stwór Chaosu. To on właśnie miał zabić bohaterów i stać się przyczyną zagłady Krynnu.

Smok wpił pazury przednich łap w krawędź jamy. Wychodził ze zbiornika lawy. Jego oczy były mroczne, puste niczym wszech- świat pozbawiony życia. Ich spojrzenie padło na Kanga. Smoko- wiec ujrzał nie tylko własną śmierć, lecz także wszystkich ży- wych istot. Zobaczył zagładę bogów. Strach rozdeptał nadzieję, zgasił ją i rozrzucił popioły.

Kang się dusił. Cuchnący oddech smoka zatruł powietrze. Z jego ciała bił piekielny żar. Gorąco zdawało się wtapiać stopy w podłoże. Opuścił ręce, omal nie wypuścił różdżki z dłoni i zdjęty narastającą trwogą, ścisnął ją mocno. Kiedy to uczynił, ożyła i zadrżała w jego ręku. Rozbłysnęła jaskrawym, niebieskim światłem, zajaśniała tą samą nieziemską poświatą, jaką rzuca ciemny księżyc.

Na tle żywego ognia płonącego smoka wydawała się jednak delikatna i krucha. Jedno dmuchnięcie bestii spopieliłoby ją i Kan- ga. Nie można walczyć z czymś takim! Nikt i nic nie mogło z nim walczyć! Ani czarni rycerze, ani sama Królowa Ciemności. A już z pewnością nie samotny smokowiec.

Z ogromnym wysiłkiem oderwał stopy od podłoża i rzucił się do ucieczki. Żar palił mu skrzydła; przygryzł język, żeby nie krzyknąć z bólu. Biegł przed siebie chwiejnym krokiem. Wyjście wydawało się potwornie daleko.

Dyscyplina, rzekł surowy głos. Tylko dyscyplina zwycięży chaos.

Kang poznał swój własny głos. Spojrzał na różdżkę i zoba- czył, że jej światło przygasa, pulsowanie słabnie. Było tak góra-

co, że krew się w nim gotowała, czerwono-pomarańczowe pło- mienie lizały jego łuski. —

Dyscyplina — syknął Kang przez zaciśnięte zęby.

Od swoich żołnierzy oczekiwał, że będą wykonywać jego rozkazy. Co pomyśleliby sobie, gdyby zobaczyli, że ucieka w panice? A gdyby przeżył? Nigdy nie mógłby już wydać rozkazu. Nigdy nie mógłby już wymagać od swoich podwładnych, żeby w niego wierzyli. Nigdy nie mógłby już żądać od nich, aby narażali swoje głowy.

Skoro ma wieść takie życie, lepiej już zginąć. A jeśli ginąć, to w walce.

Kang zatrzymał się i odwrócił do ognistego smoka. Różdżka ożyła. Przez smokowca popłynęła niesamowita, potężna energia.

Gorejący łeb wznosił się nad nim. I wtedy, stojąc naprzeciwko tego straszliwie groźnego smoka, pozbawiony złudzeń, że go zgładzi, że ujdzie z życiem, zobaczył grupkę krasnoludów wyłaniających się z otworu w górnej części pieczary.

Wyraz przerażenia, który malował się na ich twarzach, musiał odzwierciedlać jego własną minę.

Kang zauważył ich obecność, a potem zapomniał o niej. Wystarczy jeden nieprzyjaciel na raz.

Odruchowo sięgnął po miecz. Wyobraził sobie, że usiłuje podejść do smoka na tyle blisko, żeby go dźgnąć, i zarzucił pomysł. Spaliłby się na węgiel, zanim zbliżyłby się na wyciągnięcie ręki. Królowa dała mu różdżkę. Użyje jej więc, chociaż wcale nie był pewny, jak działa. Może chociaż wzmocni działa — nie tych nielicznych zaklęć, które zna.

Smok zniżył głowę i przysunął ją bliżej. Skupił wzrok na swej ofierze. Jego oczy ziały pustką. Nie było w nich niczego, ani nienawiści, ani głodu, ani lęku. Zabije Kanga i będzie patrzył na jego śmierć obojętnym wzrokiem. Smokowiec po stokroć wolałby walczyć z rozwścieczonym elfim władcą, w którym śmierć wroga wzbudziłaby jakieś uczucia, choćby tylko radość. Jedynym celem tego smoka było zgładzenie każdej żywej istoty, która stanie na jego drodze. Z zamkniętej paszczy potwora buchał ogień; na tle płomieni zęby były czarne. Smok zbliżył łeb jeszcze bardziej i otworzył szeroko paszczę. 258

Powietrze wypełniły smrodliwe wyziewy, które uczyniły atmosferę niezdadną do oddychania. Kang musiał się wycofać na chwilę. Wstrzymał oddech i przesunął się do tyłu, póki nie dotarł do wyjścia z grotu. Zacerpnął stosunkowo świeżego powietrza, po czym znów wskoczył do pieczary.

Gorąco dawało mu się we znaki. Otepiały od upału, z trudem szukał w pamięci magicznych zaklęć. W odróżnieniu od innych ras, smokowcy nie radzili sobie najlepiej ze skrajnymi temperaturami. Zaczynał się czuć ospały niczym jaszczurka wygrzewająca się na słońcu. Należało coś zrobić, żeby zwalczyć upał, zanim jeszcze przystąpi do walki ze smokiem. W związku z tym pierwsze zaklęcie rzucił dla siebie.

— Wody — wymamrotał spieczonymi i spierzchniętymi wargami. Na ścianie za sobą nakreślił wymagany symbol. Rozejrzał się szybko, popatrzył na kamienną ścianę, na podłogę.

Niczego nie ujrzał i wpadł w rozpacz. Liczył na strużkę wody, cokolwiek, żeby tylko zwilżyć twarz i ochłodzić łuski rozstępujące się z gorąca, przez co jego wargi odsłaniały zęby w stężałym grymasie. Język zwisał mu bezwładnie z pyska.

Smok go obserwował. Nie igrał z nim, jak uczyniłby małostkowy, mściwy srebrny smok. Kang miał wrażenie, że ten nie zaatakował od razu, ponieważ nie odczuwał takiej potrzeby. Nie mógł mieć za to do niego żalu. Po co marnować siły? Wkrótce sam umrze z upału.

Smok nadal wyciągał swe gigantyczne cielsko na brzeg jamy. Od kamiennego podłoża i ścian biło gorąco. Kang miał uczucie, że piecze się w piecu na wolnym ogniu. — Wody! Wasza Wysokość! Błagam cię...

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Różdżka w jego ręku zaświeciła się na niebiesko. Przepływająca przez nią energia tak wystraszyła Kanga, że omal nie wypuścił różdżki z dłoni.

Na głowę chlusnęła mu woda, lodowata i cudowna. Spływała ze ścian i omywała posadzkę. Koła ból jego poparzonych stóp, chłodziła ciało, przywracała trzeźwość umysłu.

Strugi wody lały się z sufitu. Pocięły po podłożu i spłynęły kaskadą do krateru. Buchnęły kłęby pary. 259

Ocknąwszy się z nieomal śmiertelnego odrętwienia, Kang brodził w wodzie i rozpaczliwie starał się znaleźć w pamięci następne zaklęcie, takie, które zabiłoby smoka. Strugi wody wciąż się lały, grot wypełniła się parą. Kang chwilowo stracił ognistego stwora z oczu.

Słyszał jednak jego ryk, który zdawał się świadczyć o tym, że bestia cierpiąca. Biegnąc naprzód, żeby cokolwiek zobaczyć, Kang dostrzegł smoka i stwierdził, że jego zaklęcie odniosło niespodziewany skutek.

Lejące się z góry potoki wody spływały po bestii. Jej rozpalone łuski kurczyły się i pękały. Czerwony blask przygasał. Potwór znów zaryczał z wściekłości.

Woda nadal chlusnęła na smoka. Ogniste światło, które biło od niego na całą jaskinię, zaczęło gasnąć. Jego ryk stał się wyciem rozjuszzonej bestii. Zdołał wypełznąć do połowy z ognistej czeluści, ale dolna część jego ciała wciąż znajdowała się w lawie, a górna szybko stygła.

Smok kłapał paszczą, próbując ugryźć Kanga, lecz poruszał się powoli i ospale. Smokowiec bez trudu odskoczył na bok. Pazury smoka zazgrzytały o skałę. Górna część jego ciała robiła się ciężka, dolna nie była już w stanie jej utrzymać. Potwór znów zanurkował w studni.

Kang westchnął z ulgi, która jednak nie potrwała długo. O ile wiedział, jedyna droga do wyjścia prowadziła przez grotę. Jeśli pozwoli teraz smokowi uciec, ten z pewnością odzyska siły. Walka tylko się odwlecze. Nie mógł więc dopuścić do tego, żeby potwór skrył się w swej jamie.

Woda, która poprzednio była błogosławieństwem, stała się teraz przekleństwem. Sięgała powyżej kolan i utrudniała ruchy. Kang brodził w jej potokach, lecz już wiedział, że zanim podejdzie do ognistego smoka dość blisko, żeby zatopić w nim miecz, potwór ucieknie. Oddałby teraz całą wodę za to, żeby spadło kilka głazów... — Błoto! — rzekł Kang, patrząc na sufit. Nic się nie stało, lecz tym razem był na to przygotowany. — Błagam Waszą Wysokość... 260

Z różdżki trysnęło niebieskie światło. Kamienne sklepienie jaskini nad smokiem uległo przemianie, zmiękło i stopiło się. Lawina błota chlusnęła na smoka, błoto padało do krateru niczym deszcz. Wkrótce całkowicie oblepiło tułów i głowę potwora. Smokowiec już go nie widział ani nie słyszał. Z jamy wyłonił się ogon, który wił się i rozchłapywał płynną lawę po ścianach pieczary, lecz wkrótce zwiotczał. Kang mógł jedynie założyć, że smok zdechł.

Wzdrygnął się i zrobił głęboki wdech. Zamierzał wyjść, żeby dogonić Slitha i resztę oddziału, kiedy podłoga i ściany zaczęły się trząść.

Uniósł głowę i natychmiast zdał sobie sprawę, co się działo. Płynne błoto nie było w stanie dłużej utrzymać ciężaru sklepienia. Ta część groty lada chwila miała mu się zawalić na głowę.

Kang zaczął biec w stronę wylotu, lecz zobaczył, jak otwór niknie pod płynną ścianą błota i kamieni, która wkrótce miała go dogonić. Spotka go ten sam los co smoka.

Zawrócił i pobiegł w jedynym kierunku, w jakim jeszcze mógł. Przed siebie, w głąb pieczary.

Para wszystko przesłaniała, ale przypominał sobie, że na drugim końcu grotki widział wylot. Droga była daleka i wiodła w pobliżu ognistej studni.

Puścił się biegiem. Nigdy jeszcze nie poruszał się tak szybko. Spod jego nóg tryskały fontanny wody. Podłoże się wznosiło, woda była coraz płytsza. Wyskoczył na suchy grunt, na rozpaloną skałę. Zaciśnął zęby z bólu, czując poparzone i pokryte pęcherzami stopy i biegł dalej.

Okrażał krater szerokim łukiem, kiedy spostrzegł, że coś w jego wnętrzu drgnęło. Jakiś głąz poruszył się i zaczął wypływać na powierzchnię. Z czeluści spojrzały na niego oczy, czarne i puste.

261

## Rozdział 38

Krasnoludowie zrobili kilka ostrożnych kroków w głąb komnaty. Upał był nie do wytrzymania, wyziewy dusiły. Czeluść wypełniona płynną lawą rzuciła silniejszy blask niż najgorętszy piec w kuźni. Ci, którzy mieli dość odwagi, żeby do niej zajrzeć, zobaczyli, jak lawa wrze i kipi. Wyjście znajdowało się jakieś dziewięćdziesiąt stopni od nich po lewo. Jama ziała na wprost.

Krasnoludowie przywarli plecami do gładkich ścian jaskini i pomału posuwali się naprzód. Z jamy buchało gorąco, atmosfera zagrożenia odbierała wszystkim odwagę. Krasnoludowie wyjęli spocone brody, ścisnęli mocniej topory bojowe w garściach i szli dalej.

— Widziałem oczy! — wrzasnął Świder, wskazując ręką. — Oczy w kraterze!

Pozostali zatrzymali się. Ich twarze świeciły się od potu, brzeszczoty toporów połyskiwały w czerwonym blasku płynnej lawy.

Selquist poruszył grdyką, usiłując znaleźć trochę wilgoci w suchych ustach. Nigdy w życiu tak się nie bał. Nie uwierzył, że może go zdjąć taki strach. Parsknął lekkim, beztroskim śmiechem, którego efekt jednak popsuł odzywający się w połowie jęk.

— Ale ty masz wyobraźnię! — zrywał się Selquist, przelaskając ślinę i próbując opanować nerwowe drżenie dłoni. On również dostrzegł oczy, ale starał się nie zwracać na nie uwagi. — Powinieneś pojechać do Palanthas i tam kształcić się na barda. To nie były oczy. To tylko... cienie. Nie zatrzymujcie się.

Gorliwie usłuchano jego rozkazu. Krasnoludom spieszo było opuścić to miejsce. Uszli dwadzieścia kroków i wciąż znajdowali się w pewnej odległości od swego celu, kiedy z przeciwnej strony pieczary dobiegł przerażający ryk. Krasnoludowie znów stanęli i spojrzeli na siebie. — To był głos smokowca! — zawołał Tłuczek.

— Najpierw grell, potem oczy z ognistymi brwiami, a teraz wyjący smokowcy — wymamrotał Selquist. — Przekłęci Daewarowie! Nie musieli ukrywać skarbu w tak niedogodnym miejscu.

— Patrzcie! Tam na prawo! — krzyknął Moździerz. Sekjuist spojrzał, ale olbrzymi stalaktyt zasłaniał mu widok. Smokowiec znów krzyknął w języku, którego nie znał żaden z nich. Potem rozbłysło nieziemskie, jaskrawobłękitne światło i gdzieś z prawej strony, spoza ognistej czeluści, dobiegł szum wezbranej wody.

Krasnoludowie nie mieli zamiaru zostać i patrzeć, co będzie dalej. Ruszyli biegiem. Byli już w połowie drogi do wyjścia, kiedy ich cel niespodziewanie zniknął w kłębach gorącej pary.

Krztusili się, sapali i mrugali oczami. Wszystko utonęło w gęstej mgle, łącznie z nimi samymi.

— Nie ruszajcie się! — zawołał Selquist. — Trzymajcie się razem!

Każdy krasnolud, który usłyszał to polecenie, założył, że dotyczy ono wszystkich poza nim samym. W konsekwencji błakali się we mgle, wołając, macając przed sobą rękami i próbując trafić do wyjścia.

Ich strach i dezorientację wzmagaly przerażające odgłosy dochodzące z mgły — krzyki smokowca, straszliwe syczenie i ryki. Opary zaczęły się przersedzać. Kiedy wreszcie krasnoludowie mogli coś zobaczyć, zdali sobie sprawę, że rozproszyli się po całej grocie, a niektórzy znajdowali się niebezpiecznie blisko krawędzi krateru. W tym momencie podłoga i ściany zaczęły

się trząść.

Po prawej stronie rozległ się huk spadającej lawiny. Jaskinia się waliła.

Krasnoludowie znów ruszyli w stronę wyjścia. Pierwszy biegł Selquist. Był jedynym, który posłuchał własnego rozkazu. Kiedy przypląnęła mgła, zatrzymał się i zaczekał, aż opar się rozproszy. Kiedy tylko zlokalizował wyjście, pobiegł w jego stronę. Krzyk za plecami skłonił go do odwrócenia głowy. Mimo woli zwolnił kroku.

Na skraju płonącej jamy stał krasnolud. Sprawiał wrażenie, jakby zamienił się w kamień, ponieważ trwał zupełnie nieruchomo. Za to poruszało się coś w głębi krateru. Wystrzelił stamtąd łeb z płomieni i dymu, o oczach pustych niczym wieczność. Selquist nigdy przedtem nie widział smoka, a co dopiero

263 takiego, który składał się z ognia, lecz w mgnieniu oka zidentyfikował go jako ognistego smoka. Wiedział o nich jedno — nie należało długo pozostawać w ich pobliżu.

Smok zionął strumieniem ognia na krasnoluda, który natychmiast stanął w płomieniach. Krzycząca z bólu ofiara zatoczyła się, zrobiła fałszywy krok i z przerażającym wrzaskiem wpadła do studni pełnej wrzącej lawy.

Lęk i zgroza odebrały Selquistowi i wszystkim pozostałym zdolność poruszania się i myślenia. Następny krasnolud stał się żywą pochodnią, którą podpalił oddech smoka. Bestia wypełzała z jamy, kręcąc głową, żeby nie stracić ofiar z oczu.

Selquist nagle uświadomił sobie, że jeśli ktoś czegoś nie zrobi, wszyscy zginą.

— Co my robimy? Co nas napadło? — zadał sobie pytanie i uderzył się kilkakrotnie w czoło, żeby odegnąć potworne uczucie bezradności. Kiedy tego dokonał, spróbował ocucić przyjaciół.

— Świder! Uciekaj! Tłuczek, ty idioto! Wynos się stąd! Moździerz, kretynie... Och, na Reorxa, co za bęcwały! Co oni by zrobili beze mnie?

Wzrok pustych, czarnych oczu padł na Vellmera, który trzął się jak osika. Topór wysunął mu się z rąk i spadł na podłogę z głuchym brzękiem. Smok zaczerpnął tchu. Selquist podrzucił w dłoni swoją broń i cisnął nią w potwora.

Niestety, rzucanie siekierą nigdy nie szło mu najlepiej. Zawsze miał coś lepszego do roboty od miotania toporem w drzewa, w której to rozrywce gustowali bardziej wojowniczo nastawieni krasnoludowie. Ramiona Selquista nie były szczególnie muskularne i lepiej mu szło zwinne wchodzenie przez okna na piętrze niż rzucanie dużą i ciężką bronią. Źle wymierzył. Nie zamachnął się ani nie nabrał rozpędu, co dobrze byłoby zrobić, miotając siekierą w smoka.

Wprawdzie Selquist chybił, lecz trafił coś innego. Trafił Vellmera, na szczęście tępą stroną siekiery.

Krasnolud padł jak ścięte drzewo. Kula smoczego ognia wybuchła niegroźnie nad nim. 264

Cios Selquista okazał się niecelny, natchnął jednak odwagę pozostałych krasnoludów.

— Do ataku! — krzyknął Moździerz, który dużo lepiej rzucał siekierą. Cisnął nią w smoka i trafił bestię w lewe ślepie.

Smok zaczął się miotać, rzucając głową na boki. Po policzku spływała mu krwawa miazga oka.

Reszta krasnoludów nabrała śmiałości i korzystając z chwili nieuwagi potwora, rzucała w niego toporami i tym, co kto miał w ręku. Pod osłoną ich pocisków Selquist rzucił się naprzód. Świder i Tłuczek nachylali się nad Vellmerem, daremnie próbując go ocucić.

— Szybko! Wyciągnijcie go za drzwi! — Selquist złapał nieprzytomnego mistrza gorzelniczego za kołnierz. — Oczekuję za to darmowego spirytusu przez cały rok! Wy dwaj, bierzcie go za ręce.

Tłuczek i Moździerz chwycili Vellmera za ramiona i zaczęli go ciągnąć do wyjścia.

Krasnoludom zabrakło broni do rzucania w smoka. Nie zaprzestali jednak ataku, miotając

kamieniami, bułakami na wodę i nawet własnymi podkutymi butami.

Ogłuszony gradem pocisków smok zaczął osuwać się na ziemię. Nie był jednak jeszcze martwy. Potrząsając ognistą grzywą, toczył wokół zdrowym okiem, chcąc znaleźć i zabić denerwujących szkodników.

— Odwrót! — krzyknął Selquist, kiedy zobaczył, że nie mają już czym rzucać.

Krasnoludowie zawrócili i uciekli, zatrzymując się po drodze tylko po to, żeby zabrać rannych.

Smok raptownie skoczył naprzód. Z jego paszczy buchnęły płomienie. Strumień ognia trafił kilku tych, którzy byli najbliżej krateru. Rozżarzone węgle przywarły do ich ubrań, podpaliły im włosy i brody. Nieszczęśnicy zachwiali się i padli, krzycząc do towarzyszy, aby ich nie zostawiali.

Gdzieś zza smoka dał się słyszeć cichy, warkoczący śpiew. Z zabarwionej na czerwono ciemności wybiegł smokowiec, wznosząc wojenną pieśń. W jednej ręce trzymał świecąca różdżkę, w drugiej miecz. Jego pierś i głowę chroniła warstewka roz-

iskrzonego białego szronu, który błyszczał jak zbroja. Im bliżej był smoka, tym głośniej i przenikliwiej brzmiał jego śpiew. Bojowy okrzyk podjęła reszta smokowców, śpieszących swojemu dowódcy z odsieczą.

Smok usiłował znaleźć nowych nieprzyjaciół, lecz ich atak zdawał się nadchodzić zewsząd. Pierwszy smokowiec podbiegł, uchylił się przed klapiącymi łkami. Magiczna zbroja ze szronu zaczęła się topić z potwornego gorąca, lecz osłoniła go wystarczająco długo, by zdołał wbić miecz w prawe oko bestii.

Smok szarpnął łbem w bok, próbując wydrzeć ostrze z rany. Smokowiec nie wypuścił broni i zatapiał miecz coraz głębiej, aż wydawało mu się, że zostanie wciągnięty do płonącego krateru. Wypuszczając oręż w ostatnim możliwym momencie, padł ciężko na ziemię. Smok rozwarł paszczę i miał już go pożreć, kiedy przybyła reszta smokowców i stanęła murem wokół swego powalonego dowódcy. Jeden z nich złapał potężnego bozaka i odciągnął go od jamy.

— Teraz! — zawołał Moździerz i wraz z kilkoma towarzyszami pobiegł ratować rannych krasnoludów i pomóc im odsunąć się w bezpieczne miejsce.

W czerwonym świetle błyszczały miecze, którymi smokowcy cięli i dźgali potwora. Smok raptownie uniósł głowę i machnął potężną łapą. Pazury trafiły jednego z bozaków w plecy i przebiły go na wylot. Smokowiec chwilę się szarpał, potem znieruchomiał.

— Kryć się! — krzyknął Selquist. Raz już widział śmierć bozaka. Wiedział, co się za chwilę stanie. — Wszyscy chować się!

Smokowcy najwyraźniej też wiedzieli, co nastąpi. Rzucili się czym prędzej do wyjścia. Ten, który trzymał różdżkę, szedł na czworakach w przeciwnym kierunku.

Ciało bozaka skruszyło się, odsłaniając szkielet. Smok usiłował strząsnąć szczątki ofiary ze szponów, kiedy kości wybuchły. Głowa smoka pękła, z jej wnętrza buchnął ogień. Potwór wpadł z powrotem do czeluści.

— Na Reorxa, ich jest więcej! — krzyknął przerażony Moździerz. 266

Magma w kraterze wrzała. Czerwone fale ognia biły o skalisty brzeg. — Tam muszą być ich setki! — jęknął Tłuczek. — Doskonale — stwierdził Selquist, zacierając ręce. — Doskonale? — wrzasnął Świder. — Oszalałeś?

— Jestem całkiem zdrowy na umyśle — odparł chłodno jego towarzysz. — To znaczy, że nie musimy się już przejmować smokowcami. Będą mieli pełne ręce roboty. Stojąc w wyjściu, machnął ręką. — Do tunelu! — zawołał. — Tędy! Szybko!

Z jamy wypełzał trzeci smok. Jak dotąd, sprawiał wrażenie największego. Za nim kłębiły się następne.

— Pozbądźcie się, proszę, tych bestyjek, zanim będziemy gotowi wrócić! — zawołał do smokowców.

Krasnoludowie pomogli wstać rannym. Wśród nich był Yel- lmer, który dociekał, kto go uderzył.

— Smokowiec — natychmiast odparł Seląquist. Wskazał ręką. — Ten wysoki, z bezwładnym skrzydłem. Vellmer warknął i roztarł głowę. — Już ja go załatwię — rzekł ze złością.

— Będziesz musiał stanąć w kolejce. Smok ma pierwszeństwo. A ty chyba masz coś do roboty, prawda?

Vellmer przypomniał sobie, że rzeczywiście ma. Odwrócił się i biegnąc na uginających się nogach, podążył za pozostałymi w głąb tunelu, którym wreszcie mieli dojść do skarbu.

Seląquist zamierzał już pójść w ich ślady, kiedy coś mu przyszło do głowy.

— Moździerz! Tłuczek! Zaczekajcie tu na mnie chwilę — zawołał. — Mam pomysł. Rozdział 39

Kang leżał twarzą do ziemi, spoglądając ze zgrozą na bulgoczącą magmę. Pewnego razu, podczas bitwy pod Pax Tharkas, 267

natknął się na kłębowisko żmij. Wężę splotły się ze sobą w jeden wijący się węzeł tak, że nikt nie potrafił powiedzieć, ile ich było, ani nawet, gdzie się jeden wąż zaczynał, a drugi kończył.

Otępiały z gorąca Kang widział niezliczone ślepia, puste oczy, które na niego patrzyły. Widział nieprzeliczone masy ognistych smoków, które wiły się, obracały, pełzały po sobie i wyłaniały w pełni dorosłe z płynnej lawy, której były magicznym uosobieniem.

Jeśli wydostaną się na wolność, nie tylko opanują Thorbardin, ale zdziesiątkują Krynn. Powoli uświadomił sobie, że na tym właśnie polegało zadanie, jakie dała im Królowa Ciemności. Nie na zabiciu kilku ognistych smoków. Na zniszczeniu całego gniazda żmij. Poruszył oczami, które paliły go z bólu, i spojrzał na różdżkę.

„Nigdy jej zamiarem nie było, abyśmy z tej misji wrócili żywi” — uświadomił sobie. —

„Jesteśmy jej brygadą śmierci, jak ci legendarni rycerze, którzy poszli w ostatni bój z tym... jak mu tam...” — Kangowi mąciło się w głowie. — „Humą, czy kimś takim.” — To i tak już było nieistotne.

— Panie pułkowniku! Panie pułkowniku! — ktoś do niego wołał. — Panie komendancie!

Kang chciał, żeby wreszcie przestał. Dlaczego nie mogą dać mu spokoju? O co tym razem chodzi? Oczekują, że znów uratuje ich z opresji? Spodziewają się, że ocali im życie? Bardzo się rozczarują. Zamierzał usnąć i zanurzyć się w ogniu...

Chlusnęła na niego woda. Zasycała na rozpalonych łuskach, ale przywróciła mu przytomność. Ktoś złapał go za paski zbroi, odciągnął od czeluści i upuścił na podłogę kilka kroków dalej.

— Nic panu nie jest? — pytał Slith. Trzymał w rękach krasnoludzki bukłak z wodą.

Kang usiadł. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa, w gardle go paliło i z trudem oddychał. Zdołał jednak pokiwać głową.

— Niech pan chwilę odpocznie. Zajmiemy się tymi gadzinami. — Slith wrócił do walki, zanim jego dowódca zdążył odpowiedzieć.

— Musimy je zabić — rzekł Kang do siebie, otępiały z gorąca, wycieńczony i bólu. — Zabić je wszystkie. Takie mam rozkazy. Wyglądało jednak na to, że to oni zginą. Smok przebił pazurami

jednego z bozaków. Kang widział jego śmierć. Miał jeszcze dość siły, żeby się odczołgać, zanim nastąpił wybuch.

Ognisty smok zginął, ale z jamy wyłoniła się głowa potwora, który zajął jego miejsce. Kang usłyszał kolejną eksplozję. Zginął jeszcze jeden bozak. Jak mają walczyć z bestią, do której nawet nie można się zbliżyć bez obawy, że się spłonie? Wodził wokół pustym wzrokiem, pogrążony w dziwnym i przerażającym odrętwieniu. Czekał na śmierć.

Jego wędrujące bez celu spojrzenie padło na sklepienie ogromnej jaskini. Stalaktyty, powstałe



ze stopionej od gorąca skały, przypominały olbrzymie zęby. Niegdyś czarne nacieki połyskiwały czerwono w blasku ognia. Kang miał wrażenie, że znajduje się w paszczy jakiegoś olbrzymiego stwora, którego pysk pełen był kłów. Paszczy, która za chwilę się zamknie i uwięzi ich wszystkich... — To jest to — rzekł do siebie.

Stał na nogi, otrząsnąwszy się z odrętwienia. Poszukał wzrokiem Slitha. Sivalk walczył w pewnej odległości od niego. — Odwrót! — zagrział Kang. — Cofać się!

Slith obejrzał się i wlepił w niego oczy, jakby chciał się upewnić, czy dobrze słyszał.

Kang machnął ręką, wskazując wejście do komory, które znajdowało się dokładnie za plecami smokowców.

— Cofać się! — krzyknął. Gardło miał zdarte. Czuł w ustach smak krwi. — Wracajcie tą samą drogą, którą przyszliście!

Slith raz skinął głową. Wydał szybko rozkazy i smokowcy rozpoczęli planowy odwrót, zabierając ze sobą rannych. Nie wpadli w panikę jak niezdyscyplinowani krasnoludowie. Nie rozpierzchli się. Ogniste smoki kłapały paszczami i rzucały się na nich. Wszędzie buchały kłęby ognia. Padło jeszcze kilku smokowców, ale reszta nie złamała szeregów, nie zawahała się.

Kang odprowadzał ich wzrokiem. Duma z żołnierzy rozpie-rała mu pierś. Było to przyjemne uczucie, z którym miło szło się do walki. Zaczekał, póki ostatni smokowiec nie opuścił pieczary. Slith odwrócił się i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że komendant nie poszedł za nimi. 269

Wydawało się, że jest bliski tego, by pośpieszyć mu z pomocą. Dzięki Królowej Ciemności, nie opuścił szeregu. Wiedział, że dowódca ma jakiś plan i ufał jego osądowi. Kang żałował, że nie ma tej samej pewności.

Jeden z ognistych smoków, rozgniewany utratą zdobyczy, odwrócił się i dostrzegł Kanga. Rzucił się na niego z szeroko otwartą paszczą.

Smokowiec wznosił różdżkę i wskazał nią — nie smoka — lecz sklepienie jaskini.

— Następnym razem powiedz nam prawdę, Wasza Wysokość — rzekł cicho. — Nie musisz nas nakłaniać do służby oszustwem.

Różdżka zapłonęła błękitnym światłem. Świeciła coraz jaśniej, jej powierzchnię oplotła sieć wyładowań. Kang poczuł gniew Królowej. Nie był skierowany przeciwko niemu, lecz przeciw przeznaczeniu, które ją przytłaczało, które wkrótce mia-ło ją pozbawić tronu i przegnać ze świata. Choć nie wiedział wtedy o tym, był to ostatni przejaw złego humoru Takhisis, jej ostatni wybuch wściekłości, policzek wymierzony Ojcu, który przybył się zemścić na swym boskim potomstwie.

Z różdżki strzeliła białobłękitna błyskawica, która trafiła w sufit dokładnie nad smoczą czeluścią. Stalaktyty eksplodowały, rażąc wielkimi odłamkami skał. Do jamy posypały się głązy, miażdżąc ogniste smoki. Część zgniecionych potworów leżała na brzegu krateru, inne zdołały uciec i szybko znikły, nurkując w rozpalonych głębinach studni.

Głązy padały też wokół Kanga. Smokowiec jednak nie prze-stawał kierować strumienia oślepiającego światła na sufit. Chroniło go ono przed sypiącym się gruzem. Było to niespodziewane dobrodziejstwo, za które jednak był niezmiernie wdzięczny. Po uderzeniu w świetlisty nimb, który go otaczał, okruchy skały odskakiwały i spadały na podłogę.

Posypało się więcej kamieni. W powietrze wzbiły się tumany skalnego pyłu, wielkie bryzgi lawy chlustały na całą jaskinię. Kang nie widział już sufitu, lecz wciąż kierował światło w jego kierunku. Głęboki łoskot wstrząsnął pieczarą. U stóp smokowca poja- 270

wiła się rozpadlina, która biegła do krawędzi zbiornika magmy. Podłoga zaczęła kruszyć się i pękać. — Panie pułkowniku! — Slith przekrzykiwał zgiełk. Kang zaczął się cofać krok po kroku, po omacku szukając drogi do wyjścia, którym wybiegli krasnoludowie. Wzrok i myśli skupiał na

zniszczeniu jaskini.

W grocie panował dużo gęstszy mrok. W miarę jak jama wypełniała się gruzem, blask ognia przygasał. Oby tylko ozna- czało to, że ogniste smoki giną. Jaśniało tylko promienne, niebies- kie światło, które go otaczało. Nagle światło zgasło. Różdżka przestała działać.

Kanga uderzyły kamienie. Niewielkie okruchy, które latały w powietrzu rozcięły mu łuski i skórę. Tuż obok roztrzaskał się głaz, omal go nie przygniatając. Odłamek wielkości pięści trafił go w bark. Kolejny rozdarł mu skrzydło.

Jasknia się waliła. Kang dał rozpaczliwego nura; wylądował na brzuchu, łamiąc sobie żebra i padając bez tchu. Dusił się, nie mógł się poruszyć. Ziemia pod nim trzęsa się i kołysała. Wokół słychać było łoskot i huk spadających głazów.

Otoczyły go niskie, niewyraźne postaci. Chwyciły go jakieś dło- nie, dłonie z palcami, nie pazurami. Zarośnięte twarze nachyliły się nad nim. Krasnoludowie unieśli smokowca za paski od zbroi i po- ciągnęli w stronę wyjścia. Tam upuścili go na ziemię.

Kang podniósł głowę i spojrzał na nich otępiałym wzrokiem. Był zupełnie wycieńczony.

Jeden z krasnoludów nachylił się i wyjął różdżkę z jego bezwładnej dłoni. — Miło się z tobą robi interesy — rzekł i uciekł. Potem wokół zapadła ciemność. Rozdział 40

Zanosząc się kaszlem od skalnego pyłu, którego wielkie, duszą- ce obłoki buchnęły ze smoczej jaskini, Seląuist zwolnił kroku. 271

Nieufnie zerkał na sufit, który wprawdzie trząsał się i dygotał, nie sprawiał jednak wrażenia, jakby miał zwalić mu się na głowę.

— Wy, Hylarowie, zbudowaliście cholernie dobry, solidny tunel. — Seląuist wygłosił pochwałę pod adresem wszystkich zmarłych budowniczych. — Gdzie są wszyscy? — zaniepokoił się Świder.

— Pewnie uciekli przed kurzem — powiedział Tłuczek gło- sem stłumionym przez chustkę, którą zasłonił sobie usta. — Wydaje mi się, że ich widzę. — Seląuist wskazał ręką.

W ciemnych obłokach pyłu ledwo można było dostrzec mi- goczące światło pochodni. Poparzeni i osmoleni, ale żywi kras- noludowie zebrali się pod olbrzymim stemplem, najwyraźniej spodziewając się, że cała góra zwali im się na głowy. Bezbronni, w większości bosy, przedstawiali żaloszny widok. — Kto to? — krzyknął ktoś, wlepiając wzrok w ciemność. Seląuist zamierzał odpowiedzieć, lecz w tej chwili obłok kurzu wleciał mu do gardła. Oddychanie stało się interesujące, a mówienie niemożliwe. Krasnolud krztusił się i pluł, póki nie odzyskał głosu. — To ja! — zdołał wreszcie wyrzucić.

— Wraz z Moździerzem, Tłuczkiem i Świdrem — dodał Świder.

— To Seląuist. Myśleliśmy, że zginęliście — oznajmił Vellmer tonem, który świadczył o tym, że jego najpiękniejsze nadzieje spełzły na niczym. — Co się tam dzieje? Czy to ogniste smoki? — Czy one nas ścigają? — spytał bojaźliwie inny krasnolud. — Smokowcy — mruknął inny. — To oni nas ścigają. Seląuist potrząsnął głową, kaszlnął jeszcze kilka razy, po czym pomachał rękami, rozpraszając ich obawy i obłoki kurzu za jednym zamachem.

— Nie musicie się martwić o ogniste smoki ani o smokow- ców. Pozabijali się nawzajem. Zburzyli całą tę przekłętą jaskinię i pogrzebali się pod jej gruzami. Sami to widzieliśmy.

Wskazał na Świdra, Moździerza i Tłuczka, którzy uroczyście skinęli głowami. — To świetnie! — krzyknął Yellmer, przytrzymując się 272

ściany tunelu, żeby nie upaść, kiedy ziemia trzęsała im się pod nogami. — Wiele jednak nam to nie pomoże, jeśli przy okazji nas też pogrzebią!

Dudnienie ustało. Zapadła cisza. Skalny pył przez chwilę wisiał w powietrzu, potem powoli zaczął osiadać. Krasnoludowie wyteżyli słuch, lecz niczego nie usłyszeli.

— A nie mówiłem? — spytał Selquist. — Wszyscy zginęli. — Zanucił kilka taktów krasnoludzkiej piosenki miłosnej, sprawiając wrażenie ogromnie z siebie zadowolonego. — No i co, nie cieszy się teraz, że zabrałem ze sobą tych smokowców?

— Nie za bardzo. — Vellmer potarł obolałą głowę. — Co masz w ręku?

Sekjuist przypomniał sobie, niestety za późno, że nie schował magicznej różdżki. Szybko wsunął ją do rękawa. — Och, nic wielkiego — rzekł beztrzesko.

— Wyglądało mi to na czarodziejską różdżkę. Tę samą, którą miał grell — stwierdził z dezaprobatą Vellmer. — Tę samą, która zabiła biednego Moortana.

— Może tak. Może nie — Selquist wzruszył ramionami. — Wszystkie czarodziejskie różdżki wyglądają jednakowo, przynajmniej ja innej nie widziałem. Chodźmy już stąd. O ile pamiętam, do skarbu już całkiem blisko. Gdzie ta mapa? Krasnoludowie jednak nie dali się zbić z tropu. Świder był wstrząśnięty.

— Ukradłeś ją martwemu smokowcowi? — Skrzywił się. — Moim zdaniem okradanie zmarłych jest niegodziwe. — Może niegodziwe, ale bezpieczne — mruknął Selquist.

— Ta różdżka jest narzędziem zła — słusznie zauważył Moździerz. — Uważam, że powinieneś jej się pozbyć, a potem pomodlić się do Reorxa, błagając o wybaczenie.

— Jasne, że się pomodłę — mruknął pod nosem Selquist. — Poproszę go, żeby was wszystkich posłał do Kenderówka.

— Pamiętasz, w jakie kłopoty wpędził nas ten święty symbol Królowej Ciemności, dopóki go nie oddałeś? — przypomniał mu Tłuczek. Różdżka ziębiła dłoń Selquista i na chwilę złe przecucie rze-

czywiście ścisnęło serce krasnoluda. Na szczęście rozsądek — nakazujący mu już szacować wartość rubinów, szafirów, szmaragdów, diamentów oraz kamieni, które na oko wydawały się całkiem niezłymi czarnymi opalami — wziął górę nad przesadami.

— To był święty symbol — wyjaśnił Selquist. — Nic dziwnego, że Królową Ciemności rozłościła jego kradzież. Dla niej było to... święto.. .świętokradztwo — dumnie wypowiedział podniosłe i uczenie brzmiące słowo. — Ta różdżka nic dla niej nie znaczy! Czary. Wielkie rzeczy! — Selquist strzelił palcami. — Nie dałaby za nią dwóch ghuli. Bo widzicie, bogiem magii jest jej syn, a z tego, co słyszałem, Nuitari to beztrzeski, niefrasobliwy i wesoły facet. Nie rzuciłby na ciebie przekleństwa tylko dlatego, że podniosłeś przypadkiem porzuconą różdżkę, której nikt nie chciał.

Krasnoludowie nie wyglądali na przekonanych. Ukradkiem popatrzyli na Selquista spode łba i większość odsunęła się od niego. — Tacy jesteście ciemni — ciągnął Selquist tonem nagany. — Nikt z was nie myśli o przyszłości. Co się stanie, jeśli smokowcy ruszą w pościg za nami? Jak będziemy z nimi walczyć? — Wskazał różdżkę. — Tym.

— Powiedziałeś, że smokowcy zginęli — przypomniał mu Vellmer.

— Bo zginęli. — Selquist zapomniał o tym, co poprzednio powiedział. To był ciężki dzień. Miał do czynienia z grellami, ognistymi smokami, a teraz wolno myślącymi pobratymcami. — Miałem na myśli grella. W skarbcu może być ich więcej. Pewno właśnie stamtąd ten wziął tę różdżkę.

Vellmer zastanowił się i przyznał, że w słowach Selquista może być ziarno prawdy. — Umiesz się nią posługiwać? — spytał. — Oczywiście.

Gorzelnik najwyraźniej miał wątpliwości, lecz tylko wzruszył ramionami. — W takim razie w drogę — powiedział. — Musimy potłuc jaja. I nie celuj tym we mnie — dodał, patrząc wściekle na Selquista, który na próbę wymachiwał różdżką w powietrzu.

— Wcale nie umiesz się nią posługiwać, prawda? — szepnął Świder, maszerując obok przyjaciela. 274

— Raczej nie — przyznał Selquist. Znów schował różdżkę w rękawie. — Ale co w tym może być trudnego? W końcu używali jej smokowcy, a wszyscy wiedzą, że mają tyle rozumu co piaskowe jaszczurki. Trzymaj więc język za zębami. Wiem, co robię.

Świder westchnął i pokręcił głową. Był wszakże lojalny i wierzył w Selquista, więc siedział cicho. Drużyna ruszyła w dalszą drogę. Krasnoludowie są odporni i nie mają zbyt bujnej wyobraźni, też nie są skłonni do rozpamiętywania minionych wydarzeń. Wspomnienie strachu i okropności bitwy z ognistymi smokami już zaczynało się zacierać w ich umysłach.

Żal im było nieżyjących towarzyszy, lecz myśl o skrzyniach wypełnionych stalowymi monetami, samorodkami srebra i złota oraz precudnymi klejnotami koła ich smutek. Każdy z poległych otrzymał uczciwy udział, ponieważ wśród krasnoludów żywi zawsze dzielili się ze zmarłymi. Selquist gładził błękitną różdżkę. — Potrafię jej użyć — rzekł pewnie. — Wiem, że potrafię! Idący przed nim krasnoludowie zatrzymali się.

— Co się stało? — spytał Selquist, przepychając się do przodu. Pierwsi wędrowcy wyszli zza zakrętu tunelu. Przed nimi znajdowała się ogromna jaskinia.

— To musi być tutaj — oznajmił Selquist głosem drżącym z podniecenia. — Poświećcie tutaj! Mieli tylko jedną pochodnię, ponieważ pozostałymi rzucono w smoka. Krasnolud z żagwią wszedł do komnaty i poświecił dookoła. Pieczara była długa, płytka i miała niezwykle charakterystyczny kształt.

— Tak. Jestem przekonany, że to tutaj. Poznaję ten kształt, coś jakby półksiężyc! Sień jest gdzieś dalej.

— Upewnijmy się, że w tej grocie nie ma żadnych niemiłych niespodzianek — rzekł Moździerz. — Kto wejdzie pierwszy? — Selquist! — Uchwała była jednomyślna.

— Przecież masz różdżkę — powiedział Vellmer tonem, który wydał się Selquistowi złowieszczy.

— No dobra — burknął Selquist. Ściskając w jednej dłoni pochodnię, a w drugiej różdżkę, wszedł do środka. 275

Reszta krasnoludów zebrała się za drzwiami, żeby popatrzeć. Selquist przeszedł całą grocie. Pomieszczenie świeciło miłą pustką. — Droga wolna! — zawołał, sam odczuwając ogromną ulgę. Krasnoludowie wbiegli do groty i szybko ją przeszukali. Prawie niczym się nie różniła od innych, które mijali. Na podłodze walały się porzucone narzędzia, pod jedną ścianą leżała sterta kamiennego urobku. Tory wchodziły do komnaty, ale już z niej nie wychodziły. Prowadziły wprost do litej ściany. Na podłodze nie leżała ani jedna stalowa moneta, ani jeden klejnot nie błyszczał w stercie kamieni. — Gdzie ten skarb? — spytał Vellmer. — Za ścianą — odparł Selquist. — Jest fałszywa — dodał. Pozostali spojrzeli na nią zakłopotanym wzrokiem. Ściana biegła wzdłuż całego pomieszczenia. Czterdziestu krasnoludów mogłoby pod nią stanąć szeregiem i jeszcze nie sięgnęliby końca. Wzniesiono ją z olbrzymich brył kamienia, najwyraźniej spojonych jakąś masą, która do tego czasu sama stwardniała na glaz. Nie mieli żadnych narzędzi, ponieważ rzucili nimi w smoka, podobnie jak butami i bronią.

— Mamy czym kopać — powiedział Selquist, widząc, jak osiemnaście par wściekłych oczu zwraca się ku niemu. — Dzięki Hylarom. — Pokazał na stos porzuconych narzędzi górniczych.

Moździerz podniósł kilof. Głowa narzędzia odpadła od rękojeści. — Reszta nie jest w dużo lepszym stanie — oznajmił.

— Nie musimy burzyć całej ściany, tylko jej część. Sień nie jest taka duża. Daewarowie rozbili fragment fałszywej ściany, którą wybudowali Hylarowie wieki temu. Selquist przypomniał sobie notatki, które zostawił pisarz.

— Ukryli skarb, a potem zamurowali dziurę tak, żeby się nie różniła od reszty ściany. Jeśli uda nam się znaleźć ten fragment, powinniśmy bez trudu zburzyć fałszywy mur.

Krasnoludowie rozproszyli się i zaczęli opukiwać ścianę w nadziei, że znajdą miejsce, skąd dobiega głuchoe echo. Selquist wziął pochodnię i zaczął uważnie ją badać, szukając jakiegoś śladu albo znaku, który wskazywałby, że ten fragment muru nie 276

jest prawdziwy. Przeszedł wzdłuż całej ściany i zmuszony był przyznać się do porażki. — Gdzie to jest, na Reorxa? — spytał zniechęcony Tłuczek.

— Wydaje mi się, że skarbu wcale tu nie ma — powiedział ponuro Vellmer. — Sądzę, że Selquist wystrychnął nas wszystkich na dudka! — Znalazłem! — krzyknął podniecony Moździerz. Selquist wytarł pot z czoła. Nigdy nie tracił wiary w siebie — przynajmniej nie na długo — niemniej jednak bardzo się ucieszył na dźwięk tych słów.

Moździerz stukał w ścianę główką złamanego kilofa. W jednym miejscu echo było głuchoe. W innym dźwięczne. Odzyskawszy nadwątlone siły, poszukiwacze zebrali się, żeby popatrzeć. Przy pomocy rączki kilofa Moździerz wyskrobał na skale zarys domniemanego wejścia do skarbcza.

Podnieceni krasnoludowie, zwietrywszy zapach majątku, ochoczo rzucili się do roboty. Chwyciwszy narzędzia, łomotali w ścianę młotami i kilofami; kilku najbardziej podnieconych usiłowało drapać skałę paznokciami.

Poleciały odłamki. Świder wybił dziurę w ścianie i stwierdził, że mur składa się tylko z jednej warstwy kamieni.

— Stójcie! Zaczekajcie chwilę! — zawołał Selquist. — Pozwólcie mi zajrzeć. Krasnoludowie przerwali pracę i cofnęli się. Selquist przyniósł pochodnię. Otwór był dość duży, by zmieściła się w nim jego pięść. Nachylił się i rzucił okiem do środka. — Kujcie dalej! To tutaj! — zawołał z podnieceniem.

Jego towarzysze przystąpili do pracy ze zdwojonym wysiłkiem. Otwór się powiększał. Mocne uderzenie Moździerza wybiło kolejny spory kawał muru. Dziura była już wystarczająco obszerna, żeby krasnolud mógł wsunąć do środka głowę. — Zaczekajcie! Dajcie mi znów popatrzeć!

Stuk młotów ucichł. Selquist wsunął do środka pochodnię i zajrzał. W świetle błysnęło coś metalicznego. Pochodnia zamigotała. Selquistowi ręka tak się trzęsła, że omal jej nie upuścił. Czym prędzej wyjął głowę z otworu. 277

— Widziałem! — powiedział drżącym głosem. Cały drżał. — Mówię wam, widziałem! Złoto, stal, srebro, drogie kamienie. Wszystko tam jest!

Krasnoludowie uderzali w ścianę z takim zapałem, że ich ciosy ją skruszyły. Ostre okruchy kamieni rozprysnęły się po komnacie, zadając płytkie rany, których nikt nie zauważył. Ci, którzy nie mieli narzędzi, odnosili na bok kamienie, żeby zrobić miejsce pozostałym robotnikom.

— Przedostaliśmy się! — krzyknął z zachwytem Moździerz. Upuścił młot. Reszta drużyny rzuciła się naprzód, pragnąc wcisnąć się przez mały otwór do środka. Selquist zdołał prześliznąć się pierwszy. Za nim tłoczyli się i pchali inni krasnoludowie.

Unosząc pochodnię wysoko, stanął nieruchomo i wytrzeszczył oczy. Po raz pierwszy w życiu był tak zdumiony, wstrząśnięty, zauroczone i osłupiały, że nie mógł wykrztusić słowa. Jeden za drugim, reszta krasnoludów wgramoliła się do komnaty. Oni również rozejrzeli się i umilkli. Znaleźli skradziony nerakański skarb. Rozdział 41

Kanga obudził ból. Otaczała go ciemność i cisza. Nie pamiętał dokładnie, co się stało, lecz wiedział, że powinien być martwy, i czuł się lekko zdziwiony tym, że żyje. Leżał całkiem nieruchomo, bojąc się ruszyć i odkryć, jakie ma złamania. Potwornie bolała go głowa, podobnie ramię. Zdał sobie sprawę, że jakiś miążdzący ciężar przygniatał mu nogę. Za każdym razem, kiedy nabierał tchu,

czuł dotkliwy ból żeber.

Pomyślał o smokowcach ze złamanymi kręgosłupami, którzy siedzieli całymi dniami i naprawiali skórzane wyroby. Zacisnął zęby i spróbował poruszyć nogami. Kamienie drgnęły i ze stukiem spadły na ziemię. Poczł ból w lewej nodze, ale mógł nią ruszać, prawą również. Odetchnął z ulgą, odprężył się i przez chwilę leżał spokojnie. 278

Potem zastanowił się nad tym, dlaczego miałoby mu ulżyć. Wkrótce i tak umrze. Co za różnica, czy zakończy życie jako kaleka, czy nie?

Leżąc tak w mroku, samotny i dręczony bólem, pogodził się z faktem, że jego wyprawa się skończyła. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny, ale krasnoludowie na pewno dotarli już do komnaty ze skarbem. Znaleźli smocze jaja i potłukli je.

Smokowcy i tak nie mogliby zrobić niczego, aby temu zapobiec. Stało się to niemożliwe z chwilą, gdy Kang postanowił przygnieść ogniste smoki częścią góry. Wykonał rozkaz Jej Wysokości i zabił płomienne bestie. Czynem tym skazał swoją rasę na wymarcie.

Wykonał jednak rozkaz, a posłuszeństwo rozkazom jest podstawowym obowiązkiem żołnierza. Niczego nie widział w ciemności. Nie widział ścian ani sufitu.

Powoli, ostrożnie, pomalutku przemieszczając swój ciężar, wyczołgał się spod kopca kamieni, którymi był przysypany. Przy każdym ruchu przeszywał go okropny ból, lecz mimo to siłą woli pełzł dalej. Macając przed sobą rękami, stwierdził, że wprawdzie przeżył zawalenie się jaskini, był jednak uwięziony w sztolni. Najwyraźniej nie było stamtąd wyjścia. Nie pamiętał nawet, gdzie znajdował się wylot. Otaczały go gruzy i szczątki szalunku.

Był żywcem pogrzebany. Mógł tylko czekać na śmierć z pragnienia i głodu...

Wziął się w garść. Sytuacja rzeczywiście wyglądała beznadziejnie. Być może umrze, ale najpierw zrobi wszystko, co w jego mocy, aby się uratować. Znow usiadł, żeby się trzeźwo nad wszystkim zastanowić. Zaczął rozważać problem z punktu widzenia sapersa.

Wysokie sklepienie jaskini zawaliło się nad zbiornikiem lawy, co oznaczało, że dużo kamieni wpadło do samej jamy. Reszta skał musiała utworzyć kopiec nad czeluścią, coś na kształt gigantycznego mrowiska. Miejsce, gdzie Kang przebywał, znajdowało się na skraju strefy zniszczeń. Warstwa gruzów nie będzie więc tam zbyt głęboka. Powinien się stamtąd wydostać. Kang macał rękami przed sobą, żeby choć trochę nabrać

wyobrażenia o wielkości pułapki oraz rozmiarach zawału. Zaczął odsuwać na bok mniejsze kamienie i węszyć, mając nadzieję, że poczuje świeże powietrze, co oznaczałoby, że odkrył pobliski tunel lub szyb kopalni.

Dotknął olbrzymiego głazu, nacisnął go mocno i poczuł, że się chybocze. Brała go pokusa, żeby zepchnąć go na bok. Opanował się jednak i najpierw obmacał grunt dookoła, żeby ustalić przyczynę jego niestabilności i ją wykorzystać. Kamień leżał na innym głazie. Kang oparł się o niego i lekko pchnął. Głaz zsunął się, odsłaniając przejście do większego pomieszczenia. Kang odturlał go na bok.

Chłodne powietrze musnęło mu twarz i smokowiec zmarszczył pysk z rozkoszy. Przez szczelinę wpadało nie tylko powietrze, ale i światło! Było mętne i słabe, lecz wreszcie zobaczył, gdzie się znajduje i co go otacza.

Wcisnął ręce i barki w otwór powstały po odsunięciu głazu. Czołgając się po sypkich okruchach skały i stękając z bólu, jaki sprawiały połamane zebra, wydostał się z dziury. Ostre kamienie kłuły go w dłonie i kolana. Lewa noga paliła przy każdym ruchu. Albo coś sobie złamał, albo miał potężnego sińca. Niemniej jednak światło i powietrze działały na niego jak krasnoludzki spirytus, odurzały i koiły ból.

Przedostał się do jaskini ognistego smoka, teraz zmienionej nie do poznania.

Powstał nowy stos głazów i gruzu, góra usypana wewnątrz góry. Światło sączyło się przez szczelinę gdzieś bardzo wysoko nad głową Kanga. Tak wysoko, że nie widział jego źródła. Stał na wzgórzu u stóp nowej góry.

Próbował się zorientować w terenie, lecz wygląd jaskini zmienił się tak radykalnie, że nie miał pojęcia, gdzie jest ani gdzie uprzednio znajdowały się wejścia i wyjścia. Mógł daremnie kopać całymi dniami, a miał tylko kilka dni, zanim nie umrze z pragnienia.

Mógł spróbować wspiąć się na nową górę i dosięgnąć źródła światła. Rzucił okiem na ogromne rumowisko luźnych głazów i stalaktytów i zrezygnował z tego zamiaru. Na jego oczach jeden 280

z kamieni osunął się i sturlał ze stoku, dając początek małej lawinie. Góra była stanowczo zbyt niestabilna i w stanie, w jakim się obecnie znajdował — ranny, bez jedzenia i wody — nigdy nie zdołałby dotrzeć na jej szczyt. Znajdował się w niewiele lepszym położeniu niż przedtem, z tym, że teraz przynajmniej nie groziła mu śmierć w kompletnej ciemności.

Godząc się z daremnością swoich poczynań, Kang zaczął kopać. Rozgrzebując skały, uświadomił sobie, że jego skrobanie nie mogło być przyczyną wszystkich chrobotów, jakie słyszał.

Znieruchomiał z kamieniem w ręku. Dźwięk rozlegał się jeszcze moment, potem ucichł. Kilka chwil później znów dał się słyszeć i ponownie się urwał.

Kang wziął dwa kamienie i uderzył nimi o siebie. Stuk, stuk, stuk, przerwa. Stuk, stuk, przerwa. Stuk. Czekał z zapartym tchem i bijącym sercem na odpowiedź. Nic.

Powtórzył rytm. Stuk, stuk, stuk, przerwa. Stuk, stuk, przerwa. Stuk. Wciąż nic. Jego nadzieja zgasła.

Zwiesił głowę, gotów się poddać. Po co dalej walczyć? Dlaczego nie położyć się i umrzeć? Wpadł w rozpacz, która wypełniła pustkę po nadziei.

Wtem usłyszał dobiegający gdzieś spod ziemi brzęk, jakby metal uderzał w kamień. Dzyń, dzyń, dzyń, przerwa. Dzyń, dzyń, przerwa. Dzyń.

Kang odpowiedział, stukając jednym kamieniem o drugi z dziką radością.

Usłyszał odpowiedź. To byli jego smokowcy! To musieli być oni.

Ból znikł. Kang szybko, gorączkowo rozkopywał rumowisko. Stracił rachubę czasu i tylko jak przez mgłę dotarło do niego, że snop światła w wypełnionej pyłem komnacie przesunął się i wydłużył. Minęła godzina, może dwie.

Odepchnął na bok wielki kamień. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak zmęczony. Wraz ze znużeniem wrócił dokuczliwy ból. Miał wrażenie, że nadwerżył sobie wszystkie mięśnie, po-  
281

kaleczone dłonie krwawiły, pazury się połamały. Dręczyło go straszliwe pragnienie, a z głodu gotów był gryźć kamienie.

Nie przerywał kopania. Dźwięki były coraz bliżej. Potem usłyszał głosy. Wygrzebał dłońmi dziurę. Pojawiła się w niej zwrócona ku górze twarz Slitha.

— Panie pułkowniku! Jak się cieszę, że pana widzę! Nic się panu nie stało? Na Królową, wygląda pan okropnie. Proszę odpoczywać. Wyciągniemy pana w przeciagu pół godziny. Zniknął, lecz prawie natychmiast wrócił. — Miło widzieć, że pan żyje!

Kang padł bez sił. Niemal szlochał z wycieńczenia i bólu. — Już nie mogę kopać. Już nie mogę.

Slith odwrócił głowę i wydał komendy. Potem przeniósł zaniepokojone spojrzenie na dowódcę.

— Niech się pan nie martwi. Raz dwa wydobędziemy stąd pana.

Otępiały Kang leżał na kamieniach. Wiedział, że powinien układać plany, zastanawiać się nad następnym krokiem. Niebezpieczeństwo bynajmniej nie przestało im zagrażać. Nadal mogą zostać żywcem pogrzebani pod górą. Musiał pomyśleć... lecz surowy nadzorca opuścił go i odmówił

współpracy.

— Raz w życiu pozwól, żeby ktoś inny przejął dowodzenie — rzekł. Kang potulnie się podporządkował i wkrótce zmorzył go sen.

Z drzemki wyrwał go krzyk. Dokopano się do niego. Slith dotarł do niego pierwszy. Smokowcy delikatnie wzięli go na ręce i opuścili do tunelu poniżej.

Kang próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Slith pomógł mu usiąść na głazie. Otaczało go dwunastu smokowców. Byli okryci kurzem i krwią, łuski mieli popalone i osmolone, lecz wszyscy uśmiechali się szeroko. — Wody! — wyrzęził Kang.

Slith podał mu manierkę. Smokowiec napił się, odczekał chwilę, napił się raz jeszcze i oddał naczynie.

— Jakież rozkazy? — spytał Slith. Nachylił się i przyczepił coś do zbroi Kanga. Była to odznaka dowódcy. 282

Bozak spojrział na nią i pokręcił głową. — Nie, żadnych rozkazów.

— W takim razie, panie pułkowniku — rzekł z szacunkiem jego zastępca—czy wolno mi zaproponować, żebyśmy dalej szli tym tunelem? Sądzymy, że na jego końcu znajduje się komnata ze skarbem. Kang spojrział na Slitha otępiąłym, oszołomionym wzrokiem.

— Chcesz powiedzieć, że... korytarz prowadzący do skar- bu...

— Jest właśnie tutaj. Siedzi pan w nim. Zaznaczono go na mapie, ale wynikało z niej, że jest zablokowany. Przejście musiało się otworzyć, kiedy jaskinia się zawaliła.

Kang zapędził swoje otępiałe szare komórki do pracy. Ze smutkiem pokręcił głową.

— Nawet jeśli to prawda i znajdziemy skarb, jedyne wyjście zostało zasypane.

— Wcale nie. Boczny tunel jest czysty. Schowaliśmy się w nim, kiedy sklepienie runęło. Przekopaliśmy się przez gruz do miejsca, gdzie spodziewaliśmy się pana znaleźć. Droga jest wolna. Nie będzie łatwo, ale damy sobie radę.

— Jesteś pewny, że tunel prowadzi... tam, gdzie powinien? — Kang nie mógł uwierzyć.

— Wysłałem tam kilku zwiadowców. Wrócili z meldunkiem, że korytarz nie tylko nie jest zasypany, ale że usłyszeli krasnoludów, którzy robili straszny hałas, kując i stukając młotami. To było całkiem niedawno.

— Stukali młotami. To znaczy, że jeszcze nie znaleźli przed- sionka. — Albo znaleźli i próbują dostać się do środka.

Slith rozłożył mapę. Światło, które wpadało przez szczelinę nad ich głowami, było coraz słabsze. Krzyknął na żołnierza, żeby przyniósł mu latarnię.

— Niech pan tu spojrzy. Skarb znajduje się tutaj. Symbole wskazują, że smocze jaja są w tej części komnaty. Nawet jeśli krasnoludowie zburzą ścianę, skarb może odwrócić ich uwagę na wystarczająco długo... 283

Kang już stał na nogach. Nadzieja pobudziła jego zmęczone, obolałe mięśnie do działania. — Idziemy — rozkazał. Rozdział 42

Krasnoludowie oniemieli. Gapili się w osłupieniu na skarb, który był cudowniejszy, bardziej roziskrzony, piękniejszy i cenniejszy, niż ktokolwiek z nich, wliczając w to Selquista, śmiał marzyć. To był majątek imperium. Chciwego, zachłannego imperium.

Z niedomkniętych skrzyń wysypywały się stalowe monety. Rubiny i szmaragdy, szafiry, diamenty i niezliczone ilości innych drogich kamieni, skrzące się w oprawach o precyzyjnych i fantastycznych kształtach, rozsypały się po podłodze, jak gdyby jakaś niezdarna pokojówka nieostrożnie przewróciła szkatułkę z klejnotami swojej pani.

Wciąż jasno błyszczące i najwyraźniej magiczne zbroje leżały w kącie albo stały na stojakach



niczym milczący strażnicy. Pod ścianą ustawiono bezładnie broń, która jaśniała niesamowitym światłem.

Następną ścianę zajmowały półki pełne magicznych ksiąg o niezliczonych kolorach. Mieszały się z nimi magiczne zwoje związane czarnymi, białymi lub czerwonymi wstążeczkami. Komnatę wypełniały zamknięte kufry i skrzynie, które roztaczały przed krasnoludami kuszące wizje dalszych skarbów, wciąż skrytych przed ich wzrokiem.

Selquistowi łzy zakręciły się w oczach. Musiał się oprzeć na ramieniu Świdra. — Na Reorxa, jakie to piękne! — zaszlochał.

Jego słowa wyrwały krasnoludów z transu, w jaki wprowadził ich widok skarbu. Wpadli do komnaty, zaczęli przetrząsać kąty i otwierać wieka kufców, zaglądając do środka, krzycząc ze zdumienia i płacząc z radości. Wypychali kieszenie klejnotami, 284

wsypywali sobie pieniądze do gaci i boleli nad stratą butów z cholewami, w których mogliby zmieścić jeszcze więcej łupów. W tym właśnie momencie, kiedy wszyscy osiągnęli szczyt radości, Moździerz dokonał przerażającego odkrycia. — Selauist! — krzyknął.

Dopiero po chwili udało mu się przyciągnąć jego uwagę. Krasnolud zanurzył ręce w kotle pełnym stalowych monet i z rozkoszą przesiewał pieniądze przez palce, snując marzenia o pałacu, jaki zamierzał wybudować w Palanthas. — Selauist! — Moździerz palnął przyjaciela w głowę. Krasnolud wreszcie odwrócił się do niego. — Czego? — spytał głosem zabarwionym nutą marzeń skąpca. — Tory się kończą. — No to co? — Selauist nie widział w tym nic złego.

— Tory się kończą na murze! — powtórzył Moździerz, podnosząc zalękniony głos. — To ślepy zaułek! Stąd nie ma wyjścia!

Echo jego krzyku odbiło się od ścian komnaty. Pozostali krasnoludowie przestali liczyć skarby i sycić oczy ich widokiem i odwrócili pobladłe twarze w kierunku Moździerza. Selauist wzruszył ramionami, chcąc powiedzieć, że wrócą tą samą drogą, którą przyszli, kiedy przypomniał sobie, że zagradzało ją kilka ton kamieni. Drgnęła mu grdyka.

Przerażająca myśl musnęła zimnymi palcami jego kark. Być może już na wieki ugrzązł w podziemiach, bez szans na wydobycie się, bez jedzenia i wody. Nie musiał mieć wcale bujnej wyobraźni, żeby zobaczyć swoje kości leżące na skrzyni ze stalą.

Czym prędzej wyciągnął mapę. Reszta krasnoludów zgromadziła się wokół niego, zapominając o skarbie. Nie można najeść się klejnotami ani napić się złota.

Selquist uparcie szukał innego wyjścia. Przewracał mapę do góry nogami i na boki i nawet zajrzał na drugą stronę, chociaż dobrze wiedział, że niczego tam nie ma. — No i co? — spytał Vellmer głosem schrypniętym ze strachu. Selquistowi znów drgnęła grdyka. — Ano... najwyraźniej nie ma... no, cóż... żadnej drogi... 285

to znaczy, żadnej nie mogę znaleźć. Co nie znaczy, że jej nie ma — podsumował, starając się zakończyć wypowiedź optymistycznym akcentem.

Krasnoludowie spojrzeli na niego wściekle. Kilku, w tym Vellmer, zazgrzytało zębami i zacisnęło pięści.

— To nie moja wina! — zaprotestował Selquist. — Gdyby nie ci głupi smokowcy, którzy zburzyli sklepienie jaskini, znaleźlibyśmy... — Umilkł. Myśl o smokowcach podsunęła mu pomysł.

— Wiecie co? — oznajmił Świder, który badał drugi koniec komnaty i nie słyszał strasznych nowin. — Właśnie znalazłem całą skrzynię pełną jaj. Myślicie, że to smocze jaja?

— Świetnie — mruknął Tłuczek. — Przynajmniej jakiś czas możemy się nimi żywić. Dzięki nim pociągniemy jakiś tydzień albo dwa. — One nie są zbyt świeże — stwierdził Świder. — Jasne, ty idioto! — Tłuczek popatrzył na niego wściekle. — Dlatego umrzemy w tych podziemiach!

— Co? Umrzemy? — zdziwił się Świder. — Coś przega- piłem?

— Tylko to, że Selquist wprowadził nas w ślepy zaułek — odparł Vellmer.

— I Selquist was z niego wyprowadzi — oznajmił z dumą i pogardą rzeczony krasnolud.

— Tak? Jak? — Krasnoludowie spojrzeli na niego z powąt- piewaniem. Selquist wyciągnął z rękawa różdżkę.

— Oto ta sama różdżka, którą smokowcy zburzyli sufit pieczary. Wykuję nią tunel w skale.

Na twarzach krasnoludów pojawiła się nadzieja. Spojrzeli z nowym szacunkiem na czarodziejską różdżkę i na Selquista.

— Właśnie — rzekł szybko krasnolud, uprzedzając pytanie o to, jak zamierza ją uaktywnić. — Bierzmy się do roboty. Musimy skatalogować wszystko, co znajdziemy. Ponieważ nie możemy użyć żelaznych wagoników, nie zdołamy wynieść całe- go skarbu. Będziemy więc zmuszeni zabrać wyłącznie najcen- niejsze przedmioty i zostawić resztę do czasu, gdy zdołamy 286

wrócić z posiłkami. Póki nie znajdę najlepszego miejsca do wykucia tunelu, wy ustalcie, co zabierzemy, a co zostawimy.

„To powinno zająć wszystkich na długo” — pomyślał Selquist. Wystarczająco długo, żeby wpaść na to, jak się posługiwać czarodziejską różdżką.

Krasnoludowie już praktycznie pobili się o to, czy magiczne stalowe naramienniki są równie cenne co zwykłe bransolety z diamentami i czy powinni teraz wynieść księgi zaklęć, czy zrezygnować z nich na korzyść magicznego oręża.

— Pokaż mi te smocze jaja — rzekł do Świdra i razem oddalili się w ciemny i zaciszny kąt sali. Selquist miał zamiar poćwiczyć posługiwanie się różdżką.

# 30. Brygada Kanga 01- Brygada Śmierci

Ucieszony faktem, że może się pochwalić swoim odkryciem, Świder zaprowadził przyjaciela do wielkiego kufra. Zamek skrzy- ni popsuto na długo przed przybyciem krasnoludów. Prawdopodobnie zrobili to Daewarowie, którzy nigdy nie zadali sobie trudu, żeby go naprawić. Świder podważył wieko i z dumą pokazał znalezisko. Selquist, zaciekawiony, zajrzał do środka.

W wymoszczonej słomą skrzyni leżało dziesięć smoczych jaj, każde wielkości dużego arbuza. Były srebrne i złota, spiżowe, mosiężne i miedziane. Miały gładką powierzchnię i doskonały kształt i byłyby nieziemsko piękne, gdyby nie lekka, upiornie zielonkawa poświata, jaką zaczęły rzucać w chwili, gdy Selquist się zbliżył. — Dlaczego tak się świecą? — spytał wystraszony Świder.

— Pewnie z powodu zaklęcia, które rzucili na nie czarodzie- je czarnych szat i kapłani ciemności — odparł Sekjuist. Był tak samo zaniepokojony, ale starał się tego nie okazać. — Sądzę, że powinieneś zamknąć wieko.

— Ja też tak sądę — powiedział Świder i nieśmiało wyciąg- nął rękę. Najwyraźniej jednak ręka nie chciała go słuchać, ponie- waż jego palce nawet się nie zbliżyły do wieka.

— Nie mogę — zawołał zduszonym głosem. — Na pomoc! Nie mogę ruszyć ręką!

Selquist złapał przyjaciela za ramię i siłą je opuścił, oderwał Świdra od skrzyni i zaciągnął w ciemny kąt.

287

— Daj spokój. Niech się tym zajmie Vellmer. To on chciał potłuc jaja. Ty i ja mamy wpaść na to, jak się używa tej różdżki.

— Wydawało mi się, że twierdziłeś, że to proste. Powiedzia- łeś, że potrafią to nawet smokowcy o jaszczurczych mózdkach.

— Może w takim razie powinienem oddać ją tobie, jaszczur- czy mózdku — odciął się Selquist. Zaczynał tracić humor. — Jestem pewny, że zdołam ją uaktywnić. Muszę tylko trochę poćwiczyć, to wszystko.

Selquist cofnął się w wyobraźni do pieczary ognistego smo- ka, do chwili, gdy smokowiec użył różdżki i rzucił zaklęcie. Starał się przypomnieć sobie każdy jego ruch, każdy gest, każde słowo. Niestety, smokowiec mówił we własnym języku, a Sel- quist nie usłyszał ich zbyt wyraźnie przez wszystkie te wrzaski, krzyki i wybuchy. Jedyne słowa, jakich był pewny, dotyczyły Królowej Takhisis.

Selquist wskazał różdżką odpowiednio wyglądający frag- ment litej skały. — Z woli Jej Wysokości Królowej Mroku — zaintonował.

— Chyba nie powinieneś mówić takich rzeczy — zaprote- stował Świder, odsuwając się od różdżki. — Może ci się przytra- fić coś okropnego!

— Coś okropnego już mi się przytrafiło. Utknąłem w jaskini z majątkiem, którego być może nawet ja nie zdołałbym nigdy przepuścić, za to bez wyjścia — mruknął Selquist pod nosem, aczkolwiek nie powiedział tego na tyle głośno, żeby usłyszał go przyjaciel. Utkwił w różdżce wyczekujące spojrzenie.

Nic się nie stało. Pięć smoków o splecionych ogonach i otwar- tych szeroko paszczach nie wydało żadnego dźwięku, nie zionęło niebieskim światłem. Wyglądały strasznie głupio, pomyślał po- irytowany Selquist.

— Hej tam, Królowo Ciemności! Ogłuchłaś czy co? — krzyknął i potrząsnął różdżką.

Świder jęknął i zasłonił oczy, żeby nie widzieć, jak Selquist natychmiast zostaje usmażony,

obdarty ze skóry, wypatroszony, poćwiartowany i zmieniony w upióra. 288

Nic podobnego się nie stało. Różdżka nie zadziałała. — No i co? — rozległ się zgrzytliwy głos.

Selquist odwrócił się i zobaczył za swoimi plecami Vellmera i pozostałych krasnoludów.

Zauważył, że wszyscy uzbroili się w magiczną broń.

— Dajcie mi chwilkę, dobrze? — rzekł chłodno. — Już łapię, o co chodzi. Vellmer spojrzał na niego nieprzychylnie.

— Czyżby? W takim razie, póki ty nie złapiesz, o co chodzi, ja potłukę smocze jaja. — Pomachał mu palcem przed nosem. — I lepiej bądź gotów nas stąd wyprowadzić, zanim skończę. — Tak jest — powiedział Selquist.

Vellmer podszedł do skrzyni z mieczem w rękę. Zatrzymał się jednak raptownie, najwyraźniej mocno zaskoczony niesamowitym zielonym światłem, które świeciło coraz jaśniej i opromieniało ohydny blaskiem każdego, kto się zbliżył. Żołnierze towarzyszący gorzelnikowi rzucili tylko raz okiem i czym prędzej uciekli w odległy kąt komnaty. Vellmer nie cofnął się i spróbował zbliżyć miecz do jaj. Pot oblał mu twarz, ręka mu zadrżała. — Nie... mogę... — wycedził przez zęby.

Kiedy indziej ten widok rozbawiłby Selquista, ale w tej chwili jego umysł zaprzętały ważniejsze sprawy. Na przykład przeżycie.

Odwrócił się od Vellmera, od Świdra i światła. Stał twarzą do najgłębszej, najciemniejszej części sieni, wyciągnął przed siebie różdżkę i skupiwszy myśli, wezwał Królową Ciemności, obiecując jej swoją duszę i wszystko, czego jeszcze mogłaby chcieć, łącznie z dziesięcioma procentami jego udziału. — W imię Jej Wysokości Takhisis, Królowej Mroku, rozkazuję ci strzaskać tę skałę na drobne kawałki! — krzyknął rozpaczliwie.

Selquist tchnął w te słowa całą swoją wolę, siłę i energię, nadzieję i pragnienie. Ręka mu się trzęsła z wysiłku. Magiczny przedmiot zadrżał, lecz tylko dlatego, że palce mu drżały. Różdżka nie działała.

Selquista zdjęta wściekłość. Dokonał odkrycia, jakie się zdarza raz w życiu, raz na sześć żywotów, i miał więcej pieniędzy, 289

niż zdołałby zgromadzić w przeciągu sześciu żywotów. Był dość bogaty, żeby postawić sobie zamek w Palanthas, gdyby nasza go taka chęć, i żyć jak król. Krasnoludowie żlebowi byłiby jego niewolnikami, krasnoludzkie panny zabiegałyby o jego względy, ludzie kłanialiby mu się w pas i nazywaliby go „wielmożnym Selquistem”, a on miał zginąć w tej głupiej dziurze, i to tylko dlatego, że ta piekielna różdżka nie chciała zadziałać.

— No i jak ci idzie? — spytał złośliwie Vellmer. Najwyraźniej porzucił, przynajmniej chwilowo, zamiar rozbicia smoczycy jaj. Wrócił natomiast do nękania Selquista. — Działają już ta twoja różdżka?

— Nie! — wrzasnął rozwścieczony krasnolud. — Może ty spróbujesz? Selquist rzucił nią prosto w głowę Vellmera.

Gorzelnik instynktownie się uchylił. Różdżka przeleciała mu nad głową i uderzyła w skrzynię ze smoczymi jajami. Buchnęło niebieskie światło. Zielone błysnęło przerażająco. Komnatę wstrząsnął wybuch.

Vellmer poszybował w powietrzu i uderzył w ścianę. Podmuch rzucił Świdra na Selquista, który upadł na podłogę.

Zielone światło świeciło coraz mocniej. Krasnoludowie nie mogli już go znieść. Zacisnęli powieki i zasłonili oczy rękami, lecz wciąż widzieli jego straszliwy blask. Łzy pociekły im po brodach. Ryknęli z bólu.

A potem światło zgasło i jego miejsce zajęła ciemność, która początkowo była

błogosławieństwem, lecz kiedy krasnoludowie stwierdzili, że są praktycznie ślepi, przestała się nim wydawać. Pochodnia zgasła. Z mroku dobiegł dziwny dźwięk. — Co to było? — jęknął bez tchu Moździerz. — Brzmi, jakby pękały skorupki jaj — rzekł usłużny Świder. 290

### Rozdział 43

Uświadomiwszy sobie wnioski płynące z tego, co właśnie powiedział, Świder natychmiast wrzasnął.

— Światło, potrzebne nam światło! — rozkazał Selquist, wstając na nogi.

Usłyszał gorączkowy tupot i chrobot, odgłosy szukania po omacku pochodni, a potem trzask krzesiwa, którym drżące ręce nadaremnie usiłowały skrzesać ogień. Potem strzeliła iskra i jedyna pochodnia zajęła się migotliwym płomieniem.

Krasnoludowie jak jeden mąż ruszyli w stronę skrzyni i stwierdzili, że ich najgorsze obawy się ziściły. Powierzchnię każdego jaja pokrywała pajęcza sieć pęknięć.

Wstrząśnięci i znieruchomiali patrzyli, jak pierwsze jajo — złote — pękło. Ukazał się jaszczurczy łebek stworzenia, które próbowało wydostać się ze skorupki. Stworzonko otworzyło paszczę i wydało pisk. Błysnęły rzędy białych, ostrych jak brzytwy zębów. Obok pierwszej głowy pojawiły się kolejne. — Dobry Reorxie, ratuj nas! — pomodlił się Moździerz.

— Reorx nic tu nie pomoże! — krzyknął Vellmer. Po niezamierzonym locie w kierunku ściany był trochę osmolony i mocno posiniaczony, lecz szybko wstał i zabrał się do roboty. — Sami musimy się uratować. Zabijcie ten gadzi pomiot. Zabijcie je natychmiast! Szybko! Zaraz zaczną szukać pokarmu, a my nim jesteśmy!

Wojownicy ścisnęli w garściach miecze i zbliżyli się do skrzyni.

Piskłeta się wyklęła. Krasnoludowie nie potrafili ich wszystkich zliczyć, ale jakaś setka małych smokowców próbowała stanąć na uginających się nogach. Ich małe skrzydełka, wciąż mokre, przyklejały im się do grzbietów. Na widok krasnoludów otworzyły pyszczki, prosząc o jedzenie. Pryśł czar, który chronił je tyle lat. Były teraz delikatne i bezbronne jak wszystkie noworodki. Krasnoludowie unieśli broń. — Stójcie! — dobiegł zza ich pleców głęboki, chrapliwy głos. 291

— Nie wściecie się nawet ruszyć. Pierwszy, który choćby drgnie, zginie.

Krasnoludowie stanęli i wstrzymali uzbrojone ręce. Obejrzel się za siebie.

Przy wejściu do komnaty stało piętnastu smokowców. Każdy trzymał w dłoni miecz.

— Odejdźcie — rzekł wysoki smokowiec, który wyglądał na przywódcę.

Vellmer warknął ze złością, gotów walczyć. Powiódł wzrokiem wokół, trzymając miecz nad piskłętami.

— Rób, co chcesz, podły gadzie! Jesteśmy uwięzieni pod ziemią, zginie tak czy siak! Przynajmniej dopilnuję, żebyście wymarli!

— Nie jesteśmy uwięzieni — niespodziewanie usłyszeli w odpowiedzi. — Rzućcie broń. Odsuńcie się od skrzyni. Zostawcie nam piskłeta, a my wskażemy wam drogę do wyjścia.

— Przestań! Vellmer, ty idioto! — Selquist rzucił się na krasnoluda. Chwyciwszy go za rękę, wyrwał mu miecz z dłoni. — Nie słyszałeś, co powiedzieli! Pokażą nam, jak stąd wyjść! Reszta krasnoludów powoli opuściła broń. Niechętnie stanęli naprzeciwko swych odwiecznych wrogów.

— Jak możemy wam ufać? — spytał Vellmer wielkiego smokowca. — Zaufaj im, zaufaj! — szepnął mu Selquist do ucha. Gorzelnik zlekceważył go.

— Oddamy wam broń, a wy po prostu nas zabijecie i rzucicie na pożarcie swemu nikczemnemu potomstwu.

— Nazywam się Kang — rzekł smokowiec. — Jestem dowódcą Pierwszego Pułku Saperów.

Mamy dość zabijania. Chcemy tylko zabrać te maleństwa, dzieci naszej rasy, i żyć w pokoju. Daję ci moje słowo. — Jasne, że będziecie żyć w pokoju — zrywał się Vellmer. — Będziecie żyć w pokoju, póki te samice nie dorosną i nie połączycie się z nimi w pary, a wtedy przyjdzie na świat mnóstwo smokowców i zawładniecie doliną. Co się wtedy z nami stanie? Co się stanie z naszym ludem? 292

Inni krasnoludowie wyrazili swoje poparcie cichym pomrukiem.

— Dla naszego ludu byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy tu zginęli — rzekł groźnie Vellmer. — Lepiej, żebyśmy zginęli co do jednego, niż byli świadkami nadejścia tego strasznego dnia. A ty, panie Kang, skoro jesteś tak uczciwy, jak twierdzisz, nie możesz temu zaprzeczyć.

Wysoki smokowiec milczał, pogrążony w zadumie. Krasnoludowie milczeli ponuro, gotowi spełnić obietnicę wodza i zginąć. Reszta smokowców milczała, gotowa zabić krasnoludów, jeśli taki padnie rozkaz. Słyszał tylko popiskiwanie i ćwierkanie głodnych piskląt.

— Masz rację, krasnoludzie — rzekł ciężko Kang. — Nie mógłbym zagwarantować, że nie stanie się to, o czym mówisz. Znam swoje plemię. Z natury jesteśmy bezlitośni i agresywni. Dążylibyśmy do ekspansji i wy stalibyście nam na drodze. — Podniósł miecz i zrobił krok naprzód. Pozostali smokowcy ruszyli ławą za nim.

Vellmer zaczął się przysuwać do piskląt. Zanim smokowcy rzuciliby się na niego, zdążyłby pewnie zabić bardzo wiele młodych.

Sekjuist zobaczył, że wszystkie jego nadzieje i marzenia, jego zamek w Palanthas, leży w gruzach. Rozpaczliwie spróbował raz jeszcze coś zrobić.

— Moglibyście się wyprowadzić! — palnął pierwszą rzecz, jaka mu przyszła na myśl. Kang stanął i wlepił w niego wzrok. — Co powiedziałaś?

— Moglibyście się wyprowadzić z doliny! — powtórzył Selquist. Pomysł nagle wydał mu się dobry. Nic dziwnego, skoro był jego autorem. — Tak, wyprowadźcie się gdzieś! Gdziekolwiek. Może na północ?

— To jest myśl, panie pułkowniku — rzekł drugi smokowiec, który stał za Kangiem. — Trwa wojna. W tym zamęcie moglibyśmy udać się na północ przez góry i nikt by nas nie zauważył. — Jest mnóstwo doskonałych nieruchomości, zwłaszcza 293

w okolicach Neraki. Opustoszałe miasta, które tylko czekają, aż ktoś przedsiębiorczy, taki jak ty, obejmie je w posiadanie. Projekty odbudowy miast. Może nawet dostalibyście jakąś dotację! Moglibyście rozprzestrzeniać się do woli! No to, jak, zgoda? — spytał z zapalem Selquist. Kang zastanowił się. — Tak, zgoda. — Vellmer? Krasnolud przez chwilę rozważał koncepcję.

— Jeśli zgodzą się wyprowadzić z doliny, zgoda — powiedział wreszcie z ociąganiem się.

Krasnoludowie opuścili broń, odeszli od skrzyni. Smokowcy opuścili broń, odeszli od krasnoludów.

Selquist, który wstrzymywał oddech tak długo, aż nie posiadał, znów mógł odetchnąć.

Kang nachylił się nad skrzynią, żeby popatrzeć na świeżo wyklute młode. Złożywszy dłonie, ostrożnie wyjął jedno z gniazda. Pisklę miało przyklejone okruszki skorupki. Kręciło mu się w rękach i otwierało pyszczek, domagając się, żeby je nakarmić. Łagodnie odłożył stworzonko do skrzyni, w której znajdowały się jego siostry.

— Ogniste smoki zostały unicestwione — rzekł Kang. — Jeśli nasza Królowa pozwoli, oznacza to, że bohaterowie zdołają zwyciężyć Chaos i świat będzie bezpieczny. Po raz pierwszy w historii, dla naszej rasy błysnęła nadzieja. Kiedy my umrzemy, nasze miejsce zajmą młodzi. Teraz, kiedy mamy przyszłość, możemy zacząć czerpać radość z teraźniejszości.

Inni smokowcy podeszli do komendanta. Nachylili się i wzięli na ręce małe pisklęta. Młode

przytuliły się do dorosłych smokowców, szukając u nich ciepła.

— Niech pan spojrzysz! — zawołał jeden z nich. — Chybajże mnie polubiła!

Wysoki smokowiec pokiwał głową. Nie mógł mówić, bo wzruszenie ścisnęło go za gardło.

Najwyraźniej nawet krasnoludowie się rozczulili. Przeszli z nogi na nogę i ukradkiem wymieniali spojrzenia. Udawali, że nic 294

ich to nie obchodzi, lecz cały czas obserwowali scenę, starannie ukrywając uśmiechy. Smokowcy nie byli złymi sąsiadami. Wca- le nie. Ale jeszcze lepszymi będą z odległości kilkuset mil.

Smokowcy delikatnie i z wielką czułością odłożyli młode do gniazda ze słomy. Kang rozkazał dwóm żołnierzom zabrać skrzynię.

— Przyszykować się do wymarszu — powiedział. — Może- cie iść za nami — zwrócił się do krasnoludów.

Vellmer stał, drapiąc się po brodzie. Miał nieco zażenowaną minę.

— Przykro mi, że wasza osada spłonęła — wypalił niespo- dziewanie. — Naprawdę? — Kang był zdumiony.

— Tak — dokończył gorzelnik. — I jeśli w przyszłości będziecie potrzebowali spirytusu... cóż... dajcie mi tylko znać, a ustalę godziwą cenę.

— Dziękujemy za propozycję — powiedział z powagą Kang — ale mamy teraz nowe obowiązki. Nie sądzę, żebyśmy więcej potrzebowali alkoholu. Gdyby jednak tak się stało — dodał pośpiesznie, żeby nie dać się prześcignąć w uprzejmości — wiemy, że twój jest najlepszy i będziemy handlować tylko z tobą.

Słyszając ten komplement, Vellmer zaczerwienił się z zadowo- lenia.

— Sekret tkwi w grzybach — zwierzył się Kangowi, kiedy razem wychodzili ze skarbcza. — Trzeba je zebrać o północy. Potem...

Szedł dalej, dotrzymując towarzysztwa smokowcowi i objaś- niając mu tajniki sztuki gorzelniczej.

Reszta krasnoludów spakowała swoje rzeczy i przygotowała się do wyruszenia w drogę. Obładowani byli do granic możliwoś- ci, a nawet powyżej nich. Tłuczek prawie nie mógł się ruszać i podzwaniał przy każdym ruchu. Świder, cały obwieszony dro- gimi klejnotami, usiłował zdecydować, który cenny naszyjnik podarować której narzeczonej. Wszyscy uginali się prawie do samej ziemi pod ciężarem. Tylko nie Selquist. — Świder! — zaczął. — Pomógłbyś mi... 295

— Nie — odparł krasnolud. — Tym razem radź sobie sam.

— Tłuczek — Sekjuist zwrócił się do drugiego przyjaciela. — To niewiele... — Nie ma mowy. Więcej nie uniosę. — Moździerz, moje plecy. Chyba sobie je nadwerżyłem... — No to co! — warknął Moździerz i odszedł.

Selquist pogrzył się na chwilę w głębokiej zadumie, a potem podszedł do jednego ze smokowców.

— Jak ci na imię? Gloth? Jakiś ty wielki i muskularny! Założę się, że mógłbyś bez wysiłku podnieść tę skrzynię ze stalowymi monetami, zanieść ją do Palanthas i nie poczułbyś nawet zmęczenia. Tak się składa, że znam pewne wymarłe mia- sto, które byłoby idealne dla was i waszego nowego łęgu. Leży na południowy zachód od Nordmaaru. Ponieś mi tę skrzynię, a ja ci powiem, jak tam dojść. Widzisz... —ciągnął dalej Selquist — mam pewną mapę...